



GALAKTYKA GUTENBERGA

CLIFFORD D. SIMAK



Bractwo Talizmanu

# Spis treści

Strona tytułowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

Clifford D. Simak

# Bractwo Talizmanu

tytuł oryginału:

*The Fellowship of the Talisman*

1978

Przełożył Wiesław Lipowski



Stawiguda

2013

# 1

Dwór był pierwszym nietkniętym domostwem, jakie ujrzeli po dwóch dniach podróży przez całkowicie wyludniony teren. Jego niewiarygodna pustka budziła grozę.

Od dwóch dni towarzyszyły im wilki obserwujące ich ze szczytów wzgórz. Tu i ówdzie wśród zarośli przemykał lis, ciągnąc za sobą długą kitę ogona. Z wierzchołków martwych drzew lub z osmolonych belek spalonych domostw zerkwały na nich obojętnie myszołowy. Nie napotkali żywej duszy; tylko od czasu do czasu w gęstwinie zarośli połyskiwał ludzki szkielet.

Ładna pogoda skończyła się w południe drugiego dnia, gdy spokojne niebo wczesnej jesieni pokryło się chmurami i od północy nadciągnął zimny wiatr. Często smagał ich lodowatym biczem, a deszcz mieszał się ze śniegiem.

Późnym popołudniem, wjechawszy na niską grań, Duncan Standish ujrzął dwór, proste domostwo za palisadą i wąską fosą. Za zwodzonym mostem rozciągał się dziedziniec. Widać było na nim konie gospodarskie, bydło, owce i świnie. Na podwórzu krzątało się kilku ludzi, a z kominów unosił się dym. Pewna liczba budynków stała na zewnątrz palisady, niektóre nosiły ślady ognia. Majątek sprawiał wrażenie podupadłego.

Za plecami Duncana przystanął Daniel, wielki koń bojowy, który jak pies nie odstępował swego pana nawet o krok. Za Danielem stukocząc kopytami przydreptała Piękna, mała szara oślica, dźwigająca na grzbiecie stertę pakunków. Daniel opuścił głowę i trącił Duncana w ramię.

— W porządku, Danielu — uspokoił go. — Znaleźliśmy dach nad głową na dzisiejszą noc.

Koń parsknął cicho.

Po chwili na zbocze wspiął się Conrad i stanął obok Duncana. Conrad był ogromnym mężczyzną; mierząc prawie siedem stóp wydawał się ciężki nawet jak na swój wzrost. Nosił płaszcz z owczych skór, który zwieszał mu się od ramion niemal do samych kolan. W prawej dłoni trzymał grubą dębową maczugę. Spoglądał w milczeniu na osadę.

— Co o tym sądzisz? — spytał Duncan.

— Zauważyli nas — odparł Conrad. — Wystawiają głowy nad palisadę.

— Masz lepszy wzrok ode mnie. Jesteś pewny?

— Tak jest, milordzie.

— Przestań nazywać mnie milordem. Nie jestem nim. Milordem jest mój ojciec.

— Uważam cię za milorda — odparł Conrad. — Po śmierci twego ojca ty nim zostaniesz.

— Nie widać nigdzie Oprawców? — spytał Duncan.

— Tylko ludzie.

— Nie chce mi się wierzyć, by Oprawcy ominęli taki dwór.

— Może odparto ich atak. Albo Oprawcom się spieszyło.

— Z tego, co dotąd widzieliśmy — powiedział Duncan — Oprawcy nie pomijają niczego. Puszczają z dymem najlichsze chałupy, nie oszczędzają nawet szałasów.

— Nadchodzi Malutki — oznajmił Conrad. — Był na dole, aby się im przyjrzeć.

Na zbocze susami wbiegał olbrzymi brytan, oni zaś czekali na niego. Podbiegł do Conrada i stanął obok. Conrad pogłaskał go po głowie i pies machnął ogonem. Spoglądając na nich, Duncan ponownie zwrócił uwagę na niezwykle podobieństwo psa i jego pana. Malutki sięgał Conradowi niemal do pasa, wspaniałe zwierzę. Nosił szeroką, skórzaną obrozę nabitą metalowymi ćwiekami. Gdy patrzył

w dół na domostwo, jego uszy wyciągały się ku przodowi. Z gardła dobywało mu się ciche warczenie.

— Psu też się to nie podoba — powiedział Conrad.

— Nie spotkaliśmy nic innego — odparł Duncan. — Tu będzie nasze schronienie. Noc jest wilgotna i zimna.

— Czekają nas pluskwy. I wszy.

Oślica przysunęła się bliżej do Duncana, by uniknąć podmuchów przenikliwego wiatru.

Duncan podciągnął pas z mieczem.

— Conradzie, mnie też to się nie podoba, tak samo jak tobie i Malutkiemu. Ale dzisiejsza noc będzie okropna.

— Musimy trzymać się razem — powiedział Conrad. — Nie pozwólmy, aby nas rozdzielono.

— Słusznie — odparł Duncan. — A więc ruszamy na dół.

Kiedy schodzili po zboczu, Duncan odruchowo położył rękę na boku. Odnalazł wiszącą przy pasie torbę. Wymacał dłonią zwój manuskryptu. Gdy dotknął go palcami, wydało mu się, że słyszy szelest pergaminu. Nagle ogarnęła go złość na siebie. Przez ostatnie dwa dni czynił to co chwila, upewniał się, czy rękopis spoczywa na miejscu. Niczym idący na targ wiejski chłopak, który ciągle wkłada rękę do kieszeni, aby sprawdzić, czy nie zgubił swojego miedziaka.

Czując pergamin pod palcami, odniósł wrażenie, że słyszy głos Jego Dostojności: „Od tych paru arkuszy może zależeć przyszłość ludzkości”. Przypomniał sobie, że Jego Dostojność miał skłonność do przesady i jego słów nie należało traktować poważnie, tak jak tego pragnął i często to pragnienie okazywał. W tym przypadku jednak, myślał Duncan, sędziwy i czcigodny kapłan może mieć wiele racji. Ale to się okaże dopiero wtedy, gdy przybędą do Oxenfordu.

I z jego powodu, z powodu tego manuskryptu zapisanego drobnym maczkiem na kilku arkuszach pergaminu, znajdował się tutaj zamiast w wygodnym i bezpiecznym Domu Standishów, powłócząc nogami na zboczu góry i szukając schronienia w miejscu, gdzie jak zauważył Conrad, zapewne pogryzą go pluskwy.

— Jedna rzecz mnie niepokoi — odezwał się Conrad, idąc obok Duncana.

— Nie miałem pojęcia, że coś może budzić twój niepokój.

— Chodzi o Ludek — odrzekł Conrad. — Nie widzieliśmy żadnego z nich. Jeśli ktokolwiek może ujść przed Oprawcami, to właśnie oni. Nie powiesz mi, że skrzaty, krasnale czy inne ludki nie potrafią wymknąć się Oprawcom.

— Może wpadli w strach i pochowali się gdzieś — odparł Duncan. — O ile wiem, mają mnóstwo kryjówek.

Conrad wyraźnie poweselał.

— Tak, to na pewno to — powiedział.

Zbliżywszy się do zabudowań stwierdzili, że ich pierwsza ocena dworu była prawidłowa. Sprawiał bardzo złe wrażenie. Właściwie można go było nazwać ruiną. Tu i ówdzie nad palisadą pokazywały się ludzkie głowy, obserwowano ich pochód.

Kiedy dotarli do fosy, a raczej cuchnącego bagna, mostu na razie nie spuszczone. Cuchnęło okropnie a w zielonkawej wodzie unosiły się szczątki, które mogły być gnijącymi zwłokami ludzkimi.

Conrad powitał okrzykiem sterczące łepetyny.

— Otwierać! — zawołał. — Wędrowcy potrzebują schronienia.

Przez jakiś czas nic się nie działo i Conrad krzyknął jeszcze raz. Wreszcie most zaczął się opuszczać wolnym i urywanym ruchem, skrzypiąc głośno belkami i piszcząc łańcuchami. Po przejściu przez most zauważyli pstrokaty tłum ludzi przypominających włóczęgów, tyle że uzbrojonych we włócznie i miecze własnej roboty.

Conrad pomachał do nich maczugą.

— Zejść z drogi — warknął. — Przejście dla milorda.

Cofnęli się, ale nie schowali włócznie; ostrza pozostały obnażone. Z tłumy wyszedł niewielkiego wzrostu kaleka, powłóczący jedną nogą, i zbliżył się do przybyszy.

— Mój pan was wita — wystękał. — Zaprasza was do stołu.

— Najlepsze schronienie dla zwierząt — powiedział Conrad.

— Jest szopa — zajęczał chromy. — Otwarta ze wszystkich stron,



ale ma dach i stoi pod murem. Koń i oślica znajdą w niej siano. Przyniosę kość dla psa.

— Żadnych kości — odrzekł Conrad. — Mięso. Dużo mięsa. Odpowiednio do jego wielkości.

— Znajdę trochę mięsa — odparł kaleka.

— Daj mu miedziaka — odezwał się Duncan do Conrada.

Conrad włożył dłoń do sakiewki przy pasie, wyciągnął monetę i rzucił kalece. Ten zgrabnie ją pochwycił i z wyraźną kpina przyłożył palec do kosmyka włosów na czole.

Choć szopa nie zasługiwała na miano schronienia, dawała w każdym razie jakąś osłonę przed wiatrem i deszczem. Duncan rozkulbaczył Daniela i położył siodło pod wałem palisady. Conrad zdjął toboły z oślicy i ułożył je w stertę na siodle.

— Nie chcecie zabrać ze sobą do pałacu siodła i tobołów? — zdziwił się kaleka. — Tam będą chyba bardziej bezpieczne.

— Tu są bezpieczne — powiedział stanowczo Conrad. — Jeśli ktokolwiek spróbuje je ruszyć, skończy z połamanymi żebrami albo poderżniętym gardłem.

Tłum obwiesiów, przed którym znaleźli się po przejściu przez most, rozpierzchnął się już. Most podnosił się z powrotem, wydając przeraźliwe dźwięki protestu.

— A teraz — rzekł kaleka — zechciejcie pójść za mną. Pan siedzi przy mięsiwie.

Duża jadalnia dworu była źle oświetlona i cuchnąca. W ścianach tkwiły dymiące pochodnie, które słabo rozjaśniały otoczenie. Mat z sitowia na podłodze nie wymieniano od miesięcy, a może nawet od lat. Zaśmiecały ją kości, które rzucono psom lub kopano zwyczajnie po podłodze po ogryzieniu z mięsa. Pod nogami wały się psie odchody i cały pokój śmierdzał uryną psią i najpewniej ludzką. W drugim końcu jadalni stało palenisko z płonącymi kłodami drewna. Komin źle ciągnął i nappełniał jadalnię dymem. Pośrodku sali ciągnął się długi stół na kozłach, wokół którego siedziała niechlujna kompania. Dookoła stołu biegało kilku wyrostków roznoszących

półmiski zjedzeniem i dzbanki piwa.

Kiedy Duncan i Conrad weszli do jadalni, rozmowy ucichły i blade, kaprawe twarze biesiadników obróciły się w ich stronę. Psy powstały od swoich gości i wyszczerzyły na nich kły.

U drugiego końca stołu podniósł się z miejsca jakiś mężczyzna. Ryknął na gości wesołym tonem.

— Witajcie, wędrowcy! Podejdźcie bliżej i zasiądźcie przy stole Harolda Rozbójnika.

Odwrócił głowę do wyrostków.

— Przepędźcie te parszywe psy i zróbcie drogę naszym gościom! — wrzasnął. — Niepodobna, by miały rzucić się na szanownych panów i ich pogryźć.

Młodzieńcy z ochotą przystąpili do dzieła. Na psach wylądowały buciory; zwierzęta odgryzały się, ujadając i warcząc.

Duncan ruszył naprzód. Conrad poszedł za nim.

— Dziękuję, panie, za twą uprzejmość — powiedział Duncan.

Harold Rozbójnik był mężczyzną kościstym, zarośniętym i brudnym. Jego włosy i broda przypominały szcurze nory. Nosił płaszcz, który kiedyś mógł mieć kolor purpury, teraz jednak był tak wysmarowany tłuszczem, że wydawał się utkany z błota. Futro na kołnierzu i rękawach zostało wyjedzone przez mole.

Harold wskazał ręką miejsce obok siebie.

— Proszę, siadaj, panie.

— Nazywam się Duncan Standish — przedstawił się gość — a ten człowiek ze mną to Conrad.

— Conrad jest twoim sługą?

— Nie jest moim sługą. Kompanem.

Rozbójnik zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym rzekł:

— W takim razie może siedzieć obok ciebie. — Obrócił się do mężczyzny na sąsiednim miejscu. — Einer, zabieraj się stąd do wszystkich diabłów. Poszukaj sobie innego miejsca i weź ze sobą tacę.

Einer sięgnął z niechęcią po kufel i tacę i ruszył dumnym krokiem wzdłuż stołu, wypatrując wolnego miejsca.

— No, skorośmy to załatwili — powiedział Rozbójnik — zechciejcie usiąść. Mamy mięso i piwo. Piwo jest znakomite; co do mięsa, nie mogę go pochwalić. Jest też chleb podłego gatunku, mamy za to zapas najprzedniejszego miodu, jaki kiedykolwiek zrobiła pszczoła. Kiedy napadli nas Oprawcy, stary Cedric, nasz bartnik, ryzykował życie, by wnieść do środka ule, ale dzięki temu ocalał miód.

— Jak dawno to było? — spytał Duncan. — Kiedy zjawili się Oprawcy?

— Późną wiosną. Zrazu było ich tylko kilku, straż przednia. Mieliśmy więc czas na wprowadzenie zwierząt i pszczół. Gdy wreszcie zjawiała się główna Horda, byliśmy na nią gotowi. Czy widziałeś już, panie, jakiegoś Oprawcę?

— Nie. Tylko słyszałem o nich.

— Są straszni — stwierdził Rozbójnik. — Najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Biesy, demony, czorty i inni. Kiedy na nich patrzysz, flaki ci się przekręcają ze strachu i robisz w portki, wszystko przez tę ich brzydotę. Najgorsi są ci bezwłosi. Ludzie, a przy tym nie ludzie. Niczym powłóczący nogami idioci, silni, potężnie zbudowani idioci, którzy nie odczuwają strachu i pałają żądzą mordy. Ani śladu owłosienia, żadnego włoska od stóp do głów. Biali jak ślimaki, które znajdujesz pod zgniłą deską. Grubi i ciężcy niczym ślimaki. Nie grubi. Raczej muskularni. Takich mięśni jeszcze nie widziałeś. Takiej siły nikt w życiu nie widział. Zebrani razem bezwłosi i inni, którzy im towarzyszą, wymiatają wszystko przed sobą. Zabijają, palą, nie znając litości. Okrucieństwo i magia. To jest rzemiosło, którym się zajmują. Ledwo udało nam się ich utrzymać na odległość ręki, tyle ci mogę powiedzieć. Ale odparliśmy czary i stawiliśmy czoło okrucieństwu, chociaż na sam ich widok można paść trupem ze strachu.

— Widzę, że was nie przestraszyli.

— O, nie — zapewnił Rozbójnik. — Moi ludzie to twarde sztuki.

Odpłaciliśmy im pięknym za nadobne. Byliśmy równie podli jak oni. Nie chcieliśmy rezygnować z tego majątku, któryśmy sami znaleźli.

— Znaleźliście?

— Tak, znaleźliśmy. Możesz oczywiście powiedzieć, że takich ludzi jak my rzadko można spotkać w tego rodzaju miejscach. Rozbójnik to imię tylko dla żartu, rozumiesz. Takie żarty wśród swoich. Jesteśmy gromadką uczciwych parobków, którzy nie mogą znaleźć pracy. Nie my zresztą jedyni. Mając przeto wspólny problem i wiedząc, że nie ma dla nas pracy, zebraliśmy się, aby poszukać cichego zakątka, gdzie moglibyśmy wznieść proste zabudowania i uprawiać ziemię na utrzymanie nas i naszych rodzin. Ale nie spotkaliśmy takiego miejsca, dopóki nie natrafiliśmy na to, porzucone przez kogoś.

— To znaczy, że było puste? Nikt tu nie mieszkał?

— Nikt — odparł Rozbójnik z miną świętoszka. — Żywej duszy dookoła. A więc zwołaliśmy radę i postanowiliśmy się wprowadzić, chyba że pokazaliby się legalni właściciele, rzecz jasna.

— Wówczas oddalibyście im majątek?

— Och, ma się rozumieć — odparł Rozbójnik. — Oddalibyśmy i znowu wyruszyli na poszukiwania cichego zakątka.

— To wspaniale z waszej strony — powiedział Duncan.

— No cóż, dzięki ci, panie. Ale dość tego. Opowiedz mi o was. Wędrowcy, powiadasz. W tych stronach rzadko widzi się wędrowców. Jest zbyt niebezpiecznie.

— Kierujemy się na południe — rzekł Duncan. — Do Oxenfordu. A potem może nawet do Londynu.

— Nie boicie się?

— Naturalnie, że się boimy. Ale jesteśmy dobrze uzbrojeni i będziemy się mieć na baczności.

— Musicie uważać — stwierdził Rozbójnik. — Wypuszczacie się w sam środek Spustoszonej Krainy. Czeka was mnóstwo niebezpieczeństw. Tam trudno o jedzenie. Powiadam ci, nic nie zostało. Gdyby jakiś kruk chciał tamtędy przelecieć, musiałby zabrać prowiant na drogę.

— Nieźle sobie radzicie.

— Udało nam się uratować zwierzęta. Kiedy Oprawcy sobie poszli, zasialiśmy późne zboża. Z powodu długiej zimy zbiory były słabe. Połowa pszenicy, mniej niż połowa żyta i jęczmienia. Tylko trochę owsa. Gryka nie udała się kompletnie. Odczuwamy dotkliwy brak siana. To jeszcze nie wszystko. Nasze bydło zdycha na zarazę. Owce padają łupem wilków.

Ktoś położył przed Duncanem i Conradem drewniane miski, a potem wylądowała przed nimi wielka taca z udźcem wołowym na jednym końcu i zadem baraniną na drugim. Inny wyrostek przyniósł bochenek chleba i talerz z plastrem miodu. Duncan jedząc rozglądał się dookoła stołu. Rozbójnik może sobie mówić, co chce, myślał, ci ludzie nie są uczciwymi robotnikami. Mieli wilcze spojrzenia. Być może należą do bandy rzezimieszków, zaskoczonej przez Oprawców w trakcie napadu. Po odparciu Hordy, nie mając nic lepszego do roboty osiedlili się tutaj, przynajmniej na razie. Mieliby dobrą kryjówkę. Nikt się nie zapuszcza konno w te strony, nawet Stróżę prawa.

— Oprawcy? — spytał. — Gdzie są teraz?

— Nikt tego nie wie — odparł Rozbójnik. — Mogą być wszędzie.

— Ale tu jest zaledwie granica Spustoszonej Krainy. Wieść niesie, że uderzyły w głąb północnej Brytanii.

— Ach, tak. Być może. Żadne wieści tutaj nie dotarły. Nie ma komu ich przynieść. Jesteście pierwsi, których widzimy. Ważne sprawy musiały was zapędzić w te strony.

— Niesiemy wiadomości. Nic ponadto.

— Powiedziałeś — Oxenford. I miasto Londyn.

— Zgadza się.

— W Oxenfordzie nie ma nic ciekawego.

— Być może — odparł Duncan. — Nie byłem tam jeszcze.

Zwrócił uwagę, że nigdzie nie widać było kobiet. Przy stole nie siedziała ani jedna niewiasta, rzecz nie do pomyślenia w uczciwym majątku. Jeśli są tu kobiety, to zostały gdzieś ukryte.

Któryś z młodzieńców przyniósł dzban piwa i napełnił kubki wędrowców. Duncan upił trochę i stwierdził, że trunek jest dobrej jakości. Podzielił się swą opinią z Rozbójnikiem.

— Następna partia nie będzie już taka dobra — odparł gospodarz. — Zbiory ziarna i siana są kiepskie w tym roku! Ileśmy się namęczyli, by zebrać trochę siana, choćby najlichszego. Biedne zwierzęta będą żreć nędzne odpadki przez zimowe miesiące.

Wielu biesiadników skończyło posiłek. Niektórzy złożyli ręce na stole i opuścili na nie głowy. Może śpią w ten sposób, myślał Duncan. Jak zwierzęta, pozbawione normalnych łóżek. Rozbójnik rozwalił się wygodnie na krzesle i przymknął oczy. Ogólny zgiełk powoli ustał.

Duncan odkroił dwie kromki chleba i podał jedną Conradowi. Swoją posmarował miodem. Rozbójnik miał rację, miód był doskonały, klarowny i słodki, zebrany z letnich kwiatów. Nie ciemny i cierpki produkt, jakże często spotykany na północy.

Wypalona kłoda drewna na kominie zapadła się w snopie iskier. W murze zgasło kilka pochodni, ale nadal wydzielały smugi tłustego dymu. Dwa psy kłóciły się o kość, warcząc jeden na drugiego. Smród w jadalni był jeszcze gorszy niż w chwili, gdy do niej weszli.

Nagle stłumiony wrzask poderwał Duncana na nogi. Przez chwilę stał i nasłuchiwał. Wrzask rozległ się znowu, przypominał raczej okrzyk bojowy niż jęk bólu. Conrad zerwał się z miejsca.

— To Daniel! — zawołał.

Duncan rzucił się w głąb korytarza, a Conrad pobiegł za nim. Ujrzeni przed sobą kuśtykającego mężczyznę, przebudzonego z pijackiego snu. Duncan odepchnął go na bok. Conrad skoczył obok niego i wprawił w ruch maczugę, by utorować sobie drogę. Ludzie, którzy zetknęli się z pałką, wyli za nimi ze wściekłością. Jakiś pies biegał w kółko i ujadał. Duncan dobył miecza; gdy wyciągał go z pochwy, metal wydał cichy zgrzyt.

Z przodu Conrad szarpnął za drzwi, otwierając je siłą, i wypadli na podwórze. Płonęło wielkie ognisko i w jego blasku zobaczyli grupę

ludzi stłoczonych przy szopie dla zwierząt. Ale gdy stanęli na dziedzińcu, tłum począł się rozpraszać i uciekać.

Daniel, skowycząc z szału, stał na tylnych nogach, a przednimi kopytami grzmocił ludzi przed sobą. Jeden człowiek leżał plackiem na ziemi, inny czołgał się w popłochu na czworakach. Kiedy Duncan i Conrad biegli na drugą stronę podwórza, koń walił kopytami dookoła siebie i nagle trafił kolejnego człowieka w twarz metalową podkową, przewracając go na ziemię. O kilka stóp od Daniela rozwścieczony Malutki trzymał za gardło innego człowieka i szarpał nim bezlitośnie na wszystkie strony. Mała oślica przemieniła się w kłębowisko wirujących kopyt.

Na widok dwóch mężczyzn biegnących przez podwórze reszta ludzi przed szopą rozpierzchnęła się i uciekła. Duncan podbiegł do konia.

— Już dobrze — powiedział. — Jesteśmy przy tobie.

Daniel parsknął do niego.

— Puść — rzekł Conrad do Malutkiego. — Już nie żyje.

Pies z pogardą wypełnił polecenie, oblizując zakrwawiony pysk. Jego ofiara nie miała szyi. Dwaj ludzie rozciągnięci na ziemi przed Danielem nie poruszali się, wyglądali na martwych. Ktoś pełzł po dziedzińcu z przetrąconym krzyżem. Jeszcze inni kuśtykali zgięci w pół i uciekali, gdzie kto mógł.

Z wielkich drzwi do sieni wybiegali ludzie. Znalazłszy się na zewnątrz, zbijali w grupki i stali z wytrzeszczonymi oczyma. Rozbójnik utorował sobie drogę przez tłum i zatrzymał się przed Duncanem i Conradem. Dyszał ze złością.

— Co to znaczy? — ryknął. — Daję wam gościnę, a tu moi ludzie leżą trupem!

— Chcieli ukraść nasze rzeczy — rzekł Duncan. — Kto wie, czy nie chcieli ukraść także naszych zwierząt. Jak widzisz, nasze zwierzęta nie odniosły się do tych pomysłów życzliwie.

Rozbójnik udał zdumienie.

— Nie wierzę. Moi ludzie nie poniżyliby się do takiej

nikczemności.

— Twoi ludzie to zgraja nikczemników — rzekł Duncan.

— Nie wiem doprawdy, co powiedzieć — odparł herszt. — Nie lubię spierać się z gośćmi.

— Po co się kłócić — rzucił ostro Duncan. — Spuść most i odejdziemy. Żądam tego.

Conrad podszedł do Rozbójnika z uniesioną maczugą.

— Rozumiesz? — spytał. — Milord żąda.

Harold uczynił ruch, jakby zamierzał się oddalić, ale Conrad złapał go za ramię i obrócił dookoła.

— Pałka czuje głód — powiedział. — Nie rozbiła czaszki od miesiący.

— Most zwodzony — rzekł Duncan nader łagodnym głosem.

— Dobrze, już dobrze — odparł Rozbójnik. — Spuścić mosty, by nasi goście mogli odjechać.

— Reszta ma się cofnąć — rozkazał Conrad. — Z drogi. Zrobić miejsce. Bo pierwszemu z brzegu rozwałę czaszkę.

— Cofnijcie się! — ryknął herszt. — Nie przeszkadzajcie. Zróbcie im miejsce. Nie chcemy kłopotów.

— Jeśli będą kłopoty, ty pierwszy w nie wpadniesz — rzekł Conrad i zwrócił się do Duncana. — Osiodłaj Daniela i załaduj toboły na Piękną. Ja zajmę się hersztem.

Most począł się już opuszczać. Zanim opadł z głuchym stukotem na drugą stronę fosy, byli już gotowi do drogi.

— Przytrzymam Rozbójnika, dopóki nie znajdziemy się za mostem — oznajmił Conrad.

Szarpnął herszta za sobą. Ludzie na dziedzińcu stali i w sporym oddaleniu. Malutki ruszył na czele pochodu.

Po wejściu na most Duncan spostrzegł, że niebo się rozchmurzyło. Świecił księżyc bliski pełni i migotały gwiazdy. Nadal było widać trochę chmur, które rozpędzał wiatr.

Zatrzymali się po drugiej stronie fosy. Conrad zwolnił uścisk na ramieniu Rozbójnika.



— Gdy tylko wrócisz na dziedziniec — rzekł Duncan do swego byłego gospodarza — wciągniesz most. Nawet nie myśl o wysłaniu za nami swoich rzeźmieszków. Jeśli to uczynisz, puścimy na nich konia i psa. To zwierzęta bojowe, wytresowane do wojny, jak zdążyłeś zauważyć. Rozerwą twoją bandę na strzępy.

Rozbójnik nic nie odpowiedział. Pomaszerował ciężkim krokiem przez most. Wróciwszy na podwórze, ryknął na swoich ludzi. Rozległ się pisk koła i brzęk łańcuchów, jęknęło drewno. Most zaczął się z wolna podnosić.

— W drogę — rzekł Duncan, kiedy most dotarł do połowy drogi.

Prowadzeni przez Malutkiego zeszli ze wzgórza słabo widoczną ścieżką.

— Dokąd zmierzamy? — spytał Conrad.

— Nie wiem — odrzekł Duncan. — Jak najdalej stąd.

Nagle Malutki warknął ostrzegawczo. Na ścieżce stał jakiś człowiek.

Duncan zbliżył się do miejsca, gdzie czekał pies. Razem podeszli do nieznanego.

— Nie bój się, panie — odezwał drżącym głosem mężczyzna. — Jam tylko stary Cedric, bartnik.

— Co tu robisz? — zapytał Duncan.

— Przyszedłem, aby wam służyć za przewodnika, panie. Poza tym przynoszę jedzenie.

Sięgnął w dół i podniósł worek, który stał nie zauważony u jego stóp.

— Połec boczkę — rzekł — szynka, ser, bochenek chleba i trochę miodu. Prócz tego mogę wam pokazać najszybszą i najdłuższą drogę. Mieszkam tu całe życie. Znam te strony.

— Dlaczego miałbyś nam pomagać? Jesteś człowiekiem Rozbójnika. Wspominał o tobie. Ponoć ocaliłeś ule z miodem, kiedy zaatakowali Oprawcy.

— Nie należę do bandy Harolda — odrzekł. — Żyłem tu od lat, zanim się pojawił. To było dobre życie, dobre życie dla nas wszystkich

— dla pana i jego ludzi. Byliśmy spokojnym ludem. Gdy przybył Rozbójnik, nie mieliśmy żadnych szans. Nie potrafiliśmy się obronić. Na Świętego Michała będzie dwa lata, jak przyszedł Rozbójnik z swymi łajdakami i...

— A jednak przyłączyłeś się do niego.

— Nie przyłączyłem się. Darowano mi życie. Harold kazał mnie oszczędzić, bo tylko ja znam się na pszczołach. Mało kto umie chodzić koło pszczoł, a Rozbójnik lubi dobry miód.

— A więc miałem rację — odparł Duncan. — Rozbójnik i jego banda zagrabili majątek i wyrznęli ludzi, którzy w nim mieszkali.

— Zaiste, panie — rzekł Cedric. — Wielkie klęski spadły na biedną krainę. Najpierw Rozbójnik ze swymi łajdakami, a potem Oprawcy.

— A zatem pokażesz nam najszybszą drogę ucieczki przed Haroldem?

— Pokażę. Znam wszystkie skróty. Niestraszne mi ciemności. Widząc co się dzieje, wślizgnąłem się do kuchni po prowiant, a później przesadziłem palisadę i leżałem na ziemi w oczekiwaniu na was.

— Przecież Rozbójnik dowie się, że to twoja sprawka. Zemści się.

Cedric potrząsnął głową.

— Nie zorientują się, że mnie nie ma. Jestem stale przy ulach. Nawet noce spędzam wśród pszczoł. Wszedłem dziś pod dach tylko z powodu zimna i deszczu. Gdy zauważą, że mnie nie ma — w co nie wierzę — pomyślą, że pracuję w pasiece. I jeśli pozwolisz, panie, będę zaszczycony udzielając pomocy człowiekowi, który stawiał czoło Rozbójnikowi.

— Nie lubisz łotra.

— Brzydzę się nim. Ale co mogę zrobić? Przejść się tu i tam, tak jak teraz. Człowiek sobie radzi jak może.

Conrad wziął worek z dłoni starca.

— Pozwól, że ja go poniosę — rzekł. — Później wrzucimy go między bagaże Pięknej.

— Myślisz, że Harold i jego ludzie pójda za nami? — spytał

Duncan.

— Nie wiem — odparł bartnik. — Raczej nie, ale nigdy nie wiadomo.

— Twierdzisz, że go nienawidzisz. A może zabierzesz się z nami? Chyba nie chcesz zostać u niego.

— Nie chcę. Z ochotą przyłączyłbym się do was. Ale nie mogę zostawić pszczół.

— Pszczół?

— Znasz się na pszczołach, panie?

— Bardzo słabo.

— To nader zdumiewające stworzenia — rzekł Cedric. — W jednym samotnym roju jest ich tyle, że nie można policzyć. Lecz potrzebują człowieka, który się o nie troszczy. Co roku muszą mieć silną królową do złożenia wielu jajeczek. Jedną jedyną. Zważ panie, tylko jedną królową, jeśli rój ma nie osłabnąć. Bo gdyby pojawiło się więcej królowych, w ulu zaczniesz panować tłok, i część pszczół poleci gdzie indziej, zmniejszając liczebność roju. Dla zachowania swej siły potrzebują bartnika, który wie, jak sobie z nimi radzić. Trzeba sprawdzać plastry, rozumiesz, i szukać dodatkowych komórek z królowymi, aby je zniszczyć. Można nawet zabić królową, kiedy się zestarzeje, i obserwować, jak rośnie młoda, silna...

— I dlatego zostaniesz u Rozbójnika?

Starzec oburzył się.

— Ja kocham moje pszczoły — odrzekł. — Jestem im potrzebny.

— Pal diabli pszczoły — warknął Conrad. — Zdechniemy tutaj, rozmawiając o twoich pszczołach.

— Za dużo o nich gadam — odparł starzec. — Chodźmy już. Trzymajcie się blisko mnie.

Śmigał przed nimi niczym duch. Czasami truchtał, niekiedy biegł, po czym znowu szedł powoli i ostrożnie, szukając po omacku drogi.

Zeszli do małej kotlinki, wspięli się na grzbiet górski, pograżyli w następnej, większej dolinie, opuścili ją, by wspiąć się na kolejne zbocze. Nad ich głowami powoli obracały się gwiazdy i płynął

na zachód księżyc. Z północy dął chłodny wiatr, ale deszcz nie padał.

Duncan był zmęczony. Pozbawione snu jego ciało oburzało się na tempo marszu, jakie narzucił stary Cedric. Od czasu do czasu Duncan się potykał. Conrad powtarzał mu: — Wsiądź na konia — ale młody Standish potrząsał tylko głową.

— Daniel także jest zmęczony — odpowiadał.

Jego umysł oddzielił się od nóg. Nogi maszerowały przed siebie, niosąc go naprzód wśród ciemności, bladej poświaty księżyca, wielkiej fali puszczy, wyłaniających się z mroku wzgórz, blizn dolin. Jego umysł wędrował gdzie indziej. Cofnął się do dnia, kiedy to wszystko się zaczęło.

## 2

O tym, że wybrano go do misji, Duncan dowiedział się po raz pierwszy, kiedy zszedł powoli na dół krętymi, zdobnymi schodami, przeciął hol i skręcił do biblioteki. Wells oznajmił, że oczekują go tu ojciec i Jego Dostojność.

Nie było niczego niezwykłego w tym, że ojciec chce go zobaczyć, powiedział Duncan do siebie. Przywykł, że się go wzywa, ale jaka sprawa sprowadziła do zamku arcybiskupa? Jego Dostojność był starszym mężczyzną, korpulentnym wskutek dobrej kuchni i niewielu obowiązków. Rzadko wypuszczał się poza Opactwo. Niezwykle doniosła sprawa, dużo poważniejsza niż zazwyczaj musiała sprowadzić go tutaj na starym siwym mule. Zwierzę nigdy się nie spieszyło, miało jednak chód łagodny, co ułatwiało podróż człowiekowi nie lubiącemu ruchu.

Duncan wszedł do biblioteki; rzucił okiem na zwoje ksiąg od podłogi do sufitu, witraże w oknach i łeb jelenia nad kominkiem, gdzie płonął ogień.

Ojciec i arcybiskup siedzieli w fotelach ustawionych bokiem do paleniska. Na widok Duncana wstali, by się z nim przywitać. Arcybiskup sapał z wysiłku, który w to włożył.

— Duncanie — odezwał się ojciec — mamy gościa, którego na pewno pamiętasz.

— Wasza Dostojność — rzekł Duncan i przyspieszył kroku, aby przyjąć błogosławieństwo. — Jak to dobrze, że znowu cię widzę. Minęło tyle miesięcy.

Przykląkł na jedno kolano i kiedy błogosławieństwo zostało

udzielone, arcybiskup dał znak ręką, by młodzieniec wstał.

— Powinien mnie pamiętać — rzekł arcybiskup do ojca. — Często musiałem stosować wobec niego łagodną perswazję. Dobrzy ojczulkowie trudzili się nad wbiciem prostej łaciny i nędznej greki oraz paru innych rzeczy do jego odpornej głowy.

— Ależ Wasza Dostojność — powiedział Duncan — to było strasznie nudne. Konstrukcja łacińskiego czasownika...

— Mówi, jak przystało na szlachetnie urodzonego — stwierdził Jego Dostojność. — Kiedy zjawiają się w Opactwie, zawsze narzekają na łacinę. Ty jednak, mimo że czasem schodziłeś na manowce, radziłeś sobie dużo lepiej niż inni.

— Chłopak jest w porządku — warknął ojciec. — Ja sam ledwie znam parę słów po łacinie. Twoi ojczulkowie w Opactwie kładli na nią zbyt duży nacisk.

— Możliwe — ustąpił arcybiskup. — Ale co mamy robić? Nie możemy uczyć jazdy konnej ani fechtunku, czy uwodzenia dziewcząt.

— Odłóżmy żarty na bok i usiądźmy — rzekł ojciec. — Musimy omówić kilka spraw. — Zwrócił się do Duncana. — Słuchaj uważnie, mój synu. To dotyczy ciebie.

— Tak, ojcze — odparł Duncan i usadowił się w fotelu.

Arcybiskup zerknął na ojca.

— Ja mam mu powiedzieć, Douglasie?

— Tak. Wiesz więcej o tej sprawie niż ja. I potrafisz wyłożyć to lepiej ode mnie. Dysponujesz właściwymi słowami.

Arcybiskup odchylił się do tyłu i splótł grube palce na wydatnym brzuchu.

— Przed dwoma lub więcej laty — zaczął — twój ojciec przyniósł mi pewien manuskrypt, który znalazł w czasie porządkowania rodzinnych papierów.

— To była ciężka praca, którą należało wykonać przed wiekami — odezwał się ojciec. — Stosy papierów i dokumentów przemieszanych bez ładu i składu. Stare listy, akty, zapiski, rejestry, dawne instrumenty; wszystko poupychane w najrozmaitszych skrzyniach.

Robota nie jest jeszcze zakończona. Od czasu do czasu wracam do niej. Nieraz trudno mi zrozumieć to, co znajdę.

— Przyniósł manuskrypt do mnie — podjął arcybiskup — ponieważ napisano go w obcym języku. Pismem, którego sam nigdy nie widział, który widziało w ogóle niewielu ludzi.

— Okazało się, że to był język aramejski — powiedział Douglas Standish. — Język, którym podobno posługiwał się Jezus.

Duncan przenosił wzrok z jednego na drugiego. O co tu chodzi? — zadawał sobie pytanie. Do czego oni zmierzają? Co to ma wspólnego ze mną?

— Zastanawiasz się, co to może mieć wspólnego z tobą? — rzekł arcybiskup.

— Nie przeczę — odparł.

— Dojdziemy do tego w swoim czasie.

— To mnie właśnie niepokoi.

— Nasi poczciwi ojczulkowie strasznie się namęczyli nad odczytaniem manuskryptu — ciągnął arcybiskup. — Tylko dwaj z nich posiadają jaką taką znajomość języka. Jeden ledwo duka, drugi być może zdobył pewną biegłość. Obawiam się jednak, że nie tak dużą, jaką przede mną udaje. Kłopot polega na tym, ma się rozumieć, że nie potrafimy rozstrzygnąć, czy manuskrypt jest autentyczny. Może to apokryf.

Wygląda jak kronika opisująca działalność Jezusa. Niekoniecznie dzień za dniem. Są miejsca, gdzie zapiski robiono nieprzerwanie przez wiele tygodni. Później kilku dni brakuje, ale po takiej przerwie kolejny zapis obejmuje wszystkie wcześniejsze wydarzenia. Tekst brzmi tak, jakby autor żył w tamtym czasie i był świadkiem wszystkiego, co opisuje — ale jakby nie należał do uczniów Jezusa, raczej włączył się za nimi w jakimś celu. Ani razu nie informuje nas o sobie. Nie mówi nam, kim jest, i nie pozostawia wskazówek co swojej tożsamości.

Arcybiskup umilkł i spojrzał na Duncana swoim wzrokiem.

— Wiesz chyba, co to może znaczyć, jeśli dokument jest

prawdziwy? — spytał.

— No tak, oczywiście — odparł Duncan. — Mielibyśmy szczegółową, dzień po dniu, relację z działalności Naszego Pana.

— Stałoby się o wiele więcej, mój synu — stwierdził ojciec. — Mielibyśmy pierwszą naoczną relację o Nim. Rękopis mógłby stanowić dowód, że człowiek imieniem Jezus żył naprawdę...

— Ależ ja nie... Nie wiem...

— Twój ojciec się nie myli — rzucił arcybiskup. — Poza kilkoma owymi arkuszami manuskryptu nie dysponujemy innymi dowodami na historyczność Jezusa. Zgoda, jest kilka pism, na które można się powołać, aby dowieść istnienia takiego człowieka, ale ani jedno nie jest godne zaufania. Albo kompletne bzdury i fałszerstwa, albo interpolacje, zapewne dzieła klasztornych skrybów, którzy powinni byli mieć więcej rozumu w głowie. Dopuszcili bowiem do tego, że ich pobożność stłumiła w nich rzetelność. My, ludzie wierzący, nie potrzebujemy dowodów. Święty Kościół ani przez chwilę nie wątpi w fakt Jego istnienia, ale nasze przekonanie opiera się na wierze, nie zaś na dowodzie. Jest to kwestia, o której nie dyskutujemy. Mamy do czynienia z tyloma bezbożnikami i poganami, że byłoby nierozsądne dyskutować o tym. Sami nie potrzebujemy dowodu, o ile manuskrypt w ogóle okaże się dowodem, ale Matka Kościół mogłaby go wykorzystać do przekonania ludzi, którzy nie podzielają naszej wiary.

— Położyłby również kres niektórym wątpliwościom i sceptycyzmowi w łonie samego Kościoła — dodał Douglas Standish.

— Przecież to może być tylko apokryf, jak mówisz.

— Niewykluczone — powiedział arcybiskup. — Ale jesteśmy skłonni przypuszczać, że nie. Niestety, Ojcu Jonathanowi, naszemu zakonnikowi w Opactwie, brakuje doświadczenia, aby to rozstrzygnąć. Potrzebujemy uczonego, który zna aramejski, który spędził lata na studiowaniu tego języka oraz zmian, jakie w nim zaszły. Tysiąc pięćset lat temu, gdy język aramejski był w powszechnym użytku, miał wiele dialektów. Nadal w pewnych zakątkach Wschodu mówi się jego



współczesną odmianą, ale różni się ona znacznie od tej, którą posługiwano się w czasach Jezusa. Nawet tamten dialekt różnił się bardzo od języka, którym mówiono w Syrii czy Persji.

— Jestem przejęty i wstrząśnięty faktem, że w moim rodzinnym domu znajdował się przedmiot o tak wielkiej doniosłości — odrzekł Duncan. — Ale wciąż nie rozumiem. Mówiliście, że ja...

— Tylko jeden człowiek na świecie może potwierdzić autentyczność manuskryptu. Człowiek ten mieszka w Oxenfordzie.

— W Oxenfordzie? To znaczy na południu?

— Zgadza się. W tej małej społeczności uczonych, którzy mniej więcej sto lat temu...

— Między nami a Oxenfordem rozciąga się Spustoszona Kraina — wtrącił Douglas Standish.

— Sądzymy, że niewielka grupa dzielnych i oddanych mężczyzn mogłaby się prześlizgnąć. Zastanawialiśmy się, twój ojciec i ja, nad wysłaniem manuskryptu drogą morską, lecz wybrzeże jest tak strasznie nękanie przez piratów, że uczciwy statek nie odważy się podnieść kotwicy.

— Jak mała grupka?

— Im mniejsza, tym lepiej — odparł ojciec. — Nie możemy wysłać pułku rycerzy, aby się przebijał przez niemal połowę Brytanii. Taka siła zwracałaby za dużo uwagi. Mała grupka może się poruszać cicho i dyskretnie, mając przez to większe szanse. Niestety, musiałyby oczywiście sforsować Spustoszoną Krainę. Nie ma drogi okrężnej. Wszystko świadczy o tym, że Spustoszona Kraina prowadzi szerokim pasem ziemi przez cały kraj. Wyprawa byłaby dużo łatwiejsza, gdybyśmy wiedzieli, gdzie przebywają Oprawcy. Niestety, nasze doniesienia wskazują, że mogą być wszędzie na północy. Wszelako otrzymaliśmy niedawno informacje, że w ostatnich tygodniach posuwają się w kierunku północnego wschodu.

Jego Dostojność z powagą skinął głową.

— Prosto na nas — westchnął.

— Macie na myśli Dom Standishów?

Ojciec roześmiał się. Było to cięty, krótki śmiech, który nie do końca był śmiechem.

— Nie ma powodu do obaw. Nie w tym starożytnym zamku. Przez prawie tysiąc lat stawiał opór wszystkiemu, co udawało się naszym wrogom wytoczyć przeciwko nam. Ale jeśli grupa śmiałków ma podjąć próbę przebicia się do Oxenfordu, najlepiej niech wyruszy niebawem, zanim Horda Oprawców stanie u naszych bram.

— Uważasz więc, że ja...

— Mówiliśmy już o tym — dodał Douglas Standish.

— Nie znam lepszego człowieka do tego zadania — rzekł jego Dostojność. — Ale decyzja należy do ciebie. Jest to przedsięwzięcie, które należy rozważyć nader dokładnie.

— Myślę, że gdybyś zdecydował się jechać — powiedział Douglas Standish — miałbyś dużą szansę powodzenia. Inaczej nie poruszalibyśmy tej kwestii.

— Jest świetnie wyćwiczony w sztuce walki — rzekł Jego Dostojność, zwracając się do ojca. — Nie znam się na tym osobiście, ale mówiono mi, że twój syn jest najznakomitszym szermierzem na północy, że jest zamiłowanym czytelnikiem historii rozlicznych kampanii...

— Ależ ja nigdy nie wyciągałem miecza w gniewie — zaprotestował się Duncan. — Moja znajomość walki ogranicza się do fechtunku. Od lat żyjemy w pokoju. Od lat nie znamy wojen...

— Nie wysyła się ciebie po to, abyś rozpętał wojnę — rzekł łagodnie ojciec. — Im mniej będzie walki, tym lepiej. Twoim zadaniem jest tylko przebycie Spustoszonej Krainy w taki sposób, aby cię nikt nie widział.

— Lecz zawsze istnieje ryzyko, że wpadniemy na Oprawców. Może i dałbym sobie jakoś radę, choć widzę siebie w zupełnie innej roli. Moje zainteresowania, zresztą tak samo jak twoje i twego ojca przed tobą, ograniczają się do naszego majątku, do naszych ludzi i ziemi...

— Nie jesteś wyjątkiem pod tym względem — odparł ojciec. — Wielu przedstawicieli rodu Standish żyło w pokoju na tych terenach,

ale gdy nadchodziło wezwanie, siadali na koń i ruszali do walki. Żaden nie przyniósł nam wstydu. Tak więc możesz być spokojny. Masz za sobą wielu wojowników.

— Krew przemówi — rzekł z namaszczeniem arcybiskup. — Krew przemówi zawsze. Stare, świetne rody, takie jak ród Standishów, to bastion Brytanii i Pana Naszego.

— Skoroście już to ustalili, skoro wybraliście mnie do tej wyprawy na południe, to może podzielicie się ze mną wiedzą o Spustoszonej Krainie?

— Wiemy tylko tyle, że jest to zjawisko cykliczne — odrzekł arcybiskup. — Cykl, który nawiedza różne miejsca mniej więcej co pięćset lat. Wiemy, że około pięciuset lat temu pojawił się w Iberii. Pięćset lat wcześniej — w Macedonii. Są oznaki, że przedtem to samo spotkało Syrię. Cały obszar zostaje zaatakowany przez mrowie demonów i towarzyszące im przeróżne złe moce. Niszczą wszystko, co napotkają przed sobą. Mieszkańcy zostają wymordowani, ich siedziby puszczane z dymem. Okolica zamienia się w absolutne pustkowia. Trwa to przez wiele lat — dziesięć albo i więcej. Po tym czasie złe moce oddalają się i ludzie zaczynają powracać, choć mija pewnie ze sto lub więcej lat, zanim nastąpi powtórne zagospodarowanie ziemi. Demonom i ich kohortom nadaje się różne miana. Podczas ostatniej wielkiej inwazji nazwano je Oprawcami; czasami mówi się o nich jako o Hordzie. Dużo więcej, naturalnie, można by opowiedzieć o tym zjawisku, ale tak się przedstawia istota sprawy. Rzesze uczonych łamią sobie głowę nad motywami i celami, jakie mogą tutaj wchodzić w grę. Na razie mamy tylko bardzo słabe teorie i ani jednego realnego dowodu. Oczywiście, nikt właściwie nie odważył się zbadać dotkniętego nieszczęściem terenu. Nie było żadnych badań na miejscu. Za co bynajmniej nie obwiniam...

— A jednak proponujesz — przerwał mu Douglas Standish — by mój syn...

— Nie żądam od niego jakichkolwiek badań. Wystarczy, że spróbuje sforsować zakazany teren. Gdyby tylko biskup Wise

z Oxenfordu nie był w tak podeszłym wieku, rzekłbym — nie musimy się spieszyć. Tylko że to już starzec i według ostatnich doniesień coraz bardziej traci siły. Jego koniec jest bliski. Jeśli będziemy zwlekać, możemy go zastać w grobie. A on jest naszą ostatnią nadzieją. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby ocenić manuskrypt.

— A co, jeśli manuskrypt zaginie podczas wyprawy do Oxenfordu?  
— spytał Duncan.

— To jest ryzyko, które musimy podjąć. Choć wiem, że będziesz go chronił niczym własne życie.

— Jak każdy.

— To cenna rzecz — dodał Jego Dostojność. — Być może najcenniejsza w całym chrześcijańskim świecie. Od tych paru stron może zależeć los ludzkości.

— Moglibyście wysłać kopię.

— Nie — sprzeciwił się arcybiskup. — To musi być oryginał. Bez względu na to, jak dokładnie dałoby się go skopiować, a mamy w Opactwie nadzwyczaj zręcznych kopistów, ten czy ów może nieświadomie pominąć jakąś pozornie drobną cechę charakterystyczną, istotną dla stwierdzenia, czy manuskrypt jest oryginałem. Sporządziliśmy kopię, ściśle mówiąc dwie, które przechowujemy pod kluczem w murach Opactwa. Gdyby więc oryginał zaginął, będziemy nadal dysponować tekstem. Ale utrata oryginału byłaby katastrofą, o której lepiej nie myśleć.

— A jeśli biskup Wise zdoła potwierdzić autentyczność tekstu, lecz podniesie kwestię pergaminu bądź inkaustu? Czy zna się także na różnych rodzajach pergaminu i inkaustu?

— Wątpię, czy podniesie takie kwestie — odrzekł arcybiskup. — Tak wielki uczony powinien bez wątpienia poznać, czy rękopis jest oryginałem na podstawie badań samego pisma. Gdyby jednak podjął kwestie, o których mówisz, przyjdzie nam poszukać innego uczonego. Musi być ktoś, kto zna się na pergaminach i inkaustach.

— Wasza Dostojność — odezwał się ojciec. — Twierdzisz, że wysuwano teorie dotyczące Spustoszonej Krainy, dotyczące motywów

i przyczyn. Czy ty osobiście popierasz którąś z tych teorii?

— To trudny wybór — westchnął arcybiskup. — Wszystkie hipotezy są nadzwyczaj pomysłowe, a niektóre nawet przebiegłe, skomplikowane logicznie. Tylko jedna moim zdaniem ma sens: że Spustoszone Krainy są wykorzystywane do odnowy... że siły Zła tego świata potrzebują czasami odpoczynku, by wytyczyć nowe cele i odtworzyć się, zregenerować swoją moc. Może analogicznie do rekolekcji kościelnych. Tak więc pustoszą ogromną połąć ziemi i obracają ją w przerażającą głuszę, która ma służyć jako bariera ochronna przed ingerencją z zewnątrz. Chcą mieć spokój, gdy odbywają różne straszliwe praktyki w celu nabrania sił na kolejne pięćset lat czynienia zła. Twórca tej hipotezy twierdził, że jakiś czas przed kolejnym atakiem siły Zła zaczynają się zmniejszać, a po odnowie znowu są ogromne na przeciąg wielu lat. Wątpię jednak, czy miał rację. Mamy za mało danych, by wyciągać tak daleko idące wnioski.

— Jeśli to prawda — rzekł Duncan — nasza mała gromadka miałaby spore szanse przebycia Spustoszonej Krainy, ale musi się posuwać bardzo ostrożnie i unikać zamieszania. Pochłonięte odnową siły Zła mogą wykazywać mniejszą czujność. Będą w przeświadczeniu, że chroni je pustkowie.

— Niewykluczone — odparł Douglas.

Arcybiskup przysłuchiwał się uważnie rozmowie syna z ojcem. Splótł ręce na wydatnym brzuchu i przymknął oczy, sprawiając wrażenie, jakby zmagał się z własnymi myślami. Trzej mężczyźni siedzieli cicho przez kilka chwil. Wreszcie Jego Dostojność drgnął i rzekł:

— Myślę, że trzeba podjąć więcej badań, naprawdę poważnych badań nad wielką mocą Zła, panoszącą się na świecie od niezliczonych stuleci. Przez ten cały czas reagujemy na nią trwogą, tłumaczymy ją za pomocą bezmyślnych przesądów. Co nie znaczy, że nie ma podstaw do pewnych interpretacji, które się słyszy, i do legend, które się opowiada. Niektóre oczywiście są zgodne z prawdą, a czasem nawet

udokumentowane. Ale większość to fałszerstwo, opowiadki głupich wieśniaków, którzy wymyślają je pewnie dla zabicia czasu. Często nie mają innych przyjemności prócz urządzania awantur i bezceństw. Stąd się bierze zalew najrozmaitszych głupich historyjek, a głupie historyjki tylko zaciemniają sprawę. Przede wszystkim musimy się zająć zrozumieniem istoty Zła. Dysponujemy zaklęciami i egzorcyzmami do wypędzania diabłów; mamy opowieści o ludziach zamienionych w wyjące psy lub w coś jeszcze gorszego; wierzymy, że wulkany mogą być wrotami Piekła; nie tak dawno pojawiła się opowieść jakichś bezrozumnych mnichów, którzy wykopali dół w ziemi i zagłębiwszy się weń, odkryli Czyściec. Trzeba nam zupełnie czego innego. Trzeba nam zrozumienia istoty Zła, bo tylko w ten sposób zdobędziemy broń przeciwko niemu.

Potrzebujemy jej nie tylko dlatego — ciągnął — że chcemy skutecznie walczyć ze Złem dla spokoju naszego ducha bądź dla wyzwolenia się od zniewagi, krzywdy i bólu, jakie nam ono zadaje, ale także dla rozwoju naszej cywilizacji. Weźcie pod uwagę, że od stuleci jesteśmy społeczeństwem pogrążonym w stagnacji, nie wykazującym żadnego postępu. Codzienna praca w tym majątku, to, co się robi każdego dnia na całym świecie, nie różni się ani na jotę od tego, co się robiło przed tysiącem lat. Plony zbiera się identycznie jak kiedyś, tak samo młóci się zboże, chłopci orzą pola tymi samymi niewydajnymi pługami i głodują tak samo jak zawsze...

— Nie w naszym majątku — przerwał mu ojciec. — Tutaj nikt nie cierpi głodu. My dbamy o naszych ludzi. A oni dbają o nas. Przechowujemy zboże na złe lata, a gdy nadejdą, co zdarza się dość rzadko, żywności nie brakuje dla nikogo i...

— Wybacz mi, panie — odparł arcybiskup. — Mówiłem ogólnie. Moje słowa nie dotyczą twego majątku, który dobrze znam, ale mówiąc ogólnie, to prawda.

— Nasza rodzina — ciągnął Douglas Standish — włada tymi gruntami blisko od dziesięciu wieków. Jako posiadacze ziemscy, przyjęliśmy na siebie całkowitą odpowiedzialność...

— Proszę... — westchnął arcybiskup. — Nie miałem na myśli twego domu. Czy teraz mogę kontynuować?

— Przepraszam, że ci przerwałem, ale czułem się w obowiązku wyjaśnić, że w Domu Standishów nikt nie chodzi głodny.

— Święte słowa. A teraz wróćmy do tego, o czym mówiłem. Moim zdaniem wszelki postęp hamowany jest przez ogromny ciężar Zła, jaki zwałił się na nasze barki. Nie zawsze tak było. W dawnych czasach ludzie wynaleźli koło, produkowali wyroby garncarskie, udomawiali zwierzęta, aklimatyzowali rośliny, wytapiali rudę, później jednak dokonano niewiele. Czasami wydawało się, że widać promyk nadziei, o ile historia przekazuje nam prawdę. Promyk nadziei zaświecił w Grecji, lecz Grecja zapadła się w nicość. Przez moment Rzym zdawał się posiadać pewną wielkość i szansę, ale ostatecznie Rzym zamienił się w pył. Wydawałoby się, że dziś, w dwudziestym wieku, powinny być jakieś oznaki postępu. Lepsze wozy na przykład, lepsze trakty dla nich, lepsze pługi i lepsze zrozumienie form uprawy ziemi, lepsze metody budowy domów, by chłopcy nie musieli mieszkać w niezdrowych chałupach, lepsze statki do żeglugi po morzach. Niekiedy zastanawiam się nad inną historią, alternatywną wobec naszego świata, gdzie owo Zło nie istnieje. Gdzie stulecia rozwoju otworzyły przed światem możliwości, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Mógłby to być nasz świat, nasz dwudziesty wiek. Ale to tylko mrzonki, oczywiście.

Wiemy jednak, takie informacje do nas docierają, że na zachodzie, po drugiej stronie Atlantyku, znajdują się nowe lądy, nowe rozległe ziemie. Wprawdzie żeglarze z południa Brytanii i zachodnich brzegów Galii pływają tam na połów dorsza, ale mało kto prócz nich, gdyż na niewielu statkach można polegać. Zapewne nie mamy skłonności do morskiej żeglugi, gdyż brak nam żądzy przygód. Tkwimy pod jarzmem Zła i dopóki nie zrzucimy go z siebie, nasz los się nie odmieni.

Spółczesność jest chore, cierpi na brak postępu i na mnóstwo innych dolegliwości. Często rozważałem, że może ludzkie nieszczęście

stanowi pożywkę dla Zła, które nabiera sił naszym kosztem, a dla zapewnienia sobie dobrej strawy robi wszystko, by nasza niedola trwała jak najdłużej. Wydaje mi się też, że owo wielkie Zło nie zawsze u nas mieszkało. Przecież w dawnych czasach ludzie rozwijali się i dokonali pewnego postępu, co umożliwiło istnienie choćby takiego biednego społeczeństwa jak nasze. Był czas, gdy ludzie jednak działali, by uczynić swe życie bezpieczniejszym i wygodniejszym, co dowodzi, że nie byli zaszczuci Złem tak jak my, albo przynajmniej nie do tego stopnia. Pytamy więc, skąd się wzięło Zło? Jest to pytanie, na które, rzecz jasna, nie ma odpowiedzi. Ale moim zdaniem jedno wydaje się pewne. Zło zatrzymało nas w naszym marszu. Tę odrobinę, którą mamy, odziedziczyliśmy po przodkach ze starożytności, kroplę po Grekach i okruszynę po Rzymianach.

Badając historię ludzkości mam wrażenie, że studiuje plan działania strasznego Zła, które postanowiło zatrzymać rozwój i postęp. Pod koniec jedenastego wieku nasz Ojciec Święty Urban podjął krucjatę przeciw pogańskim Turkom, którzy prześladowali chrześcijan i profanowali świątynię Jerozolimy. Pod sztandarem Krzyża zgromadziły się tłumy i gdyby nie zabrakło czasu, bez wątplenia wycięliby mieczem drogę do Ziemi Świętej i wyzwolili grób Jezusa. Ale nie doszło do tego, bo w tym samym czasie Zło uderzyło w Macedonii, a potem rozciągnęło się na dużą część Europy środkowej, pustosząc cały kontynent, podobnie jak teraz pustoszą ziemie na północy. Wzbudziło trwogę wśród tłumów czekających na wymarsz krucjaty i odcięło drogę, którą mieli wyruszyć. Tak więc wyprawa krzyżowa została udaremniowana i nie ogłoszono już żadnej nowej wyprawy, bo musiały upłynąć stulecia, aby przewycięzono wszechogarniający chaos wywołany uderzeniem Zła. To dlatego do dziś dnia Ziemia Święta, która prawnie należy się nam, znajduje się nadal we władaniu pogan.

Jego Dostojność przyłożył dłoń do twarzy i otarł łzy, które płynęły po jego pucołowatych policzkach. Ścisnęło go w gardle, a kiedy przemówił ponownie, w jego głosie pobrzmiwał tłumiony szloch.



— Niepowodzenie krucjaty, choć w sumie nie zawinione przez Kościół, rozwiało ostatnią bodaj nadzieję na odnalezienie dowodów historyczności Jezusa, które mogły istnieć w tamtym czasie, ale zaginęły i niewątpliwie znajdują się teraz poza zasięgiem zwykłego śmiertelnika. W tej sytuacji rozumiesz chyba, dlaczego taki wielki nacisk kładziemy na manuskrypt znaleziony w waszych murach.

— Od czasu do czasu wspomina się o nowych krucjatach — napomknął ojciec Duncana.

— To prawda — przyznał Jego Dostojność — ale żadnej dotychczas nie podjęto. Ogrom Zła, najbardziej wszechogarniającego i występnego, o jakim mówią kroniki, odebrał nam duszę. Otrząsnąwszy się z jego następstw, ludzie skupili się na obrabianiu swoich małych poletek, pielęgnując nie wypowiedziany strach, że kolejny wysiłek może ściągnąć Zło w całej jego furii. Zło przemieniło nas w masę drżących ze strachu mięczaków, nie myślących już o rozwoju i poprawie swego losu. W piętnastym wieku, kiedy mieszkańcy Lusytanii wymyślili plan obliczony na wyrwanie się z odrętwienia i postanowili wypłynąć na oceany świata, by odkryć nowe lądy, Zło uderzyło ponownie, tym razem na Półwysep Iberyjski. Po zdewastowaniu półwyspu przez Zło, jego mieszkańców ogarnęła trwoga, wszelkie plany i zamierzenia zostały porzucone i zapomniane. Dysponując tylko dwoma takimi faktami, człowiek musi dojść do wniosku, że Zło dokonuje zniszczeń właśnie po to, by utrzymać nas w tragicznym położeniu i naszej niedoli, by móc karmić się i rosnąć w siłę kosztem naszego nieszczęścia. Jesteśmy dla Zła bydlętem przykutym do naszych nędznych pastwisk, podtykającym mu własną niedolę, której pożąda i którą się napawa.

Jego Dostojność podniósł dłoń i otarł spoconą twarz.

— Myślę o tym całym nocami przed zaśnięciem. Zadręczam się tym. Wydaje mi się, że jeśli sytuacja się nie zmieni, nadejdzie kres dla ludzkości. Boję się, że światło już gaśnie. Gaśnie w całej Europie. Mam uczucie, że zanurzamy się na powrót w mrokach przeszłości.

— Czy podzieliłeś się z kimś swymi obawami? — zapytał Douglas

Standish.

— Z kilkoma ludźmi. Nie przywiązują do tego znaczenia. Lekceważą me słowa.

Dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi.

— Tak — powiedział ojciec. — Kto tam?

— To ja — rozległ się głos Wellsa. — Pomyślałem, że może trochę brandy...

— Tak, oczywiście — krzyknął arcybiskup, poderwawszy się do życia. — Trochę brandy nie zaszkodzi. Macie taki świetny trunek. Dużo lepszy niż Opactwo.

— Jutro rano przyślę ci baryłkę — wycedził przez zęby Douglas Standish.

— To nadzwyczaj uprzejmie z twojej strony — odrzekł przymilnie arcybiskup.

— Wejź! — zawołał ojciec do Wellsa.

Starzec wniósł tacę, na której stały kielichy i butelka. Krzątając się cicho w bamboszach nalał brandy i rozdał kielichy.

Po wyjściu służącego arcybiskup usadowił się wygodnie w fotelu. Wyciągnął rękę z kielichem i wpatrywał się w brandy na tle ognia.

— Wyborna — rzekł. — Co za barwa.

— Jak liczną grupę miałeś na myśli? — zapytał Duncan ojca.

— To znaczy, że się zgadzasz?

— Właśnie się nad tym zastanawiam.

— Byłaby to przygoda zgodna z najlepszą tradycją twojej rodziny i tego domu — stwierdził arcybiskup.

— Tradycja nie ma z tym nic wspólnego — rzucił ostro Douglas Standish i zwrócił się do syna: — Myślałem o kilkunastu.

— Zbyt wielu — odparł Duncan.

— Możliwe. Ilu proponujesz?

— Dwóch; siebie i Conrada.

Arcybiskup zakrztusił się trunkiem i wyprostował nagle w fotelu.

— Dwóch? — spytał i dodał: — Kim jest ów Conrad?

— Conrad pracuje w naszych oborach — odpowiedział ojciec. —

Umie doglądać wieprzy.

— Ja w dalszym ciągu nie rozumiem — zachnął się arcybiskup.

— Conrad i mój syn przyjaźnią się niemal od dzieciństwa. Wybierając się na polowanie lub na ryby, Duncan zawsze bierze ze sobą Conrada.

— Zna las — oznajmił Duncan. — Biega po nim całe życie. Gdy czas mu się dłuży, co się niekiedy Conradowi zdarza, bo jego obowiązki nie należą do najcięższych, mieszka w puszczy.

— Nie sądzę, aby bieganie po lesie było najlepszym przygotowaniem...

— A jednak nim jest — rzekł Duncan. — Trasa wyprawy prowadzi przez puszcę.

— Conrad to krzepki mężczyzna — powiedział Douglas. — Ma około siedmiu stóp wzrostu i prawie dwieście osiemdziesiąt funtów samych mięśni. Szybki niczym dziki kot. Na wpół zwierzę. Całkowicie oddany Duncanowi; poświęci życie za niego. Jestem tego pewny. Nosi maczugę, potężną dębową maczugę...

— Maczugę! — jęknął arcybiskup.

— Znakomicie nią włada — rzekł Duncan. — Gdyby wystąpił z maczugą w rękę przeciw tuzinowi ludzi z mieczami, postawiłbym cały swój majątek na Conrada i jego pałkę.

— To całkiem dobra propozycja — rzekł Douglas Standish. — We dwóch będą się poruszać cicho i szybko. W razie czego zdołają się obronić.

— Pójdą z nami Daniel i Malutki — powiedział Duncan.

Ojciec spostrzegł, że arcybiskup unosi pytająco brwi.

— Daniel jest koniem bojowym — wyjaśnił Jego Dostojności. — Zaprawionym w walce. Dorównuje trzem ludziom. Malutki to wielki brytan. Również doświadczony wojownik.

### 3

Cedric odszedł na długo przed świtem. Wcześniej przyprowadził ich na skraj gęstego lasu, gdzie spędzili resztę nocy. Zaraz po wschodzie słońca Conrad obudził Duncana, po czym zjedli śniadanie złożone tylko z sera i chleba, aby nie rozpalać ogniska. Następnie wyruszyli w dalszą drogę.

Pogoda poprawiła się nieco. Wiatr zmienił kierunek, po czym ustał zupełnie. Chmury zniknęły i ukazało się ciepłe słońce.

Przemierzali odludną krainę, najczęściej porośniętą puszcza, z głębokimi dolinami i baśniowymi, przecinającymi las wąwozami. Od czasu do czasu napotykali małe farmy. Zagrody były spalone, a na polach stało nie zżęte, dojrzałe zboże. Nie widzieli oznak życia prócz kilku latających bezgłośnie kruków, jakby przymuszonych do milczenia widokiem mijanej ziemi, oraz jednego czy dwóch spłoszonych królików, które wyskakiwały raptem zza jakiegoś krzaka i czmychały w stronę innego. Cała ziemia sprawiała wrażenie spokojnej i dostatniej, co było dziwne, gdyż znajdowali się w Spustoszonej Krainie.

Kilka godzin później wspinali się na strome zbocze. Gęstość drzew zmniejszała się powoli i niebawem las się skończył. Rozciągała się przed nimi jałowa, skalista grań.

— Zostań tutaj — powiedział Conrad do Duncana. — Udam się na zwiady.

Duncan zatrzymał się obok Daniela i patrzył, jak potężny mężczyzna kroczy szybko pod górę z nisko opuszczoną głową, kierując się w stronę skalistej grani, która wyrastała ponad zboczem. Daniel

potarł nozdrzami o ramię Duncana i parsknął cicho.

— Spokojnie, Danielu — rzekł Duncan.

Malutki siedział kilka kroków przed nimi, nastroszywszy uszy. Piękna przeszła na bok i stanęła po drugiej stronie Duncana. Młodzieniec wyciągnął rękę i pogładził ją po szyi.

Cisza przeciągała się do granic wytrzymałości, ale nic jej nie przerywało. Nie było żadnego dźwięku, żadnego ruchu; ani jeden liść nie zaszeleścił. Conrad zniknął wśród skał. Popołudnie ciągnęło się niemilosiernie. Raptem Daniel zastrzygł uszami i znowu potarł pyskiem o ramię Duncana. Tym razem nie parsknął.

Pojawił się Conrad; wyciągnięty na całą długość, prześlizgiwał się niczym wąż między skałami. Wyszedł z za grani i zbiegł szybko po zboczu.

— Widziałem dwie rzeczy — oznajmił.

Duncan czekał w milczeniu. Czasami trzeba czekać na Conrada.

— Poniżej jest wioska — wyrzekł w końcu. — Czarna i spalona. Na tyłach kościoła. Ten jest z kamienia i nie spłonął. Nic tam nie ma. Żywej duszy. — Urwał, a potem dodał: — Nie podoba mi się to. Moim zdaniem, powinniśmy wieś ominąć.

— Mówiłeś, że widziałeś dwie rzeczy.

— W dolinie. Jacyś jeźdźcy na koniach, w wężozie, daleko za wioską.

— Ludzie?

— Wydaje mi się, że widziałem na czele Rozbójnika Harolda. Z dużej odległości, myślę jednak, że to on. A za nim trzydziestu lub czterdziestu konnych.

— Myślisz, że nas ścigają? — spytał Duncan.

— A po co mieliby tutaj jechać?

— Wiemy przynajmniej, gdzie są — rzekł Duncan. — Oni zaś nie wiedzą, gdzie my jesteśmy. Znajdują się przed nami. To dziwne. Nie sądziłem, że będzie im się chciało nas gonić. Zemsta może drogo kosztować w tych stronach.

— To nie zemsta — odparł Conrad. — Chcą Daniela i Malutkiego.

— Sądysz, że dlatego tutaj jada?

— Koń i pies wojenny to cenna zdobycz.

— Chyba tak. Mogą mieć trudności z ich zdobyciem. Ani jeden, ani drugi nie zmienią pana z własnej woli.

— Co robimy?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem — odparł Duncan. — Kierowali się na południe?

— Na południe oraz na zachód. Trochę na zachód. Zgodnie z ukształtowaniem doliny.

— A więc skrećmy lepiej na wschód. Ominiemy wioskę i powiększymy odległość między nami a nimi.

— Są dość daleko. Lecz im dalej, tym lepiej.

Malutki wstał z ziemi i przeszedł na lewo, groźnie warcząc.

— Pies coś zwietrzył — rzekł Duncan.

— Człowieka. Tak warczy tylko na ludzi.

— Skąd wiesz, Conradzie?

— Dobrze znam jego mowę.

Duncan obrócił się na pięcie i spojrzał w tym samym kierunku co Malutki. Niczego nie zobaczył. Żadnych oznak ludzkiej obecności.

— Mój przyjacielu — powiedział tonem człowieka prowadzącego zwykłą rozmowę. — Na twoim miejscu opuściłbym kryjówkę. Nie każ mi szcuć cię psem.

Przez chwilę nic się nie działo. Następnie poruszyło się kilka krzaków i wyszedł zza nich jakiś mężczyzna. Malutki ruszył ku niemu.

— Zostaw — rzucił Conrad.

Mężczyzna był wysoki i trupioblady. Miał na sobie wytarty brązowy habit, który sięgał mu prawie do kostek. Na ramionach fałdował się kaptur. W prawej ręce mężczyzna trzymał długi i sękaty kij, a w lewej ścisnął garść roślin. Skóra tak mocno przylegała mu do czaszki, że widziało się przez nią kości. Nosił krótki zarost.

— Jestem Andrew, pustelnik — oznajmił. — Nie chcę wam przeszkadzać i kiedy was zobaczyłem, ukryłem się przed waszym wzrokiem. Wybrałem się na poszukiwanie zieleniny, miski soczewicy

na kolację. Nie macie przypadkiem sera, co?

— Mamy — burknął Conrad.

— Marzę o serze — powiedział pustelnik Andrew. — Budzę się w środku nocy i łapię się na tym, że śniłem o kawałku sera. Już dawno nie czułem w ustach jego smaku.

— W takim razie, z przyjemnością oddam ci trochę — rzekł Duncan. — Mógłbyś zdjąć z Pięknej ten tobolek, Conradzie?

— Nie, chwileczkę — sprzeciwił się pustelnik. — Po co ten pośpiech? Jesteście wędrowcami, prawda?

— Przecież widzisz, kim jesteśmy — odparł zgryźliwie Conrad.

— Wobec tego, spędźcie noc u mnie — zaproponował Andrew. — Jestem spragniony widoku ludzkich twarzy i dźwięku ludzkiej mowy. Mam jeszcze Ducha, rzecz jasna, ale rozmowa z nim to nie to samo co rozmowa z człowiekiem z krwi i kości.

— Ducha? — zdziwił się Duncan.

— No tak, upiora. Zresztą bardzo zacnego. Naprawdę przyzwoitego. Nie należy do tych, które grzechoczą łańcuchami i jęczą po nocach. Dzieli ze mną celę, odkąd go powiesili. To robota Oprawców.

— Kogóż innego — rzekł Duncan. — Mógłbyś nam powiedzieć, jak wymknąłeś się Oprawcom?

— Ukryłem się w celi — odparł Andrew. — W rzeczywistości to jest jaskinia, ale nie taka mała, ciasna i nędzna jak właściwa cela. Boję się, że marny ze mnie eremita. Nic umartwiam ciała wzorem bardziej udanych pustelników. Zrazu wykopałem sobie grotę wielkości klasztornej celi, tak jak powinienem, ale przez lata powiększam ją i powiększam, aż zrobiła się przestronna i całkiem wygodna. Nie zabraknie wam miejsca. Jest dobrze ukryta; będziecie zabezpieczeni przed cudzym wzrokiem, tak jak tego oczekuje większość wędrowców w tych stronach. Nadchodzi noc i musicie szybko poszukać miejsca na biwak, a nie znajdziecie lepszego schronienia od mojej celi.

Duncan spojrział na Conrada.

— Co o tym sądzisz? — zapytał.

Mało spałeś dzisiejszej nocy — odparł Conrad. — Ja jeszcze mniej. To chyba uczciwy kmiotek.

— A upiór? — przestrzegł Duncan.

Conrad wzruszył ramionami z niecierpliwością.

— Nie przeszkadza mi.

— A więc zgoda — powiedział Duncan. — Prowadź, bracie Andrew, jeśli łaska.

Jaskinia znajdowała się mniej więcej o milę od wioski i aby do niej dotrzeć, musieli przejść obok cmentarza. Sądząc z różnorodności i stanu nagrobków musiał być użytkowany od stuleci. Prawie na samym środku stał niewielki grobowiec z prostego kamienia. Kiedyś, zapewne podczas burzy, runął na niego ciężki konar pobliskiego, wielkiego dębu, rozbijając małą rzeźbę i przesuwając ukośnie kamienną pokrywę.

Niedaleko za cmentarzem weszli do jaskini pustelnika. Była wykopana na urwistym zboczu, a wejście do niej maskowały świetnie kępa drzew, gęste leśne podszycie i strumyk, który spadał z łoskotem w głąb stromego jaru przed samym otworem.

— Idź do środka — powiedział Conrad do Duncana. — Ja rozsiodłam Daniela i przyniosę toboły Pięknej.

W jaskini panował mrok, ale nawet w ciemności wydawała się przestronna. Na małym palenisku płonął ogień. Pustelnik zniknął w głębi celi, po czym wrócił z dużą świecą. Zapalił ją od ognia i postawił na stole. Blask świecy ukazał grubą matę z sitowia na ziemi, surowy stół i ławki, które przyciągało się do blatu, krzywe krzesło, kosze pod ścianami oraz siennik w kącie. W drugim kącie stała szafka; leżało na niej kilka zwojów pergaminu.

Widząc, że Duncan zerka z ciekawością na zwoje, pustelnik powiedział:

— Tak, umiem czytać, ale słabo. W wolnych chwilach siadam sobie przy świeczce, dukam poszczególne słowa i staram się poznać myśli dawnych Ojców Kościoła. Wątpię, czy je rozpoznaję, bo człek ze mnie prosty i czasami na dodatek głupi. A dawni Ojcowie, jak mi się zdaje,



często poświęcali więcej uwagi słowom aniżeli ich znaczeniu. Jak już mówiłem, kiepski ze mnie eremita. Często dochodzę do wniosku, że pustelnik to najgłupszy i najbardziej bezużyteczny członek społeczności.

— A jednak twoje powołanie — odrzekł Duncan — cieszy się wysokim prestiżem.

— Przyszło mi na myśl, kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem — ciągnął Andrew — że ludzie stają się pustelnikami chyba tylko po to, aby uciec przed trudami normalnego życia. Zapewne pustelnictwo jest łatwiejsze dla grzbietu i mięśni aniżeli karczowanie lasu czy kopanie studni, dzięki którym można zarobić na chleb powszedni. Zadaję sobie pytanie, czy jestem takim właśnie pustelnikiem, i muszę szczerze przyznać, że nie wiem.

— Powiadasz, że się tutaj ukryłeś, kiedy przybyli Oprawcy i że cię nie znaleźli. To budzi moje wątpliwości. Podczas naszej wyprawy nie spotkaliśmy nikogo, kto przeżył atak Oprawców. Oprócz pewnej bandy łajdaków i rzezimieszków, którzy zagarnęli majątek i mieli tyle sprytu albo szczęścia, że udało im się go ocalić.

— Mówisz o Haroldzie Rozbójniku?

— Tak. Skąd wiesz o nim?

— W Spustoszonej Krainie słyszy się to i owo. Nie brak roznosicieli plotek.

— Mów jaśniej.

— Ludek. Elfy, chochliki, gnomy, skrzaty i krasnale...

— Przecież one...

— To miejscowi ludkowie. Mieszkają tu od niepamiętnych czasów. Ma się rozumieć, bywają szkodliwymi i nieprzyjemnymi sąsiadami i nie można im ufać. Zapewne są niesforni, ale rzadko złośliwi. Nie stoją w jednym szeregu z Oprawcami, bo sami przed nimi uciekają. I ostrzegają innych.

— Ostrzegli cię i dlatego zdążyłeś się ukryć?

— Przybiegł pewien skrzat, aby mnie uprzedzić. Nie uważałem go za kompana, bo całe lata płatał mi figle. Ale ku memu zdziwieniu

okazał się nagle przyjacielem. Dzięki jego ostrzeżeniu miałem czas wygasić ognisko, żeby nie zdradził mnie dym, choć wątpię, czy kłębek dymu z takiego lichego ogniska może w ogóle kogoś zdradzić. Rozwiałby się niezauważony w požodze, jaka ogarnęła okolicę wraz z nadejściem Oprawców. Wszystkie domy padły pastwą płomieni, nie mówiąc o stogach siana i słomy, spichlerzach i wychodkach. Spłonęły nawet wychodki. Możesz to sobie wyobrazić?

— Nie, nie mogę — odrzekł Duncan.

Do jaskini wszedł Conrad, tupiąc nogami. Rzucił pod ścianę siodło i toboły.

— Słyszałem, że mówiłeś o duchu — huknął, — Nie widać żadnego ducha.

— To nader wstydlivy jegomość. Po prostu boi się obcych. Myśli, że ludzie nie chcą na niego patrzeć. Nie lubi straszyć, chociaż nie wiem, czym mógłby kogokolwiek przerazić. Mówiłem już, to zacny i bardzo rozsądny upiór. Chodźże, Duchu! — zawołał na cały głos. — Opuść kryjówkę i ukaż się. Mamy gości.

Zza szafki z pergaminami wyleciała z wahaniem smuga białej, mglistej substancji.

— Chodź, chodź — powtórzył niecierpliwie pustelnik. — Możesz się ukazać. Panowie nie boją się ciebie. Uprzejmość nakazuje, abyś się ukazał i przywitał z nimi. — Zniżył głos i szepnął do Duncana kącikiem ust: — Mam z nim masę kłopotów. Myśli, że jest zbyt haniebny jak na upiora.

Powoli Duch przybrał swój kształt pod sklepieniem, następnie poszybował na ziemię: klasyczny duch w białym prześcieradle. Jediną cechą szczególną była krótka pętla na szyi; jej koniec zwisał z przodu.

— Jestem duchem pozbawionym miejsca do straszenia — przemówił pustym, dudniącym głosem. — Na ogół duchy straszą w miejscu swojej śmierci, ale jak tu nawiedzać dębinę? Oprawcy wygrzebali me biedne ciało z kryjówki w leśnej gęstwinie i natychmiast mnie powiesili. Mogli mi wyświadczyć tę uprzejmość i powiesić mnie na którymś z okazałych dębów, leśnych patriarchów,

jakich nie brak w twoim lesie strzelistych drzew o potężnym obwodzie, wyrastających ponad inne. Ale nie, odmówili mi tego. Powiesili mnie na mizernej, karłowatej dębinie. Nawet moja śmierć stała się powodem do żartów. Za życia zebrałem o jałmużnę pod kościołem i miałem z tego grosz na nędzne utrzymanie, dopóki jakiś podlec nie rozsiał plotki, że nie mam powodu zebrać i mogę pracować jak wszyscy. Mówił, że tylko udaję kalekę.

— To wydrwigrosz — rzekł pustelnik. — Mógł pracować na równi ze wszystkimi.

— Słyszycie? — spytał Duch. — Słyszycie? Nawet po śmierci jestem napiętnowany jako oszust i naciągacz. Nawet po śmierci wystrychnięto mnie na dudka.

— Muszę mu coś przyznać — rzekł pustelnik. — Jego towarzystwo jest bardzo przyjemne. Nie jest mocny w tych wszystkich upiornych sztuczkach, jakich używają inne duchy, by dokuczać człowiekowi.

— Staram się trochę dokuczać — westchnął Duch. — Jestem wyrzutkiem, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj. Nie mam gdzie straszyć.

— No dobrze, przywitałeś się z panami i pogawędziłeś z nimi w przyzwoitej sprawie — rzekł pustelnik. — Możemy więc zająć się czymś innym. — Zwrócił się do Conrada: — Wspomniałeś, że macie trochę sera.

— Oraz boczek i szynkę, chleb i miód — odparł Duncan.

— I podzielicie się ze mną?

— Nie możemy jeść sami i nie podzielić się z tobą.

— No to rozpalę ogień i wyprawimy ucztę — oznajmił Andrew. — Wyrzucę korzonki, które zebrałem. Chyba że chcecie ich spróbować? Może z odrobiną boczku?

— Nie znoszę korzonków — powiedział Conrad.

## 4

Duncan obudził się ze snu w środku nocy i przez straszną chwilę nie mógł się zorientować, gdzie jest. Nie było znajomych szczegółów, tylko zatechła ciemność z jakimś migotaniem w głębi — jakby wpadł w Otchłań, do przedsionka śmierci.

Po chwili spostrzegł drzwi, a jeśli nie drzwi, to przynajmniej otwór wyjściowy z łagodną poświatą księżyca po drugiej stronie. Przed otworem lśniło migotliwie rozciągnięte na ziemi ciało Malutkiego. Nogi psa sięgały do posłania Duncana, a łeb spoczywał na przednich łapach.

Duncan odwrócił głowę i zobaczył, że migotanie wywołuje słaby płomień na ognisku. Nieco dalej spał Conrad; leżał na wznak, palce stóp sterczały mu wysoko do góry, a wzdłuż tułowia ciągnęły się długie ramiona. Wielka jak beczka klatka piersiowa rytmicznie unosiła się i opadała. Oddychał przez usta, a wciągane i wydychane powietrze powodowało wibrujący świst.

Nie było śladu pustelnika; zapewne leżał na słomie w kącie jaskini. W powietrzu czuło się lekki zapach dymu drzewnego. Nad głową Duncan widział niewyraźnie zarys kilku pęków ziół, powieszonych przez pustelnika do zasuszenia. Z zewnątrz dobiegało delikatnie tupanie. To mógł być Daniel, który spędzał noc w pobliżu.

Naciągnął koc pod brodę i zamknął oczy. Do świtu brakowało chyba kilku godzin i mógł zażyć jeszcze trochę snu.

Lecz sen nie chciał wrócić. Chociaż Duncan starał się je odegnąć, w jego umyśle wciąż plątały się wspomnienia ostatnich dni. Przywoływały na nowo trudy przedsięwzięcia, w jakie się wplątał. Tu,

w grocie pustelnika było dość przyjemnie, ale na zewnątrz rozciągała się Spustoszona Kraina, cierpiąca pod jarzmem Zła, jak ta spalona wioska niecałą milę stąd, gdzie ostał się samotny kościół. Nie tylko pod jarzmem Zła, przypomniał sobie Duncan, ale i bandy łotrów herszta Rozbójnika, która błądzi gdzieś przed nimi.

Wrócił myślami do ostatniego dnia w Domu Standishów, kiedy siedział z ojcem w bibliotece, w tym samym pokoju, gdzie Jego Dostojność opowiedział im historię manuskryptu napisanego w języku aramejskim.

Zadał ojcu pytanie, które go odtąd dręczyło.

— Dlaczego u nas? — spytał. — Dlaczego manuskrypt znajduje się w Domu Standishów?

— Nie ma sposobu, aby się tego dowiedzieć — odrzekł ojciec. — Historia rodziny sięga daleko w przeszłość i jest słabo udokumentowana. Mnóstwo rejestrów utracono na zawsze. Mamy trochę zapisków, rzecz jasna, nieco dokumentów, większość jednak stanowi legendę. Relacje dotyczą tak odległych czasów i tak często je opowiadano, że nikt nie zdoła ocenić, ile zawierają prawdy. Obecnie jesteśmy solidnymi gospodarzami, ale kiedyś było inaczej. W rodzinnych notatkach i legendach roi się od włóczykiów i bezwstydnich awanturników. Niewykluczone, że któryś z nich wędrował w dalekich stronach i przyniósł do domu manuskrypt. Może ze Wschodu. Zapewne był to jego udział w łupach z ograbionego miasta albo splądrowanego klasztoru. A może, w co wątpię, kupił go uczciwie za kilka miedziaków jako ciekawostkę. Niepodobna, by kosztował wiele — i słusznie, ma się rozumieć — bo dopóki nie trafił w ręce ojczulków w Opactwie, nikt nie mógł znać jego wartości. Natknąłem się na niego w starym drewnianym kufrze; drewno dawno się rozpadło od przegnicia i pleśni na dokumentach, które w nim leżały. Manuskrypt tkwił wśród różnych pergaminów, przeważnie bezwartościowych.

— Ty wszakże domyśliłeś się bądź wyczułeś, że ma jakąś wartość. Na tyle, że zaniósłeś go do Opactwa.

— Nie, nie — odparł ojciec. — Nie sądziłem, że może być coś wart. Kierowała mną czysta ciekawość. Umieję trochę czytać po grecku, jak wiesz, i władam kilkoma innymi językami, choć słabo, lecz nigdy w życiu nie widziałem takiego manuskryptu. Byłem po prostu ciekaw, co to może być, i trochę mnie intrygował. Doszedłem do wniosku, że powinienem zagonić do roboty paru otyłych i rozleniwionych ojczulków. Ostatecznie można czasem zażądać od nich jakiejś pracy dla nas — choćby po to, by im przypomnieć, na czym są utrzymaniu, jeśli nie z innych przyczyn.

— Musisz przyznać, że napracowali się przy tym manuskrypcie.

— Lepiej, aby się tym zajmowali, co jest w końcu pożyteczną pracą, niżby mieli snuć rojenia i mędrkować o szczęściu w życiu człowieka. Wszystkie skryptoria, a obawiam się, że skryptorium naszego Opactwa w szczególności, przepelniają durnie, którzy mają za wysokie mniemanie o sobie. My, Standishowie, posiadamy te ziemie blisko tysiąc lat i od pierwszego do ostatniego roku utrzymujemy Opactwo. Z czasem ojczulkowie zrobili się coraz bardziej zachłanni i wymagający. Weźmy sprawę tej baryłki brandy. Jego Dostojność nie poprosił o nią, lecz jego słowa dokładnie równały się prośbie, jaką mogła złożyć osoba o jego pozycji.

— Brandy to twoje czułe miejsce, milordzie — rzekł Duncan.

Ojciec sapnął przez wąsy.

— Ten dom od wieków produkuje znakomity trunek. To nasz powód do dumy, bo nie mieszkamy w kraju winnej latorośli. Przez całe lata musieliśmy ją przycinać, szczepić i oczkować, aż wreszcie doczekaliśmy się winogron, których mogłaby nam pozazdrościć Galia. Wierz mi, synu, baryłka brandy nie przychodzi łatwo. Lepiej, żeby Jego Dostojność używał jej oszczędnie, bo nieprędko dostanie drugą.

Siedzieli przez jakiś czas bez słowa i spoglądali na ogień, który strzelał na dużym kominku. W końcu ojciec poruszył się na krześle.

— W innych sprawach postępowaliśmy tak samo jak z winogronami. Mamy tutaj bydło, które jest o kilkaset funtów cięższe niż zwykle w innych częściach Brytanii. Hodujemy znakomite konie.

Nasza wełna należy do najlepszych. Pszenica jest niezwykle wytrzymała jak na nasz klimat — pszenica, podczas gdy niejeden sąsiad musi zadowolić się owsem. To samo dotyczy ludzi. Wielu chłopów i poddanych, którzy pracują na naszych polach i są z tego szczęśliwi, mieszka tutaj niemal tak długo jak nasza rodzina. Rodowód Domu Standishów, choć wówczas nie był znany pod tym mianem, sięga okresu zmagania i chaosu, kiedy życie człowieka nie było bezpieczne. Niegdyś stał tu drewniany fort na pagórku, otoczony palisadą i fosą w taki sam sposób, jak wiele dworów gdzie indziej chroni się do dzisiaj.

Nadal mamy naszą fosę, oczywiście, ale teraz bardziej jako dekorację, bo porastają ją lilie wodne i inne ozdobne rośliny. Ziemne wały dobrze harmonizują z krajobrazem krzewów i spadzistych kwietników. Obfituje w ryby, które dają rozrywkę lub pożywienie każdemu, komu przyjdzie na myśl zamoczyć w jej wodach haczyk z przynętą. Most zwodzony pełni wciąż nad fosą swoją rolę. Podnosimy go i opuszczamy ceremonialnie raz do roku, aby się upewnić, że będzie działać nadal. Z biegiem lat okolica stała się trochę bardziej bezpieczna, naturalnie, ale nie aż tak, by każdy to odczuwał. W dalszym ciągu spotyka się bandy wędrownych rozbójników, którzy zapuszczają się od czasu do czasu w te strony. Ale po tych wszystkich latach nasz dom uległ wzmocnieniu i wszędzie krąży wieści o naszej sile. Już od trzech albo i więcej wieków ani jeden bandyta, rzezimieszek czy inny łotr nie odważył się zaatakować wałów. Kilka odosobnionych kradzieży jednej czy dwóch krów i sporadyczne uprowadzenia owiec to wszystko, z czym mieliśmy do czynienia. Moim zdaniem wszakże, nie tylko sile naszych wałów zawdzięczamy bezpieczeństwo, którym się chlubimy. Mamy świadomość, że nasi mieszkańcy nie stracili ducha walki, chociaż są tylko chłopami i poddanymi. Nie utrzymujemy już armii leniwych i aroganckich rycerzy. Nie ma takiej potrzeby. W razie konieczności wszyscy mieszkańcy majątku chwytają za broń, bo każdy z nich uważa go także za swoją własną ziemię. Tak więc, w ciągle niespokojnym

społeczeństwie stworzyliśmy tutaj bezpieczne i ustronne miejsce.

— Kocham ten dom — rzekł Duncan. — Trudno mi będzie go opuścić.

— Mnie też jest niełatwo patrzeć, jak odjeżdżasz, mój synu — powiedział ojciec — albowiem czekają cię liczne niebezpieczeństwa. Mimo to nie odczuwam przemożnego strachu, gdyż wiem, że sobie poradzisz. I towarzyszy ci dzielny Conrad.

— A także Daniel i Malutki — dodał Duncan.

— Onegdaj Jego Dostojność rozwodził się nad naszym brakiem postępu — ciągnął ojciec. — Jesteśmy, mówił, społeczeństwem pogrążonym w stagnacji. I choć pewnie miał rację, ja widzę w tym również element pozytywny. Zauważ, mój synu, że trwały postęp w różnych dziedzinach musiałby dotyczyć także uzbrojenia. Rozwój militarny pociąga za sobą ciągłe wojny, bo jeśli jakiś wódz czy jakieś królewiatko zdobędzie nowe narzędzie walki, musi je koniecznie wypróbować na swoim sąsiedzie w nadziei, że dzięki temu zyska przewagę, choćby na krótko.

— Nasza broń od zamierzchłych czasów jest bronią osobistą — powiedział Duncan. — By jej użyć, człowiek musi stanąć przed drugim człowiekiem nie dalej niż na długość wyciągniętej ręki. Niewiele narzędzi walki sięga dalej. Włócznie i oszczepy oczywiście, ale to broń okropnie niewygodna i po rzuceniu wojownik nie może jej odzyskać, aby użyć ponownie. Tylko włócznie, oszczepy i proce mają większy zasięg. A proce są trudne w stosowaniu, niecelne i na ogół mało groźne.

— Masz rację — rzekł ojciec. — Niektórzy biadają nad naszą sytuacją, na przykład Jego Dostojność, ale moim zdaniem los nam sprzyjał. Osiągnęliśmy strukturę społeczną służącą naszym celom, każda próba jej zmiany mogłaby nas zdestabilizować i ściągnąć nam na głowę nieszczęście, którego, jak sądzę, nie umiemy sobie wyobrazić.

Nagle zimno, tchnienie mrozu omiotło Duncana i wyrwało go ze wspomnień ostatniego dnia. Otworzył natychmiast oczy i ujrzał nad



sobą zakapturzoną twarz Ducha, jeśli można ją było nazwać twarzą. Przypominała ciemny owal wirującego dymu, otoczony białą smugą. Nie miała rysów, jedynie ów zamglony wir, a jednak Duncan doznawał uczucia, że spogląda prosto w twarz.

— Mości Duchu — rzucił ostro — dlaczego budzisz mnie tak raptownie i brutalnie? Spostrzegł, że Duch siedzi w kucki obok niego, i zdziwił się, że upiory mogą kucać.

— Mam kilka pytań do Waszej Lordowskiej Wysokości — odparł Duch. — Zadałem je onegdaj pustelnikowi, ale ten złości się na mnie, ilekroć zadam mu pytanie, które przekracza jego wiedzę, choć jako świątobliwy człowiek powinien chyba ją posiadać. Zadałem je twemu mocarnemu kompanowi, ale on tylko pochrząkuje na mnie. Obraził się chyba, że duch pozwala sobie na rozmowę z człowiekiem. Gdyby uznał, że mam jakąś cielesność, położyłby swoje grube łapy na mojej szyi i mnie udusił. Aczkolwiek mnie już nie można udusić. Zostałem dostatecznie uduszony. Sądzę też, że mam dostatecznie skręcony kark. Tak więc nie grozi mi już na szczęście aż tak podle potraktowanie.

Duncan zrzucił koc i usiadł prosto.

— Sądząc z długiego wstępu — powiedział — twoje pytania muszą mieć ogromne znaczenie.

— Dla mnie mają.

— Nie wiem, czy zdołam ci odpowiedzieć.

— Nie okażesz się gorszy od innych.

— A więc słucham — rzekł Duncan.

— Jak sądzisz, milordzie, dlaczego do tego doszło, że noszę taki strój? Wiem oczywiście, że jest odpowiedni dla Ducha. Zakładają go normalne duchy, choć rozumiem, że w przypadku niektórych duchów zamkowych szata może być czarna. Nie miałem na sobie tak nieskazitelnej szaty, oczywiście, kiedy dyndałem na dębowej gałęzi. Powieszono mnie w strasznie brudnym ubraniu, a zapaskudziłem je niestety jeszcze bardziej z przerażenia, że kończę z powrozem na szyi.

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

— Przynajmniej okazujesz mi przychylność. Nie odburknąłeś, ani nie krzyknąłeś na mnie.

— Może ktoś studiował podobne sprawy i będzie mógł ci udzielić odpowiedzi. Na przykład duchowny — rzekł Duncan.

— No, trudno. Skoro raczej nieprędko zobaczę duchownego, to chyba nic nie mogę uczynić. To nie jest takie ważne, chociaż mnie dręczyło. Często o tym myślałem.

— Przykro mi — rzekł Duncan.

— Mam jeszcze jedno pytanie.

— Pytaj, jeśli musisz. Nie obiecuję odpowiedzi.

— Moje pytanie brzmi: *dłaczego ja?* Nie wszyscy przyjmują po śmierci postać ducha, nawet nie każdy, kto dokonał żywota gwałtownie albo w hańbie. W przeciwnym razie świat byłby przepelniony duchami. Deptałyby sobie po prześcieradłach. Zabrakłoby miejsca dla żywych.

— Na to również nie umiem ci odpowiedzieć.

— Właściwie nie byłem prawdziwym grzesznikiem. Raczej łotrem, a nikt mi nigdy nie powiedział, że łotrostwo to grzech. Mam swoje grzeszki, oczywiście, jak każdy, jeśli jednak moje rozumienie grzechów jest prawidłowe, były one bardzo drobne.

— Zaiste, masz problemy, przyznaję. Kiedyśmy się poznali, narzekałeś, że nie masz gdzie straszyć.

— Gdybym miał, na pewno byłbym szczęśliwszy, ale widocznie szczęście nie jest pisane duchom. Najwyżej zadowolenie. Tak, myślę, że zadowolenie jest duchom właściwe. Nie można go zabronić. Gdybym miał gdzie straszyć, miałbym co robić i o czym myśleć. Ale gdyby trzeba było grzechotać łańcuchami i pohukiwać w nocy, nie polubiłbym tego zbyt. Gdyby wystarczyło przemykać chyłkiem i od czasu do czasu ukazać się ludziom w przelocie, to nie byłoby źle. Czy sądzisz, że brak miejsca do straszenia i brak zajęcia mogą być karą za moje życie doczesne? Przyznam się, choć nie każdemu mogę to powiedzieć i proszę, abyś tego nie rozpowiadał, że gdybym chciał, znalazłbym jakąś pracę, zarabiał na godziwe utrzymanie, a nie zebrał

pod kościołem. Lekką pracę, ma się rozumieć. Nigdy nie byłem zbyt silny; w dzieciństwie często chorowałem. To cud życia mych rodziców, że się w ogóle uchowałem.

— Podejmujesz zbyt dużo filozoficznych kwestii — rzekł Duncan.  
— Nie potrafię ich rozstrzygnąć.

— Mówisz, że idziecie do Oxenfordu. Czy nie po to, aby zasięgnąć rady któregoś z tamtejszych wielkich scholastyków? Bo inaczej, po cóż mielibyście tam iść? Ponoć w Oxenfordzie zgromadziło się wielu doktorów Kościoła i toczą między sobą wielce uczone dysputy.

— Po przybyciu na miejsce niewątpliwie odwiedzimy któregoś z uczonych doktorów.

— Myślisz, że mogliby znać odpowiedź na moje pytania? — spytał Duch.

— Kto wie.

— Nie obrazisz się, jeśli spytam, czy mogę się do was przyłączyć?

— Słuchaj, no — odparł Duncan czując, że ogarnia złość. — Jeśli chcesz się udać do Oxenfordu, z łatwością możesz zrobić to samemu. Jesteś wolnym upiorem. Nie przykuto cię nigdzie. Przy twoim obecnym wyglądzie nikt cię nie tknie palcem.

Duch wzruszył ramionami.

— Samemu? Będę śmiertelnie przerażony.

— Przecież już nie żyjesz. Nie umiera się dwa razy.

— To prawda — rzekł Duch. — Chodzi o co innego. O samotność. Jak pokonam samotność? Wiem, że będę bardzo nieszczęśliwy, jeśli wyruszę w pojedynek.

— Skoro chcesz się do nas przyłączyć — westchnął Duncan — nie widzę sposobu, aby cię powstrzymać. Lecz nie otrzymasz zaproszenia.

— Wobec tego idę z wami.

## 5

Na śniadanie zjedli grube plastry szynki i owsiane placki posmarowane miodem. Conrad wszedł do jaskini z informacją, że Daniel i Piękna znalazły dobry popas w rogu pobliskiej łąki oraz że Malutki sam zorganizował sobie posiłek, upolowawszy królika.

— W takim razie — oznajmił Duncan — możemy z czystym sumieniem ruszać w drogę. Brzuchy wszystkich są napełnione.

— Jeśli zanadto wam się nie śpieszy — rzekł pustelnik Andrew — moglibyście oddać mi pewną przysługę, za którą byłbym ogromnie wdzięczny.

— Jeśli nie zajmie dużo czasu — odparł Duncan. — Jesteśmy twoimi dłużnikami. Zapewniłeś nam nocleg i miłe towarzystwo.

— Nie powinno długo potrwać — oświadczył pustelnik.

— To drobiazg dla takiej masy rąk oraz silnego grzbietu oślicy. Chodzi o zbiór kapusty.

— Co to za gadanie o kapuście? — spytał Conrad.

— Przed najazdem Oprawców ktoś zasiał cały ogród wczesnych warzyw — odparł Andrew. — Przez lato nikt o niego nie dbał. Kapusta dojrzała, zanim ją odkryłem. Ogród znajduje się blisko kościoła, o krok stąd. Jest jednak pewna tajemnica...

— Tajemnica w kapuście? — spytał ze śmiechem Duncan.

— Nie w kapuście. Nie tylko w kapuście, mówiąc ściśle, lecz i w innych warzywach. W marchwi i rzepie. Ktoś je podkrada.

— Mam nadzieję — rzekł Duncan — że ty ich nie kradniesz.

— Ja znalazłem ogród — odparł sztywno pustelnik — Szukałem tego drugiego złodziejaska, ale unikałem brawury, bo nie jestem

typem wojownika i nie wiedziałbym, co robić, gdybym go znalazł. Lecz często powtarzam sobie, że gdyby tamten nie okazał się łajdakiem, przyjemnie byłoby mieć tu kogoś do kompanii i wspólnego spędzania czasu. Jednakże jest sporo dobrej kapusty i szkoda, by się miała zmarnować albo paść łupem tego złodzieja ogrodowego. Mógłbym ją sam zebrać, ale musiałbym odbyć wiele wycieczek.

— Możemy poświęcić trochę czasu w imię chrześcijańskiego miłosierdzia — powiedział do niego Duncan.

— Milordzie — przestrzegł go Conrad — czeka nas wiele mil drogi.

— Przestań nazywać mnie milordem — odparł Duncan. — Po wykonaniu dobrosąsiedzkiej przysługi będziemy wędrować z lepszym sercem.

— Skoro się upierasz, przyprowadzę Piękną.

Ogród leżał o rzut kamieniem od kościoła. Widać było na nim wspaniałe zagony warzyw rosnących wśród bujnych chwastów, które miejscami sięgały człowiekowi do pasa.

— Jak widać, nie zginałeś grzbietu, aby go wypielić — zauważył Duncan.

— Kiedy go odkryłem, było już za późno — zaprotestował pustelnik. — Chwasty miały za dobry początek.

Kapusta rosła długimi rzędami i miała wspaniałe główki, duże i twarde. Conrad rozłożył worek podróżny, a potem wszyscy zabrali się do żniw. Przed włożeniem do worka otrząsali główki z grudek błota, które przylgnęły do korzeni.

Nagle rozległ się czyjś głos.

— Mości panowie! — powiedział głos tonem ostrej reprimendy.

Trzej mężczyźni błyskawicznie odwrócili głowy. Malutki warknął głośno i zakręcił się wkoło, by stawić czoło niebezpieczeństwu.

Duncana zamurowało na chwilę: spostrzegł gryfa, a później kobietę, która na nim siedziała.

Nosiła skórzane bryczesy i skórzany kaftan, a na szyi miała sztywny kołnierz. W prawej dłoni trzymała topór wojenny, a jego

ostrze iskrzyło się w słońcu.

— Od tygodni przyglądam się podłemu eremicie, jak rozkrada ogród — oznajmiła. — Nie żałuję mu niczego, co zdążył wynieść, bo widzę, że to sama skóra i kości, pewnie biedak nie dojada. Ale nie spodziewałam się, że spotkam tutaj pana z wyższych sfer jako współnika grabieży.

Duncan skłonił głowę.

— Łaskawa pani, my tylko pomagamy naszemu przyjacielowi w zbiorze kapusty. Nie sądziliśmy, że ty, pani, czy ktoś inny, może mieć większe prawo do tej działki.

— Robiłam, co mogłam, aby nikt się o tym nie dowiedział — odparła nieznajoma. — W takim miejscu człowiek woli nie ujawniać swojej obecności.

— Właśnie ją ujawniasz, pani.

— Tylko po to, by ocalić resztę warzyw, jaka mi została. Mogłam sobie pozwolić, aby twój przyjaciel podkradł czasem marchew lub rzodkiewkę. Ale protestuję przeciw ogoławaniu warzywnika ze wszystkiego.

Gryf zadarł swój orli łeb na Duncana, taksując go świecącym, złotym okiem. Przednie łapy zwierzęcia kończyły się orlimi szponami. Poza tym był lwem, tyle że zamiast lwiego ogona miał trochę dłuższy przydatek, zakończony straszliwym kolcem. Ogromne skrzydła bestii składały się daleko do tyłu i wysoko, zostawiając miejsce dla jeźdźca. Gryf strzelił dziobem na Duncana, a jego długi ogon przeciął nerwowo powietrze.

— Nie macie powodów do obaw — oznajmiła niewiasta. — To miłe stworzenie, a jego łagodność wzmogła się na starość. Nadrabia wspaniałym i dzikim obliczem, ma się rozumieć, ale nie zrobi nikomu krzywdy, chyba że mu każę.

— Jestem doprawdy zakłopotany, pani — rzekł Duncan. — Nazywam się Duncan Standish. Ja i mój kompan, ten wielki — o tam — wędrujemy na południe Brytanii. Dopiero wczoraj wieczorem spotkaliśmy pustelnika Andrew.

— Duncan Standish z Domu Standishów?

— Owszem, ale nie sądziłem...

— Twój Dom i twoja rodzina cieszą się sławą w każdym zakątku Brytanii. Muszę jednak przyznać, że wybrałaś dziwną porę na wyprawę przez tę ziemię.

— Bardziej dziwi spotkanie na tej ziemi prawdziwej damy — odparł Duncan.

— Na imię mi Diana — rzekła — i nie jestem prawdziwą damą. Jestem zupełnie kimś innym.

Andrew wyszedł naprzód.

— Proszę o wybaczenie, milordzie. Mam poważne wątpliwości, czy milady Diana może rościć prawne bądź moralne pretensje do tego skrawka ogrodu. Jest to działka wczesnych warzyw, założona przez jakiegoś wieśniaka, zanim pojawili się Oprawcy z ogniem i mieczem. Jest w takiej samej mierze jej, co i moja. Jak pamiętasz, nigdy nie twierdziłem, że należy do mnie.

— Nie wypada, abyśmy stali tutaj i kłócili się o kapustę — rzekł Duncan.

— Prawdę mówiąc — powiedziała milady Diana — ten człowiek ma całkowitą rację. To nie jest ani mój, ani jego ogród. Oboje z niego korzystamy i to mi nie przeszkadza. Ale widok nowych intruzów, którzy zagrabili nasz warzywnik, wzbudził mój gniew.

— Mogę się z nią podzielić — oznajmił pustelnik. — Połowa kapusty dla mnie, reszta dla niej.

— To wygląda na uczciwy, choć niezbyt rycerski interes — stwierdził Duncan.

— Nie należę do stanu rycerskiego — odparł zgryźliwie Andrew.

— Jeśli ów pustelnik zdoła dostarczyć mi pewną informację — powiedziała Diana — to będzie mógł sobie zatrzymać całą kapustę, jako że nie będzie mi więcej potrzebna.

Zsiadła z gryfa i podeszła do nich.

— Jakiej informacji szukasz? — spytał Andrew. — Dlaczego sądzisz, że mogę ją mieć?

— Mieszkaś we wsi?

— Tak, ja sam i wszyscy moi krewni przede mną.

— A zatem możesz wiedzieć. Żył kiedyś pewien mężczyzna, na imię miał Wulfert. Zapewne mieszkał tutaj swego czasu. Gdy przyleciałam do wsi po wyniesieniu się Oprawców, osiadłam w kościele. To jedyny budynek z dachem, jaki pozostał. Szperałam we wszystkich zakamarkach kościoła, szukając zapisków. Niewiele ich znalazłam. Nic wartościowego. Duchowni z waszej parafii, mości pustelniku, niedbale prowadzili swoje księgi.

— Wulfert, powiadasz? — spytał eremita. — Twierdzisz, mężczyzna o imieniu Wulfert. Jak dawno?

— Przed stu laty albo dawniej. Czy słyszałeś kiedyś o nim, czy ktoś wspominał to imię?

— Mędrzec? Święty człowiek?

— Mógł za takiego uchodzić. To był czarodziej.

Pustelnika zatkało ze zdumienia. Położył ręce na głowie i ścisnął palcami obie skronie.

— Czarodziej! — zakwilił. — Jesteś tego pewna?

— Absolutnie. Nader utalentowany czarodziej.

— I nie należał do Świętego Kościoła?

— Z całą pewnością nie należał do Świętego Kościoła.

— Co ci się stało, Andrew? — spytał Duncan. — O co tu chodzi?

— Do poświęconej ziemi — wyszeptał Andrew, ciężko dysząc. — Och, biada, biada. Do poświęconej ziemi go złożyli. Pogańskiego czarodzieja, bo jeno poganin może być czarodziejem, nieprawdaż? I jeszcze postawili mu grobowiec.

— Osobliwe rzeczy się tu dzieją. Nie mogę się w tym połapać — odezwał się Conrad.

— Nic dziwnego. — Pustelnik biadał ze wszystkich sił. — Nic dziwnego, że dąb się na niego zawalił.

— Chwileczkę — rzucił Duncan. — Mówisz, że dąb upadł na mogiłę? Nie dawniej jak wczoraj widzieliśmy cmentarz i rozbity przez drzewo grobowiec...



— Proszę, opowiedz mi o tym drzewie i grobowcu — poprosił Andrew.

— Mijaliśmy cmentarz — powiedział Duncan. — Około mili stąd. Był tam grobowiec i pień, który na niego runął. Dość dawno, jak sędzę. Nadal tam leży, w poprzek płyty nagrobnej. Kamień przesunął się na bok i pękł. Zdziwiło mnie, dlaczego nikt go dotąd nie naprawił.

— To stare cmentarzysko — wyjaśnił pustelnik. — Od lat nie używane. Nikogo to nie obchodzi. I chyba niewielu ludzi wiedziało, kto tam leży.

— Myślisz, że to może być grób Wulferta? — spytała Diana.

— Biada, biada! — lamentował pustelnik. — Żeby takiego chować w poświęconej ziemi. Ale ludzie nie mieli pojęcia... Skąd mieszkańcy wioski mogli o tym wiedzieć. Słyszałem o Wulfercie. Mówiono o nim: święty człowiek, który uciekł od świata na odludzie.

Duncan zwrócił się do Diany:

— Czy tej informacji szukałaś... — Nagle urwał, albowiem coś było nie tak. Zapadła głęboka cisza — i właśnie to było dziwne, gdyż wcześniej też nie było słycać niczego prócz szumu owadów i ptaków, wszechobecnego dźwięku, do którego człowiek tak się przyzwyczaja, że go nie zauważa. O to chodzi, myślał Duncan — otaczający ich zewsząd szum zastąpiła kompletna cisza. Nagła cisza oraz niesamowite uczucie, jak gdyby człowiek czekał w napięciu na coś, co musi się stać, nie mając pojęcia, co to może być, i tylko wychyla się do przodu na palcach, aby nie dać się zaskoczyć.

Pozostali również zwrócili uwagę na ciszę i być może na to wyczekiwanie, gdyż zamarli na swoich miejscach z wytężonym słuchem.

Dłoń Duncana uniosła się z wolna i palce objęły gardę miecza, ale nie wyciągnęły go, albowiem nic na razie nie wskazywało na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Nie mogli jednak pozbyć się uczucia, że coś zawisło nad nimi. Spostrzegł, że Diana uniosła topór wojenny, który trzymała w dłoni. Gryf przesunął się na bok i jego orli łeb obracał się powoli w drugą stronę.

W drugim końcu ogrodu rozkołysały się zarośla i wynurzyła się do połowy jakaś postać: okrągła głowa, przypominająca ludzką, wyciągająca się ku przodowi na krótkiej, prawie nie istniejącej szyi między silnymi ramionami. Łysa postać — z łysą głową, łysymi ramionami, bez śladu owłosienia, sprawiająca wrażenie, że nie trzeba było ich ścinać, że raczej nigdy nie wyrosły.

Bezwłosa istota, powiedział do siebie Duncan, jedna z tych, o których opowiadał Harold Rozbójnik owej nocy, gdy zatrzymali się w zagrabionym majątku. Wielkie, białe, bezwłose ludzkie ślimaki, które nie osiągnęły poziomu człowieka.

Miecz zgrzytnął, kiedy go wyciągał z pochwy. Zamachał nim w powietrzu i gdy robił symboliczne cięcie, obnażona klinga zaśniła w blasku słońca.

— Zaraz się przekonamy — powiedział na wpół do siebie, na wpół do Rozbójnika, który opowiadał mu o tych potworach.

Bezwłosey uniósł się na całą wysokość i wyszedł powoli z zarośli. Był wyższy od człowieka, lecz nie tak rosły, jak wynikało z opisu Harolda. Stał na ugiętych nogach, a potem pochylił się i człapiącym krokiem ruszył naprzód. Nie miał na sobie nawet skrawka odzieży; rybia biel baniastego torsu połyskiwała jaskrawo. W jednym ręku niósł ogromną sękatą maczugę. Trzymał ją niedbale, obuchem do ziemi, jak gdyby maczuga stanowiła przedłużenie jego ręki.

Pojawili się za nim inni bezwłosey; wychodzili zza drzew i krzaków i rozwijali szyk bojowy. Sformowali nierówny szereg i wyciągali do przodu kuliste głowy. Małeńkie oczy pod gładkimi i odstającymi powiekami obrzucały ciekawym choć pogardliwym wzrokiem ludzi zastygłych w ogrodzie warzywnym.

Człapali przed siebie powoli i niezgrabnie, aż nagle, bez żadnych oznak, że zamierzają zrobić coś jeszcze poza człapaniem, rzucili się do ataku, sadząc wielkimi susami wśród zarośli. Maczugi nie były już zwrócone ku ziemi, lecz wysoko uniesione, przerażający charakter tego ataku wynikał z tego, że pędzili w absolutnym milczeniu. Nie krzyczeli, nie wydzielali się, nie wrzeszczeli. W samej ciszy ich

natarcia czai się śmierć, pomyślał Duncan.

Instynktownie, nie poświęcając jednej myśli temu, co powinien uczynić, wystąpił naprzód na spotkanie z bezwłosymi. Prowadził ich osobnik, który ukazał się jako pierwszy — Duncan był tego pewny, choć nie mieli żadnych znaków szczególnych i nie można ich było odróżnić od siebie. Ten zaś pędził prosto na Duncana, jak gdyby przeznaczył go sobie na ofiarę. Maczuga w rękach bezwłosego poczęła opadać, ale Duncan gwałtownie uskoczył w bok przed ciosem. Cofnął prawy łokieć, a potem z całej siły zamachnął się mieczem, trafiając bezwłosego w szyję. Napastnik runął do przodu i zwałił się jak ścięte drzewo. Duncan odchylił się w bok i pociągnął miecz do siebie, wypruwając strzępiastą ranę w białej bezwłosej szyi. Upadające ciało potrąciło Duncana, pozbawiając go na chwilę równowagi. By ją odzyskać, musiał wykonać serię niezgrabnych podskoków. W trakcie jednego z nich obok Duncana pojawił się następny stwór. Duncan uniósł miecz i zamierzył się na szarżującego. Miecz ze świstem ugodził napastnika w bark pomiędzy szyją a ramieniem, odrąbując mu głowę i drugie ramię od tułowia. Struga krwi trysnęła niczym woda z fontanny.

Kątem oka Duncan zobaczył leżącą na ziemi Dianę: zmagająca się z cielskiem bezwłosego. Brzeszczot odrzuconego topora ociekał krwią; nie ulegało wątpliwości, że stwór przygniatający Dianę do ziemi był martwy. Gryf górował ponad nimi, wsparty na tylnych nogach. W orlich szponach jego przedniej łapy wił się kolejny bezwłosy. Szpony zaciskały się wokół jego głowy i unosiły go coraz wyżej nad ziemię. Bezwłosy wierzgał nogami, jakby biegł w powietrzu.

Nagle rozległ się okrzyk Conrada, dochodzący nie wiadomo skąd:

— Uważaj, milordzie!

Duncan skoczył na bok i odwrócił się; w tym momencie został zaczepiony maczugą w ramię i upadł. Na ziemi wykonał błyskawiczny przewrót i zerwał się na nogi. W odległości kilku stóp stał bezwłosy — być może ten sam, który go trafił — zbierający się do zadania następnego ciosu. Duncan szarpnął mieczem w górę, ale nim zdążył

trafić, Malutki ze spienioną furią rzucił się na stwora; mocne szczęki zacisnęły się na uniesionym ramieniu. Bezwłosy padł na ziemię, a Malutki puścił ramię i wgryzł się mu w gardło.

Duncan odwrócił się do tyłu, ciesząc się, że Malutki opanował sytuację; kiedy Malutki wpija zęby w gardło, człowiek ma kłopot z głowy. Diana uwolniła się od trupa i biegła w kierunku gryfa, który walczył z trzema napastnikami, uderzając szponami, bijąc dziobem. Deptał po ciele pierwszej ofiary, a trzech bezwłosych znajdujących się przed nim zaczynało ustępować mu pola. Tuż za gryfem Conrad wdał się w bój z dwoma bezwłosymi. Wszyscy trzej byli uzbrojeni w maczugi, z których leciały drzazgi po każdym straszliwym ciosie i każdej ofiarnej zasłonie. Trochę dalej jeden z bezwłosych odrzucił maczugę i uciekał w popłochu przed Danielem. Rumak dopadł go, wyciągnawszy szyję, i zatopił obnażone zęby w ramieniu ofiary, a potem szarpnięciem łba wyrzucił ją wysoko w powietrze.

Nigdzie nie było widać pustelnika.

Duncan ryknął jak wół dla dodania sobie odwagi i ruszył biegiem na pomoc Conradowi w jego nierównym pojedynku. Po kilku krokach potknął się i runął na ziemię. Czuł w głowie tętnienie, pulsowanie, gorejący ból, który rozpalił się tak gwałtownie, że w każdej chwili mógł rozsadzić jego czaszkę. Na moment przed eksplozją ból ustąpił, po to tylko, by natychmiast powrócić. Duncan nie wiedział, kiedy upadł; nie poczuł uderzenia. Później, nie mając pojęcia po jakim czasie, stwierdził, że pełnie na brzuchu, wyciąga rozczapierzone palce, zgarnia pod siebie ziemię i przesuwa się do przodu. Śmieszne, ale odnosił wrażenie, że nie ma już głowy. Na jej miejscu znajdował się zmierzwiony pęk kłaków, który nie miał ani oczu, ani uszu. Jeszcze później — nie wiedząc, ile czasu upłynęło, mało czy dużo — spryskano mu twarz wodą i usłyszał: — Już dobrze, milordzie. — Czuł, że ktoś go podniósł i przerzucił przez ramię. Próbował stawiać opór, ale nie udało mu się wydać głosu ani poruszyć mięśniami. Mógł tylko wisieć i kołysać się na ramieniu.

## 6

W końcu egzystencja powróciła. Lecz tylko to — egzystencja. Bezcelowe istnienie dryfujące w miejscu pozbawionym punktów odniesienia. W pustce, która nie była z niczym powiązana. Pustka dawała ukojenie i nie było potrzeby z niej uciekać, ani sięgać poza nią.

Wdarł się cichy dźwięk: delikatny, odległy szczebiot, ale pustka istnienia próbowała go odpędzić lub zamknąć się przed nim, bo nawet tak delikatnemu dźwiękowi jak szczebiot nie wypadało jej zakłócać, albowiem ją niszczył.

Lecz łagodny szczebiot nie dawał za wygraną, zbliżał się bądź narastał, było go coraz więcej i więcej, jak gdyby pochodził z wielu źródeł.

Świadomość dryfowała w pustce i z wymuszoną tolerancją słuchała szczebiotu. Ale dźwięk ten niósł ze sobą pewne słowo.

*Ptaki.* To szczebiotały ptaki. To ptaki robiły hałas. Świadomość niechętnie podjęła zmagania z tym słowem, bo skąd miała wiedzieć, co mogło znaczyć i czy w ogóle miało jakieś znaczenie.

Nagle już wiedziała, a wraz z wiedzą przyszło coś jeszcze.

Jestem Duncan Standish, stwierdziła pustka; leżę gdzieś, słuchając śpiewu ptaków.

Dość, wystarczy. To było dużo więcej, niż trzeba. Lepiej, aby na tym się skończyło, bo inaczej przyjdzie jeszcze coś, a to coś może okazać się niepożądane. Pustka próbowała uciec przed tym czymś, lecz nadaremnie. Jeśli coś się zacznie, nie może się skończyć.

Duncan Standish to już nie czysta egzystencja dryfująca w krypcie pustki, lecz Duncan Standish, rzecz konkretna. Człowiek, myślał lub

myślała, a cóż to jest — człowiek?

Powoli zaczynał się orientować. Zaczynał wiedzieć, kim jest, że posiada głowę, i że w tej głowie czuje tępy, pulsujący ból, i że błogostan dobiega końca.

Był Duncanem Standishem, człowiekiem leżącym w nieznanym, odizolowanym miejscu. Wiedział już bowiem, że został odizolowany.

Leżał cicho, by zebrać myśli, wszystkie proste sprawy, które znał kiedyś, a teraz jedynie odkrywał na nowo. Lecz zebrawszy je wreszcie, trzymał oczy mocno zamknięte, gdyż nie chciał widzieć. Jeśli nie będzie widział, może uda mu się wrócić do pustki i ukojenia, których doświadczył wcześniej.

Ale nic z tego. Najpierw w jego zmysły wkradła się powoli wiedza, a potem szybko ruszyła dalej.

Otworzył oczy. Poprzez korony drzew spoglądał na niebo rozświetlone południowym słońcem. Próbował podnieść rękę. Zatrzymała się na ostrym kamieniu, raniąc skórę na dłoni. Spuścił wzrok i ujrzał mur, płytę kamienną, która przykrywała go niemal do samych ramion. Na płycie leżał pień ogromnego dębu. Kora odpadała od niego dużymi płatami, jakby cierpiał na jakąś wyniszczającą chorobę.

Grób, pomyślał z przerażeniem. Grobowiec Wulferta, czarodzieja, rozbity wiele lat temu przez zwalony dąb. A teraz ja w nim leżę.

Conrad położył mnie do grobu, myślał. Na pewno zrobił to głupstwo w przekonaniu, że postępuje słusznie, jak najbardziej logicznie i że każdy zrobiłby to na jego miejscu.

To musiał być Conrad, powtórzył w myślach. Ktoś mówił do mnie, nazywał mnie milordem i spryskiwał mi twarz wodą, a tylko Conrad mógł mnie tak nazywać. Spryskawszy mi twarz wodą, ktoś mnie podniósł i niósł na ramieniu bez wysiłku, jak gdybym ważył tyle co woreczek ziarna. Nikt inny nie był tak duży i silny, aby zrobić to z równą łatwością. A potem Conrad włożył mnie do tego grobu i niewątpliwie miał swoje powody.

W pierwszym odruchu chciał się wygramolić, uwolnić z objęć

grobowca, jednak przezorność kazała mu się zatrzymać. Byli w niebezpieczeństwie i niebezpieczeństwo mogło jeszcze nie minąć. Dostał cios w skroń, zapewne wyrzuconą maczugą, ale choć ciągle bolała go głowa i czuł się bardzo słabo, miał wrażenie, że jest zdrow i cały.

Poza śpiewem ptaków nie było słycać żadnego dźwięku. Nadstawiał bacznie uszu na szelest liścia, na trzask łamanej gałązki, które mogły mu dać znać, że ktoś jest niedaleko i że się zbliża. Żaden taki dźwięk nie zakłócił ptasiego świergotu.

Poruszył się trochę, badając miejsce, na którym leżał. Usłyszał suchy szelest pod plecami. Liście, myślał, martwe liście, które wpadły do grobu każdej jesieni od tylu lat. Zeschłe liście — i coś jeszcze. Kości, zapewne, kości czarodzieja Wulferta. Zaczął grzebać ręką w rumowisku grobowca. Nie widział tego, na co trafiała jego dłoń, bo kamienna płyta zasłaniała pole widzenia, ale poinformowały go palce — suche liście i jakieś okruchy, z pewnością starte na proch kości. Znowu coś znalazł, teraz, kiedy miał czas zwrócić na to uwagę, kopiąc w ziemi pod lewą łopatką. Chyba czaszka. Dziwne, czyżby czaszka przetrwała, zachowując swój kształt i twardość, dłużej niż reszta kości?

Wzdrygnął się, zabobonny lęk wyciągnął po niego swoją dłoń, ale Duncan go przewyciężył. Nie mógł poddać się panice, dygotać i wyc w grobie. Przez wzgląd na bezpieczeństwo, skarcił się surowo — trzeba dzielić to miejsce z nieboszczykiem.

Wygiął lekko plecy i próbował przesunąć czaszkę bądź coś innego, co go uwierało w żebra. Nie chciało się przesunąć i wydawało się twardsze od czaszki. Może to kamień, pomyślał, wrzucony do grobu w przyływie głupiej brawury przez kogoś, kto potem wziął nogi za pas, jakby go Lucyfer gonił.

Leżał cicho i słuchał uważnie. Przelatujące z gałęzi na gałąź ptaki świergotały dalej, ale nie rozlegał się żaden inny dźwięk. Nie było wiatru i ani jeden liść się nie poruszał.

Przesunął rękę, aby wymacać pochwę przy pasie. Stwierdził, że

znajduje się w niej miecz. Skrupulatny Conrad, nie bacząc na absurdalność swego czynu, poświęcił czas na to, aby się upewnić, że broń spoczywa na swoim miejscu i jest gotowa do użytku.

Podniósł ostrożnie głowę, by wyrzec na zewnątrz. Groby drzemały w blasku słońca. Nie było widać nic innego. Uważnie się podźwignął, a potem trąc ciałem po ziemi, wy dobył spod kamiennej płyty i przykucnął za grobem. Zauważył, że płytę nagrobną porastają rozległe płaty liszajów.

Po drugiej strony wzgórza, naprzeciw bocznej ściany grobowca, rozległ się trzask złamanej gałązki. Stopy zaszurały po liściach.

Duncan schylił się i po cichu wyciągnął miecz z pochwy. Trzymając go przed sobą, skradał się wzdłuż podstawy grobu, aby wyrzec z drugiej strony i przekonać się, kto idzie.

Szelest liści przesuwiał się regularnie w górę zbocza. Duncan przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, gotując się do błyskawicznego działania, jeśli zajdzie potrzeba.

Po chwili zobaczył idącego człowieka i opuścił miecz. Odetchnął z ulgą. Ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że do tej pory wstrzymywał oddech.

Wyprostował się i zamachał mieczem na powitanie Conrada. Ten szybko podszedł do Duncana i zatrzymał się.

— Dzięki dobremu Panu — powiedział. — Jesteś zdrów i cały.

— A ty? Jak ty się czujesz?

— Świetnie — odparł. — Mam trochę guzów, ale nic mi nie jest. Bezwłosi zniknęli. Nie ma żadnego w okolicy. Musiałem się upewnić przed powrotem do ciebie.

Położył wielką dłoń na ramieniu Duncana i potrząsnął nim z czułością.

— Na pewno nic ci nie dolega? Byłeś ledwo żywy. Musiałem ci znaleźć bezpieczną kryjówkę.

— Ależ na miłość boską, dlaczego w grobie? Dlaczego ukryłeś mnie w grobie?

— To niezwykle miejsce — odrzekł Conrad. — Nikomu nie



przyszłoby na myśl, aby cię tam szukać.

— To prawda, Conradzie, postąpiłeś mądrze. Wielkie dzięki.

— Stary milord, stary pan, nakazał mi się tobą opiekować.

— Nie wątpię. A co z innymi?

— Daniel i Malutki są cali i zdrowi. Trzymają wartość wraz ze mną. Piękna uciekła, ale Danielowi udało się ją odnaleźć. Daniel ma ranę wysoko na grzbiecie. Daliśmy im popalić, milordzie. Daliśmy im takiego łupnia, że popamiętają.

— A Diana? Kobieta?

— Uciekła na smoku.

— Nie na smoku, Conradzie. Na gryfie.

— A więc na gryfie. Uciekła na nim.

— Była ranna?

— Cała we krwi, myślę jednak, że krew pochodziła z ran bezwłosego, którego zabiła. Pustelnik wziął nogi za pas. Nie ma po nim śladu.

— Możesz na nim polegać — rzekł Duncan. — Wróci po swoją kapustę.

— Co teraz?

— Musimy dojść do siebie. Porozmawiamy i zdecydujemy.

— Oprawcy wiedzą już, gdzie jesteście. Nie spuszczą nas z oka.

— Może głupio zrobiliśmy, licząc na to, że zdołamy przemknąć obok nich — stwierdził Duncan.

Jednak kiedy o tym dyskutowali, jeszcze w Domu Standishów, wydawało się to zupełnie możliwe. Spustoszony teren był bardzo rozległy, a Oprawcy nie mogli przecież pilnować wszędzie równocześnie i nawet nie próbowaliby tego robić. Najwyraźniej jednak wymyślili jakiś sposób obserwacji podejść do swojego terenu. Widocznie korzystają z bezwłosych jako pikiet do wypatrywania obcych. Widocznie dlatego starliśmy się tylko z bezwłosymi, a nie z innymi członkami Hordy, myślał Duncan.

— Wrócimy do jaskini pustelnika, aby porozmawiać? — spytał Conrad. — Możemy tam przenocować.

— Tak, chyba tak. Liczę na to, że pustelnik się pokaże. Mam do niego pewną sprawę.

Conrad odwrócił się, aby odejść.

— Zaczekaj — rzucił Duncan. — Chciałbym coś sprawdzić.

Obszedł grobowiec dokoła i schylił się, zaglądając do środka.

— Wydaje mi się, że ktoś wrzucił do niego kamień — powiedział.  
— Albo i nie kamień. To może być coś innego.

To było coś innego. Kamień nie mógł tak błyszczeć.

Sięgnął i wziął go do ręki.

Błyskotka — stwierdził Conrad.

— Tak — rzekł Duncan. — Błyskotka. Ale co ona tu robi?

Była duża niby pięść mężczyzny i miała kształt gruszki. Pokrywał ją ażurowy ornament ze złota przetykany drobnymi, lśniącymi klejnotami. Pod ornamentem widać było srebrzysty, jajkowaty przedmiot, wyglądający na masywny. Gruszkowaty deseń zewnętrzny kończył się małą szyjką, z której zwisał ciężki łańcuszek. On też wydawał się złoty, ale nie iskrzył się tak jak ornament.

Duncan podał cacko Conradowi i jeszcze raz się pochylił, aby zajrzeć pod płytę nagrobną. W rogu wyszczerzyła do niego zęby czaszka.

— Spoczywaj w Bogu — powiedział do niej. Obaj mężczyźni ruszyli na dół zboczem góry, kierując się w stronę jaskini.

# 7

— Chyba nie miałem okazji wam powiedzieć, iż poza tym, że jestem człowiekiem pobożnym, to skończony tchórz ze mnie. Moje serce krzychało, aby wam pomóc, ale nogi radziły uciekać. W końcu nogi wzięły górę i wyniosły mnie stamtąd najszybciej, jak mogłem iść.

— Poradziliśmy sobie bez ciebie — odparł Conrad.

— I tak was zawiodłem. Mam jeno kij, ale mogłem nim zadać jeden czy dwa tęgic ciosy.

— Nie jesteście zabijakami i nie mamy do was żalu, że uciekacie — rzekł Duncan. — Możesz nam jednak pomóc w inny sposób.

Eremita skończył jeść plaster szynki i sięgnął po gomółkę sera.

— Zrobię, co będę mógł — odpowiedział. — Z przyjemnością udzielę wam pomocy.

— Ta błyskotka, którą znaleźliśmy w grobie Wulferta — rzekł Duncan. — Potrafisz nam wyjaśnić, co to jest? Czy tego właśnie mogła szukać kobieta na gryfie?

— Ach, ta kobieta — zawołał Andrew. — Musicie mi uwierzyć, proszę. Nie miałem pojęcia, że tam była. Ukrywała się przede mną. Ukrywała się i przyglądała, jak zginam kark po skromny posiłek w warzywniku. Na pewno miała jakiś powód, aby się ukrywać.

— Zapewne — powiedział Duncan. — Musimy odkryć ten powód.

— Mieszkała w kościele — stwierdził pustelnik. — Do czego to podobne, aby mieszkać w kościele? To świętokradztwo, nic innego. W kościele się nie mieszka. Nie po to go zbudowano. Porządny człowiek nie powinien nawet myśleć o nocowaniu w kościele.

— To był jedyny dom w wiosce, gdzie miała dach nad głową —

zauważył Duncan. — Skoro zamierzała się tutaj zatrzymać, musiała znaleźć schronienie przed złą pogodą. Ale po co chciała się tu zatrzymać? Słyszałeś. Szuka wiadomości o Wulfercie. Przetrzęsła zapiski kościelne, starając się trafić na jego ślad. Wiedziała, że niegdyś mieszkał w tej wiosce. Pewnie sądziła, że przeniósł się i zamieszkał gdzie indziej. Chyba jakichś notatek na ten temat. Nie mogła wiedzieć, że leży tutaj pochowany.

— Wiem to wszystko — rzekł pustelnik. — Ale w jakim celu miałyby go szukać?

Duncan zamachał mu przed twarzą błyskotką. Pustelnik odskoczył z przerażeniem, starając się zachować jak największą odległość od świecidełka.

— Moim zdaniem, szukała tego — powiedział Duncan. — Nie wiesz przypadkiem, co to jest? Czy w wiosce nie krążyły jakieś opowieści o tym cacku?

— To była relikwia — odparł pustelnik. — Tak ją traktowali mieszkańcy wioski. Opowieści z dawnych lat głoszą, że to była jakaś relikwia. Ale nigdy nie słyszałem czego albo kogo. Być może nikt tego nie wiedział. Wioska poczytywała Wulferta za świętego człowieka. On sam nigdy temu nie zaprzeczył. Pozwolił im się uważać za świętego. Kto wie, gdyby się dowiedzieli, że jest czarodziejem, mogłoby się to źle skończyć dla niego. Ach, biada, wstyd i hańba...

— Tak, tak, wiem — przerwał mu szorstko Duncan. — Złożono go do poświęconej ziemi.

— To nie wszystko! — wykrzyknął pustelnik. — Wieśniacy postawili mu grobowiec. Sami zadowalali się nagrobkami z byle jak obrobionej, surowej skały, ale dla niego przez wiele dni wydobywali wielkie głązy najlepszego kamienia. Jeszcze dłużej przystrajali mu grobowiec i mościli miejsce spoczynku. Co więcej, zmarnowali mnóstwo beczek wina.

— Wino? Co wino miało z tym wspólnego?

— No jakżeż, żeby go zakonserwować, ma się rozumieć. Stare legendy głoszą, że umarł w pełni lata i trzeba go było trzymać...

— Już rozumiem. Ale nie musieli używać wina. Czysta woda z solą byłaby równie dobra, a nawet lepsza.

— Masz rację — lepsza. Ponoć był już nieźle nadpsuty, nim zdążyli go położyć w mogile. Ale niektórzy sądzą, że woda z solą jest zbyt wulgarna.

— A zatem, pochowali tego czarodzieja z dużym nakładem pracy i stosowną ceremonią w przekonaniu, że był świętym człowiekiem. I włożyli mu do grobu relikwię. Być może zawieszoną na szyi.

Andrew pokiwał głową z nieszczęśliwą miną.

— Nic dodać, nic ująć, milordzie.

— Nie nazywaj mnie milordem. Nie jestem nim. Mój ojciec jest milordem.

— Przepraszam, milordzie. Nie będę cię już tak nazywał.

— Jak sądzisz, dlaczego opowieści o Wulfercie przetrwały taki szmat czasu? Przynajmniej sto lat, a może kilka stuleci. Nie wiesz, jak dawno to się stało?

— Nie mam pojęcia — odparł pustelnik. — Nagrobek był zwieńczony małym posążkiem z wyrytą datą, lecz w czasie upadku drzewa rzeźba się rozbiła. Lecz nic dziwnego, że legendy przetrwały. W takiej wsi całymi miesiącami nic się nie dzieje, absolutnie nic. Kiedy wreszcie coś się wydarzyło, musiało sprawić silne wrażenie, wryć się na długo w ludzką pamięć i stać tematem licznych rozmów. Poza tym obecność świętego człowieka była korzystna. Nadawała wiosce pewną rangę, jakiej mogły pozazdrościć inne okoliczne wsie.

— Tak — rzekł Duncan. — Mogę to zrozumieć. A relikwia?

Pustelnik cofnął się pod samą ścianę groty.

— To żadna relikwia — odparł. — Maszyna piekielna.

— Przecież nie działa — odezwał się Conrad. — Wisi sobie.

— Może nie jest uaktywniona — powiedział Duncan. — Nie funkcjonuje. Trzeba wypowiedzieć pewne słowo, nastawić jakiś mechanizm.

— Radzę zakopać ją głęboko albo wrzucić do bieżącej wody. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Czeka nas zbyt dużo zagrożeń

i nieszczęść, aby jeszcze prosić o nowe. Dlaczego tak się tym interesujesz? Mówisz, że wędrujecie do Oxenfordu. Nie rozumiem cię. Podobno to bardzo ważne, abys dotarł do Oxenfordu, ty jednak poświęcasz za dużo uwagi sromotnej błyskotce z grobu czarodzieja.

— Podróżujemy do Oxenfordu na rzecz Pana naszego — rzekł Conrad.

— W interesie waszego pana?

— Nie, Pana Najwyższego. W świętej sprawie.

— Conradzie! — rzucił ostro Duncan.

— Czy jego słowa odpowiadają prawdzie? — spytał pustelnik. — Jedziecie w boskiej sprawie, milordzie? Świętej?

— Przypuszczam, że można ją tak określić. Nie rozmawiamy o tym.

— To musi być coś bardzo ważnego — rzekł pustelnik. — Droga jest długa, ciężka i okrutna. A jednak jest w was coś niezwykłego, co potwierdza, że wasza misja jest niezbędna.

— Teraz będzie jeszcze trudniejsza — powiedział Duncan. — Mieliśmy nadzieję, że w małej grupce uda nam się prześlizgnąć, nie zwracając na siebie uwagi. Ale Oprawcy już wiedzą. Mieliśmy starcie z ich forpocztą i od tej chwili nie stracą nas z oczu. Będą obserwować każdy nasz krok. Zapewne pojawią się nowi bezwłosi. Zaczynam się niepokoić. Skoro wysyłają pikiety, to znaczy że Horda coś ukrywa. Coś, do czego nie wolno jej nikogo dopuścić.

— W jaki sposób będziemy się poruszać? — zapytał Conrad.

— Pójdziemy prosto przed siebie — odrzekł Duncan. — Inaczej nie uda nam się tego zrobić. Moglibyśmy spróbować iść bardziej na wschód, boję się jednak, że tam również spotkamy Oprawców. Zboczylibyśmy za daleko z naszej drogi, nie zapewniając sobie większego bezpieczeństwa. Pójdziemy prosto, będziemy iść najszybciej, jak można, i zachowywać czujność.

Podczas rozmowy Duch unosił się w rogu pieczary; teraz poszybował na środek klepiska.

— Mógłbym przeprowadzić zwiad — powiedział. Mógłbym skoczyć naprzód i zrobić rekonesans. Dusza mi się wzdryga na myśl

o tym, jeśli mam jeszcze duszę, ale z miłości do was, ludzi, którzy zgodzili się wziąć mnie ze sobą dla świętego celu, mogę się na to zdobyć.

— Nie prosiłem cię, abys nam towarzyszył — rzekł Duncan. — Powiedziałem tylko, że nie widzę sposobu, aby cię powstrzymać.

— Nie przyjmujecie mnie — jęknął Duch. — Nie uważacie mnie za istotę, która niegdyś była człowiekiem. Nie...

— Traktujemy cię jako ducha, czymkolwiek jest. Możesz mi powiedzieć, mój panie, czym jest duch?

— Nie wiem — odparł. — Nawet będąc duchem, nie potrafię ci tego powiedzieć. Poprosiłeś mnie o definicję, a teraz ja cię zapytam o inną. Czy możesz mi powiedzieć, czym jest człowiek?

— Nie, nie potrafię.

— Musisz zrozumieć — rzekł Duch — że bycie duchem to istna udręka. Nie wie, kim jest, ani jak ma postępować. Zwłaszcza ten, który nie ma miejsca do straszenia.

— Możesz straszyć w kościele — zaproponował pustelnik. — Za życia byłeś blisko związany z Domem Bożym.

— Ale nie wewnątrz — odparł Duch. — Na zewnątrz. Siedziałem na schodach pod bramą i zebrałem o jałmużnę. I powiadam ci, pustelniku, że nie było to wcale takie dostatnie życie, jak się spodziewałem. Mieszkańcy wioski należeli do wyjątkowych skąpiradeł.

— To byli biedni chłopcy — stwierdził Andrew.

— A na dodatek chciwi. Mało który był aż tak biedny, aby nie mógł poświęcić miedziaka. Często przez kilka dni z rzędu nie wpadła mi ani jedna moneta, ani jedna!

— A zatem borykasz się z losem — rzekł złośliwie pustelnik. — Każdy z nas boryka się ze swoim losem.

— Jest jedno zadośćuczynienie — powiedział Duch. — Bycie duchem nie jest równie złe jak bycie martwym, szczególnie kiedy po śmierci ma się trafić do piekła.

— A ty nie?

— Tego też nie wiem. Nie byłem człowiekiem grzesznym, tylko leniwym.

— Ale twoja sytuacja zaczyna się poprawiać. Idziesz z panami do Oxenfordu. Może tam ci się spodoba.

— Mówią, że nie było sposobu, aby mnie zatrzymać. Wyczuwam w tym pewną niechęć. No, mówi się trudno, idę z nimi.

— Ja też — powiedział pustelnik. — To znaczy, jeśli mnie wezmą. Przez całe życie pragnąłem służyć w zastępach Pana. Myślałem, że to robię, kiedy zająłem się pustelnictwem. Być może płomień świętości nie rozgorzał zbyt jaskrawo w moim sercu, ale przynajmniej zapłonął. Imiałem się wielu sposobów, by dowieść swej pobożności. Całe lata siedziałem wpatrzony w płomyk świeczki, zabijając czas szukaniem i spożywaniem jedzenia oraz zaspokajaniem potrzeb ciała. Szedłem na spoczynek dopiero wtedy, kiedy nie mogłem już dłużej czuwać. Nieraz zasypiałem i przypalałem sobie brwi. A świece kosztują. Nieraz ledwo mogłem sobie pozwolić na zakup nowej. I nie powiodło mi się. Patrzenie na świeczkę nic mi nie dało. Nawet się nie buntowałem. Gapię się na płomień świecy, mówiłem do siebie, aby dołączyć do tych, którzy stanowią jedność ze spadającym liściem, śpiewem ptaka, delikatną barwą zachodzącego słońca, skomplikowaną siecią utkaną przez pająka, stapiając się w ten sposób z wszechświatem — i nic z tego. Spadający liść nic dla mnie nie znaczył. Miałem gdzieś ptaki razem z ich piosenkami. Albo mi czegoś brakowało, albo pomysł nie wypalił, albo tamci chwalili się tylko swoimi sukcesami, zgraja podłych kłamców. Po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że jestem oszustem. Teraz jednak mam szansę zostać prawdziwym rycerzem Pana. Może tchórz ze mnie i siły mam tyle co brudu za paznokciem, ale tym kijem, ufam, mogę zadać parę tęgich ciosów, jeśli trzeba. Postaram się nie uciec jak dziś, kiedy groziło mi niebezpieczeństwo.

— Nie tylko ty dzisiaj uciekłeś — rzekł kwaśno Duncan. — Milady Diana, topór wojenny i co tam jeszcze, uciekła również.

— Ale dopiero po wszystkim — powiedział Conrad.

— Wydawało mi się, że powiedziałaś...



— Źle zrozumiałeś moje słowa — przerwał mu Conrad. — Kiedy zaczęła się bitwa, Diana nie siedziała na gryfie, lecz natychmiast go dosiadła i walczyli we dwoje. Ona toporem, a gryf szponami i dziobem. Zniknęła dopiero po tym, jak bezwłosi cofnęli się i umknęli.

— No, poczułem ulgę — westchnął Duncan. — Nie wyglądała mi na osobę, która jest zdolna do ucieczki. Wobec tego, tylko ja próżnowałem.

— Dosięgnął cię nieszczęśliwy cios maczugą. Stałem nad tobą, aby odeprzeć twoich prześladowców. Najwięcej szkód w szeregach bezwłosych uczyniła milady i smok.

— Gryf — poprawił go Duncan.

— Tak jest, milordzie. Gryf. Stale mi się mylą.

Duncan wstał.

— Powinniśmy iść do kościoła i sprawdzić, czy nie ma gdzieś milady — zaproponował. — Jest jeszcze trochę dziennego światła.

— Jak twoja głowa? — spytał Conrad.

— Mam guza większego od gęsiego jaja i trochę mnie boli. Ale nic mi nie będzie.

## 8

Kościół nie był zbyt wysoki, ale i tak większy niż domy modlitwy w małych wioskach. Pobożni chłopcy pracowali przez stulecia, aby go postawić. Wydobywali kamień, a potem ciosali go i dźwigali na miejsce. Układali podłogę z ciężkich głazów. Z miejscowych dębów rzeźbili ławki, ołtarz i resztę wyposażenia. Ozdabiali ściany własnoręcznie utkanymi kilimami. Była w tym, powiedział do siebie Duncan, niewyszukana prostota, nadająca mu wdzięk zbyt rzadko spotykany u innych, dużo większych i bardziej wyszukanych budowli.

Obicia były pozrywane ze ścian i leżały na kamiennej podłodze, podeptane i zmięte. Pod niektóre podłożono ogień, ale nie chciały się palić. Ławki i inne meble rozbito, ołtarz zdemolowano.

Nie spotkali Diany i gryfa, chociaż zauważyli ślady ich bytności. Podłoga była upstrzona odchodami gryfa. Znaleźli kaplicę wykorzystywaną przez kobietę na izbę sypialną — z posłaniem z owczych skór na podłodze oraz małym, kamiennym paleniskiem i kilkoma narzędziami kuchennymi.

W drugiej kaplicy znajdował się długi, cudem nie naruszony stół. Leżały na nim sterty arkuszy z pergaminu. Wśród szpargałów widać było kałamarz i gęsie pióro w podstawce.

Duncan podniósł jeden arkusz. Zaszleścił mu w palcach. Pismo było niewyraźne, wyrazy roiły się od błędów graniczących z analfabetyzmem. Ktoś się urodził, ktoś umarł, jakaś para wzięła ślub, tajemnicza zaraza uśmierciła tuzin owiec, tego roku była plaga wilków, wczesny mróz ściał uprawy na polach, ale śnieg zalegał niemal do Wielkiejnocy.

Wziął do ręki inne pergaminy. To samo. Zapiski całych lat wioskowej nicości. Urodzenia, zgony, śluby, małe lokalne katastrofy. Kronika towarzyska starych bab, drobne lęki, małe tryumfy — zaćmienie księżyca i groza jego przebudzenia, deszcz spadających gwiazd i cudowność tego zjawiska, wczesny rozkwit leśnych kwiatów, nagła burza letnia z piorunami, święta i ich obchody, dobre i złe zbiory — same dawne, lokalne błahostki. Notatki wiejskiego księdza, do tego stopnia pochłoniętego wioskowymi zdarzeniami, że nie miał czasu na inne sprawy.

— Przetrzęsnęła wszystkie zapiski — powiedział Duncan do pustelnika. — Szukała wzmianki o Wulfercie, najmniejszej wskazówki, która mogłaby ją naprowadzić na jego ślad. Najwyraźniej niczego nie znalazła.

— Powinna była wiedzieć, że nie ma go już pośród żywych.

— Nie chodzi o niego — rzekł Duncan. — Nie o samego czarownika. Nie tego szukała. Relikwii, rozumiesz? Dla niej najważniejsza była ta relikwia — albo maszyna piekielna, jeśli wolisz.

— Dalej nie rozumiem — powiedział Andrew.

— Jesteś oślepiiony blaskiem świecy i całą twoją pobożnością — odparł Duncan. — Byłabyż to pobożność?

— Sam nie wiem. Zawsze tak myślałem. Jestem szczery, milordzie, przynajmniej staram się być szczery.

— Nie widzisz dalej niż czubek własnego nosa — powiedział Duncan. — Nie potrafisz uznać faktu, że to, co nazywasz maszyną piekielną, może mieć wielką wartość i znaczenie. Nie chcesz oddać czarodziejowi sprawiedliwości. Istnieje wiele krain, równie chrześcijańskich jak nasza, gdzie czarodzieje, mimo złej sławy, traktowani są z szacunkiem.

— Zalatuje mi to pogaństwem.

— Stare prawdy, stare pojęcia, stare rozwiązania, stare metody i stare procedury — rzekł Duncan. — Nie stać cię na to, aby je odrzucić, bo poprzedzają chrześcijaństwo. Milady chciała znaleźć coś, co należało do czarodzieja.

— Nie zdajesz sobie sprawy z pewnej rzeczy — szepnął pustelnik.  
— Nie pomyślałeś o tym. Ona też może być czarownicą.

— Chciałeś powiedzieć — czarodziejką. Współczesną jędzą.

— Chyba tak. Ale bez względu na określenie, wcale o tym nie pomyślałeś.

— Nie pomyślałem — przyznał Duncan. — Może się okazać, że masz rację.

Z wysokich, wąskich okien padały promienie późnego, wieczornego słońca, przywodząc na myśl świetliste aureole, którymi biblijni artyści lubili nadawać blask wizerunkom świętych. Okna były z barwionego szkła — tylko te, w których pozostały szyby, gdyż większość wybito kamieniami. Patrząc na garstkę ocalałych kolorowych okien Duncan zastanawiał się, jak wieśniacy, mimo wyjątkowej pobożności i oddania, mogli sobie pozwolić na drogie barwione szkło. Kilku bogatszych chłopów, których na pewno nie było zbyt dużo, musiało złożyć się dla pokrycia kosztów wyrobu i montażu okien. Kupili sobie dzięki temu jakąś dyspensę albo rozgrzeszenie, utwierdziwszy się w pewności Nieba.

Na lśniących kolumnadach światła zatańczyły pyłki kurzu, nadając im odrobinę życia, ruchu i osobowości, których zwykle światło nie posiada. A w głębi żywych promieni coś się poruszyło.

Duncan wyciągnął rękę i chwycił pustelnika za ramię.

— Tu ktoś jest — powiedział. — Tam z tyłu, w rogu.

Wskazał palcem i eremita spojrział w tamtym kierunku, patrząc z ukosa, aby poprawić ostrość widzenia. Następnie zachichotał pod nosem z wyraźną ulgą.

— To tylko Nochal — wyjaśnił.

— Nochal? Któż to jest ten Nochal, u licha?

— Tak go nazywam. Bo nieustannie wtyka nos w cudze sprawy. Ciągłe wypatruje czegoś, co mógłby obrócić na swą korzyść. Taki mały szpicel. Ma jeszcze inne imię, rzecz jasna. Połamałbyś sobie język na nim. Chyba mu nie przeszkadza, że mówię na niego Nochal.

— Któregoś dnia to gadulstwo wpędzi cię do grobu — rzekł

Duncan. — Bardzo pięknie, ale bądź łaskaw mi powiedzieć, kto to jest...

— Jak to, myślałem, że wiesz — odparł Andrew. — Wydawało mi się, że wspominałem o nim. Nochal to ten skrzat. Jeden z tutejszych zuchów. Zadręcza mnie okropnie i nie darzę go zbyt gorącą miłością, ale to naprawdę zacny gość.

Skrzat zdążył już zrobić kilka kroków wśród drżących kolumnad światła z okien i szedł dalej w ich kierunku. Był niski. Sięgał dorosłemu mężczyźnie do pasa. Miał na sobie orzechowobrazowy strój: czapkę z opadniętym kapturem, kubrak, parę spodni ciasno dopasowanych do jego cienkich nóg oraz buty ze śmiesznie podwiniętymi czubkami. Uszy były za duże i spiczaste, a twarz miała lisi wygląd.

Bez niepotrzebnych wstępów Nochal zwrócił się do pustelnika:

— To miejsce nadaje się do już zamieszkania — oznajmił. — Straciło trochę ze swego zapachu fałszywej świętości, w którym ani ja, ani żaden z moich braci nie mogliśmy wytrzymać. Na pewno przyczyniło się do tego trzymanie gryfa w kościele. Nie ma to jak zapach gryfiego łajna do okadzania i przeganiania odoru świętości.

Pustelnik zmarszczył brwi.

— Znowu robisz się bezczelny — wycodził.

— W takim razie odwróć się i pójdź sobie — rzekł Nochal. — Zechciejcie mi wybaczyć. Próbowałem tylko okazać życzliwość.

— Nie, zaczekaj — odezwał się Duncan. — Nie przejmuj się ciętym językiem pocziwego eremity. Jego poglądy wypaczyło pragnienie świętości i być może niezbyt udana metoda starań.

Nochal spojrział na Duncana.

— Poważnie? — zapytał.

— Chyba tak. Wyznał mi, że stracił mnóstwo czasu na wpatrywanie się w płomień świecy, a wątpię, czy należy zabierać się do tego w taki sposób, jeśli człowiek koniecznie musi zostać świętym. Chociaż nie jestem ekspertem w takich sprawach.

— Wydajesz mi się dużo rozsądniejszy niż ten zaszuszony pustelnik

— rzekł skrzat. — Jeśli dasz słowo, że się do mnie nie zbliży i nie będzie otwierał swoich strasznych ust, powrócę do sprawy, z którą tu przyszedłem.

— Zrobię co będę mógł, aby go powstrzymać — powiedział Duncan. — A teraz zechciej łaskawie wrócić do sprawy.

— Przyszedłem w nadziei, że mógłbym się na coś przydać.

— Machnij na niego ręką — poradził Andrew. — Cała pomoc, którą ci zaofiaruje, to jakbyś dostał pięścią w nos.

— Proszę — rzekł Duncan — pozwól, że ja się tym zajmę. Nie zaszkodzi wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

— Sam widzisz, jak to wygląda — powiedział Nochal. — Ten człowiek nie ma poczucia przyzwoitości.

— Nie będziemy chyba wypominać dawnych różnic między wami — odparł Duncan. — Jeśli masz jakieś informacje, z przyjemnością ich wysłucham. Wydaje mi się, że potrzebujemy wielu informacji. Ale coś mnie niepokoi i będziesz musiał zaspokoić naszą ciekawość w pewnej sprawie.

— Mianowicie?

— Chyba wiesz, że chcemy odbyć wyprawę w głąb Spustoszonej Krainy, która obecnie jest we władaniu Oprawców.

— Wiem — odrzekł Nochal — i dlatego tu jestem. Mogę wam pokazać najlepszą drogę i zaznajomić was ze wszystkim, na co trzeba uważać.

— To mnie właśnie niepokoi — rzekł Duncan. — Dlaczego chcesz nam pomagać przeciwko Oprawcom? Przecież większe pokrewieństwo łączy was z nimi aniżeli z nami.

— Kto wie, czy w twoich przypuszczeniach nie ma dużo racji, ale rozumowanie nie jest zanadto wnikliwe. Być może dlatego, że nie jesteś w pełni obznajomiony z sytuacją. Nie mamy powodu kochać ludzi. Mój naród — ten sam, który obrażacie mianem Ludku — zamieszkiwał na tej ziemi, na całym świecie, jeśli o to chodzi, na długo przed pojawieniem się człowieka, który w okrutny sposób rozpycha się łokciami między nami i nawet nie raczy uznać naszego istnienia.

Traktowaliście nas jak robactwo, które należy wytępić. Nie poczytywaliście nas za prawowitą, inteligentną formę życia, lekceważyliście nasze prawa, nie okazywaliście nam uprzejmości ani zrozumienia. Ścięliście nasze święte lasy, naruszyliście nasze święte miejsca. Byliśmy gotowi przystosować nasz styl życia do waszego i żyć z wami w harmonii. Nie straciliśmy tej gotowości nawet wówczas, gdy ciemnęliście nas niczym krwawi najeźdźcy. Dysponujemy mocami, którymi moglibyśmy się z wami podzielić, być może w zamian za coś wartościowego dla nas. Ale nie chcieliście się zniżyć do tego, aby się z nami porozumieć. Narzucaliście się nam, przepędzaliście nas, zmuszaliście do życia w ukryciu. Nic dziwnego, że po ciężkich przejściach obróciliśmy się przeciw wam, lecz na skutek waszej okrutnej i bezwzględnej zaborczości nie zdołaliśmy wiele zdziałać. Mógłbym bez końca wyliczać wasze grzechy wobec nas, ale drogi panie, przedstawiłem ci pokrótce powody, dla których nie możemy was kochać.

— Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia — odrzekł Duncan. — Nie potwierdzam słuszności tych zarzutów w każdym szczególe, bo nie jestem w stanie tego zrobić, ale muszę przyznać, że słowa twoje zawierają wiele prawdy. Co potwierdza tylko moje obawy. Dlaczego ofiarujesz nam pomoc, nienawidząc nas tak bardzo? Znając twe uczucia wobec nas, jak możemy ci zaufać?

— Ponieważ Oprawców nienawidzimy jeszcze bardziej — odrzekł Nochal. — Wbrew temu, co się może roić w waszych szalonych, ludzkich głowach, Oprawcy nie są naszymi rodakami. My i oni bardzo się od siebie różnimy. Jest tego kilka przyczyn. Oni stanowią czyste zło, a my nie. Oni żyją dla samego zła, a my nie. Lecz skoro wy, ludzie, od wieków wrzucacie nas do wspólnego worka, zła sława Oprawców przeniosła się na nas. Obarcza się nas winą za wiele ich zbrodni. Są pewne obszary, na których mogliśmy dojść do porozumienia z ludźmi, ale Oprawcy odcięli nam drogę, bo ich uczynki i wasze zamroczone głowy sprawiły, że wydajemy się równie zli jak oni. Potępiając ich, na równi z nimi potępiacie również nas. Jest kilku rozsądnych

i wrażliwych ludzi, którzy zadawszy sobie kłopot poznania nas lepiej, nie przyłączyli się do owego potępienia. Niestety, w godny politowania sposób większość z was należy do drugiej grupy i głos garstki wrażliwców ginie w fali nienawiści skierowanej przeciw nam. W czasie ostatniego najazdu Oprawców ucierpieliśmy wraz z ludźmi, może nie aż tak bardzo jak ludzie, bo dysponujemy naszą skromną magią, która daje nam pewną ochronę, magią, którą mogliście dzielić z nami, gdybyście chcieli nas zaakceptować. W sumie nienawidzimy ich bardziej niż was i dlatego jesteśmy skłonni wam pomóc.

— Trzeba rozum postradać, aby mu całkowicie ufać, skoro ma taką postawę — rzekł pustelnik. — Wciągnie cię prosto w zasadzkę. Nie wierzę w jego udawaną nienawiść do Oprawców, chociaż ostrzegł mnie przed nimi. Powiadam ci, istoty jego pokroju nie dają gwarancji prawdy.

Duncan zignorował pustelnika i zwrócił się do Nochala:

— Twierdzisz, że Oprawcy nie są waszymi rodakami, że nie jesteście z nimi w żaden sposób spokrewnieni. Wobec tego skąd się oni wzięli?

— Pierwszy raz pojawili się jakieś dwadzieścia tysięcy lat temu, a może wcześniej — powiedział skrzat. — Tak głoszą nasze legendy, a nasz lud dokłada wszelkich starań, aby legendy przekazywały prawdę, niezmienną, z pokolenia na pokolenie. Zrazu było ich tylko kilku, lecz w miarę upływu wieków ich liczebność rosła. Wówczas zdołaliśmy się dowiedzieć, co to za stwory. Znając całą prawdę o źle, jakie w nich tkwiło, zdołaliśmy się w pewnym stopniu obronić. Przypuszczam, że to samo stało się z prymitywnymi ludźmi, jacy żyli w tamtych dawnych czasach. Tyle że nie znający magii ludzie niewiele mogli uczynić na swoją obronę. Niestety, tylko garstka, chyba z powodu swego prymitywizmu, nauczyła się nas akceptować. Większość ludzi nie odróżniała nas od potworów, których teraz nazywacie Oprawcami, ale którzy przez całe wieki byli znani pod wieloma innymi nazwami.

— Mówisz, że po raz pierwszy pojawili się przed dwustu wiekami.



W jaki sposób się ukazali?

— Po prostu byli i już.

— Ale skąd się wzięli?

— Niektórzy powiadają, że z nieba. Inni twierdzą, że z głębokich podziemi, w których byli zamknięci, ale wyrwali się na wolność bądź przełamali siłę, która je tam uwięziła. Możliwe też, że ich pokuta ciągnęła się tylko przez określony czas i termin pokuty upłynął.

— Przecież nie mogą stanowić jednej rasy. Ponoć są wszelkich kształtów i rozmiarów.

— To prawda — rzekł Nochal. — Nie są rasą. To jest rój.

— Nie rozumiem.

— Rój — powtórzył niecierpliwie Nochal. — Rój. Nie wiesz, co to rój?

— On mówi własnym żargonem — oznajmił Andrew. — Używa wielu takich słów i pojęć, niezrozumiałych dla ludzi.

— No dobrze, zostawmy to na razie — rzekł Duncan. — Teraz najważniejsze jest to, co ma nam do powiedzenia.

— Chyba mu nie zaufasz?

— Jestem skłonny to uczynić. Potrzebujemy informacji, których może nam udzielić.

— Mogę wam pokazać najbezpieczniejszą drogę — nalegał Nochal.

— Mogę wyrysować mapę. W kaplicy jest inkaust i pergamin.

— Tak, wiemy o tym — odparł Duncan.

— W izbie, gdzie długi rząd dygoczących zakonników siedział i spisywał różne bzdury o nieważnych żywotach i wydarzeniach.

— Niedawno czytałem kilka z nich — powiedział Duncan.

Nochal poszedł przodem w kierunku kaplicy. Duncan ruszył za nim, na końcu pokuśtykał Andrew. Conrad zajął miejsce obok Duncana.

Po wejściu do kaplicy Nochal wdrapał się na stół i począł grzebać rozczapierzonymi palcami wśród dokumentów. W końcu wyciągnął jeden, na którym pozostało trochę białej przestrzeni. Rozłożył go ostrożnie na blacie stołu. Wziął do ręki gęsie pióro, umoczył je w

inkaucście i wymalował na pergaminie krzyżyk.

— Jesteśmy tutaj — oznajmił, pokazując na krzyżyk. — Tam jest północ. — Narysował kreskę dla oznaczenia kierunku. — Idziecie prosto na południe, w głąb doliny, na południe i trochę na zachód. Będziecie się poruszać pod dobrą osłoną. Na szczytach wzgórz mogą stać pikiety. Uważajcie na nie. Nie powinny wam sprawiać kłopotu. Raczej nie będą atakować, po prostu dadzą znać o waszych ruchach. Około czterdziestu mil stąd strumień wpływa na bagna — błotnisty teren, bajora, gęsty busz...

— Nie podoba mi się to — rzekł Conrad.

— Skręćcie w bok — ciągnął skrzat. — Idziecie lewym skrajem bagien. Po waszej lewej ręce wznoszą się wysokie urwiska, pozostawiając wąski pas ziemi między bagnem a skałami.

— Mogą nas zapędzić na bagna — stwierdził Conrad.

— Nie będzie gdzie nogi postawić.

— Nie ruszą na was przez moczary — odparł Nochal. — Urwiska są wysokie i nie do przejścia. Nie możecie wspiąć się na nie, rzecz jasna, ale też nikomu nie uda się zejść po nich.

— Mogą mieć smoki, harpie czy inne latające potwory.

Nochal wzruszył ramionami.

— Niewiele. Zdołacie odeprzeć ich napaść. Jeśli będą chciały zaatakować was na ziemi, muszą iść wąskim frontem od przodu, lub od tyłu. Nie zdołają rozwinąć szyku, aby was oskrzydlić.

— Mnie też to się nie podoba — powiedział Duncan. — Mości skrzacie, jest jakaś inne przejście?

— Dłuższe o wiele mil — odparł Nochal. — Poza tym nadłożycie drogi. Ciężka podróż. Pod górę, w dół. Łatwo zabłądzić.

— Ale tamto jest niebezpieczne.

— Możliwe, że niebezpieczne, ale zuchwałe. Nie będą się spodziewać, że wybierzecie tę trasę. Gdybyście się poruszali tylko nocą i dobrze kryli...

Duncan potrząsnął głową.

— Nigdzie nie jest bezpiecznie! — wykrzyknął skrzat. — W całej

Spustoszonej Krainie.

— A gdybyś sam wyruszył w podróż — spytał Conrad — czy poszedłbyś drogą, którą nam wskazałeś?

— Godzę się na niebezpieczeństwo — odrzekł Nochal. — Pójdę z wami. Tu chodzi też o moją szyję.

— Chryste, zmiłuj się nad nami — westchnął Duncan. — Pustelnik, duch, skrzat. Rozrastamy się w istną armię.

— Pójdę z wami jedynie po to — dodał Nochal — by dowieść czystości moich intencji.

— Dobrze — rzekł Duncan. — Trzymam cię za słowo.

— Podążając tą ścieżką między bagnem a urwiskiem, wchodzicie w rozpadlinę, w przełęcz, w uskok skalny, który przecina cały masyw. Niedaleko, jakieś pięć mil stąd.

— To pułapka — rzekł Conrad. — Czuję pułapkę.

— A po opuszczeniu rozpadliny znajdziecie się na płaskiej, otwartej przestrzeni. Ale tam stoi zamek.

— Nie będę cię odstępował ani na krok — oznajmił Conrad. — Jeśli okaże się, że to pułapka, osobiście poderżnę ci gardło.

Skrzat wzruszył ramionami.

— Wzruszaj sobie — podjął Conrad. — A może wolisz, aby ci gardło poderżnąć?

Nochal rzucił pióro ze złością. Krople inkaustu ochlapały pergamin.

— Trudno mi zrozumieć, dlaczego najpierw rysujesz nam mapę, a potem oznajmiasz, że idziesz razem z nami. Po co zawracać sobie głowę mapą? Trzeba było od razu powiedzieć, że dołączysz do nas i pokażesz drogę — zdziwił się Duncan.

— Początkowo nie miałem takiego zamiaru — rzekł Nochal. — Pomyślałem tylko o mapie. Później, kiedy zakwestionowałeś mą szczerość, zdecydowałem się iść razem z wami, bo inaczej byście mi nie uwierzyli.

— Żądamy prawdy — stwierdził Conrad. — A nie wiary.

— Jedno nie może się obyć bez drugiego — odparł Nochal.

— No, dobrze — rzucił Duncan. — Mów dalej. Skończyłeś na tym, że gdzieś stoi zamek.

— Bardzo stary. Cały się rozsypuje. Wali się. Blanki runęły. Cuchnie starością. Przestrzegam was przed nim. Omijajcie go szerokim łukiem. Nie zbliżajcie się. Pod żadnym pozorem nie wchodźcie do środka. Tam też mieszka zło. Inne niż Zło Oprawców. Odmienny rodzaj zła.

— Usuń to wszystko ze swych myśli — rzekł pustelnik. — On jest gotów nas zabić, albo jeszcze gorzej. Nie wolno mu ufać.

— Decyzja należy do was — powiedział skrzat. — Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Chciałem wam pomóc, a wy za to daliście mi prztyczka w nos. Jeśli zechcecie o świcie ruszyć w drogę, będę tu na was czekał. — Skoczył ze stołu i dumnym krokiem opuścił kaplicę.

Do kaplicy wszedł zuchwale Malutki, stąpając ostrożnie i czujnie na pazurach. Zbliżył się do Conrada i wsparł się poufale na jego nodze. Daniel parsknął cicho w głębi kościoła, grzebiąc kopytem w kamiennej podłodze.

— No i co? — spytał pustelnik.

— Sam nie wiem — odparł Duncan. — Musimy to przemyśleć i coś postanowić. Nie możemy tkwić tutaj.

Zwrócił się do Conrada.

— Dziwię ci się. Myślałem, że z nas wszystkich właśnie ty mu zaufasz. W domu stykałeś się wiele razy z ludkami. Kiedy spacerowałeś po lesie, wyskakiwali zza krzaków, aby zamienić z tobą kilka słów. Wydawało mi się, że ich rozumiesz. Nie dawniej jak wczoraj martwiłeś się, że nie spotkaliśmy ich nigdzie. Niepokoiliłeś się, że mogli ich zgładzić Oprawcy.

— Prawdę mówisz — odrzekł Conrad. — Lubię ich. Mam wśród nich dużo przyjaciół. Ale co do niego musimy mieć absolutną pewność.

— A więc zagroziłeś mu podejrzeniem gardła, jeśli wprowadzi nas w błąd?

— To jedyny sposób. Musi zrozumieć.

— No dobrze, co sam o tym sądzisz?

— Według mnie, milordzie, możemy mu zaufać. Chciałem się tylko upewnić. Chciałem, aby zrozumiał, że to poważna sprawa i nie miejsce na żarty. Mały ludek, bez względu na to, jak bardzo sympatyczny, lubi płatać figle. Nawet własnym przyjaciołom. Chciałem się upewnić, że ten nie spłata nam figła.

— W tej sytuacji nie odważy się robić głupich psot.

— Tutaj się mylisz — powiedział pustelnik Andrew. — Oni są zawsze gotowi do płatania figli, i to bardzo złośliwych. Ja też go będę miał na oku. Jeśli Conrad nie poderżnie mu gardła, gdyby zaszła potrzeba, rozwalę mu łeb swoją laską.

## 9

Miałem rację w kościele, powiedział do siebie Duncan. Nie wolno tu zostać ani chwili dłużej. Zmarnowali już sporo czasu, czuł zaś jakimś zmysłem, że czas może mieć wielkie znaczenie.

Siedział oparty plecami o ścianę jaskini. Podciągnięty wysoko, ciężki koc okrywał mu połowę ciała. Malutki leżał w poprzek wejścia. Na zewnątrz, tuż za jaskinią, tupał kopytami Daniel i słychać było kroki spacerującej Pięknej. W kącie potężnie chrapał Conrad, sapiąc między poszczególnymi chrapnięciami. Pustelnik Andrew owinął się kocem na sienniku i mamrotał coś przez sen. Duch zniknął.

Moglibyśmy oczywiście wrócić z Conradem, myślał Duncan. Zjawić się z powrotem w Domu Standishów. I nikt nie miałby do nas pretensji. Od początku plan polegał na tym, że mała grupka, poruszająca się cicho i szybko, zdoła się prześlizgnąć niepostrzeżenie przez Spustoszoną Krainę. Teraz misja wydawała się nierealna. Warunki zmieniały się w taki sposób, jak gdyby dążyły do jej uniemożliwienia. Bardziej prawdopodobne, że od początku nie miała szans powodzenia. Starcie z bezwłosymi ujawniło ich obecność. Wyprawa Rozbójnika, który ruszył w ślad za nimi, zaalarmowała Oprawców. Duncan był ciekaw, jaki los spotkał Rozbójnika i jego bandę. Jeśli źle skończyli, to nic dziwnego, bo była to zgraja nikczemników i partaczy.

Nie podoba mi się to, myślał. Całe przedsięwzięcie wyszło na opak. Po namyśle doszedł do wniosku, że między innymi nie podobali mu się nowi ochotnicy. Duch był okropny, ale na ducha niewiele dało się poradzić. Najgorszy był pustelnik. Starzec ze skłonnościami

do intrygowania, a na dodatek tchórz. Powtarza, że chce być rycerzem Pana, i człowiekowi brak argumentów, aby go odwieść od wchodzenia innym w drogę. Rzecz w tym, że jak dotąd nikomu nie wszedł w drogę. Gdyby się z nimi zabrał, będzie się plątać pod nogami na każdym kroku. Ale co można poradzić? Oznajmić mu, że nie może iść? Że nie ma dlań miejsca? Powiedzieć mu to wszystko po tym, gdy skorzystali z jego gościny?

Może niepotrzebnie się denerwuję, myślał, a nie ma powodu do niepokoju. Dziesięć do jednego, że pustelnik się wyłga, w ostatnim momencie uzna, że z jakichś naglących powodów nie może opuścić celi.

A Nochal, skrzat, co z nim? Zapewne nie należy mu ufać, choć miał kilka argumentów na swą korzyść. Trzeba będzie dokładnie mu się przyjrzeć. Można to zostawić Conradowi. Nochal chyba strasznie boi się Conrada, i ma powody. Conrad nie żartował, kiedy groził mu podejrzeniem gardła. Conrad nigdy nie żartuje.

Co robić, wobec tego? Iść dalej czy zawrócić? Są racje przemawiające za poniechaniem wyprawy. Nie żądano od nich, by stawili czoło wielkiemu niebezpieczeństwu, kładli głowy pod topór, kontynuowali wyprawę bez względu na ryzyko.

A stawka była wysoka. Sędziwy uczoney z Oxenfordu musi zobaczyć manuskrypt, więc jeśli teraz zawrócą, istnieje obawa, że nigdy go nie zobaczy. Mędrzec jest już stary, jego dni są policzone, powiedział Jego Dostojność.

Myśląc o tym teraz, Duncan przypomniał sobie inne słowa Jego Dostojności wypowiedziane owego wieczoru w bibliotece Domu Standishów.

— Światło cywilizacji gaśnie — rzekł arcybiskup. — Gaśnie nad całą Europą. Mam przeczucie, że pogrążamy się na powrót w mrokach przeszłości. — Kiedy wszystko zostało już powiedziane i zdecydowane, być może Jego Dostojność okazał znaczną dewocję i gadatliwość, ale przecież nie głupotę. Skoro z całą powagą wypowiedział myśl, że gaśnie światło cywilizacji, to widocznie ono

gaśnie i na powrót zapada dawny mrok.

Jego Dostojność nie mówił, że potwierdzenie autentyczności manuskryptu odegra rolę w powstrzymaniu mroku, a jednak byłyby pewne konsekwencje, o ile dobrze pamiętał Duncan. Bo jeśli uda się dowieść ponad wszelką wątpliwość, że człowiek imieniem Jezus naprawdę chodził po Ziemi dwa tysiące lat temu, jeśli uda się potwierdzić, że wypowiedział słowa, które włożono w Jego usta, zmarł w taki sposób i w takim duchu, jak podają Ewangelie, wówczas Kościół się wzmocni. A wzmocniony Kościół będzie potęgą zdolną do powstrzymania ciemności, o których wspominał arcybiskup. Od blisko dwóch tysięcy lat Kościół stanowi jedyną wielką siłę, która otwarcie wypowiada się za czystością obyczajów i dobrocią, stanowiąc opokę wśród panującego chaosu, podtrzymując w ludziach resztkę nadziei, która może dać ukojenie w obliczu czarnej beznadziejności.

A co będzie, zadawał sobie pytanie, jeśli człowiek z Oxenfordu obejrzawszy manuskrypt oznajmi, że jest on bezwartościowy, fałszywy, że stanowi okrutną kpinę z ludzkości? Duncan przymknął oczy i zacisnąwszy je z całej siły, potrząsnął głową. Nie wolno o tym myśleć. Tak czy owak, wiarę trzeba zachować. Wyprawa z manuskrytem jest ryzykiem, które należało podjąć, rzekł do siebie z absolutną szczerością.

Leżał opierając głowę o ziemną ścianę i przeżywał męczarnie. Nie był człowiekiem pobożnym, czuł jednak, że należy do Kościoła. To było dziedzictwo, którego nie mógł ignorować. Niemal czterdzieści pokoleń jego przodków było chrześcijanami tego czy innego wyznania. Niektórzy bardzo pobożnymi, inni mniej, lecz wszakże chrześcijanami. Społecznością, która stawiała opór wrzaskliwemu i szyderczemu światu pogańskiemu. A tutaj była wreszcie szansa na zadanie ciosu w imieniu Chrystusa, szansa, jakiej nie miał żaden Standish. Wiedział już, że w żaden sposób nie może cofnąć się przed obowiązkiem, który na nim spoczywa. Nie ulegało kwestii, że musi iść dalej. Wiara, jakkolwiek mała, stanowiła nieodłączną część Duncana, jego duszę i ciało. Nie było co do tego wątpliwości.



# 10

Nochala nie było w kościele. Szukali go, nawoływali, czekali, ale się nie pojawił. W końcu poszli bez niego. Malutki zajął miejsce na szpicy, biegnąc daleko w przodzie. Pustelnik maszerował obok Pięknej parę kroków za Conradem, pochód zamykali Duncan i Daniel.

Andrew cały czas utyskiwał na skrzata.

— Powinniście się cieszyć, że nie przyszedł — powiedział do Duncana. — Wierz mi, nie znajdziecie w nim prawdy. Im nie można ufać. To fałszywa nacja.

— Gdyby był z nami — odrzekł Duncan — moglibyśmy go mieć na oku.

— Na oku, a jakże. Takiego przebiegłego typka. Potrafi zjawić się i zniknąć bez zwracania na siebie uwagi. A co zrobisz z pozostałymi?

— Z pozostałymi?

— Tak. Z resztą skrzatów. Zbieraniną krasnali, chochlików, gnomów, trolli, wilkołaków i innych takich jak on.

— Mówisz tak, jakby się tu od nich roiło.

— Jest ich tyle co włosów na psie albo i więcej. I pewnie coś knują. Każdy jeden. One nas nienawidzą.

— Nochal mówił, że Oprawców nienawidzą jeszcze bardziej.

— Na waszym miejscu — rzekł pustelnik — nie dałbym za to głowy. A właśnie to robimy, dajemy nasze głowy za to, co powiedział skrzat.

— Ale kiedy pokazywał nam najszybszą i najłatwiejszą drogę, nie zaprzeczyłeś ani nie poprawiłeś go.

— Skrzat miał rację — stwierdził pustelnik. — To najłatwiejsza

droga. Czy najbardziej bezpieczna, to się jeszcze okaże.

Szli wąską, gęsto porośniętą drzewami kotliną. W kamienistym korycie szemrał i bulgotał potok, który brał początek w źródelku niedaleko jaskini pustelnika.

Kiedy kotlina rozszerzyła się, napotkali kilka małych zagród. Niektóre były doszczętnie spalone, z innych pozostały zwęglone belki albo komin. Dojrzałe zboże leżało w pokosach na polu, ciężkie kłosa z ziarnem lgnęły do ziemi pod ciosami deszczu i wiatru. Drzewa owocowe były ścięte.

Duch się nie pokazywał, choć Duncanowi wydawało się niekiedy, że widzi go, jak przemyka wśród drzew porastających zbocza nad doliną.

— Widziałeś Ducha? — spytał pustelnika. — Idzie z nami?

— Skąd mam wiedzieć? — odburknął Andrew. — Któż może wiedzieć, co zamyśla Duch?

Szedł ciężkim krokiem przed siebie, złorzecząc i uderzając z gniewem o ziemię swoim kijem.

— Dlaczego nie zawrócisz, skoro nie chcesz być tutaj? — zdziwił się Duncan.

— Może mi się nie to podoba — odparł — ale to moja pierwsza szansa na zostanie rycerzem Pana. Jeśli ją teraz zmarnuję, już nigdy mogę nie mieć drugiej szansy.

— Jak sobie życzysz.

W południe zatrzymali się na krótki odpoczynek i skromny posiłek.

— Czemu nie jedziesz konno? — spytał Duncana eremita. — Gdybym miał konia, oszczędzałbym stopy.

— Dosiądę go, gdy przyjdzie na to czas.

— A kiedy to nastąpi?

— Kiedy on i ja będziemy mogli współdziałać jako zespół bojowy. To nie jest koń wierzchowy; to koń wojenny, ćwiczony do boju. Będzie walczył ze mną lub beze mnie.

Andrew mruknął coś gderliwie. Gderał przez cały czas od chwili, gdy ruszyli w drogę.

— Nie podoba mi się to — odezwał się Conrad. — Jest zbyt cicho.

— Powinieneś się cieszyć — rzekł pustelnik.

— Malutki da nam znać, gdyby ktoś się pokazał — powiedział Duncan.

Conrad przyłożył maczugę do ziemi i począł żłobić w niej rowek.

— Wiedzą, że tu jesteśmy — powiedział. — Czają się gdzieś w pobliżu.

Gdy znowu podjęli marsz, Duncan przyłapał się na tym, że jest mniej uważny niż rankiem po wyjściu z jaskini pustelnika. Mimo sporadycznych wypalonych domostw i ogólnego braku życia, coraz szersza i mniej dzika dolina miała w sobie spokój i urok. Wpadał w złość, ilekroć stwierdził u siebie brak czujności, ale po kilku chwilach roztargnienie wracało. Ostatecznie, powtarzał sobie, Malutki przeprowadza rekonesans. Da im znać w razie czego.

Kiedy nieuwaga mijała, przyłapywał się na spoglądaniu w niebo, nie zaś na otaczające wzgórza. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim uświadomił sobie, że wypatruje Diany i jej gryfa. Dokąd mogła odlecieć, zadawał sobie pytanie, i co ważniejsze — dlaczego? Kim była? Gdyby miał czas, mógłby spróbować dowiedzieć się tego, ale czasu nie miał. Ciekawe, że tak bardzo interesowała się Wulfertem, nieżyjącym od stuleci czarodziejem, którego grób porastała pleśń. Bardziej niż prawdopodobne, że szukała klejnotu Wulferta, a nie jego samego, aczkolwiek nie było na to dowodu. Czuł kanty błyskotki, którą wrzucił do sakiewki przy pasie. To logiczne, że szukała klejnotu, powtarzał sobie. Z kości Wulferta nikt nie odniesie żadnego pożytku. Szkoda, że nie przyjrzał się błyskotce; kto wie, czy nie znalazłby jakiejś wskazówki co do jej przeznaczenia? Aczkolwiek, myślał, mogłoby go spotkać nieszczęście. Andrew nazwał ją maszyną piekielną. Ale jego słów można nie brać na serio, gdyż właśnie takiej reakcji należało oczekiwać od pustelnika. Jeśli to była maszyna, jak orzekł eremita, piekielna czy nie, to on, Duncan Standish, nie miał pojęcia o maszynach. Prawdę mówiąc, pomyślał z ulgą, niewielu ludzi je ma.

Z opuszczoną głową wpadł na zad Pięknej. Zaskoczony cofnął się.

Mała oślica podniosła łeb, zerkając nań do tyłu, a potem wierzgnęła figlarnie i trafiła go w kolano. To było delikatne kopnięcie, z niedużą siłą. Spozrzegł, że wszyscy przystanęli i spoglądają w głąb doliny. Nadchodziła jakaś stara kobieta. Kuśtykała, powłóczyła nogą i głośno złorzeczyła. Za nieznajomą biegł Malutki, nie pozwalając jej się zatrzymać.

— Malutki znalazł coś dla siebie — rzekł Duncan z dumą.

Nikt więcej się nie odezwał. Duncan wyszedł naprzód i dołączył do Conrada.

Staruszka podeszła bliżej i usiadła ciężko na ziemi, podciągając szmaty, które miała na sobie. To była wiedźma o haczykowatym nosie, z którego wyrastały włoski niczym pajęczne nogi. Jeszcze więcej włosów rośło na podbródku. Miała tylko kilka zębów, a na oczy spadała jej siwa czupryna.

— Zabierajcie swojego brytana! — wrzasnęła z piskiem. — Pogania mnie jak krowę. Kulturalnie, muszę przyznać, bo nie odgryzł mi ani jednego kawałka biednego ciała, do czego, jak myślę, jest zdolny. Lecz wyrzucił mnie z parszywej nory, którą zwę swoim domem, i zapędził w dolinę. A ja tego nie lubię. Nie lubię, żeby mnie pędzić. Szkoda, że nie mam tyle mocy co kiedyś, bobym go zbiła na kwaśne jabłko. Niestety, nie mam. Zabrali mi wszystko, co zgromadziłam — krew sowy, mózg nietoperza, ślepie trytonów, skórę ropuchy, popiół ze stosu czarownicy, ząb psa, który pogryzł księdza...

— Wystarczy, babciu — przerwał jej Duncan. — Któż to zabrał ci te wszystkie skarby?

— No jakżeż, Oprawcy — odparła. — Nie tylko je zabrali, ale na dodatek naśmiewali się ze mnie okrutnie. Tak, właśnie tak się naśmiewali — okrutnie. A potem skopali boleśnie mój wielki tyłek i wrzucili pochodnie do mej skromnej chatki.

— Masz szczęście, że cię nie powiesili ani nie wrzucili w ogień — stwierdził Andrew.

Splunęła z obrzydzeniem na ziemię.

— Zbiry! — krzyknęła. — Bestie! A ja prawie zaliczam się do nich.

Jestem prawie jedną z nich. Zhańbili mnie, po prostu zhańbili. Krótko mówiąc, stwierdzili, że szkoda na mnie kawałka sznura i fatygi z ogniem.

— Powinnaś się cieszyć, że cię tylko zhańbili — rzekł pustelnik. — Hańba lepsza od śmierci.

— A tak ciężko harowałam — lamentowała. — Tyle lat. Starłam się zdobyć zawodową reputację jako wiedźma, na której klienci mogą polegać. Studiowałam kabałę i ćwiczyłam — ćwiczyłam bez końca, by doskonalić swoją sztukę. Tyrałam i szukałam ciągle materiałów potrzebnych w moim rzemiośle. Ze wstrętem wspominam nocne godziny na cmentarzu, spędzone na zbieraniu rozmaitej pleśni grobowej...

— Napracowałam się, aby zostać wiedźmą — przyznał Conrad.

— Żebyś wiedział, kochasiu. Była ze mnie uczciwa wiedźma. Uczciwa, a uczciwych wiedźm jak na lekarstwo. Podła, być może. Wiedźma musi być podła. Bo inaczej nie będzie wiedźmą. Podła, ale uczciwa.

Spojrzała na Duncana.

— No, mój panie, czyżbyś chciał mnie przebić tym ogromnym mieczem...

— Ani myślę — odrzekł. — Inną wiedźmę, kto wie, ale nie uczciwą.

— Co chcesz ze mną zrobić? Przecież twój pies przyprowadził mnie tutaj. Pytam, co ze mną zrobisz?

— Po pierwsze, dam ci jeść. To znaczy, jeśli czujesz głód. Wyglądasz, że raczej tak. Czy nie można okazać trochę uprzejmości porządnej wiedźmie, która wpadła w tarapaty?

— Pożałujesz tej uprzejmości — przestrzegł go pustelnik. — Zabawiaj się z wiedźmami, a niechybnie przesiąkniesz ich magią.

— Ależ ona przestała być groźna — zaprotestował Duncan. — Słyszałeś, co powiedziała. Straciła wszystkie rekwizyty. Nie ma czym pracować.

Malutki siedział na ziemi i zerkał szyderczo na babinę. Zachowywał się tak, jakby uważał ją za swoją własność.

— Zabierz ode mnie tę dziką bestię — powiedziała. — Ukrywa pod pozorną wesołością złośliwe spojrzenie.

— Malutki nie jest złośliwym psem — rzekł Conrad. — Ma dobry charakter. Inaczej nie miałabyś już ręki albo nogi.

Kobieta oparła się dłońmi o ziemię i próbowała się podnieść.

— Proszę — rzekł Conrad, wyciągając rękę. Chwyciła ją i Conrad pomógł jej wstać. Otrząsnęła się, by szmaty opadły na swoje miejsce.

— Po prawdzie, jesteście dobrze wychowani. Jeden nie przebija mnie mieczem, a drugi pomaga mi wstać. Stara Meg wam dziękuje.

Przeniosła wzrok na pustelnika.

— Nie wiem, co do niego — dodała. — To jakiś zgorzkniały typek, w najlepszym razie.

— Nie zwracaj nań uwagi — rzekł Duncan. — To stary pustelnik i ma za sobą ciężki dzień.

— Nie gustuję w wiedźmach — oznajmił eremita. — Powiem wam to bez ogródek. Ani w skrzatach, ani w krasnalach, ani w czarodziejach, ani w im podobnych. Za dużo kręci się ich po świecie, na którym żyjemy. Lepiej byłoby bez nich.

— Wspomniałeś coś o jedzeniu — powiedziała Meg, wiedźma.

— Zostały nam jakieś dwie godziny drogi do zachodu słońca — odparł Duncan. — Możesz tyle poczekać?

— Mam w kieszeni trochę sera — rzekł pustelnik. — Noszę go na wypadek, gdybym poczuł się słabo. Jak chce, to może go zjeść.

— Ależ Andrew, wydawało mi się...

— Oddaję go kobiecie — odparł pustelnik. — Nie wiedźmie. Głodnego nakarmić...

Wyciągnął kawałek sera i Meg wzięła go nieśmiało, jeśli tego rodzaju istota może być nieśmiała.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedziała.

— Nie przyjmuję twego błogosławieństwa — odrzekł sztywno pustelnik.

# 11

Rozbili obóz dobrze przed zachodem słońca. Nazbierali drewna, rozpalili ognisko, przynieśli wodę.

— Nie ma powodu unikać ognia — rzekł Duncan. — Jeśli ktoś tu jest, już wie o naszej obecności.

Meg jechała na Danielu. Zrazu koń stawał dęba, kiedy pierwszy raz podsadzono ją na siodło, ale później uspokoił się, idąc wolnym tempem i dostosowując się do worka kości, który wiózł na grzbiecie.

Conrad kucnął przed ogniskiem i odgarnąwszy żarzące węgielki na jedną stronę, piekł owsiane placki z plasterkami boczku.

Obóz znajdował się na skraju zagajnika. Za piaszczystym pasem ziemi przed nimi płynął strumień.

Skończyli jeść, kiedy okolicę zaczynały ogarniać ciemności. W niedługi czas potem zjawił się Duch.

— A, jesteś — powiedział Andrew. — Byliśmy ciekawi, gdzie się podziewasz.

— Z wielkim lękiem, a jednak przebyłem duży obszar — odparł Duch. — Przy świetle dziennym, które nie sprawia mi przyjemności. Badałem okolicę.

— Jak daleko się udałeś? — zapytał Duncan.

— Aż na skraj bagien. Dalej się nie zapuszczałem. Upiorne miejsce.

— Sam jesteś upiorem — zauważył Conrad.

— Duchem — poprawił go sztywno Duch. — Nie upiorem. Jest pewna różnica.

— Nic nie widziałeś, rzecz jasna. Malutkiego też nie było cały

dzień.

— Kręci się kilka osobników, których nazywacie bezwłosymi — powiedział Duch. — Bardzo niewielu. Na wschodzie, kilka mil na wschód. Parę małych grup. Dotrzymują wam kroku. Podążają w tym samym kierunku.

— Jak to możliwe, że Malutki ich nie zauważył?

— Widocznie przemykam szybciej od psa. Ponad górą i doliną. Ale w strachu. W wielkim strachu. W usposobieniu duchów nie leży przebywanie pod gołym niebem. Ich właściwą domeną jest zamknięta przestrzeń, osłonięta przed firmamentem.

— Mogą nawet nie wiedzieć, że tu jesteśmy — zauważył pustelnik.

Duncan pokręcił przecząco głową.

— Obawiam się, że wiedzą. Inaczej poruszałiby się tą samą łatwą drogą, zamiast pokonywać wzgórze. Mam wrażenie, że jesteśmy zapędzani, trochę dyskretniej niż Meg przez Malutkiego. Wiedzą, że nie możemy iść na zachód z powodu bagien. Pilnują, abyśmy nie skręcili na wschód.

Wiedźma Meg pociągnęła Duncana za rękaw.

— Panie — rzekła. — Tamci inni.

— O co chodzi, babciu? Jacy tamci?

— Ci inni niż bezwłosi. Są niedaleko. Czają się w ciemności. To właśnie oni śmieją się okrutnie, kiedy doprowadzają człowieka do zguby.

— Gdyby ktoś tam był — sprzeciwił się Conrad — gdyby ktoś znajdował się w pobliżu, Malutki wiedziałby o tym i ostrzegł nas.

Malutki leżał przy ogniu z nosem na wyciągniętych łapach. Nic nie wskazywało, aby o czymkolwiek wiedział.

— Pies może nie wiedzieć — stwierdziła Meg. — Macie tu do czynienia z czymś o wiele subtelniejszym, z dużo większą zdolnością do czynienia zła i podłości niż nieszczęścia, na które napotykać w zwykłym biegu wydarzeń. To są...

— Ale Rozbójnik wspominał o diabłach i demonach — zauważył Conrad. — On musi wiedzieć. Walczył z nimi.



— Używał takich określeń, jakie zna — powiedziała Meg. — Nie miał nazw dla tych, których spotyka się rzadziej niż diabły i demony. Może pojawiały się przy okazji jakies diabły i demony, bo Horda nęci tłumy biesów, dołącza do niej wszelkie zło normalnego rodzaju, tak jak gromady zwykłych łapserdaków ciągną za wojskiem.

— Lecz ty nie dołączyłaś — zauważył Duncan. — A powiedziałaś, że jesteś zła. Trochę zła, dodałaś. Że musiałaś być trochę zła, byś w ogóle mogła zostać wiedźmą.

— Widzę, że poznaliście się na mnie — odparła. — Ja tylko próbuję być zła. Byłabym, gdybym potrafiła, bo dzięki temu miałabym większą moc. Ale tylko próbuję. Czasami uważałam się za bardziej złą, niż jestem, i nie bałam się w czasie najazdu Hordy, gdyż byłam pewna, że mnie rozpoznają i zostawią w spokoju, albo wyuczą większego zła. Ale nie uczynili tego. Ukradli mi wszystkie amulety, spalili chatę i dali kopniaka w tyłek. Nader nieuprzejmy sposób potraktowania biednego stworzenia, które dokładało wszelkich swoich skromnych starań, aby im dorównać.

— I nie czujesz wstydu za to dążenie do zła? Uważasz za właściwe, że stajesz się złym człowiekiem?

— Jedyne lepszym w wykonywaniu swej profesji — odparła Meg bez śladu wstydu. — Jeśli człowiek przystępuje do pracy na całe życie, to logiczne, że stara się ze wszystkich sił, bez względu na to, dokąd go zaprowadzi jego sztuka.

— Nie jestem pewny, czy cię do końca rozumiem — powiedział Duncan.

— Wiedziałem, że nie jesteś zła, kiedy pierwszy raz spojrzałem na ciebie — oznajmił Conrad. — W twych oczach nie czaiło się zło. Nie więcej niż u skrzatów i krasnali.

— Niektórzy wierzą, że skrzaty i krasnale są lekko skażone złem — zauważył sztywno Andrew.

— Ależ to nieprawda — upierał się Conrad. — Należą do ludków zajmujących się drobną magią, gdy my natomiast wcale jej nie znamy.

— Mogę się obyć bez ich drobnej magii — stwierdził Andrew. —

Omali nie zadreczyły mnie na śmierć z jej pomocą.

— Mówisz, że w pobliżu kręcą się przedstawiciele owego większego Zła, właśnie teraz, wokół obozu? — zwrócił się Duncan do Meg. — Że pies może nie zdołać ich wytropić?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Mógł wpaść na ich ślad i zbagatelizować go. Nie zwrócić na nich większej uwagi, bo nie wie, czym są. Ale stara Meg ich wyczuwa, choć niezwykle słabo, a dobrze wie, czym są.

— Jesteś tego pewna?

— Jestem pewna — odparła.

— W takim razie nie możemy polegać wyłącznie na Malutkim i zostawić go samego na straży, tak jak zamierzaliśmy. Musimy zachować czujność przez całą noc. Ja obejmę pierwszą straż. Conrad drugą.

— Pomijacie mnie — zaprotestował z gniewem eremita. — Domagam się mojego prawa do udziału w warcie. Jestem w końcu rycerzem Pana. Dzielę z wami niebezpieczeństwa.

— Ty odpoczniesz — rzekł Duncan. — Jutro czeka cię ciężki dzień.

— Nie cięższy od tego, który czeka ciebie i Conrada.

— A jednak odpoczniesz — powtórzył. — Nie możemy wstrzymać marszu z twojego powodu. Poza tym musisz mieć bystry umysł i wyostrzone zmysły, by wskazywać drogę w razie wątpliwości.

— To prawda, że znam szlak — przyznał eremita. — Ponieważ chodziłem nim wiele razy, kiedy byłem młodszy. Ale on nie przedstawia żadnych problemów. Każdy głupiec może go przebyć.

— Mimo to nalegam, byś odpoczął.

Pustelnik nie odezwał się już, usiadł przy ognisku i mamrotał coś pod nosem.

Poszedł spać ostatni. Conrad rozpostarł koc i naciągnawszy go na siebie natychmiast zaczął chrapać. Meg zwinęła się w kłębek obok siodła i tobołków i spała jak niemowlę, pochlipując od czasu do czasu. Daniel położył się spać na prawym boku. Piękna zasnęła na stojąco z opuszczoną głową, dotykając prawie nosem do ziemi. Malutki

drzemał obok ogniska, wstając czasami, aby przemaszerować na sztywnych nogach wokół biwaku. Warczał z cicha, ale nie dawał oznak, że cokolwiek obudziło jego czujność.

Duncan siedział przy ognisku obok Malutkiego i nie miał żadnych kłopotów z czuwaniem. Niepokój napinał mu nerwy, a ilekroć usiłował go opanować, ten nie chciał ustąpić. Nic dziwnego, powtarzał sobie, po tej całej gadaninie Meg o nadciąganiu Zła. Lecz jeśli w pobliżu czaiło się Zło, on nie potrafił go wykryć. Jeśli faktycznie się czaiło, to ani nie szeleściło w zaroślach, ani nie wydawało żadnego dźwięku. Nasłuchiwał uważnie odgłosu kroków — stawianych na nogach, łapach lub kopytach — ale panowała kompletna cisza.

Ziemia drzemała w przejrzystej poświacie księżyca. Nie było wiatru, liście wisały w bezruchu i milczeniu. Jedynym dźwiękiem było delikatne bulgotanie wody przepływającej po krótkim pasie żwiru między dwiema sadzawkami. Od czasu do czasu dawało się słyszeć dalekie pohukiwanie sowy.

Przycisnął palcami torbę wiszącą przy pasie i usłyszał delikatny szelest pergaminu. Dla tak kruchego przedmiotu jak tych kilka kartek, myślał, on, Conrad i pozostali — nie wiedząc o tym — maszerowali w głąb Spustoszonej Krainy, gdzie Bóg jeden wiedział, co ich czekało. Kruchy przedmiot, a zarazem magiczny? Magiczny przez to, że jeśli okaże się autentyczny, wówczas Kościół umocni się i więcej ludzi przyjmie wiarę, a świat stanie się kiedyś lepszym miejscem do życia. Horda dysponowała swoimi złymi czarami, Ludek swoją drobną magią, lecz te arkusze pergaminu w ostatecznym rachunku mogą się okazać najbardziej magiczne z nich wszystkich. Skłonił głowę i pomodlił się o to bezgłośnie.

Wreszcie podczas modlitwy usłyszał jakiś dźwięk i przez długą chwilę nie był pewny, co to było. Dobiegał z daleka i był tak stłumiony, że początkowo nie wydawał się dźwiękiem. Duncan wyteżył słuch, echo zrobiło się bardziej wyraźne i czytelne. Daleki tętent kopyt, niezaprzeczalny tętent końskich kopyt, a teraz nowy odgłos, odległe ujadanie psów.

Aczkolwiek ciche, dźwięki były czyste i wyraźne. Nie było co do tego wątpliwości: rytmiczny tętent rozjuszzonego konia i ujadanie psów, a od czasu do czasu nawoływanie człowieka bądź ludzi.

Dziwna rzecz, dźwięk zdawał się dochodzić z nieba. Spojrzał do góry na skąpany w gwiazdach, przesiąknięty poświatą księżyca nieboskłon i nie zobaczył niczego. A jednak odgłosy zdawały się dochodzić właśnie stamtąd.

Trwało to tylko kilka chwil, a potem wszystko się skończyło i zapadła nocna cisza.

Wstawszy uprzednio w celu obserwacji nieba, Duncan usiadł z powrotem. Obok niego cicho warczał Malutki z pyskiem skierowanym do góry. Poklepał go po łbie.

— Ty też słyszałeś — rzekł. Malutki przestał warczeć i rozluźnił się.

Nieco później Duncan podniósł się na nogi i poszedł w kierunku potoku. Wziął ze sobą kubek, aby napić się wody. Kiedy przykucnął obok strumienia, w sadzawce nad jego głową skoczyła ryba, druzgocząc ciszę. Pstrąg? — zdziwił się. W tym potoku pływają pstrągi. Gdyby mieli czas, mogą rankiem spróbować złapać kilka na śniadanie. Gdyby mieli czas, to znaczy, jeśli to nie potrwa zbyt długo. Ponieważ nie było czasu do stracenia. Im szybciej ruszą w drogę, im prędzej przedostaną się przez Spustoszoną Krainę, tym lepiej.

Gdy księżyc opadł wyraźnie ku zachodowi, Duncan zbudził Conrada. Ten natychmiast stanął na nogach, nie wykazując oznak senności.

— Wszystko w porządku, milordzie?

— W jak najlepszym — odparł. — Nic się nie dzieje.

Nie wspomniał o tętencie kopyt i ujadaniu na niebie. Kiedy ułożył w myślach słowa, którymi miał to opisać, zabrzmiały tak głupio, że wolał ich nie wypowiadać.

— Obudź mnie trochę wcześniej — rzekł. — Postaram się złapać kilka pstrągów na śniadanie.

Zwinął pelerynę i użył jej jako poduszki. Wyciągnął się na ziemi, okrywając ciało kocem. Leżał na wznak i spoglądał w niebo, ścisnął palcami miękką irchową torbę, słuchając delikatnego szelestu manuskryptu. Zacisnął mocno oczy, próbując w ten sposób zmusić się do snu, lecz za zamkniętymi powiekami pojawiał się mimowolnie — w gruncie rzeczy wbrew jego woli — obraz, którego nie mógł zrozumieć. Po chwili jednak zdał sobie jasno sprawę ze wszystkiego, co przy pełnej aktywności jego wyobraźni ukazywało mu oko duszy. Usiłował to przegnać niecierpliwie, lecz wizja nie chciała ustąpić. Obojętnie jak bardzo się starał, wytwór wyobraźni nie chciał zniknąć. Duncan przekręcił się na bok i otworzył oczy. Zobaczył ognisko i leżącego przy nim Malutkiego. Majaczyła nad nim sylwetka Conrada.

Zamknął oczy z postanowieniem, że tym razem zaśnie. Ale wyobraźnia z uporem roztaczała przed nim widok niepozornego człowieczka, biegającego tam i z powrotem, aby zobaczyć i usłyszeć wszystko, co można zobaczyć i usłyszeć wśród garstki ludzi towarzyszących wysokiej i świątobliwej postaci. Ludzie ci, wszyscy bez wyjątku, świątobliwy mąż oraz jego uczniowie, byli młodzi, choć zbyt markotni jak na swoje lata, zanadto przejęci, z dziwnym blaskiem w oczach. Pochodzili z ludu, oczywiście, gdyż nosili postrzępione odzienie, i choć kilku z nich miało na nogach sandały, reszta chodziła boso. Czasami grupka była sama, niekiedy wokoło gromadziły się tłumy, chcące popatrzeć z bliska na świątobliwego męża, nadstawiające uszu na to, co może powiedzieć.

I wszędzie, krążąc na skraju tłumów, lub śledząc każdy krok małej grupki, gdy była sama, krzątał się ów tajemniczy człowiek. Nigdy w środku grupy, zawsze obok niej, słuchając z takim nateżeniem, że jego uszy zdawały się obracać ku przodowi, aby nie uronić ani jednego słowa. Miał błyszczące, bystre, niemal łasicze oczy, zmrużone pod pustynne słońce, ale uważnie patrzące, by nie przegapić najmniejszego ruchu.

Później zaś, kuląc się pod jakimś kamieniem bądź przykucając obok małego ogniska, notował w głuchą noc wszystko, co widział

i słyszał. Pisał drobnym maczkiem, by starczyło mu pergaminu, wykorzystując każdy skrawek do skreślenia z mozołem swoich liter, wykręcając twarz i zaciskając drobne usta z wysiłku, ażeby słowa brzmiały dokładnie tak, jak powinny, relacjonując nimi wszystko, czego był świadkiem.

Duncan starał się nadaremnie uzyskać dokładny obraz tego przemykającego chyłkiem mężczyzny. Chciał mu spojrzeć w twarz i ocenić, co to za człowiek. Nie udawało mu się jednak tego dokonać. Ilekroć sądził, że za chwilę ujrzy jego twarz, ta natychmiast chowała się w cieniu, albo obracała w drugą stronę. Był to mężczyzna niski, niemal przysadzisty. Chodził boso i miał mnóstwo ran na stopach od pustynnych skał i kamieni. Jego odzienie stanowiły zakurzone łąchmany. Były tak podarte, że musiał stale je podciągać, aby przykryć swe kościste nagie ciało. Włosy miał długie i zmierzwione, brodę rzadką, nie strzyżoną. Nie należał do ludzi, którym przypadkowy obserwator zechciałby poświęcić więcej niż jedno spojrzenie. Był nikim. Ginał w tłumie. Był nierozpoznawalnym i nie posiadającym żadnego znaczenia pionkiem w masie innych ludzi, osobnikiem tak nie rzucającym się w oczy, iż nie zwracał niczyjej uwagi. Nie było w nim nic, co mogłoby go wyróżniać pośród innych; wsiąkał w tłum i rozpływał się w nim.

Duncan pospieszył jego śladem. Próbował wytrwale, mozolnie, nadążyć za tajemniczym człowiekiem, starając się go okrążyć, stanąć przed nim i spojrzeć w jego twarz. Za każdym razem doznawał niepowodzenia. Wyglądał to tak, jakby ów konspirator wiedział o nim i umiejętnie schodził mu z drogi albo uciekał, ilekroć Duncan się zbliżał. A jednak spełzły na niczym wszelkie próby Duncana doszukania się jakichś przejawów tego, że tamten skromny człowieczek o nim wie.

Raptem ktoś potrzęsnał go za ramię, sycząc na znak, aby się nie odzywał. Duncan z wysiłkiem otworzył oczy i usiadł prosto. Obok niego kuczał Conrad. Jego na wpół zaciśnięta pięść unosiła się na wysokości twarzy Duncana, a wyciągnięty kciuk wskazywał

znacząco na drugą stronę dogasającego ognia w kierunku kręgu ciemności, która rozciągał się za strefą światła. Na obwodzie strefy pomiędzy światłem a ciemnością stał wyprostowany Malutki. Wyciągał daleko szyję, jakby ktoś trzymał go na smyczy. Jego wargi podwinęły się i obnażyły kły. Z gardła dobywało się głębokie warczenie.

W ciemności połyskiwały dwie szeroko rozmieszczone, ogniste kule, a pod nimi żabia paszcza obwiedziona rzędami lśniących zębów. A ponad tym wszystkim — zębami i kulami ognia — zarys głowy bądź twarzy tak straszliwego kształtu, o tak przerażającym zarysie, że umysł ją odrzucał, nie dając wiary w istnienie czegoś podobnego. Paszcza była żabia, ale oblicze — nie. Składało się z samych kątów i spadzistych płaszczyzn, nad nią zaś sterczał jakby grzebień. W momencie, kiedy Duncan na nią patrzył, w kącie paszczy pojawiła się ślina, śliniący się głód, tęskniący do ogniskowego światła, ale coś go powstrzymywało — być może warczący Malutki, a może coś innego.

Widział to tylko przez chwilę, a potem wszystko się zamazało. Kule ognia zniknęły, tak samo jak ostre i połyskujące zęby. Zarys oblicza, czy też szkic zarysu, trwał jeszcze, po czym również zniknął.

Malutki warknął głośniejszym głosem i ruszył przed siebie.

— Nie, Malutki — rzekł cicho Conrad. — Nie.

Duncan zerwał się na nogi.

— Byli tu mniej więcej przez godzinę — powiedział Conrad. — Włóczyli się w ciemności. Ale ten jest pierwszy, którego zobaczyliśmy.

— Dlaczego nie obudziłeś mnie wcześniej?

— Nie było potrzeby, milordzie. Malutki i ja czuwaliśmy. Oni nam się tylko przyglądali.

— Jak wielu? Tylko ten jeden?

— Chyba więcej. Niewielu.

Duncan dorzucił szczap do ognia. Malutki krążył dookoła strefy światła.

— Chodź. Uspokój się — powiedział Conrad do psa. — Dziś

w nocy już nie przyjdą.

— Skąd wiesz, że nie przyjdą? — zdziwił się Duncan.

— Bo już nas widzieli. I postanowili nie atakować tej nocy. Może później.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Nie wiem. To tylko domysły. Uczucie w kościach.

— Coś nam szykują — rzekł Duncan.

— Kto wie.

— Conradzie, chcesz wracać?

Ten uśmiechnął się zjadliwie.

— Akurat teraz, kiedy robi się przyjemnie? — spytał.

— Wcale nie żartuję. Zawisło nad nami niebezpieczeństwo. Nie chcę zaprowadzić was wszystkich w ramiona śmierci.

— A ty, milordzie?

— Pójdę dalej, rzecz jasna. Może samemu uda mi się dotrzeć do celu. Ale nie nalegam, abyś...

— Stary pan nakazał mi się tobą opiekować. Obedrze mnie ze żywcem ze skóry, jeśli wrócę sam.

— Tak, wiem — przyznał Duncan. — Nic się nie zmieniło od czasu, gdy byliśmy chłopcami.

— Pustelnik, może niech on wraca — podjął Conrad. — Stale marudzi, odkąd wyruszyliśmy.

— Andrew pasował się na rycerza Pana. Potrzebuje tego, by odzyskać szacunek dla samego siebie. Uważa, że jako pustelnik poniósł klęskę. Głupiec czuje strach, ale się nie cofnie, chyba że my też to zrobimy.

— Tak więc idziemy dalej — stwierdził Conrad. — Trzej towarzysze broni. A co z wiedźmą?

— Niech sama zdecyduje. Tak czy owak, niewiele ma do stracenia. Kiedy ją znaleźliśmy, nie miała nic.

A więc bez względu na to, co im powiedział Duch, myślał Duncan, nie tylko bezwłosi ich obserwowali i śledzili. Meg miała rację. Są tu inni, byli zapewne przez całą noc, obserwując ich z ciemności. Już



wtedy, gdy siedział przy ognisku na pierwszej warcie, znajdowali się w pobliżu bez jego wiedzy. Co gorsza, bez wiedzy Malutkiego. Jedyne wiedźma wiedziała. I jakkolwiek mogło się to wydawać dziwne, nie przejmowała się tym zanadto. Wiedziała, że są w pobliżu, a mimo to zwinęła się w kłębek przy siodle i spała jak niemowlę, pochlipując z cicha, co jeszcze bardziej upodobniało ją do małego dziecka.

Musiała jakoś przeczuwać, że nic im nie grozi, że atak nie nastąpi. Skąd mogła o tym wiedzieć, zadawał sobie pytanie, i dlaczego ich nie zaatakowano? Rozrzuceni bezładnie wokół ogniska stanowili łatwy cel. Wystarczył jeden szybki wypad z ciemności — taka mała grupka nie miała szans obrony.

Co dalej, jak obronią się przed nimi w najbliższych dniach? Z pewnością Horda zdecyduje się wreszcie ruszyć do ataku, aby ich zgładzić. Zachowają czujność, oczywiście, ale sama czujność nie wystarczy. Jeśli dostateczna liczba Oprawców będzie skłonna wyjść na spotkanie śmierci, mogą urzeczywistnić swój zamiar.

A jednak nie wolno mi się wycofać, powiedział w duchu. Niosę ze sobą pewien skarb, który może podtrzymać światło cywilizacji i odeprzeć mroki przeszłości. I jeśli się nie wycofam, Conrad również tego nie uczyni, ani pustelnik.

Zbliżał się świt. Ciemności rozpraszają się wśród drzew i było już widać prowadzące do lasu ścieżki. Nad obozowiskiem przeleciał z krzykiem sznur kaczek, udających się zapewne na ulubione żerowisko.

— Conradzie, widzisz coś dziwnego? — spytał.

— Dziwnego?

— Tak, w wyglądzie okolicy. Wydaje mi się, że coś jest nie tak. Kiedy wczoraj wieczorem stanęliśmy tu obozem, krajobraz wyglądał inaczej.

— To kwestia światła — odrzekł Conrad. — O brzasku wszystko wygląda inaczej.

To nie tylko światło brzasku, myślał Duncan. Próbował zlokalizować różnice, nie był jednak w stanie tego zrobić. Nie mógł

wskazać palcem na nic konkretnego. A jednak było inaczej. Drzewa były inne. Strumień był inny. Wrażenie rzeczywistości było inne. Jak gdyby ktoś ujął w ręce rzeźbę terenu i obrócił ją lekko, nie zmieniając za dużo, tylko na tyle, aby dało się to zauważyć, żeby obserwator miał uczucie, iż została odkształcona.

Andrew usiadł prosto, podpierając się na łokciach.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic się nie stało — burknął Conrad.

— Stało się. Wiem to. Czuję to w powietrzu.

— Mieliśmy gościa w nocy — rzekł Duncan. — Przyglądał się z zarośli.

— Gości było więcej — rzucił Conrad. — Tylko jeden się przyglądał.

Andrew wstał szybko z ziemi i chwycił za swój kij.

— A zatem wiedźma się nie myliła — powiedział.

— Ma się rozumieć — odezwała się wiedźma spod siodła i tobołów, gdzie leżała skulona. — Stara Meg nigdy się nie myli. Powiedziałam wam, że gdzieś się czają. Mówiłam, że nas obserwują.

Daniel skoczył na nogi, wykonał kilka szybkich susów w kierunku ogniska, po czym przystanął. Parskał dziko i grzebał kopytem w ziemi.

— Daniel też wie — rzekł Conrad.

— Wszyscy wiemy — stwierdził Andrew. — Co teraz?

— My idziemy dalej — odparł Conrad. — A ty, jeśli chcesz.

— Dlaczego sądzisz, że mógłbym nie iść?

Meg zrzuciła koc, podniosła się z ziemi i strzepnęła łachmany, aby nadać schludny wygląd swej sylwetce.

— Poszli sobie — oznajmiła. — Już nie wyczuwam ich obecności. Ale zaczarowali nas. Wpadliśmy w pułapkę. Zalatuje nią.

— Nie widzę żadnej pułapki — rzekł Conrad.

— To nie nas zaczarowano — stwierdził pustelnik. — Zaczarowano to miejsce.

— Skąd wiesz? — spytał Duncan.

— Cóż, ta jego osobliwość. Spójrz tam, tuż nad strumieniem.

W powietrzu widać drżącą tęczę.

Duncan spojrział. Nie widział drżącej tęczy w powietrzu.

— Ludek próbuje czasem takich sztuczek — powiedział Andrew — ale bardzo źle je robi. Jak prawie wszystko. To partacze.

— A Oprawcy nie?

— Oprawcy nie — odezwała się Meg. — Oni mają moc. Robią to jak należy.

To czyste szaleństwo, myślał Duncan, aby stać tutaj tak spokojnie twierdząc, że okolica jest pod działaniem czaru. A jednak, kto wie. Spostrzegł, iż rzeźba terenu obróciła się w dziwny sposób, tracąc na ostrości. Nie zauważył tęczy pustelnika, zobaczył jednak, że okolica jest lekko zwichnięta. Spoglądając na nią widział, że wciąż jest zwichnięta.

— Chyba musimy już iść — powiedział. — Śniadanie zjemy później. Jeśli ruszymy natychmiast, możemy się wydostać z tej osobliwości, którą nazywacie czarem. Z pewnością nie rozciąga się nad wielką połacią terenu.

— Dalej będzie jeszcze gorzej — rzekł pustelnik. — Jestem pewny, że przed nami leży głębszy czar. Jeśli zawrócimy, niebawem możemy uwolnić się spod niego.

— Oni tylko czekają, byśmy zawrócili — powiedział Conrad. — Bo inaczej po co było rzucać czar? My zaś pójdziemy dalej. Milord postanowił kontynuować wyprawę.

Sięgnął ręką po siodło i rzucił je na grzbiet czekającego Daniela.

— Chodź — powiedział do Pięknej. — Czas, aby cię objuczyć.

Oślica zastrzygła uszami i podbiegła klusem do stosu paczek.

— Nie ma potrzeby, aby szli wszyscy — rzekł Duncan. — Zdecydowaliśmy z Conradem, że idziemy. Ale wy nie musicie.

— Przecież już mówiłem, że pójdę — rzucił pustelnik.

Duncan skinął głową.

— Owszem, słyszałem. Byłem pewien, że tak zrobisz.

— Ja też — powiedziała Meg. — Zaiste, dziewczyna w moim wieku nie ma czego szukać na tym straszliwym pustkowiu. Poza tym

widziałam już gorsze czary.

— Nie wiadomo, co nas tam spotka — ostrzegł Duncan.

— Przynajmniej z wami nie jestem głodna. Jedzenie zaprzęta wszystkie myśli biednej poczciwiny, która już od dawna wegetuje na orzechach i korzonkach niczym dzika świnia ryjąca ziemię w lesie w poszukiwaniu obiadu. Jest też towarzystwo, którego wcześniej nie miałam.

— Nie ma czasu do stracenia — rzekł surowo Conrad. Pochwycił Meg w talii i wrzucił ją na siodło. — Trzymaj się.

Daniel stanął lekkiego dęba na powitanie jeźdźca. Conrad odezwał się jeszcze raz.

— Szukaj, Malutki — powiedział.

Pies pobiegł na szlak, tuż za nim ruszył Conrad. Piękna zajęła miejsce obok powłóczącego nogami pustelnika, bijącego o ziemię ruchliwym kijem. Daniel i Duncan zamykali pochód.

Czar się pogłębiał. Okolica stała się jeszcze bardziej dzika. Olbrzymie dęby rosły zwartymi koloniami, podszycie było coraz gęstsze i dookoła rozciągała się nierzeczywistość, która kazała człowiekowi wątpić zarówno w istnienie owych dębów i podszycia, jak i w to, czy kamienie miały tak grubą warstwę porostów i odwieczny wygląd, na jaki wyglądały. Ale to był tylko fragment całości. Nad wszystkim unosiła się atmosfera grozy. Ziemię zalegała głucha cisza, ponura, śmiertelna i złowieszcza cisza.

Jeśli dęby były tylko olbrzymimi drzewami, jeśli podszycie było zwyczajnie gęste, jeśli otoczaki były tylko starymi kamieniami porostów, myślał Duncan, człowiek mógłby to zaakceptować. Ale te wszystkie zwykłe rzeczy były wypaczone, przesunięte i zwichrowane, jak gdyby nie były na stałe osadzone w ziemi, ale tylko na moment, jakby ktoś szkicował ich obraz, nie wiedząc jeszcze, jakiego rodzaju widok będzie mu potrzebny. Był to obraz, który migotał tak samo jak refleksy na wodzie mienia się wraz z niedostrzegalnym drzeniem jej powierzchni — oscylacja, falowanie, niesamowity brak trwałości. Tu i ówdzie niewyraźnie rysowały się

załamane odcinki drżących barw tęczy, o której wspominał pustelnik, a której nie udało się zobaczyć Duncanowi, kiedy jej szukał. Teraz jednak ją widział — rodzaj iskrzącego się koloru, gdy światło przebija tafelę szkła i jego promienie rozpraszają się w milionach odcieni. Pojawiały się i znikwały, nie trwały długo i nie stanowiły nigdy pełnego łuku tęczy, jedynie fragmenty łuków, strzaskane krzywizny, jakby ktoś chwycił idealną tęczę i skruszył ją w dłoniach, rozdrabniając na kawałki, a potem rozrzucił wiatrom.

Dolina nadal istniała, tak samo jak wzgórza, które wznosiły się na jej obu zboczach. Lecz zniknął niewyraźny szlak, którym się posuwali, i obecnie z wysiłkiem torowali sobie drogę w skłębionej puszczy. Conrad trzymał Malutkiego blisko siebie, nie dając psu dużego luzu, na jaki pozwalał mu przedtem. Daniel zachowywał się nerwowo; podrzucał łeb i parskał od czasu do czasu.

— W porządku, koniku — uspokajał go Duncan, a Daniel odpowiadał cichym prychnięciem.

Andrew stąpał ciężko przed Duncanem. Szedł obok Pięknej i bił kosturą o ziemię z niezwykłą siłą. Piękna dreptała przy nim, trzymając się bardzo blisko. W dziwny sposób zdawała się cieszyć z jego osobliwego towarzystwa. Być może sądziła, roześmiała się w duchu Duncan, że i ona zdobyła człowieka dla siebie, tak jak Malutki miał Conrada, a Daniel Duncana.

Na czele kolumny Conrad i Malutki zatrzymali się. Pozostali zbliżyli się i skupili obok nich.

— Przed nami są bagna — rzekł Conrad. — Blokują nam drogę. Czyżby to były moczary, o których wspominał skrzat?

— Raczej nie — rzekł Andrew. — Tamte moczary nie blokują drogi. Ciągną się po jednej stronie i stanowią otwartą wodę.

Za drzewami widać było bagna, rozległe błota, które nie były terenem otwartym, lecz porastały je gęsto drzewa i inna roślinność.

— Nie musi być głębokie — rzekł Duncan. — Może uda nam się je sforsować, trzymając się blisko wzgórza.

Ruszył naprzód, a za nim wyciągniętym krokiem Conrad. Reszta

wlokła się ich śladem.

Duncan i Conrad przystanęli nad wodą.

— Wygląda na głębokie — rzekł Conrad. — Tam dalej widać kilka głębokich rozlewisk. Głębszych niż zwykle na bagnach. A gdzie wzgórze, o którym mówisz? Nie widać żadnego wzgórza.

Conrad miał rację. Linia wzgórz, wzdłuż których szli, opadła już i zarówno po lewej jak i po prawej stronie rozciągał się labirynt bagien.

— Zostańcie tutaj — powiedział Duncan.

Wszedł do wody. Z każdym krokiem bagno stawało się coraz głębsze, czuł pod stopami grząskość mułu i szlamu. Miał przed sobą początek jednego z rozlewisk, na które zwrócił jego uwagę Conrad — czarnego jak najczarniejszy inkaust, o wyglądzie oliwy, gęstszej i bardziej zdradliwej cieczy niż woda.

Zmienił kierunek marszu, zamierzając obejść bagno dookoła. Inkaustowa czerń wody zaczęła kipieć, rozwścieczona czymś, co usiłowało się z niej wynurzyć. Jakiś falisty grzbiet dźwignął się do góry, przerywając czerń bagiennej toni. Ręka Duncana powędrowała do rękojeści miecza i wyciągnęła go do połowy. Falisty grzbiet zapadł się i lustro wody wróciło do swej nieskazitelnej oleistości. Ale w sąsiednim rozlewisku powierzchnia eksplodowała z pienistą furią i wystrzelił z niej ziejący nienawiścią łeb, utrzymywany na węzowatym ciele, które wyprostowało się na całą wysokość, górując nad poziomem wody. Łeb miał kształt trójkąta, nie tak duży, jak można było sądzić po wymiarach podłużnego ciała. Łuskowatą głowę wieńczyły dwa rogi, a skóra na szczękach wyglądała niczym pancerz zwięzający się w pysk o kształcie dzioba. Stwór rozwarł szczęki, otwarta paszcza była większa od głowy. Ze szczęk wystawały straszliwe wygięte kły.

Duncan zdążył już wyciągnąć miecz z pochwy i stał tak trzymając go w dłoni, przygotowany do obrony, ale atak nie nastąpił. Bez pośpiechu, jakby z niechęcią potwór zanurzył się na powrót w trzęsawisku i łeb zniknął pod powierzchnią wody. Moczary były

spokojne, czarne i przerażające.

— Chyba najlepiej zrobisz, jak wrócisz — powiedział Conrad.

Powoli, krok za krokiem, Duncan wycofał się na suchy ląd.

— Nie ma mowy o sforsowaniu tego bagna — rzekł Conrad.

Andrew przyczłapał do miejsca, gdzie stali. Piękna ruszyła truchtem za nim.

— Nie ma żadnego bagna — oznajmił. — Tu nigdy nie było bagna. To wszystko magia.

— Jest bagno, czy go nie ma — odezwała się Meg usadowiona w siodle na grzbiecie Daniela — tego rodzaju czar może was zabić.

— To co robimy? — spytał Duncan.

— Poszukajmy innej drogi — odparł pustelnik. — Ominiemy czar. Obojętnie jak potężni byli ci, którzy go przed nas rzucili, nie mogli go rzucić na wszystko. Wiedzieli, którądy idziemy, i dlatego zaczarowali całą drogę.

— To znaczy przez wzgórze — rzekł Duncan. — Jak dobrze znasz tamte strony?

— Nie tak jak tę dolinę, ale znam je. Kilka mil stąd, dokładnie na wschodzie ciągnie się następny szlak. Okropny. Bardzo kręty, pod górę i na dół po szczytach. Ciężka droga. Ale zaprowadzi nas na południe. Poza te wzgórze, które nas dzielą od bagna.

— Myślę, że powinniśmy poszukać tego szlaku — oznajmiła Meg.

## 12

Odnaleźli szlak pustelnika, ale okazał się on niedobry. Urywał się raptem w połowie stromego zbocza.

Pozostawili czar daleko za sobą, uciekli przed nim. Nie było już barw tęczy, nie miało się wrażenia, że krajobraz został zwichrowany. Las wyglądał tak, jak powinien wyglądać las. Dęby były porządnymi dębami, porządne otoczaki miały na sobie porządne porosty, kępy zarośli były normalnymi zaroślami. Wrażenie posępności minęło, złowieszcze przeczucie ustąpiło.

To była ciężka wędrownia. Nie spotkali ani jednego poziomego odcinka drogi. Bez przerwy wdrapywali się na spadziste zbocza albo schodzili ostrożnie po spadzistych zboczach, co w kilku wypadkach było równie męczące jak wspinaczka.

Kiedy szlak ostatecznie się urwał, Duncan spojrział w niebo. Słońce stało blisko zenitu.

— Zatrzymajmy się na posiłek i odpoczynek — powiedział. — Potem ruszymy na wschód i spróbujemy poszukać właściwego szlaku. — Zwrócił się do pustelnika. — Jesteś pewien, że istnieje?

Andrew skinął głową.

— Szedłem nim, ale tylko parę razy i to kilka lat temu. Nie pamiętam go za dobrze.

Szlak ginął na małej półce dość płaskiego terenu, liczącej najwyżej kilkanaście stóp. Dalej zaczynało się kolejne strome podejście. Conrad zebrał chrust i rozpałił ognisko. Daniel i Piękna stały ze zwieszonymi głowami, odpoczywały po trudach ciężkiej drogi.

— Moglibyśmy skorzystać z Ducha — rzekł Conrad. — Niestety



jest daleko, przeprowadza rekonesans okolicy przed nami.

— Muszę mu to przyznać — powiedział Andrew. — Mam dlań dużo więcej szacunku niż przedtem. Jako upiór musiał wykazać wielką odwagę, by ukazać się w biały dzień i zająć robotą, którą dla nas wykonuje.

Szary cień przesunął się pod nimi wśród drzew.

— Przyszedł wilk — rzekł Duncan.

— Tu jest mnóstwo wilków — powiedział pustelnik. — Nigdy nie było ich tak dużo, odkąd pojawili się Oprawcy. Za pierwszym szarym cieniem przemknął drugi, a niżej na zboczu jeszcze jeden.

— Są przynajmniej trzy — stwierdził Duncan. — A może być więcej. Myślicie, że idą za nami?

— Nie ma powodu do obaw — odparł Conrad. — Wilk to tchórzliwa bestia. Postrasż go, a zaraz ucieknie.

Meg objęła się rękami; skuliła się i trochę drżała.

— Czują krew — powiedziała. — Potrafią wyczuć krew, zanim się pojawi.

— Babskie gadanie — rzucił Conrad.

— Nieprawda — odparła. — Znam się na tym. Wilki wiedzą, kiedy nadchodzi śmierć.

— Nie nasza krew — ciągnął Conrad. — Nie nasza śmierć.

Na wzgórzu zerwał się wiatr i było słychać jego zawodzenie wśród drzew. Ziemię pokrywała gruba warstwa liści. Wyczuwało się w tym jakąś posępność, wrażenie jesieni, psychiczne ostrzeżenie przed nadejściem śniegów. Duncan czuł lekki niepokój, choć powtarzał sobie, że nie ma powodów do obaw. Rychło odnajdą właściwy szlak i ruszą dalej. Czeka ich cięższa droga, niż myśleli początkowo, ale wreszcie prowadząca do celu.

Ile dni jeszcze, zastanawiał się i był zdumiony, że nie wie. Gdy tylko znajdą się po drugiej stronie wzgórz, powinni zwiększyć tempo marszu. Dotychczas nie spieszyli się, szli wolnym krokiem. Kiedy wyjdą na otwartą przestrzeń, muszą nadrobić opóźnienie.

— Szkoda, że nie ma Nochala — odezwał się Andrew. — Znał

drogę, wiedziałby, jak odnaleźć szlak. Ale to tylko pobożne życzenie. To łotr pozbawiony honoru. Już kiedy rozmawiał z nami, kiedy dawał słowo, nie miał zamiaru go dotrzymać.

— Poradzimy sobie bez niego — odrzekł uszczypliwie Duncan.

— Przynajmniej wydostaliśmy się spod czaru, który rzucono przed nami — zauważył Conrad.

— Spod czaru, tak — przyznał pustelnik. — Ale to nie koniec niespodzianek.

Zjedli, po czym ruszyli dalej, udając się na wschód lub tak blisko kierunku wschodniego, jak to było możliwe. W tym labiryncie wzgórz, lasów, zarośli i strumieni nie było mowy o maszerowaniu w jednym, określonym kierunku. Były odstępstwa — niekorzystna rzeźba terenu, szczególnie strome zbocze, które starali się obejść, płatanina zwalonych drzew, które musieli ominąć. Ale ogólnie biorąc kierowali się na wschód.

Słońce było coraz niżej, a wciąż nie widzieli oznak jakiegokolwiek szlaku. Pokonywali teren, gdzie nie było śladów człowieka, lub gdzie nie stanęła jeszcze ludzka stopa. Nie było spalonych zagród, ani wyrąbanych połaci lasu, skąd pobrano budulec. Sędziwe drzewa rosły spokojnie, omszałe srebrzyście z wiekiem.

Od czasu do czasu widzieli wilki, ale zawsze daleko. Nie wiadomo, czy były to te same osobniki, które spotkali wcześniej.

Zabłądziliśmy, rzekł do siebie Duncan, ale nie podzielił się tą myślą z innymi. Wbrew temu, co mówił Andrew, wbrew jego zapewnieniom, może nie być żadnego szlaku. Kto wie, czy od kilku dni nie zapuszczają się w głąb rozległego pustkowia i będą się tu błąkać, nie znajdując niczego, co mogłoby im pomóc? A może to nadal działanie magii, choć w nie tak wyraźny sposób jak przedtem?

Słońce już niemal skryło się za horyzontem, kiedy zeszli po stromym zboczu do głębokiej kotliny obwiedzionej wzgórzami, jakby zapadniętej pod ziemię. Było to królestwo ciszy i cieni, pogrążone w nastroju melancholii. Miejsce, gdzie człowiek spacerował spokojnie i nie podnosił głosu. Promienie słońca nadal omiatały nad

nimi szczyty gór i złociły kilka jesiennych drzew jaskrawym światłem, ale szybko zapadała noc.

Duncan przyspieszył kroku, aby zrównać się z Conradem.

— To miejsce pachnie złem — powiedział Conrad.

— Pachnie czy nie, to dobre miejsce na obóz — odparł Duncan. — Osłonięte od wiatru. Może zdołamy znaleźć wodę; gdzieś musi być strumień. Lepsze to, niż dać się zaskoczyć przez burzę na jakimś nagim zboczu.

— Wydawało mi się, że widziałem coś przed nami. Coś białego. Niczym kościół — powiedział Conrad.

— Dziwne miejsce na kościół — zauważył Duncan.

— Trudno powiedzieć. W takich ciemnościach prawie nic nie widać.

Rozmawiali i szli dalej przed siebie. Malutki cofnął się i dołączył do nich.

Duncanowi mignęło w przodzie coś białego.

— Ja chyba też to widzę — powiedział. — Na wprost nas.

Podeszli nieco bliżej i przekonali się, że to był budynek — najprawdziwszy mały kościółek. Wąska, strzelista wieża sięgała wysoko w niebo, drzwi stały otworem, a dojście było oczyszczone z zarośli i drzew. Szli ku niemu ogarnięci zdumieniem, albowiem nie powinno być tutaj żadnego kościoła, nawet małego. W okolicy nie mieszkał nikt, kto mógłby do niego chodzić, a jednak stał, nieduży budynek, niby domek z klocków. Kaplica, pomyślał Duncan. Jedna z tych tajemniczych kaplic, ukrytych z jakiegoś powodu daleko od bitych dróg.

Duncan i Conrad zatrzymali się przed drzwiami. Po chwili przybiegł Andrew.

— Jezus z Gór — oznajmił. — Kaplica Jezusa z Gór. Słyszałem o niej, ale nigdy jej nie widziałem. Nie miałem pojęcia, jak się tu dostać. Mówi się o niej po trosze ze zdziwieniem, po trosze z niedowierzaniem.

— I oto mamy ją przed sobą — rzekł Conrad.

Pustelnik był wyraźnie wstrząśnięty. Drżała mu ręka, w której trzymał kij.

— Miejsce święte — powiedział Duncan. — Być może cel pielgrzymek.

— Miejsce święte dopiero od niedawna. Zaledwie od ostatnich kilkuset lat — stwierdził Andrew. — Stoi na skalanej ziemi. W dawnych czasach była tutaj pogańska świątynia.

— Dużo świętych miejsc wzniesiono na terenach, które były wcześniej miejscem kultu pogan — odparł Duncan. — W nadziei, że może chętniej przyjmą wiarą chrześcijańską, jeśli kościoły pobuduje się na czczonyj ziemi.

— Tak, wiem — rzekł pustelnik. — Czytając Ojców Kościoła natknąłem się na pewną wzmiankę o takich nadziejach. Ale tu — tutaj było coś innego.

— Pogańska świątynia, powiedziałeś. Zapewne należała do druidów.

— Nie do druidów. To nie była świątynia dla ludzi, lecz miejsce, gdzie gromadziło się Zło, gdzie w określone dni odbywał się czarny sabat.

— Wobec tego, czemu postawiono kaplicę akurat tutaj? Wydaje się, że Kościół powinien unikać takich miejsc, przynajmniej czasowo?

— Nie wiem — odrzekł pustelnik. — Legendy są mgliste. Istnieje dużo opowieści, ale chyba w żadnej nie ma prawdy.

— A jednak kaplica stoi — odezwał się Conrad. — Ktoś wyraził zgodę, aby ją tu postawić.

Duncan ruszył wyciągniętym krokiem ku trzem płaskim schodkom, które prowadziły do drzwi. Po chwili znalazł się w środku.

Kościółek był bardzo mały, jak domek dla lalek. W każdej ścianie tkwiło okno z kolorowego szkła podłego gatunku, które wpuszczało blednące światło. Na podłodze stało sześć ławek, po trzy wzdłuż każdej nawy bocznej. A nad ołtarzem...

Duncan wytrzeszczył oczy z przerażenia. Odczuł mdłości i poznał gorycz żółci w jego ustach. Żołądek podszedł mu do gardła na widok

krucyfiks, który wisiał za ołtarzem. Był wyrzeźbiony z wielkiej kłody dębowej, w jednym kawałku — krzyż i rzeźba rozpiętego na krzyżu Jezusa.

Krucyfiks był zawieszony na odwrót. Postać Chrystusa wisiała na głowie, jakby schwymano Go w trakcie wykonywania salta. Jego ciało było pomazane nieczystościami, a na drewnie widniały obsceniczne sentencje, napisane po łacinie.

Czuję się, przemknęło w myślach Duncanowi, jakby ktoś mnie uderzył z całej siły w usta. Z największym wysiłkiem zdołał powstrzymać swe kolana przed ugięciem. W reakcji na profanację i świętokradztwo zastanawiał się, dlaczego ma uklęknąć — on, najlichszy wśród chrześcijan, nie odznaczający się ani wielką pobożnością ani oddaniem. A jednak jest człowiekiem, który ryzykuje własną głowę i głowy innych w służbie Kościoła.

Krucyfiks był bluźnierstwem, salwą pogańskiego śmiechu, drwiną z Wiary, gwizdem, kpina, szyderstwem i zapewne również przejawem nienawiści. Jeśli nie można wroga pokonać, należy go bodaj wyśmiać i wyszydzić.

Conrad zauważył, że chociaż ziemia była pogańska, ktoś wyraził zgodę na postawienie kaplicy. Jego spostrzeżenie musiało nieuchronnie zrodzić pytanie, dlaczego pozwolono jej tu stanąć? Odpowiedzią był odwrócony krucyfiks i gwałt, jaki mu zadano. Przed wielu laty przybył tutaj jakiś wojowniczy wyznawca Chrystusa, który zawział się, aby wtłoczyć chrześcijaństwo do pogańskiego gardła, i zbudował kaplicę. Teraz sam był przedmiotem żartów, a kaplica zamieniła się w parodię świątyni.

Duncan usłyszał za plecami urywane oddechy — Conrad i Andrew zobaczyli krucyfiks i przejęła ich groza. Duncan wyszeptał do nich:

— Bluźnierstwo. Istne bluźnierstwo. Lecz Nasz Pan je zniesie. Zniesie drobną hańbę.

Kaplica była czysta i zadbana. Nie nadszarpnął jej zęb czasu. Została świeżo wysprządana. Utrzymywano ją w dobrym stanie.

Powoli Duncan zaczął się cofać z wejścia. Conrad i Andrew

wycofali się wraz z nim. Na schodach ujrzał skuloną postać Meg.

— Widziałeś — odezwała się do Duncana. — Widziałeś?

Skinął głową odrętwiały.

— Nie miałam pojęcia. Nie sądziłam, że idziemy do tej kaplicy. Byłabym ci powiedziała, powstrzymała cię.

— Wiedziałas, co zobaczymy w środku?

— Słyszałam o tym. To wszystko. Słyszałam.

— I nie pochwalasz tego?

— Nie pochwałam? Czemu miałabym nie pochwalać? Nie mam nic przeciwko temu. A jednak nie pozwoliłabym ci na to patrzeć. Jadłam twoje pożywienie, jechałam na twoim koniu, twój brytan nie odgryzł mi ani jednego kawałka ciała, nie przebiłeś mnie mieczem, duży wyciągnął rękę i pomógł mi wstać, podsadza mnie na konia. Nawet ten nędznik eremita dał mi sera. Dlaczego ktoś taki jak ja miałby wam źle życzyć?

Duncan sięgnął i pogłodził ją po głowie.

— W porządku, babciu. Damy sobie radę.

— Co teraz zrobimy? — spytał Andrew.

— Spędzimy tutaj noc — odparł Duncan. — Jesteśmy wyczerpani trudami całodziennego marszu. Brak nam sił, aby iść dalej. Musimy zjeść i trochę wypocząć.

— Nie przełknę ani jednego kęsa — oznajmił pustelnik. — Nie tutaj.

— A więc co dalej? — zapytał Duncan. — Mamy uciekać na wzgórze, przedzierać się w ciemnościach przez las? Nie zrobimy nawet jednej mili.

Wypowiadając te słowa pomyślał, że gdyby nie Andrew i Meg, on i Conrad mogliby iść, opuścić ten przybytek pogaństwa i znaleźć bezpieczny nocleg. Albo maszerować całą noc, jeśli trzeba, aby zachować dystans między sobą a Kaplicą Jezusa z Gór. Niestety, nogi pustelnika były jedną wielką raną od ciągów, jakie dostały, a Meg, choć zapewne zaprzeczyłaby temu, była u kresu wytrzymałości. W jaskini pustelnika martwił się o ochotników, którzy do nich

dołączali, a tutaj miał dowód, że się nie mylił.

— Przyniosę trochę drewna i rozpalę ogień — rzekł Conrad. — Po prawej stronie płynie strumień. Słyszałem szum wody.

— Ja pójdę po wodę — oznajmił Andrew. Obserwując go Duncan wiedział, ile odwagi musiał wykazać pustelnik, aby pójść samemu w ciemności.

Duncan przywołał Daniela i Piękną. Rozkulbaczył konia i zdjął toboły z oślicy. Piękna tuliła się do Daniela, on zaś wydawał się zadowolony z jej bliskości. Oboje, myślał Duncan, wiedzą równie dobrze jak my, że coś tu nie jest w porządku. Malutki kręcił się niespokojnie po okolicy zadzierając głowę do góry, aby zwietrzyć ewentualne niebezpieczeństwo.

Meg i Conrad przygotowali posiłek nad ogniskiem, które Conrad rozpałił w niedużej odległości od schodów prowadzących do kaplicy. Biel małego domku odbijała blask płomieni.

Na szczycie góry po stronie zachodniej zawył wilk. Odpowiedział mu inny, na północy.

— Dwa z tych, które widzieliśmy dzisiejszego ranka — rzekł Conrad. — Nie odstępują nas.

— W tym roku mamy plagę wilków — stwierdził Andrew.

Kiedy zapadła głęboka noc, dolinę ogarnęła mokra, przejmująco wilgotna atmosfera strachu, atmosfera niebezpieczeństwa stąpającego na miękkich łapach, zbliżającego się do nich. Odczuwając go Duncan zastanawiał się, czy uczucie lęku zrodził widok zhańbionego krucyfiksu, czy też byłoby ono obecne także bez kaplicy i krzyża.

— Conrad i ja odbędziemy dziś podwójną wartę — powiedział.

— Znowu mnie pomijacie — rzekł Andrew, ale Duncan odniósł wrażenie, że w głosie pustelnika usłyszał ulgę.

Chcemy, byście wypoczęli — odparł. — Ty i Meg. Jutro czeka was długi dzień. Wyruszymy, gdy tylko się rozwidni. Na długo przed pełnym blaskiem poranka.

Stał przy ogniu i wpatrywał się w mrok. Trudno nie przestraszyć się wyimaginowanej postaci czy wyimaginowanego hałasu, pomyślał.

Dwukrotnie zdawało mu się, że widzi jakiś ruch poza kręgiem światła z ogniska, lecz za każdym razem okazywało się, że to tylko jego wyobraźnia wyostrzona lękiem, który starał się ukryć, ale nie mógł mu wszakże zaprzeczyć.

Czasami wyły wilki, nie tylko na zachodzie i północy, lecz również na wschodzie i południu. Ta kraina roi się od dzikich zwierząt, powiedział do siebie. Jednakże wycie rozlegało się zawsze w tej samej odległości, jakby wilki nie zamierzały podchodzić. Mogą to zrobić później, myślał, kiedy zbiorą się na odwagę, a krzątania przy ognisku ustanie. Chociaż wilków nie musieli się lękać. Gdyby przyszły, Daniel i Malutki krwawo się z nimi rozprawią.

Nie wilków należało się raczej obawiać. Odżyło w nim wspomnienie najeżonej zębami żabiej paszczy, rozjarzonych ślepiów, oblicza złożonego z gładkich płaszczyzn i ostrych kątów — które zeszłej nocy wyzierało ku nim z ciemności, a także węzowatej ohydy, która wynurzyła się z czarnej toni na bagnach.

Meg zawołała wszystkich na posiłek. Usiedli w kucki dookoła ogniska i zabrali się łapczywie do jedzenia. Wbrew zapewnieniom, że nie zdoła przełknąć ani jednego kęsa, Andrew spożył kolację z apetytem.

Rozmawiano niewiele, od czasu do czasu wypowiedano parę słów w błahej sprawie. Nikt nie wspominał o krucyfiksie. Sprawiali wrażenie, że zajęci są wymazywaniem jego obrazu z pamięci.

Ale czegoś podobnego nie da się usunąć z pamięci, myślał Duncan. Odkąd ujrzał krucyfiks, myśl o nim ani na chwilę nie przestawała pukać do świadomości. Szyderstwo z krzyża, oczywiście, myślał, ale także coś więcej. Przejaw nienawiści, stwierdził wówczas z pewną refleksją. Teraz jednak, zastanowiwszy się nad tym, wiedział już, że było w tym tyleż nienawiści, co szyderstwa.

Trudno się temu dziwić. Pogańscy bogowie starożytności mieli prawo nienawidzić nowej wiary, która zrodziła się niespełna dwa tysiące lat temu. Skarcił się jednak za to, iż daje w ten sposób pogańskim bogom prawo do odczuwania nienawiści, iż przyznaje —



choćby mimochodem — że istnieli i nadal istnieją. Nie tak powinien myśleć chrześcijanin, skarcił siebie. Prawdziwy chrześcijanin odesłałby ich wszystkich do Otchłani, zaprzeczył, że kiedykolwiek istnieli. Nie mógł jednak zaakceptować takiego punktu widzenia. Musi ich wciąż traktować jako wszechobecnego wroga, co było szczególnie słuszne właśnie tutaj, w Spustoszonej Krainie.

Palce Duncana opadły do wiszącej przy pasie torby; wyczuł pod nimi arkusze pergaminu, które niósł ze sobą. Tu spoczywa jego wiara, myślał. A w miejscu, gdzie teraz siedzi, spoczywa inna. Być może błędna i taka, której nie wolno akceptować, wręcz przeciwnie, którą należy zwalczać wszelkimi sposobami — wierzenie, które przyjął człowiek mimo jego grozy i brutalności, albowiem nie znał innej wiary i wzdychał do czegoś, co może wstawić się za nim wobec ogromu nieskończoności i okrucieństwa losu. Sądził pewnie, że taka zasługująca na przyjęcie wiara musi być straszna i przerażająca, ponieważ w obu tych cechach tkwi siła, a właśnie siła była mu potrzebna do obrony przed światem zewnętrznym.

Tutaj, na tej polanie odprawiano bez wątpienia jakieś ohydne i wstrętne rytuały, których nie znał i cieszył się, że ich nie zna. Tutaj ludzie mogli ginąć w ofierze. Tutaj ziemia spływała krwią, tutaj odbywały się nikczemne praktyki i tutaj ściągały potworne istoty, aby czynić zło i to nie tylko ostatnio, ale już w dalekiej, nieodgadnionej przeszłości, być może sięgającej czasów poprzedzających człowieka.

Do miejsca, gdzie siedział Duncan, podszedł Daniel, zniżywszy głowę, by szturchnąć swego pana. Duncan pogłaskał wielkie zwierzę po głowie i Daniel cicho parsknął.

Na zachodzie zawył wilk. Tym razem wycie rozległo się jakby nieco bliżej.

Conrad podszedł szybko do człowieka i konia.

— Ognisko musi się palić wysoko przez całą noc — powiedział. — Wilki boją się ognia.

— Nie ma powodu lękać się wilków — odparł Duncan. — Nie kieruje nimi głód. Mają mnóstwo okazji do posilenia się w lesie.

— Podchodzą coraz bliżej — ciągnął Conrad. — Tu i ówdzie widzę blask ich ślepiów.

— To tylko ciekawość. Nic więcej.

Conrad kucnął obok Duncana. Przesuwał obuchem maczugi tam i z powrotem po ziemi.

— Co robimy jutro?

— Myślę, że będziemy dalej szukać szlaku, o którym wspominał pustelnik.

— A jeśli go nie znajdziemy?

— Znajdziemy. Musi być jakiś szlak na drugą stronę wzgórz.

— A jeśli to czar odcina nam drogę? Sprawia, że nie widzimy ścieżki?

— Uciekliśmy spod działania czaru, Conradzie — odparł, aczkolwiek pamiętał o swoich rannych podejrzeniach, że czary mogą im towarzyszyć w dalszym ciągu.

— Zabłądziliśmy — ciągnął Conrad. — Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nie sądzę, aby wiedział to pustelnik.

Zza krawędzi światła z ogniska błysnęła na Duncana para ślepiów, po czym niemal w tej samej chwili zniknęła.

— Widziałem właśnie jednego z twoich wilków — powiedział do Conrada. — Albo przynajmniej jego ślepia.

— Malutki czuwa cały czas — rzekł Conrad. — Przemierza polanę wzdłuż i wszerz. Wie, że czają się w mroku.

Zbliżały się coraz bardziej. Ciemność wzdłuż krawędzi światła opasywał rząd połyskujących ślepiów.

Malutki wyszedł im naprzeciw. Conrad kazał mu wrócić.

— Jeszcze nie teraz, Malutki.

Duncan wstał z ziemi.

— Już po nas — szepnął Conrad. — Szykują się do ataku.

Daniel obrócił się dookoła, aby stawić czoło watasze wilków. Podrzucał głową i parskał z furją. Brytan wrócił już i ustawił się obok Conrada. Miał nastroszoną sierść, a z jego gardła dobywały się chrapliwe pomruki.

Jeden z wilków skoczył naprzód. W świetle ogniska jego futro było niemal białe. Był ogromny i kościsty, trupia czaszka i wilcze piszczele. Zdawał się gotować do skoku, wyciągał wielki, chudy łeb i szczyrzył kły. Jego ślepia połyskiwały w refleksach płomieni.

Z ciemności wyszedł drugi wilk. Przystanął za pierwszym, trzymając łeb przy jego grzbiecie.

Duncan dobył miecza. Zgrzyt wyciąganej broni rozdarł głęboką ciszę, w jakiej pograżona była polana. Na lśniącej stali iskrzyło się światło ognia.

— Spokojnie, Danielu. Spokojnie, koniku — rzekł do stojącego obok konia.

Na odgłos pospiesznego szurania nogami za plecami Duncan zaryzykował rzut oka przez ramię i zobaczył pustelnika. Andrew trzymał kij w uniesionej ręce. Kaptur spadł mu na ramiona, a siwiejące włosy pustelnika w blasku ogniska jarzyły się jak aureola.

Z ciemności na skraju polany przemówił czyjś głos, donośny i wyraźny, lecz używający słów, jakich Duncan dotąd nie słyszał — nie angielskich, łacińskich ani greckich czy zapożyczeń z języka gaelickiego. Słów, które były chropowate, gardłowe i nieco warkliwe.

Na ich dźwięk bestie rzuciły się do ataku: wielkiemu wilkowi, który pojawił się jako pierwszy, towarzyszył drugi, który przedtem stanął za nim na granicy światła. Po ich obu stronach pędziła reszta watahy. Szykując się do skoku, wypadały z ciemności na znak bądź na rozkaz kogoś, kto przemawiał ze skraju polany.

Obok Duncana Daniel stanął dęba, grzmocąc dookoła przednimi kopytami. Malutki skoczył pomiędzy bestie, przemieniając się w falę śmiertelnej nienawiści. Ogromny wilk wzbił się bez wysiłku w powietrze, sięgając szczękami do gardła Duncana. Miecz zatoczył łuk i trafił wilka w wyciągniętą szyję, odrzuciwszy go na bok siłą uderzenia.

Drugi wilk, biegnący obok pierwszego, skoczył i padł natychmiast pod maczugą Conrada. Parę kroków dalej Malutki chwycił trzeciego wilka za gardło. Szarpnął potężnie głową i bestia wyleciała

w powietrze, zataczając kręgi.

Następny wilk skoczył na Duncana. W szeroko otwartych szczękach połyskiwały kły. Nim Duncan zdążył podnieść miecz, z boku nadleciał ostry kij i niczym dzida trafił w rozdziawiony pysk bestii, wbijając się głęboko w jej gardło. Wilk złamał się w powietrzu, ale siła jego skoku niosła go dalej. Runął na ziemię z dzidą w pysku.

Duncan zaczepił stopą o upadający kij i przewrócił się na kolana. Widząc, że atakuje go kolejny wilk, szarpnął za miecz, ale w tym momencie Daniel dosięgnął bestii kopytem, trafiając ją za wygiętymi łopatkami. Wilk runął na ziemię z chrzęstem łamanych kości. Duncan zerwał się na nogi. Ujrzał na ziemi Malutkiego splecionego w pojedynku z drapieżnikiem. Inny wilk już prężył się do skoku. Rozszalały Conrad stał obok brytana z maczugą nad głową, gotów odeprzeć szarżę bestii. A tuż za szykującym się do ataku psem trwała zaciekle szamotanina Pięknej, która próbowała wyrwać się trzem wilkom. Jeden złapał ją za przednią nogę, dwaj pozostałe skoczyły jej na grzbiet.

Duncan rzucił się na pomoc Pięknej, ale nim zrobił dwa kroki, jakaś wcielona wściekłość wpadła między napastników, wymachując dwiema płonącymi pochodniami. Jedna pochodnia zawirowała w powietrzu, robiąc pełny obrót, i wilki zeskoczyły z grzbietu oślicy.

— Meg! — krzyknął Duncan. — Meg, na miłość boską, uważaj! — Ale wiedźma nie zwracała nań uwagi i biegła jak wichra, a jej sędziwe ciało kołysało się na chwiejnych nogach, które zdawały się migać w rytmie kołysania. Podniosła drugą pochodnię i rzuciła nią w wilka, który trzymał Piękną za nogę. Drapieżnik zaskowyczał, odwrócił się i skamląc uszedł w ciemność.

Z mroku ponownie doleciał gromki, wyraźny głos przemawiający w nieznanym języku, a gdy słowa ucichły nad polaną, wszystkie wilki zawróciły i umknęły.

Duncan zatrzymał się i obrócił powoli głowę w lewą stronę. Przy ognisku stał Daniel w towarzystwie pustelnika. Andrew opierał nogę na zabitym wilku; przyciskał go do ziemi i szarpał z całej siły kijem,

usiłując go wyrwać z gardła martwej bestii.

Conrad i Meg szli w kierunku ogniska z Malutkim tropiącym ślady wilków, a za nim z kolei człapała Piękna. Tu i ówdzie leżały ciała wilków. Jeden z nich, zapewne ten sam, którego kopnął Daniel, usiłował pełznąć się za resztą watahy. Przebierał szaleńczo przednimi nogami i włókł za sobą tylną część ciała.

Gdy Duncan zbliżył się do ogniska, Andrew nagle wrzasnął, wypuścił kij, którym szarpał, i przyciskając ręce do twarzy cofnął się od martwego wilka.

— Nie! Nie! — wykrzykiwał. — Nie, tylko nie to!

Duncan ruszył biegiem ku niemu, następnie zatrzymał się w pół kroku i z absolutnym osłupieniem wlepił wzrok w zabitego wilka.

Ciało drapieżnika przeistaczało się powoli. Duncan obserwował z przerażeniem, jak zamienia się w ciało nagiej kobiety, z której ust nadal sterczy kij pustelnika.

— Mogłam ci powiedzieć, ale nie zdążyłam. To wszystko stało się zbyt szybko — zapiszczała Meg do ucha Duncana.

Conrad przeszedł obok niego, chwycił kij pustelnika dłonią niczym polec szynki i wyrwał go z gardła zabitej.

Ciało wilka leżące za kobietą zamieniło się w mężczyznę, a bestia z przetrąconym karkiem, która próbowała odciągnąć się do lasu, jęknęła nagle ludzkim głosem, wydając okrzyk bólu i przerażenia.

— Ja się nim zajmę — rzekł ponuro Conrad.

— Nie — odparł Duncan. — Na razie daj mu spokój.

— Wilkołaki — splunął Conrad. — Nadają się tylko do uśmiercania.

— Muszę coś sprawdzić — powiedział Duncan. — Wilków było dużo. Zaatakowało tylko kilka. Pozostałe zwlekały. Gdyby wszystkie...

— Ktoś je przywołał.

— Nie, to nie to. Nie tylko to. Było coś jeszcze.

— Bierz — rzekł Conrad, podając kij pustelnikowi.

Ten cofnął się jak oparzony.

— Nie, nie — jęknął. — Nie chcę go dotykać. Zabiłem nim kobietę.

Nie kobietę. Wilkołaka. No, bierz kostur. Trzymaj go mocno, bo drugiego takiego nie znajdziesz.

— Rzucił kij pustelnikowi z dużą siłą, a ten wziął go do ręki. Uderzył nim o ziemię.

— Nie zapomnę do samej śmierci — oświadczył.

— Będziesz miał co wspominać — stwierdził Conrad. — Cios zadany w imię Pana.

Duncan wyszedł na granicę światła z ogniska i przystanął nad jęczącym mężczyzną ze złamanym karkiem, następnie ukląkł powoli obok niego. To był starzec. Ręce i nogi miał cienkie jak patyki, kolana i łokcie sękaty. Przez skórę było widać wszystkie żebra. Długie śnieżnobiałe włosy kręciły mu się przy szyi. Był zlany potem. Patrzył na Duncana z lękiem i nienawiścią w błyszczących oczach.

— Powiedz, kto przemawiał z ciemności? — rzekł Duncan.

Wargi mężczyzny rozchyliły się, pokazując żółte zęby. Warknął i splunął.

Duncan sięgnął, aby złapać go za rękę, lecz ten cofnął się. Otworzył usta i krzyknął, po czym zadarł głowę, napinając ścięgna szyi niczym postronki. W kącikach ust zbierała mu się biała, pianista plwocina. Krzyczał, jęczał i drapał bezradnie ziemię, próbując się odczołgać. Wił się w agonii.

Duncan poczuł, że ktoś go chwyta za ramię i podnosi na nogi.

— Chwileczkę, mnie pozwól — rzekł Conrad.

Jego maczuga opadła i rozległ się straszny dźwięk rozłupywanej czaszki. Mężczyzna wyprężył się i znieruchomiał.

Duncan rzucił ze złością:

— Nie trzeba było tego robić. Zabroniłem ci.

— Kiedy zabijasz węże, to je zabijasz — odparł. — Nie pieścisz się z nimi.

— Miałem do niego pytanie.

— Zadałeś je i nie dostałeś odpowiedzi.

— Mógłby jeszcze odpowiedzieć.

Conrad potrząsnął głową.

— Nie ten. Za bardzo bał się ciebie.

To prawda, myślał Duncan. Wilkołak był nieprzytomny ze strachu. Krzyczał i próbował się odczołgać. Zwijał się z przerażenia.

Conrad dotknął go w ramię.

— Wracajmy do ogniska. Muszę sprawdzić, jak się czuje Piękna.

— Kuleje trochę, to wszystko. Meg uratowała jej życie.

— Tak, widziałem — rzekł Conrad.

— Co z Malutkim?

— Ma rozdarte ucho i ślady od zębów tu i ówdzie. Nic mu nie będzie, jest tylko trochę obolały.

Zanim wrócili do ogniska, Andrew zdążył usypać stos drewna i płomienie buchały wysoko. Pustelnik i Meg stali blisko siebie. Conrad poszedł doglądać oślicy.

— Wykazałaś odwagę — rzekł Duncan do wiedźmy. — Rzuciłaś się na ratunek Pięknej.

— Miałam ogień. Wilkołaki boją się ognia. — Obruszyła się. — Na pewno zastanawiasz się, dlaczego to zrobiłam. Jako wiedźma i w ogóle. No cóż, powiem ci. Trochę magii i łagodnych czarów to coś dla mnie. W lepszych czasach sporo się tym zajmowałam. Nie ma tu nic złego, a często pomaga. Ale powiedziałam ci, że nie znajdziesz we mnie prawdziwego zła, i wcale nie kłamałam. Wilkołaki są złem i nie mogę się z tym pogodzić. Nikczemnym, okrutnym, strasznym złem. Po co komu tyle zła?

— Było ich krocie — powiedział Duncan. — Cała wataha. Nie miałem pojęcia, że wilkołaki polują stadnie, ale widocznie tak. Wspominałaś o różnych stworach, które ciągną za Oprawcami. Może to wyjaśnia tak liczną watahę?

— Na pewno. Musiały tu przybyć z całej Brytanii.

— A słyszałaś głos?

Objęła się rękami. Zacisnęła je mocno i drżała.

— Rozumiałaś słowa? — ciągnął. — Poznałaś język?

— Słów nie — odparła. — Ale język tak. Jedno czy dwa słowa. To bardzo stara mowa.

— Jak stara?

— Nie umiem ci podać jej wieku. Ani w latach, ani w stuleciach. Sięga w pradawną przeszłość. Posługiwano się nią, zanim pierwszy człowiek wydał głos, zanim w ogóle pojawiły się istoty podobne do człowieka.

— Mowa pierwotna — rzekł. — Język pierwotnego zła.

— Kto wie.

Miał na końcu języka pytanie, w jaki sposób rozpoznała mowę, ale go nie zadał. Nie było sensu dalej dręczyć Meg. Miał pewność, że odpowiadała szczerze na wszystkie pytania, i to powinno wystarczyć.

Wrócił Conrad.

— Piękna jest cała i zdrowa — oznajmił. — Tylko trochę kuleje. Dopisało nam szczęście.

Na polanie panowała cisza. Na granicy światła i ciemności leżały poskręcane ciała martwych wilkołaków.

— Może powinniśmy je pogrzebać — rzekł pustelnik.

— Nie grzebie się wilkołaków — odparł Conrad. — Najwyżej kołek w serce. A poza tym nie mamy łopat.

— Nie będziemy ich ruszać — zdecydował Duncan. — Zostawimy je tam, gdzie leżą.

Kaplica odcinała się biało w migotliwym świetle. Duncan spoglądał na otwarte drzwi. Światło ogniska nie sięgało dość głęboko do wnętrza, aby ukazać odwrócony krucyfik. Duncan cieszył się z tego.

— Nie zmrużę oka tej nocy — powiedział Andrew.

— Lepiej się wyśpij — rzucił szorstko Conrad. — O brzasku ruszamy dalej. Czeka nas długi, ciężki dzień. Jak myślisz, uda ci się odnaleźć szlak?

Andrew potrząsnął głową z zakłopotaniem.

— Nie jestem pewny. Mam chaos w głowie. Nic nie wygląda tak, jak powinno.

Nagle ciszę rozdarł zawodzący krzyk. Wydawało się, że dochodzi bezpośrednio znad ich głów, jakby ktoś unosił się w ciemności.



— Mój Boże — jęknął pustelnik. — Znowu to samo? Mam już dość na dzisiaj!

Znowu rozległ się krzyk, było w nim słycać żal i rozpacz. Taki dźwięk, który potrafi ścisnąć za serce i zmrozić krew w żyłach.

Z samego środka kręgu światła przemówił do nich spokojny głos.

— Nie macie się czego obawiać — oznajmił. — To tylko Nan, wróżka.

Duncan obrócił się na pięcie i stanął przed kimś, kto wypowiedział te słowa. Przed ludzikiem w czapce z opadniętym kapturem, z parą cienkich nówek i odstającymi uszami.

— Nochal! — zawołał. — Co ty tu robisz?

— Szukamy was — odparł skrzat. — Szukamy od wielu godzin. Od chwili, kiedy Duch nam powiedział, że zgubił wasz ślad.

Duch sfrunął nad ziemię w towarzystwie drugiej postaci. Jej ciemność kontrastowała z bielą Ducha.

— To czysty przypadek, że na nich wpadłem — stwierdził Duch.

— Nie, to coś więcej niż przypadek — oznajmił Nochal.

— Ale nie pojąłbyś tego. Nie mamy czasu na wyjaśnienia.

Duch spłynął niżej, aż jego biała szata omiotła trawę. Wróżka Nan opadła na ziemię i poszybowała w kierunku ogniska. Spod krzaczastych brwi połyskiwały ku nim głęboko osadzone oczy. Gęste czarne włosy spływały jej po plecach niemal do samej talii. Twarz miała chudą i surową.

— Zaiste, dobrze byliście ukryci. Długo trwało, zanim was znaleźliśmy — powiedziała.

— Pani, żadną miarą nie byliśmy ukryci — odparł Duncan. — Po prostu dotarliśmy tutaj i zatrzymaliśmy się na noc.

— Piękne miejsce sobie wybraliście — rzekł Nochal. — Dobrze wiesz, że nie możecie tu zostać.

— Mamy taki zamiar — powiedział do niego Conrad. — Odparliśmy atak stada wilkołaków. Poradzimy sobie ze wszystkim, cokolwiek się pokaże.

— Szukaliśmy cię, skrzacie — odezwał się pustelnik. — Dlaczego

nie było cię w kościele, tak jak obiecałeś?

— Rozgłaszałem wiadomości, że potrzebujecie pomocy. Takie niezdary jak wy będą potrzebować wszelkiej pomocy, jaką możemy zaofiarować.

— Niewiele jej ofiarujesz — stwierdził uszczypliwie Andrew. — Jedną starą, wycieńczoną wrózkę.

— Niedługo się przekonasz, półgłówku — powiedziała Nan. — Mogę ci dać takiego kopniaka, że się nogami nakryjesz.

— Później przyjdą inni — oznajmił spokojnie Nochal. — Zjawią się w chwili, kiedy będziecie ich najbardziej potrzebować. Wiecie chyba, że nie wolno wam tu zostać. Bez względu na to, co dyktuje wam ignorancja i brak wychowania, musimy was odprowadzić gdzieś indziej.

— Wiemy, że to pogańska świątynia — rzekł Duncan.

— Nie tylko — powiedział Nochal. — To coś o wiele gorszego. Miejsce, które było poświęcone Złu, zanim pojawili się poganie mogący czcić Zło. Tutaj, w czasach pierwszego początku gromadziły się istoty, które obróciłyby w popiół wasze duszyczki, gdybyście ośmielili się bodaj raz rzucić na nie okiem. Profanujecie tę ziemię. Plugawicie to miejsce. Nie będą tolerować waszej obecności. Wilkołaki to dopiero wstęp. Przyjdą inne, nie tak łatwe do pokonania jak wilkołaki.

— Jest przecież kaplica...

— Pozwoliły na budowę kaplicy. Przyglądały się pracy aroganckich i niczego nie rozumiejących ludzi, głupich klechów, którzy powinni byli mieć więcej rozumu w głowie. Czaiły się w mroku i patrzyły, jak kaplica rośnie. Czekwały stosownej chwili, a kiedy ta chwila nadeszła...

— Nie uda ci się nas przerazić — powiedział Conrad.

— Może powinniśmy się bać — rzekł Duncan. — Gdybyśmy słuchali głosu rozsądku, to może poczulibyśmy lęk.

— To prawda — odezwała się Meg. — Powinniście się bać.

— Szłaś wszakże razem z nami. Nie protestowałaś, kiedy...

— A gdzie miała iść stara, kaleka wiedźma?

- Mogłaś odlecieć na miotle — rzekł Conrad.
- Nigdy nie miałam miotły. Tak samo jak inne wiedźmy. To tylko jeden z wielu głupich przesądów...
- Ona nie może iść dalej, dopóki nie wypoczniemy — stwierdził Duncan. — Conrad i ja moglibyśmy iść, ale wiedźma ślania się na nogach, a Andrew maszerował cały boży dzień. Pada z wyczerpania.
- Miałem dość siły, aby zabić wilkołaka — zauważył pustelnik.
- Mówisz poważnie? — zapytał Conrad skrzata. — A może chcesz nas wyprowadzić w pole, co?
- On mówi poważnie — oznajmiła wróżka Nan.
- Moglibyśmy posadzić pustelnika na Danielu — zaproponował Conrad. — Meg może jechać na Pięknej. Jest lekka niczym piórko. Tobołki sami będziemy nieść. Piękna, nawet z bolącą nogą, zdoła udźwignąć Meg.
- A więc postanowione — rzekł Nochal.
- Błagam was, idźcie stąd — powiedział Duch. — Bo inaczej do rana śmierć was połączy ze mną. I możecie nie mieć tyle szczęścia co ja, aby zamienić się w duchy.

# 13

Po jakimś czasie oczy Duncana przywykły do ciemności. Okazało się, że całkiem nieźle widzi. To znaczy, odróżniał pojedyncze drzewa na tyle, że nie uderzał w nie głową, ale w żaden sposób nie mógł przekonać się o rodzaju gruntu pod nogami. Raz po raz potykał się o leżącą gałąź albo wchodził w jakąś dziurę i upadał na ziemię. To było raczej brnięcie aniżeli marsz. Wpatrywał się w szerokie plecy Conrada oraz biel niesionego przezeń tobołka i udawało mu się nie zostawać w tyle. Był pewny, że gdyby nie Conrad i tobołek, już dawno by się zgubił.

Nochal podążał na czele. Tuż nad nim unosił się Duch, który służył za swoiste światło przewodnie. Za Nochalem i Duchem szedł Daniel. Piękna dreptała przed siebie za swoim druhem, Danielem; Conrad i Duncan zamykali pochód. Nan latała nad nimi, ale nie była zbyt przydatna. Szmaty, które miała na sobie, były albo czarne, albo szare, i nie było ich widać. Wróżka miała denerwujący zwyczaj wydawania od czasu do czasu żalostnego jęku.

Andrew odmówił jazdy na Danielu, ale kiedy Conrad złapał go i wrzucił na siodło, nie stawiał oporu. Jechał zgięty wpół, głowa kiwała mu się boki. Biedak przysypia, myślał Duncan. Meg leżała plackiem na oślicy, objąwszy ją za szyję i uczepiwszy się jej jak pijawka. Piękna nie miała własnego siodła i jazda na jej pękatym, beczkowatym ciele nie była łatwa.

Czas się dłużył. Księżyc sunął powoli w dół na zachodnim niebie. Od czasu do czasu rozlegał się krzyk nocnych ptaków, zapewne w odpowiedzi na zawodzenie Nan. Duncan chciał, aby wróżka

wreszcie umilkła, wiedział jednak, że w żaden sposób nie można jej do tego zmusić, a poza tym brakło mu tchu, by na nią krzyknąć. Marsz był męką. Droga prowadziła pod górę i na dół przez strome zbocza. Duncan miał wrażenie, że idą w tym samym kierunku, z którego przyszli, ale nie mógłby przysiąc, że tak było istotnie. Przeżywał rozterkę. Doszedł do wniosku, że od dłuższego czasu oni wszyscy przeżywają rozterkę.

Gdyby nie czar, mogliby skierować się na bagna i podążać wzdłuż brzegu. Do tej pory byliby już blisko płaskiej, otwartej przestrzeni, o której wspominał Nochal, uwolnieni nareszcie od tych męczących gór.

To dziwne, myślał. Oprawcy trzykrotnie próbowali ich zatrzymać bądź zmylić im drogę: pojedynek w ogrodzie obok kościoła, wczorajszy czar, napaść wilkołaków. Jednakże każde spotkanie było słabsze, niż należało się spodziewać. Bezwłosi przerwali bitwę w ogrodzie, nie przykładając się do niej zanadto. Czar zawiódł — a może osiągnął swój cel. Kto wie, czy to wszystko nie zmierzało do zepchnięcia ich ze szlaku, którym szli? A jeśli chodzi o starcie przy kaplicy, gdyby wilkołaki wykonały skoncentrowany atak, mogły bez trudu unicestwić małą grupkę ludzi. Ale zanim to się stało, podały tył i uciekły na wezwanie głosu, który wołał z ciemności.

Coś tu się nie zgadza, powtarzał sobie. To nie ma sensu. Oprawcy grasują po całej krainie, wybijają ludność, puszczają z dymem wioski i zagrody, obracają ziemię w perzynę. Taka garstka ludzi jak oni z pewnością nie mogła stawić im czoła.

Prócz zębatej żabiej paszczy, która wpatrywała się w nich z ciemności, nie było śladu Oprawców. Nie wiadomo wszakże, przyznał przed sobą, czy żabia paszcza należała do Oprawcy, aczkolwiek tak właśnie sądził, bo niczego podobnego jeszcze nie widział.

Czyżby on i jego gromadka wędrowali pod czyjąś potężną opieką? Być może rozciągała się nad nimi ręka Boga, pomyślał, wiedząc jednocześnie, że to głupia myśl. Bóg nieczęsto postępuje w taki

sposób.

To na pewno amulet, który zabrałem z grobu Wulferta — błyskotka, jak go nazwał Conrad — myślał, nie bardzo w to wierząc. Lecz to może być coś więcej niż błyskotka. To może być potężny instrument magii. Andrew nazwał go maszyną piekielną. Poczytując go za maszynę, sądził naturalnie, że musi być jakiś sposób włączania jej i obsługiwania. Ale skoro była magiczna, czego nie należało wykluczyć, nie potrzebowała włączania. Mogła działać sama, ilekroć wymagała tego sytuacja. Wrzucił ją do torby, gdzie trzymał manuskrypt, i prawie o niej zapomniał. Mógł jednak uznać za możliwe, że to magia chroni ich przed pełnią gniewu Oprawców.

Gdzie oni się podzieli? — zadawał sobie pytanie. A może bezwłosi są Oprawcami lub przynajmniej ich ramieniem? Harold Rozbójnik wspominał, że wśród stworów atakujących majątek znajdowali się bezwłosi. To całkiem możliwe, myślał, że stanowią zbrojne ramię Oprawców — oddziały szturmowe chroniące swoich władców, w czasie kiedy ci się gromadzą, aby uczestniczyć w tajemniczych rytuałach odmładzania. Jeśli faktycznie się wówczas odmładzają. Nawet tego nie można być pewnym. To jedna z teorii, o której wspominał Jego Dostojność.

Chryste, gdybym mógł wiedzieć choć jedną rzecz na pewno, westchnął. Gdybym miał pewność co do jednego bodaj aspektu tej kabały.

Wulfert — nawet jego nie był pewny. Uznawany przez mieszkańców wioski, w której zamieszkał, za świętego człowieka, nie wyprowadzał wieśniaków z błędu. Nie robił tego, albowiem zapewniało mu to bezpieczeństwo. Czarodziej w ukryciu. Po co czarodziej miałby się ukrywać? A co z Dianą? Wiedziała, że Wulfert był czarodziejem; przyjechała, aby szukać o nim wiadomości. Lecz kiedy uzyskała wiadomość, nie wykorzystała jej, tylko zniknęła. Gdzie jest teraz? Gdyby tylko mógł z nią porozmawiać, może zdołałaby wyjaśnić niektóre wydarzenia.

Księżyc wisiał już bardzo nisko nad zachodnim horyzontem, ale

wciąż nie było symptomów porannego światła. Czy nigdy się nie zatrzymają? Od tyłu godzin idą z trudem naprzód wśród tych gór i nic nie wskazuje na to, aby mieli się zatrzymać. Na jaki dystans muszą się oddalić od Kaplicy Jezusa z Gór, by nic im nie groziło ze strony zawistnego zła, które ją chroni?

Nan poniechała w końcu swego lamentu. Opuścili las i wyszli na jedną z rzadkich polan, które znajdowali na szczycie niektórych wzgórz. Grzbiet góry wznosił się w masie skalistych wypiętrzeń.

Spojrzał do góry i zobaczył Nan, niczym czarny nietoperz lecącą po niebie w konturach nikłego światła księżyca.

Lichy wietrzyk, jaki dotąd jeszcze dął, ustał całkowicie. Głęboka cisza kładła się na wszystkim. Jedynym dźwiękiem było sporadyczne podzwanianie podkutych żelazem kopyt Daniela i Pięknej, ilekroć trafiły na kamień.

Wtem z poświaty księżyca znowu dobiegł ten sam dźwięk, który Duncan usłyszał zeszłej nocy: tętent kopyt na niebie, dalekie okrzyki ludzi, ujadanie psów.

O parę kroków w przodzie zatrzymał się Conrad. Duncan spostrzegł, że pozostali również przystanęli. Nochal stał przed nimi na małej, skalistej grani i wpatrywał się w niebo. Meg siedziała na Pięknej sztywno, jakby kij połknęła, i też patrzyła na niebo. Andrew siedział dalej zgięty wpół na siodle, pogrążony w głębokim śnie.

Krzyki rozlegały się coraz głośniejsze, ujadanie wzmagalo się, tętent kopyt przypominał cichy grzmot piorunów bijących z nieba.

Za szczytami na północy rozciągał się dziwny cienisty filigran; Duncan spostrzegł, że to tylko jeden jeździec mknie konno po niebie. Siedział wyprostowany w siodle i wymachiwał rogiem myśliwskim, popędzając krzykiem ogary, które przed nim biegły — złe psy myśliwskie, sadzące długie susy, śliniace się na tropie niewidocznej ofiary. Wielki czarny koń galopował przez powietrze, obywając się bez ziemi pod bijącymi kopytami.

Koń, jeździec i psy zbliżyli się do grupy wędrowców stojących na wierzchołku góry i przemknęli obok nich. W żaden sposób nie

można było dostrzec rysów człowieka, konia, ani psów, bo wszyscy byli czarni jak cienie sylwetek przesuujących się na firmamencie. Kopyta biły tak mocno, że zdawały się wzbudzać echo wśród wzgórz, a ujadanie stanowiło lawinę dźwięku, która pochłaniała stojących na szczycie. Jeździec przyłożył róg do ust i zadał. Wydawało się, że dźwięk wypełnił całe niebo, po czym jeździec i jego sfera zniknęli. Przepadli za linią drzew na południu, ale dźwięk cichł stopniowo wraz z odległością, dopóki nie zapanowała kompletna cisza, choć Duncan długo jeszcze odnosił wrażenie, że słyszy tętent kopyt.

Z nieba wypadła Nan, lądując obok Duncana. Zrobiła kilka kroków dla odzyskania równowagi, stanęła przed nim i zadarła głowę. Podrygiwała z przejęcia.

— Wiesz, kto to był? — zapytała.

— Nie. A ty?

— Dziki Myśliwy — pisnęła. — Widziałam go kiedyś, przed laty. W Germanii. Kiedy byłam młoda i jeszcze się nie ustatkowałam. Dziki Myśliwy i jego sfera.

Meg zsunęła się z Pięknej i pokuśtykała w ich stronę.

— On zawsze mieszkał w Germanii — powiedziała. — Nigdy nie wypuszczał się dalej. To potwierdza wszystko, co ci opowiadam o złu, które ciągnie za Oprawcami.

— Szukał nas? — spytał Conrad.

— Wątpię — odparła. — On naprawdę nie poluje na nic ani na nikogo. Po prostu jeździ na niebie. Pokrzykuje, nawołuje i dmie w ten swój róg, a jego ogary robią taką wrzawę, że umierasz ze strachu. Ale jemu o nic nie chodzi. Tak to wygląda.

— Kim on jest? — zapytał Duncan.

— Nie wiadomo — odparła Nan. — Jego imię uległo zapomnieniu. Już tak długo jeździ po niebie, że nikt nie pamięta.

Z krawędzi urwiska przybiegł Nochal.

— Ruszajmy — powiedział. — To już niedaleko. Będziemy na miejscu przed świtem.

— Dokąd nas zabierasz? — spytał Duncan. — Mamy prawo



wiedzieć.

— Tam, gdzie powinniście być od dawna. Z powrotem na skraj moczarów.

— Przecież właśnie w sąsiedztwie bagien wpadliśmy na czar. Będą na nas czekać.

— Nie teraz — oznajmił skrzat. — Nikogo teraz tam nie ma. Będziecie bezpieczni. Nie przyjdzie im na myśl, że zechcecie wrócić.

W przygasłym świetle księżyca, tuż nad ich głowami, zakołysał się Duch.

— Zgadza się — rzekł. — Przez cały błogi dzień nie widać było żywej duszy. Moim zdaniem droga jest wolna.

— Będziemy musieli wypocząć, zanim podejmiemy próbę pokonania bagien — stwierdził Duncan. — Wszyscy słaniamy się na nogach z braku snu.

— Andrew smacznie chrapie — zauważył Conrad.

— Tylko on jeden — odpowiedział Duncan. — Ale zapłaci za to. Gdy dotrzemy na miejsce, pustelnik stanie na straży, a my trochę odpoczniemy.

# 14

Oślizgły potwór wystrzelił z bagna, trójkątny, łuskowaty, rogaty łeb z uzębioną paszczą i wszędobylskim węzowym językiem, wsparty na beczkowatym, wijącym się ciele; wzniósł się nad nim, stojącym po uda w wodzie, czującym, jak szlam bagienny ssie jego stopy, czepia się go tak silnie, że nie może się wydostać, lecz musi tkwić i zmierzyć się z potworem. Krzyknął na niego ze złością i wstrętem, patrząc, jak unosi się, syczy, dominuje, pewny swej zdobyczy, niespieszny. Jak złowrogie fatum wisi nad nim, czekającym ze swą wykałaczką o kształcie miecza — dobra stal, ostra, mordercza i świetnie dopasowana do jego dłoni, ale tak skromne narzędzie walki, iż wydawało się niemożliwe, by mogło wydrapać coś więcej niż cienką rysę na łusce gada, gdy ten zdecyduje się w końcu na uderzenie.

Na bagnach panowała absolutna cisza, zakłócana tylko sykiem potwora i powolnym kapaniem wody z jego lśniącej skóry. Było w tym coś niesamowitego, jakby nie do końca z tego świata i jeszcze nie całkiem z innego — chwila i przestrzeń zawieszona na osobliwej linii granicznej pomiędzy rzeczywistością a ułudą. Mgliste smugi nad czarną, stojącą wodą — czarną, smolistą, zbyt gęstą jak na prawdziwą wodę, szatańskim odwarem, który paruje i cuchnie zgnilizną rozkładu. Drzewa, które z niej wyrastały, były trędowate, a ich szare i złuszczone pnie nosiły znamię nieznaną, strasznej choroby, na którą mógł cierpieć świat po drugiej stronie granicy.

Naraz łeb stwora runął pociągając za sobą ciało, wyginając się w łuk, wijąc i waląc go niczym jakaś gigantyczna pięść, odsuwając mu prawą rękę, zginając kolana, rzucając swą gładką i muskularną

pętlę na jego ciało, biorąc go w objęcia swej siły, zapierając mu dech w piersiach, łamiąc żebra, wyłamując ramiona, spowijając go na sobie, i jakiś głos ryknął:

— Uważaj na psa. Skrępuj mocno młodzieńca, ale niech mu włos nie spadnie z głowy. Chłopak jest więcej wart niż cała wasza zgraja razem wzięta. Jeśli zobaczę na nim choć jedną szramę, powieszę za kciuki durnia, który ją zrobił.

Duncan poczuł piasek w ustach — piasek, nie wodę — i ramiona, które go trzymały, a nie olbrzymie ciało węża. Wytężał siły, aby zamachać rękami i nogami, ale ramiona trzymały go tak mocno, że nie mógł się ruszyć. Jedno kolano wbijało mu się w pasie, drugie napierało na łopatki. Twarz miał silnie przyciśniętą do ziemi. Uniósł powieki i zobaczył martwy, opadły liść oraz pełznącego na nim powoli robaka, torującego sobie drogę na gładkiej i śliskiej powierzchni.

— Olbrzymia zwiąż solidnie — ryczał głos. A potem: — Uważaj na konia. Pilnuj się. Raz cię kopnie i jużś trup.

Gdzieś dziko warczał Malutki, gdzieś bronił się Daniel albo starał się bronić przed prześladowcami. I zewsząd dochodził odgłos głuchych uderzeń i pochrząkiwań zmagających się ludzi.

Duncan czuł na dłoniach ciężkie, przecinające mu ciało powrozy, a potem ktoś szarpnął go do góry i przewrócił na plecy. Leżał i wpatrywał się w niebo. Na granicy pola widzenia zobaczył niezgrabne, majaczące sylwetki. Z daleka dolatywał niesamowity lament.

Z wysiłkiem uniósł ciało i opierając się na związanych z tyłu rękach usiadł w pozycji wyprostowanej, ściągnięte powrozem nogi miał wysunięte do przodu.

Kilka stóp dalej leżał Conrad skrępowany niczym gęś biesiadna z okazji Bożego Narodzenia. Mimo to wciąż szamotał się i próbował wyswobodzić.

— Wątroby wam wypruję, gdy tylko wpadniecie w moje ręce —

krzyknął do mężczyzn, którzy właśnie od niego odstępili.

— Drogi Conradzie — odparł któryś — bardzo wątpię, czy będziesz miał okazję.

Jeden człowiek wydawał się Duncanowi znajomy, ale stał bokiem i Duncan nie był pewny. Nagle mężczyzna obrócił się trochę i Duncan poznał Harolda Rozbójnika.

Umysł Duncana robił wszystko, aby uchwycić się rzeczywistości. Ale trudno było uchwycić się rzeczywistości, albowiem przemiana nastąpiła zbyt szybko, śnił — tak, to musiał być sen — o konfrontacji z węzowatym potworem, który wynurzył się z błota, sen wywołany na pewno widokiem podobnego potwora wynurzającego się z czarnego rozlewiska na zaczarowanym bagnie. A w tym momencie nie śnił już, tylko leżał związany przez bandę nikczemnych łotrów.

Rozejrzał się dookoła, próbując rzutem oka ocenić sytuację. Andrew był przywiązany do małego drzewa, dłonie miał przymocowane sznurem do pnia, a inne sznury ścisnęły go w pasie. Nigdzie nie widział Daniela ani Meg, choć wiedźma musiała być w pobliżu; zobaczył tylko cierpliwą, małą Piękną, która stała uwiązana do innego drzewa. Ciężki powróż jak uzda oplatał jej głowę i szyję. Kątem oka zauważył brytana. Wszystkie cztery łapy miał związane razem, szczęki ściśnięte pętlami sznura, mocno owiniętego wokół nich. Malutki bronił się gwałtownie, rzucał się i szamotał, ale nie miał raczej szans na odzyskanie wolności. Conrad leżał wciąż kilka stóp dalej, jeszcze bardziej przypominając gęś bożonarodzeniową, gotową na rożen.

Znajdowali się na skraju małego zagajnika przy brzegu moczarów — w tym samym miejscu, gdzie zatrzymali się o brzasku i padli ze znużenia, nie myśląc o posiłku ani ogniu, marząc jedynie o złapaniu kilku godzin snu, kiedy Andrew będzie stał na straży.

Nie widział Nochala, Ducha ani wróżki Nan. Zresztą należało się chyba tego spodziewać, powiedział do siebie. Gdy tylko jego podopieczni dotarli bezpiecznie na skraj bagien, Nochal, zapewne w towarzystwie Nan, oddalił się, aby zwołać gromadkę swoich ludków.

Duch prawie na pewno wybrał się na zwiady, czujny wobec najmniejszego niebezpieczeństwa. Zeszłego wieczoru powiedział, że nikogo nie widział przez cały dzień, że tutaj będą bezpieczni. A skoro tak, zastanawiał się Duncan, to gdzie u diabła czaili się Rozbójnik i jego banda?

Rozbójnik szedł w jego stronę i Duncan przyglądał mu się przez chwilę. Zaskoczyło go, jak negatywne emocje wzbudza w nim ten człowiek — być może trochę strachu, z pewnością trochę nienawiści, ale jedno i drugie rozmyte przez absolutną pogardę, w jakiej miał nikczemnika. Rozbójnik był wyrzutkiem społeczeństwa, podłym oportunistą pozbawionym wszelkich zasad; zerem, mniej niż zerem.

Harold zatrzymał się kilka stóp przed Duncanem, i stojąc z rękoma mocno opartymi na biodrach, spoglądał w dół na niego.

— No, milordzie, jak ci się teraz podoba? — spytał. — Role się odwróciły. Czy chciałbyś powiedzieć, o co tu chodzi?

— Już ci mówiłem — odparł. — Tamtej nocy w majątku. Zdążamy do Oxenfordu.

— Ale zapomniałeś powiedzieć dlaczego.

— Powiedziałem. Niesiemy wiadomości.

— I to wszystko?

Duncan wzruszył ramionami.

— To wszystko — powiedział.

Rozbójnik pochylił się, położył wielką dłoń na torbie Duncana i gwałtownym szarpnięciem oderwał ją od pasa.

— Zaraz się przekonamy — oznajmił.

Nie spiesząc się odpiął klamry i otworzył torbę. Zanurzył dłoń w środku i po chwili wyjął talizman Wulferta. Zamachał nim na łańcuszku; błyszczący desień klejnotów rozjarzył się w blasku zachodzącego słońca.

— Ładne cacko, zaiste — stwierdził. — I chyba cenne. Powiedz, co to jest?

— To tylko błyskotka — odrzekł. — Świecełko wykonane przez rzemieślnika dla ozdoby.

A w głębi duszy modlił się: Nie *manuskrypt!* Błagam, tylko nie *manuskrypt!*

Rozbójnik wrzucił talizman do kieszeni, sięgnął ponownie do torby i wyciągnął manuskrypt.

— A to?

— Kilka arkuszy pergaminu — powiedział Duncan najspokojniej jak potrafił. — Noszę je przy sobie do czytania. To moje ulubione. Brak mi czasu na czytanie w domu.

— Phi! — parsknął ze wstrętem Rozbójnik. Zmiał manuskrypt w dłoni i cisnął na bok. Kartki zatańczyły w powietrzu, przeleciały kilka stóp po piasku, a następnie wpadły na mały krzak i utknęły tam, wciąż powiewając na wietrze.

Ręka Harolda znowu powędrowała do torby. Tym razem wyjął różaniec, krzyżyk z kości słoniowej i koraliki z bursztynu. Przyjrzał się dokładnie swojemu trofeum.

— Dewocjonalia? — zagadnął. — Może poświęcone przez jakiegoś nabożnisia?

— Przez Jego Dostojność arcybiskupa z Opactwa Standish — odparł Duncan. — Co sprawia, że są tylko umiarkowanie poświęcone.

— Niemniej znakomita robota — stwierdził uprzejmie Rozbójnik i wrzucił sobie różaniec do kieszeni. — Mogę dostać za niego miedziaka.

Jest wart o wiele więcej — rzekł Duncan. — Okażesz się głupcem, jeśli go sprzedasz za miedziaka. Tym razem Rozbójnik znalazł brzęczący trzos z irchy.

— No, tu mamy coś lepszego — powiedział szczerząc wystające zęby. Otworzył sakiewkę i wysypawszy na dłoń kilka monet grzebał w nich palcem dłoni, w której trzymał torbę. — Niezła sumka — dodał. — Mile widziana przez człowieka tak klepiącego biedę jak ja.

Wsypał monety do sakiewki i wrzucił ją w ślad za różańcem do kieszeni w kubraku.

Powtórnie otworzył szeroko torbę i zajrzał do środka, aby obejrzyć pozostałe przedmioty.

— Rupiecie — stwierdził z pogardą i rzucił torbę na ziemię. — A teraz miecz. Broń szlachcica. Dużo lepsza, jak mniemam, od nędznego żelastwa, które my nosimy.

Podszedł z boku i wyciągnął miecz Duncana z pochwy. Kucnął przed nim, oceniając broń wprawnym okiem.

— Świetna stal — stwierdził. — I bardzo poręczna. Ale gdzie złoto? Gdzie klejnoty? Od młodej latorośli szlachetnego rodu można oczekiwać czegoś więcej.

— Złoto i klejnoty służą do ceremonii — odparł Duncan. — To jest broń bitewna.

Rozbójnik skinął głową.

— Słuszne słowa. Ostra i spiczasta. Zaiste, znakomita.

Poderwał koniec miecza i pchnął go o parę cali do przodu, kłując Duncana w gardło.

— A teraz przypuśćmy — oznajmił — że wyjawisz mi, o co tu naprawdę chodzi. Gdzie leży skarb, którego szukacie? Co to za skarb?

Duncan nic nie odpowiedział. Leżał nieruchomo, kiedy wszystkie instynkty krzyczały do niego, aby cofnął głowę. Nawet jeśli uchyli się od ostrej stali, powiedział do siebie, to na nic się nie zda. Jeden ruch dłoni łotra i ostrze miecza powróci na jego szyję.

— Bo dasz gardło — zagroził Rozbójnik.

— Wtedy już nigdy się nie dowiesz.

— Racja — przyznał herszt. — Zaiste, święta prawda. Może obdarcie cię żywcem ze skóry będzie lepszym posunięciem. Powiedz, czy widziałeś kiedy człowieka obdzieranego żywcem ze skóry?

— Nie, nie widziałem.

— To nie jest przyjemny widok — stwierdził Rozbójnik. — Robi się to nader powoli, po kawałku. Są różne metody. Można zacząć od palców nogi albo od palców ręki. Lecz jest to nudne zajęcie dla skórnik, który musi działać bardzo dokładnie, jako że technika jest niezwykle dokładna. Myślę, że na ich miejscu wolałbym zaczynać od brzucha albo od krocza. Raczej od krocza, choć jest to bardziej

skomplikowane. Krocze to niezwykle czułe miejsce i zazwyczaj daje szybkie wyniki. Od czego każesz nam zacząć, gdybyśmy mieli zrobić to na tobie? Wyświadczymy ci tę grzeczność, możesz sam wybierać.

Duncan milczał. Czuł, że pot mu występuje na czoło, i miał nadzieję, że Harold tego nie widzi. Odnosił wrażenie, że nie jest to czcza gadanina. Nie chodziło o zmuszenie go strachem do mówienia; ten rzeźnik naprawdę chciał to zrobić.

Rozbójnik wyglądał na pogrążonego w zadumie, oceniającego sytuację.

— Może będzie lepiej, jeśli najpierw zademonstrujemy to na kimś i pozwolimy ci patrzeć przez jakiś czas, zanim weźmiemy się do ciebie. Na przykład na tym wielkim gamoniu. Chłopisko doskonale się nadaje; nosi taką wspaniałą skórę. Ma jej pod dostatkiem, i to w bardzo dobrym stanie. Potem będzie można uszyć z niej kaftan. Albo na tym nędznym pustelniku przywiązany do drzewa. Będzie wrzeszczeć głośniej niż tamten osiłek. Będzie cierpieć katusze nie do wytrzymania. Wyc i błagać o litość. Żalonym tonem wzywać Pana. Odegra prawdziwe przedstawienie. Ale trudno mi się zdecydować. Pustelnik ma tak pomarszczoną skórę, że chyba szkoda na nią fatygi.

Duncan wciąż milczał. Harold machnął z lekceważeniem ręką.

— No cóż — westchnął. — Zbyt późno, aby dziś o tym rozmawiać. Do właściwego ściągania skóry potrzebne jest dobre światło, a słońce niebawem zachodzi. Zaczniemy jutro o poranku, będziemy mieli na to cały dzień.

Dźwignął się na nogi, wetknął sobie miecz pod pachę, poklepał wypchaną kieszeń w kubraku, sprawiając wrażenie, że ma zamiar się oddalić. Po chwili wrócił i spojrzął na Duncana, szczerząc do niego zęby.

— Będziesz miał noc na rozważenie sprawy — powiedział. — Wrócimy do tego skoro świt.

Zawołał na swoich ludzi.

— Einer i Robin, obejmiecie pierwszą straż nad naszą cenną zdobyczą! — ryknął. — Nie spuszczaście ich z oka. I nie chcę na nich



żadnych śladów. Nie chcę widzieć żadnej rany na ich ciele. Mają mieć skórę w doskonałym stanie, kiedy będziemy ją z nich zdzierać. Niech no który mi się nie sprawi — pozwoli im jakimś niepomyślnym trafem na ucieczkę albo pofolguje sobie na nich po partacku, to mu jaja powyrywam.

— Haroldzie, jesteś źle poinformowany — odezwał się Duncan. — Nie ma żadnego skarbu. Nie wybraliśmy się na poszukiwanie skarbu.

— Ach, trudno — odparł tamten. — Później to możemy osądzić. Choć boję się, że jeśli w końcu mnie przekonasz, iż się pomyliłem, trudno chyba będzie przykleić ci na powrót twoją skórę.

Wyszedł kilka kroków poza skraj zagajnika i znalazłszy się na ścieżce wzdłuż bagna, ponownie wrzasnął na cały głos.

— Cedricu, na miłość Chrystusa, dlaczego tak daleko? Mówiłem, aby rozbić obóz w pobliżu.

Z niewielkiego oddalenia odpowiedział mu piskliwy głos starego Cedrica.

— Tutaj jest kawałek łąki na popas dla koni — a musimy ich pilnować — i sporo drewna, w sam raz na ognisko.

Rozbójnik mruknął coś pod nosem, a następnie powiedział:

— No dobrze, to chyba nie robi różnicy. Ci tutaj są solidnie związani. Sam diabeł nie zdoła ich uwolnić. Będą pod dobrą strażą, a my tylko o krok od nich.

— A może zaciągnijmy ich do obozu. To będzie wielka przyjemność — odezwał się Einer, ten sam mężczyzna, który musiał się przesiąść, aby zrobić miejsce przy stole dla Duncana i Conrada owego wieczora w pałacu.

Harold zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Nie, chyba nie. Będą pod stałą obserwacją dwóch ludzi. Po co marnować siły? A ponadto mają tutaj ciszę na zebranie myśli i zrozumienie losu, jaki ich słusznie czeka o świcie.

Oddalił się skrajem moczarów, reszta poszła za nim. Zostali jedynie Einer i Robin, dwa krzepkie osiłki.

— Słyszałeś, co mówił — powiedział Einer do Duncana. — Lepiej

nic nie kombinuj. Mam rozkaz dbać o twą skórę, ale przy najmniejszym figlu tak cię nakarmię piaskiem, że się udusisz.

— Dobrze się czujesz, milordzie? — spytał Conrad.

— Nie gadać — rozkazał Robin, strażnik. — Zamknąć gęby!

Nic mi nie jest — odparł Duncan. — Andrew też ma się dobrze. Nie widzę Meg. — Jest tam, po lewej stronie, w pobliżu Daniela. Uwiązali go między dwa drzewa.

— Mówiłem, żeby nie gadać! — wrzasnął Robin i ruszył ku nim szybkim krokiem, wymachując dwusiecznym mieczem.

— Spokojnie — przestrzegł go Einer. — Rozbójnik powiedział: żadnych zadraśnień.

Robin zatrzymał się, opuszczając miecz do boku.

— Milordzie — rzekł Conrad. — Zdaje się, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

— Niestety, to prawda — odpowiedział Duncan.

Manuskrypt wciąż znajdował się tam, gdzie go zdmuchnęło, zaplątany między liśćmi niskiego krzaka, utrzymując się pod naporem wiatru.

# 15

Coś się poruszało w kępie wierzb przy skraju zagajnika. Duncan usiadł prosto, wpatrując się w miejsce, gdzie widział ruch albo tak mu się zdawało. Wytężał wzrok, ale nie był pewny. Lis, pomyślał, choć było mało prawdopodobne, aby lis podszedł tak blisko. A może jakieś inne zwierzę, jakiś mały nocny włóczęga poszukujący kolacji.

Kępa splątanych wierzb zasłaniała obóz Harolda. Przez gmatwaninę gałęzi Duncan widział blask ognia. Przedtem noc była głośnie od krzyku, chichotu i śpiewu ludzi zgromadzonych wokół ogniska, ale z upływem czasu hałas ucichł.

Księżyc wstał wcześniej i był już w połowie drogi na wschodnim niebie. W dalszym ciągu co jakiś czas rozlegało się zawodzenie, które słyszał uprzednio. Teraz był już pewien, że jego źródło znajdowało się na bagnach.

Przeguby miał obolałe od naprężania sznurów. Liczył na to, że uda mu się je poluzować, a może nawet zsunąć. Ale już ich nie napręzał, bo nie poddawały się i stracił nadzieję, że zdoła się od nich uwolnić.

Przecież musi być jakiś sposób ucieczki, powtarzał sobie, po prostu musi. Od kilku godzin łamał sobie głowę nad tym, aby go znaleźć. Może ostry kamień, którym mógłby skrobać więzy, trzeć je, a w końcu przeciąć albo zniszczyć do tego stopnia, że uda się je rozerwać. Ale chyba nie ma tu żadnych kamieni, tylko piasek z niewielką domieszką iłu i gliny. Wykonując skomplikowane ruchy ciałem być może zdołałby precyzyjnie związać ręce pod ciałem. Później zaś, podciągając wysoko kolana mógłby przełożyć nad nimi ramiona i zmieniając dzięki temu ich położenie, miałby powrozy przed sobą. Może udałoby mu się

przegryźć je zębami. Wiedział wszakże, iż nie ma na to szans w obecności dwóch strażników. W gruncie rzeczy wątpił w ogóle w realność swego planu. Jak również w to, że gdyby zdołał się podczołgać, to albo sam zdołałby przegryźć pęta na rękach Conrada, albo Conrad — raczej on, bo miał większe zęby i silniejsze szczęki. Lecz także i to było niemożliwe pod okiem Einera i Robina.

Puszczał wodze fantazji o wybawieniu — o Nochalu, który do nich powrócił i zdoławszy się niepostrzeżenie podkraść, przeciął więzy jemu bądź Conradowi, a gdy ten zajmował się strażnikami, skrzat pobiegł uwolnić pozostałych; o Duchu, który nagle się ukazał, a potem ulotnił po pomoc, po jakąkolwiek pomoc; o Dianie, która spadła jak z nieba na swym gryfie, uzbrojona w topór wojenny; nawet o Dzikim Myśliwym i jego sforze ujadających psów, który porzucił swe odwieczne łowy na niebie, aby ruszyć im na ratunek. Wiedział jednak, że ani jedno z tych marzeń się nie ziści.

Wszystko wskazywało na to, że nie będzie żadnej ucieczki ani wybawienia, i kiedy nadejdzie ranek... Ale nie chciał o tym myśleć, nie dopuszczał tego do swej świadomości. Człowiek nie potrafi snuć planów wobec tego rodzaju zagrożenia. Zastanawiając się nad tym w wąskich szczelinach czasu, kiedy nie mógł oprzeć się myślom, przyznawał się przed sobą, że raczej nie ma mowy, aby zachował się przyzwoicie w obliczu cierpień. Co gorsza, nie miał nic do powiedzenia Rozbójnikowi, co mogłoby go skłonić do poniechania tortury.

Ponieważ żaden skarb nie istniał, nikomu nawet nie powstała taka myśl w głowie przed wymarszem. Zadawał sobie pytanie, skąd Rozbójnik zaczerpnął pomysł, że szukają skarbu? Ale cóż mógł myśleć człowiek pokroju Rozbójnika? Skoro własne motywy i oczekiwania przypisuje innym, nic dziwnego, że czuje zapach skarbu bądź tęsknotę za skarbem u każdego, kogo spotyka.

Po ciężkich zmaganiach brytan przestał w końcu się szamotać i leżał cicho na boku. Conrad nie poruszał się od dłuższego czasu. Znając jego naturę, Duncan doszedł do wniosku, że Conrada zmorzył

sen. Andrew stał zwiotczały pod drzewem; od upadku na ziemię chroniły go powrozy. Z obozu Harolda dobiegały stłumione odgłosy hulanki, choć wyraźnie słabsze od tych, jakie rozbrzmiewały wieczorem.

Pergamin nadal tkwił wśród liści niskiego krzaka, a wiatr tarosił rogi stronic. Duncan chciał poczynić wysiłek, aby go schować czy ukryć, ale bał się, że zwróci w ten sposób uwagę na manuskrypt.

Strażnicy nie dostawali zmiany i zaczęli się niecierpliwić. Szeptali o tym między sobą, zastanawiając się na głos, czy Rozbójnik nie zapomniał wysłać kogoś na ich miejsce.

Z niejakim zdziwieniem Duncan uprzytomnił sobie, że jest głodny i spragniony. Rozumiał pragnienie, ale uczucie głodu go zaskoczyło. Człowiek w jego sytuacji nie powinien raczej myśleć o jedzeniu.

Ile to już dni, odkąd opuścili z Conradem Dom Standishów? Wydawało się to wiecznością, ale kiedy policzył je dokładnie, okazało się, że to tylko pięć lub sześć dni, chociaż nie mógł być niczego pewny. Poszczególne dni ginęły w płątaniu zdarzeń. Niewiele czasu trzeba na to, myślał, by nabawić się tylu kłopotów. Bardzo dużo, aby oddalić się na taką niewielką odległość od domu.

— Już dawno powinni wysłać kogoś na nasze miejsce — powiedział Robin tak głośno, że Duncan usłyszał jego słowa. — Na pewno leżą już zamroczeni winem, które wydano dla wszystkich. Nawet kropelki dla nas nie zostawią.

— Nie pogardziłbym dzbankiem czegoś mocniejszego — odparł Einer. — Rzadko mamy okazję napić się wina. Nie mogłem się już doczekać. Od miesiący pijemy tylko piwo, aż się zgagi od niego nabawiłem.

— Mam pomysł — oznajmił Robin. — Skoczę po jeden antałek. Za chwilę będę z powrotem.

— Harold ci uszy poobrywa, jak zejdziesz z warty.

— Harold, bez względu na twoją opinię o nim, to rozsądny człowiek i nie zadaje zbędnych cierpień swoim ludziom — zaprotestował Robin. — Gdybym poszedł i pogadał z nim, może

wysłałby kogoś na nasze miejsce. Na pewno zapomniał, jak długo trzyma nas tutaj.

— Ale więźniowie!

— Od godziny żaden się nie poruszył. Nic nam nie grozi z ich strony.

— A jednak nie podoba mi się to — stwierdził Einer.

— Idę po wino — rzekł Robin. — To niesprawiedliwe, aby trzymać nas tutaj w lesie, podczas kiedy tamci leżą i zalewają się naszym winem. Wrócę w mgnieniu oka. Pewnie są tak pijani, że nie zwrócą na mnie uwagi.

— Jeśli zostało w ogóle jakieś wino.

— Powinno. Były trzy antałki.

— No dobrze, skoro musisz. Tylko się pośpiesz. Mimo wszystko uważam, że to głupota.

— Zaraz wracam — powiedział Robin.

Obrócił się na pięcie i zniknął. Poruszając się błyskawicznie, skrył się za kępą wierzb.

Wino, rzekł Duncan do siebie. Z kim się mogli spotkać? Kto im dał to wino?

Od strony wierzbowego zagajnika dał się słyszeć cichy szelest. Lis, zwierzę czy coś innego, wciąż tam przebywało albo właśnie powróciło.

Einer, który też musiał usłyszeć szmer, począł się odwracać, ale postać, która wyrosła nagle spośród wierzb, poruszała się dla niego zbyt szybko. Ręka zatoczyła krąg do jego szyi i błysnęła metal, który znikł po chwili z głuchym odgłosem, zatapiając się w piersiach Einera. Strażnik wyprostował się na moment, po czym zgął się wpół i padł jak kłoda na piasek. Jedna stopa drżała mu spazmatycznie, ryjąc ziemię.

Jakiś człowiek wyskoczył zza wierzb, podbiegł do Duncana i przykucnął. Duncanowi udało się zobaczyć jego twarz w księżycowym świetle.

— Cedric! — wyszeptał.

— Tak jak mówiłem, niewielkie uderzenie tu i tam — szepnął mu na ucho.

Trzymanym w dłoni nożem przeciął więzy na rękach Duncana, następnie odwrócił się do stóp i zdjął powrozy wokół nich, po czym rzucił nóż do Duncana.

— Łap — powiedział. — Przyda ci się.

Stary bartnik wstał z ziemi i ruszył w kierunku wierzb.

— Zaczekaj, człowieku! — szepnął Duncan. — Nie odchodź, przyłącz się do nas. Kiedy Rozbójnik się dowie...

— Nie. Moje pszczoły. Pszczoły nadal mnie potrzebują. Zginą beze mnie. I nikt się nie zorientuje. Leżą jak nieżywi, pijani do nieprzytomności.

Duncan wstał. Nogi mu ścierpły, zdrętwiały od długiego nacisku sznurów. Starego Cedrica już nie było, zniknął między wierzbami.

Duncan podbiegł do Conrada i przygiął go do ziemi, by móc dosięgnąć jego rąk.

— Co się dzieje, milordzie?

— Ciszej — szepnął Duncan.

Przeciął sznury na ramionach Conrada i podał mu nóż.

— Uwolnij sobie nogi — powiedział — a potem usuń więzy pozostałym. Drugi strażnik wraca. Ja się nim zajmę.

Conrad chwycił nóż.

— Dzięki ci, dobry Boże — westchnął.

Po dobiegnięciu do kępy wierzb, Duncan usłyszał kroki grzęznącego w piasku Robina. Schylił się po obosieczny miecz, który wypadł Einerowi z ręki. Była to dziwna, ciężka broń, nie pasująca do jego dłoni. Miał trochę trudności z chwyceniem rękojeści ścierpłymi palcami, ale jakoś zdołał objąć ją porządnie.

Robin jął mówić do Einera, zanim jeszcze okrążył kępę wierzb.

— Przyniosłem nie napoczęty antałek! — zapiszczał. — Nikt mnie nie zauważył. To znaczy, tak mi się zdaje. Wszyscy leżą pijani.

Chrząknął i przerzucił baryłkę na drugie ramię.

— Wina starczy na całą noc — zawołał. — Nawet na dłużej. Zostanie go tyle, że będziemy mogli umyć sobie nogi, jeśli przyjdzie nam ochota.

Wyszedł z za wierzbowego zagajnika i Duncan szybko skoczył naprzód. Cięcie nie miało precyzji, elegancji ani szermierczego stylu. Grzmotnął po prostu ostrzem miecza w czubek głowy Robina. Czaszka rozłupała się z głuchym trzaskiem dojrzałego, spadającego na ziemię melona; rdzawy metal zatrzymał się dopiero na obojczyku. Żelazo uderzyło w twardą kość z taką siłą, że zawibrowało i Duncan odczuł mrowienie w prawym ramieniu. Robin nie wydał żadnego dźwięku; runął jak drzewo pod toporem. Antałek koziołkując potoczył się po ziemi i dał się słyszeć chlupot wina w środku.

Duncan pochylił się nad ciałem, sięgnął po rękojeść miecza Robina i wyszarpnął go z pochwy. Następnie ruszył biegiem po manuskrypt. Z dwoma mieczami pod pachą, przytrzymując je z całych sił ramieniem, podniósł rękopis, złożył go byle jak i wrzucił za koszulę. Manuskrypt przywarł mu do skóry na piersiach.

Andrew był wolny; zataczał się na chwiejnych nogach, tak samo jak Meg. Conrad pochylił się nad Malutkim i ostrożnie przeciął więzy, którymi skrępowano wielkie szczęki brytana. Duncan pobiegł do Daniela, uwiązanego między dwoma drzewami. Kiedy zatrzymał się przed nim, rumak spłoszył się bojaźliwie. Duncan przemówił do niego spokojnie: — Wszystko w porządku, Danielu. Spokojnie, koniku. — Ciął mieczem w powrozy i zaledwie puściły, koń rzucił się przed siebie, po czym stanął, cały dygocząc. Piękna, już uwolniona, dreptała w kółko i ciągnęła za sobą sznur, który przestał być jej uzdą.

Conrad szedł w stronę Duncana, a Duncan wyciągnął ku niemu jeden ze zdobytych mieczy. Conrad podniósł ręce na znak, że ma swoją maczugę.

— Zostawili ją na ziemi obok mnie.

Duncan rzucił miecz na trawę.

— Co się dzieje z pustelnikiem, u licha? — spytał. Andrew kręcił się w kółko ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Duncan pospieszył do niego i chwycił go za ramię.

— Chodź — powiedział. — Musimy stąd uciekać.

— Mój kostur — jęknął pustelnik. — Muszę poszukać mego



kostura.

Nagle zachwiał się i pochylił do przodu.

— O, tutaj leży — zawołał. Wziął go do ręki i uderzył kilka razy o ziemię.

— Dokąd, milordzie? — zapytał Conrad.

— Z powrotem na wzgórze. Tam mamy większe szanse.

Conrad popędził do Meg, chwycił ją i wrzucił na grzbiet Daniela.

— Trzymaj się dobrze — powiedział do niej. — Pochyl głowę, żeby cię nie zgarnęły gałęzie. Musisz go obejmować za szyję z całej siły, bo nie masz siodła. Nie wiem nawet, gdzie to przeklęte siodło może leżeć.

## 16

Zatrzymali się na polanie na szczycie skalistego zbocza, gdzie poprzedniego wieczora oglądali galopadę Dzikiego Myśliwego na ciemnym niebie. Księżyc wisiał nisko na zachodzie i kilka ptaków zaczynało już wzlatywać i ćwierkać w rosnącym w dole lesie. Wdzięczna za postój Meg zsunęła się z Daniela, a Andrew przysiadł na małym kamieniu.

— Są wyczerpani, on i ona — powiedział Duncan do Conrada. — Może powinniśmy przycząć się tutaj i sprawdzić, co będzie.

Conrad rozejrzał się dookoła.

— To dobre miejsce — rzekł. — Możemy oprzeć się plecami o skały i powstrzymać ewentualny atak. Lepsze to, niż dać się zaskoczyć w lesie. — Wyciągnął dłonie w kierunku Duncana, by ten mógł je obejrzeć. Wciąż nosiły okropne czerwone pręgi od powrozów, skóra była zdarta i zakrwawiona. — Widzę, że twoje są w takim samym stanie — powiedział.

— Mocno nas związali — stwierdził Duncan. — Gdyby nie Cedric...

— Szkoda, że nie poszedł razem z nami. Jeśli Rozbójnik domyśli się, że to on...

— Może się nie domyśli. Wszyscy byli zupełnie pijani. Ktoś dał im trzy baryłki wina i musieli oczywiście wypić je do dna. Kto właściwie dał im to wino?

— Mogli je znaleźć. W jakieś spalonym gospodarstwie.

— Nie. Einer, a może to był Robin, wspominał, że dostali je od kogoś.

— Prosiłeś starego Cedrica, aby się z nami zabrał?

— Tak. Odparł, że nie może. Jego pszczoły nie mogą się obyć bez niego.

— Duch nie pokazał się wczorajszej nocy.

— Może przybył, ale widząc, co się stało, ulotnił się, aby poszukać Nochala.

— Gdyby się pokazał, obaj strażnicy narobili by w portki ze strachu, dali nura do lasu i uciekli, gdzie pieprz rośnie.

Duncan pokręcił głową.

— Co by nam z tego przyszło? Choćby nawet przybył, Duch nie zdołałby nam pomóc w przecięciu więzów.

— Tak — przyznał Conrad. — Chyba masz rację. Może faktycznie się zjawił, a później zniknął na powrót. Ale co teraz, milordzie?

— Musimy to omówić, przemyśleć — odparł Duncan. — Na razie nie wiem, co robić. Może zaszyć się gdzieś, dopóki sytuacja nie wyklaruje się trochę.

— Jeśli się w ogóle wyklaruje.

— Musimy coś zrobić. Nie mamy jedzenia ani koców. Niczego. A Rozbójnik zabrał amulet czarodzieja.

— Niewielka strata — stwierdził Conrad. — Zwykle świcidelko.

— Czy ja wiem? To mógł być potężny talizman. Niewykluczone, że zapewnił nam ochronę. Zdołaliśmy wydostać się spod działania czaru, z łatwością pobiliśmy bezwłosych, wilkołaki uciekły podwinąwszy ogony pod siebie. To wszystko może być dziełem amuletu.

— Nie ochronił nas przed Rozbójnikiem.

— To prawda — stwierdził Duncan. — Nie udzielił nam pomocy przeciw niemu. Mam jednak pewność, że pomógł nam w pozostałych wypadkach.

Andrew wstał z kamienia i podszedł do miejsca, gdzie stali.

— Wiem, co o mnie myślicie — powiedział. — Nie było na to czasu przedtem, teraz jednak, kiedy mamy chwilę wytchnienia, zapewne chcecie mnie ukarać za zaniedbanie obowiązku. Miałem pełnić straż. Postawiliście mnie na straży przeciw ewentualnemu niebezpieczeństwu. A ja zasnąłem. Uciałem sobie drzemkę, jestem

o tym przekonany. To przeze mnie napadli na nas, widząc że głowa mi się kiwa, podczas gdy powinienem mieć uszy i oczy szeroko otwarte.

— A więc to tak się stało — mruknął Conrad. — Myślałem o tym przez chwilę, ale nie miałem czasu, aby się dłużej nad tym zastanawiać. A zatem usnąłeś szybko. Dlaczego potrzebowałeś snu? Przecież spałeś całą wczorajszą noc zgięty wpół na siodle Daniela.

— Owszem, niestety — odrzekł pustelnik. — Ale to nie był krzepiący sen. To nie był taki sen, jak ci się wydaje. Raczej drzemka. Płytko i urywana. Ale nie mówię tego, aby się usprawiedliwić. To skutek pewnej mojej słabości, słabej strony mego ciała. Umysł rozkazuje mu działać, ale ciało zawodzi. Nie jestem ulepiony z tej samej gliny co męczennicy.

— A na dodatek masz usta, które nigdy się nie zamykają — zauważył Conrad.

— Nie myśl już o tym — powiedział Duncan. — Każdy z nas ma jakąś słabostkę. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło.

— Postaram się zrehabilitować za swoje uchybienie. Zrobię wszystko, aby wypełnić obowiązek rycerza Pana. Przysięgam uroczyście, że na przyszłość będziecie mogli na mnie polegać.

— Jeśli sprawi ci to jakąś ulgę, to z przyjemnością dam ci kopniaka w zadek — powiedział Conrad. — Może to uspokoi twoje sumienie, bo jak widzę, strasznie cię ono gryzie.

— O tak, panie, postaraj się tylko, aby to był tęgi kopniak — odparł z zapalem pustelnik. — Zapomnij o tym, że masz przed sobą towarzysza drogi.

Odwrócił się i pochylił, zadzierając habit, aby odsłonić nagie chude siedzenie.

— Skończ z tą błazenadą — rzucił Duncan. — To nie jest zachowanie godne rycerza Pana — wypinanie kościstego tyłka na dobrotliwych kompanów. Opuść habit i stań prosto, jak przystoi mężczyźnie. Mości pustelniku, na przyszłość oczekuję od ciebie więcej przyzwoitości.

Andrew opuścił suknię i wyprostował się.

— Byłoby lepiej, gdybyś mi pozwolił, milordzie — rzekł Conrad. — Trzeba jakoś usztywnić mu kręgosłup i uczynić z niego lepszego rycerza. A poza tym tęgi kopniak w zadek nie zaszkodził jeszcze żadnemu nicponiowi.

Duncan uciszył ich gestem ręki.

— Słuchajcie — powiedział. — Zachowajcie ciszę i słuchajcie.

Z daleka dawało się słyszeć ciche echo nawoływań i krzyków. Niekiedy siła dźwięków rosła, niekiedy stanowiły tylko cichy szept na wietrze.

— Z brzegu wzdłuż bagien — powiedział Conrad. — Dochodzi od strony bagna.

Wyteżyli słuch; odległe, stłumione krzyki i wrzaski trwały nadal. Przez chwilę zdawały się zamierać, po czym wróciły, aby w końcu urwać się zupełnie i zaległa kompletna cisza.

— Banda Harolda — odezwał się Conrad. — Starli się z kimś.

— Na pewno z bezwłosymi — powiedział Andrew.

Stali tak, nasłuchując dłuższą chwilę, ale nic więcej się nie wydarzyło. Na wschodzie jaśniało pierwsze światło słońca, w lesie pod nimi świergotały ptaki.

— Należy to sprawdzić — rzekł Conrad. — Jeśli ich stamtąd wymieciono, o ile to faktycznie była potyczka, moglibyśmy wykorzystać sytuację i przedostać się bezpiecznie na drugą stronę tych przeklętych wzgórz, nie musząc odbywać męczącej wspinaczki.

— Ja pójdę — rzekł Andrew. — Zachowam wielką ostrożność. Nie dam się zaskoczyć. Proszę, pozwólcie okazać mi nowo powzięte postanowienie, aby stać się godnym zaufania członkiem tej kompanii.

— Nie — sprzeciwił się Duncan. — Zostaniemy tutaj. Nie ruszymy się stąd. Nie mamy pojęcia, co się stało. W razie ataku na nas mamy tu przynajmniej szansę obrony.

— Łaskawy panie, proszę pozwolić iść mnie — zaszczębiotała Meg obok łokcia Duncana. — Oczywiście, jeśli ktoś nas zaatakuje, obejdziecie się bez mojej lichej pomocy. Lecz mogę rzucić na to okiem

i powiedziec wam, co się stało.

— Ty? — zdziwił się Conrad. — Ledwo powłóczysz nogami. Od początku jedziesz na koniu, by zachować nędzne resztki swojej mocy.

— Poradzę sobie — zaprotestowała. — Przemknę pod zaroślami niczym pająk. Wykorzystam tę odrobinę magii, jaka mogła jeszcze we mnie pozostać. Dostanę się tam i przyniosę wieści.

Conrad spojrział pytająco na Duncana.

— Kto wie? — powiedział Duncan. — Może jej się udać. Meg, naprawdę chcesz to zrobić?

— Niewiele ze mnie pożytku — odparła. — Jak dotąd byłam wam tylko ciężarem.

— Istotnie, musimy się dowiedzieć — rzekł Duncan. — Przecież nie możemy tkwić na tym szczycie całymi dniami, nie znając sytuacji. To ważne. Ale nie możemy rozdzielać naszych szczupłych sił, aby wysłać kogoś na zwiady.

— Gdyby tak był tutaj Duch — westchnął Conrad.

— Niestety, nie ma go.

— A więc mogę iść? — powiedziała wiedźma.

Duncan skinął głową i Meg ruszyła biegiem w dół zbocza. Stali tak przez jakiś czas i obserwowali ją przemykającą wśród drzew, dopóki w końcu nie stracili jej z oczu.

Duncan podszedł z powrotem do grupy kamiennych płyt, które pękły kiedyś i oderwały się od skalistego urwiska. Wybrał jedną i usiadł na niej. Po lewej stronie usadowił się Conrad, po prawej Andrew. Siedzieli we trzech w jednym rzędzie i milczeli. Malutki okrążył powoli zwalisko rozbitych kamieni i położył się przed Conradem. Daniel i Piękna paśli się na skrawku rzadkiej trawy w głębi zbocza.

Oto my, myślał, siedzący jeden przy drugim na płycie rozłupanego kamienia w opuszczonej przez Boga i ludzi głuszy, trzej pożałowania godni awanturnicy.

Głód mu skręcał kiszkę, ale nie wspominał tego, bo tamci na pewno

również byli głodni i nie było sensu o tym mówić. Przed końcem dnia, najpóźniej jutro, znajdą coś do jedzenia. Być może brytan upoluje sarnę, jeśli w ogóle jakaś sarna tu się błąka. Rozmyślając nad tym uzmysłowił sobie jednak, że poza nielicznymi królikami nie widzieli żadnej grubszej zwierzyny. Malutki umiał chwycić króliki i chwycił je na własne potrzeby, ale chyba nie zdoła upolować ich aż tyle, aby starczyło dla wszystkich. Zapewne rosły w lesie jakieś korzonki, jagody i inne runo, które mogłoby uśmierzyć ich głód, ale nie wiedział, gdzie go szukać ani co wybrać, i wątpił, czy którekolwiek z nich wiedziało. Może Meg zdoła im pomóc? Jako wiedźma powinna znać się na leśnym pożywieniu, bo zajmowała się wyszukiwaniem rozmaitych substancji do swoich odwarów.

Zastanawiał się nad tym, co powinni teraz zrobić, oraz nad drogą, która ich czeka. Poczul, że wzdraga się przed ruszeniem dalej. Jak dotąd nie posunęli się zbyt daleko, a mimo to wpadli w wielkie tarapaty. Obecnie będą wędrować bez amuletu Wulferta, a bez niego kłopoty mogą się pogłębiać. Dałby głowę, że talizman pomógł im w pokonaniu bezwłosych, czaru i wilkołaków, a mimo to zdawał sobie sprawę, że jest w błędzie. Talizman nie mógł im pomóc przy bezwłosych, bo znalazł go dopiero po walce z nimi. Chociaż mógł to być zwykły przypadek. Lecz z całą pewnością talizman musiał stanowić ochronę przed czarem i wilkołakami. Być może tryumf nad bezwłosymi da się wytłumaczyć w inny sposób — obecnością Diany i gryfa? Bezwłosi nie spodziewali się chyba aż do ostatniej chwili, że prócz nich będą musieli potykać się jeszcze z Dianą i jej bestią. Tak, zastanawiając się nad tym mgliście, doszedł do wniosku, że o zwycięstwie przesądziła Diana i jej gryf.

Wiedział jednak, że pójdzie dalej z amuletem lub bez niego, z pomocą wszelkich środków, bez względu na okoliczności. Nie miał wyboru, rozstrzygnął to owej nocy, kiedy leżał w grocie pustelnika. Długa historia jego dziedzictwa uniemożliwia podjęcie innej decyzji. A kiedy pójdzie on, wraz z nim pójdą tamci: Conrad, albowiem byli dla siebie niczym bracia, Andrew — z powodu szalonej obsesji zostania

rycerzem Pana. A Meg? Nie miała powodu iść z nimi dalej, nie odnosiła z tego żadnych korzyści, ale był pewny, że pójdzie.

Słońce zawędrowało już wysoko nad horyzont i w powietrzu wyczuwało się pewną senność — miękką, ciepłą ospałość. Duncan stwierdził, że głowa mu się kiwa od lekkiej drzemki. Otrząsnął się i wyprostował, oddychając głęboko, aby wrócić do przytomności. Po kilku chwilach głowa znowu zaczęła mu się kiwać. Miał obolałe ciało i piekły go obtarte powrozem nadgarstki. Jego żołądek był pusty. Czuł senność. Gdybym tylko mógł się wyspać, myślał. Może po przebudzeniu zniknie ból, pieczenie, a może nawet dotkliwy głód. Nie mógł jednak zasnąć, nie wolno mu spać. Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Później będzie czas na sen.

Obok niego podniósł się Conrad. Spoglądał w dół zbocza. Postąpił o pół kroku do przodu, jak człowiek, który się waha, po czym powiedział:

— Wraca Meg.

Duncan zmusił się do wstania i powędrował za wzrokiem Conrada. Andrew nie poruszył się. Siedział przygarbiony, opierając ręce na kosturze i spał głęboko ze zwieszoną prawie do kolan głową.

Na skraju lasu pod nimi coś się poruszało. Duncan rozpoznał Meg, kuśtykała pod górę zgięta wpół, jakby się czołgała. Raz po raz upadała na ziemię, po czym wstawiała z wysiłkiem, podejmując mozolną, krętą wspinaczkę.

Conrad pobiegł jej naprzeciw. Dotarłszy do niej, wziął ją na rękę jak w kołyskę i wrócił długimi susami na szczyt. Położył ją ostrożnie przed Duncanem. Kiedy wyteżęła siły, aby się podnieść, wyciągnął rękę i pomógł jej usiąść.

Patrzyła na nich do góry niewidzącymi oczyma. Poruszyła ustami i usłyszeli chropowaty głos, który się z nich wydobył.

— Zabili.

— Zabili? — powtórzył Duncan. — Ludzi Harolda?

— Wszystkich — wychrypiała. — Leżą trupem.

— Wszystkich?



— Co do jednego. Martwi i wykrwawieni.

# 17

Wiatr od bagien trzepotał szmatami okrywającymi kilka skurczonych postaci, które leżały na piasku — nie wszystkich, okazało się bowiem, że niektórzy zabici to bezwłosi, ci zaś nie mieli na sobie szmat, które trzepotały. Wielkie czarne ptaszyska rozsiadły się na trupach lub skakały nerwowo między nimi. Przyfrunęły też inne ptaki, choć z początku nie było ich widać: mali mieszkańcy lasu i przybrzeżnych moczarów. Skakały i biegały dookoła, rwąc małymi kąśliwymi dziobami w rozrzucone kąski. Ciała leżały na niewielkiej przestrzeni, jak gdyby banda Rozbójnika zgromadziła się w jednym miejscu, tworząc równy front do obrony przed zmasowanym atakiem, który musiał nastąpić z trzech stron naraz i odebrał im wszelką szansę ucieczki, najwyżej na bagna, co także oznaczało śmierć. Wszędzie wałały się toboły i worki podróżne, dzbanki i garnki, koce, odzież, naczynia do picia i broń. Ognisko tliło się jeszcze, unosiły się nad nim cienkie pasemka delikatnego, rzędnącego dymu. W głębi plaży stało ze spuszczoneymi głowami kilka okulałych koni. Nie było śladu pozostałych wierzchowców. Do tego czasu mogły się już rozproszyć w puszczy. Pod przewróconym stosem szczap do ogniska leżały bezładnie zwały siodeł, derek i uprzęży.

Po wyjściu z za kępy wierzb Duncan zatrzymał się. Pozostali stanęli obok niego, przyglądając się poboju. Patrzył na groteskowo rozrzucone zwłoki i czuł gorycz podchodzącej mu do gardła żółci. Miał nadzieję, że nie zwymiotuje, gdyż byłby to czyn niegodny. Choć wśród historycznych zwojów w Domu Standishów często znajdował straszliwe, mroźące krew w żyłach relacje z wojen i ponure, mroczne

opisy ich żniwa, pierwszy raz własnymi oczyma oglądał rzeź bitewną.

Dziwne, że tak się tym przejąłem, myślał. Nie czułem niczego podobnego w czasie potyczki z bezwłosymi ani podczas odpierania wilkołaków. Zaledwie kilka godzin temu rozłupałem czaszkę zaskoczonego Robina, a to był tylko drobiazg, niezbędna praca, którą należało wykonać w walce o przeżycie. Ale tu było inaczej. Nie dotyczyło go to osobiście. Nie miał z tym nic wspólnego. To była śmierć na masową skalę, obraz rzezi i gwałtu, który sprowadził ją na ten krótki pas ziemi między płaską taflą bagna a ostrym wzniesieniem terenu.

Oto leżą ludzie, pomyślał, którzy grozili zbrodnią i torturami jemu oraz jego towarzyszom. Patrząc na skrawek plaży usiany poskręcanyimi ciałami, usiłował wmówić w siebie, że cieszy się z ich śmierci, że uwolniło go to od obaw, że mógł to być w jakiś sposób rezultat jego nienawiści do nich. Dziwne, ale potrafił odczuwać nienawiść do poległych.

Nie chodziło bynajmniej o to, że nigdy wcześniej nie zetknął się z ludzką śmiercią. Pierwszy raz doświadczył jej mając około dziesięciu lat, gdy stary Wells wszedł do izby służącej mu za kryjówkę i zaprowadził go do tej wielkiej sali, gdzie umierał jego dziadek. Reszta rodziny już tam była, ale on nie dostrzegał wyraźnie żadnej twarzy oprócz sokolego oblicza starca spoczywającego na łożu śmierci. Grube, wysokie płonące gromnice stały w czterech rogach łoża, jakby starzec, który na nim leżał, już nie żył. Migotliwy blask świec czynił niewiele dla odpędzenia nastroju śmierci. Obok łoża stał Jego Dostojność. Odziany w swe olśniewające, choć ponure szaty obrzędowe mamrotał łacińskie wersety dla pocieszenia i błogosławieństwa konającego człowieka. Ale Duncan patrzył tylko na dziadka, tylko jego widział naprawdę, wątłe stare ciało zwieńczone surowością sokolego oblicza. A jednak, mimo zacieklej surowości twarzy mężczyzna ów przypominał skorupę, figurę z wosku, woskową kopię człowieka, który już odszedł.

Conrad dotknął jego ręki.

— Milordzie.

— Tak — odparł. — Przepraszam, zamyśliłem się.

Poszli wolnym krokiem przed siebie, ciężko stąpając po piasku. Na ich widok wielkie czarne trupojady zamachały potężnie strzępiastymi skrzydłami i poderwały w powietrze swe ciężkie cielska, skrzecząc z wściekłością za zakłócanie uczyty. Mniejsze ptaki zwlekały jakiś czas, próbując zlekceważyć intruzów, po czym również odleciały z szumem trzepoczących skrzydeł.

Ze stosów ciał tu i ówdzie wpatrywały się w nich białe, puste twarze, często pozbawione oczu, które zdążyły wydziobać zachłanne ptaki.

— Po pierwsze, musimy odnaleźć wszystko, co nam zabrali — powiedział Conrad. — Twój miecz, talizman, w którym pokładasz tyle nadziei, siodło Daniela, nasze koce, trochę jedzenia. Potem możemy pozostawić to miejsce za sobą, czując wdzięczność, że stało się to, co się stało.

Duncan przystanął, Conrad zaś poszedł spokojnie dalej, okrążając plac śmierci. Meg dreptała dookoła zgarbiona do ziemi. Przypominała trochę skrzydlatego trupojada, chwytając różne przedmioty, które wyszukiwała na ziemi. Andrew stał nieco dalej, oparty w zadumie na swoim kiju. Spod kaptura wyzierała wychudła twarz. Malutki chodził krok w krok za Conradem i warczał cicho na zwały trupów.

— Milordzie — odezwał się Conrad. — Proszę tu podejść, milordzie.

Duncan ruszył biegiem dookoła cmentarzyska i stanął obok Conrada. Popatrzył w dół na ciało, które Conrad pokazywał palcem. Oczy leżącego otworzyły się i spojrzały na niego do góry.

— Harold — rzekł Conrad. — Ten sukinsyn jeszcze żyje. Mam go dobić?

— Nie ma potrzeby go dobijać — odparł Duncan. — Nie ucieknie. Wybiła jego ostatnia godzina.

Rozbójnik poruszył ustami i wycedził:

— Standish. A więc znowu się spotykamy.

— W nieco odmiennych okolicznościach niż ostatnio. Miałeś mnie obedrzeć ze skóry.

— Zdradzili mnie, Standish. — Słowa wyczerpały się i Rozbójnik zamknął oczy. Po chwili słowa napłynęły ponownie, ale oczy pozostały zamknięte. — Kazali mi cię zabić, ale ja cię nie zabiłem.

— I mam zapłonąć miłością bliźniego z tego powodu?

— Posłużyli się mną, Standish. Posłużyli się mną, aby cię zabić. Nie mieli odwagi sami wykonać roboty.

— Kim są ci oni, o których mówisz?

Oczy otworzyły się raz jeszcze, spoglądając na Duncana.

— Powiesz mi prawdę? — spytał Rozbójnik. — Przysięgniesz na Krzyż?

— Martwemu człowiekowi, tak. Przysięgnę na Krzyż.

— Czy istnieje skarb? Czy istniał kiedykolwiek jakiś skarb?

— Nie ma skarbu — odparł Duncan. — Nigdy go nie było.

Rozbójnik znowu zamknął oczy.

— To wszystko. Po prostu musiałem wiedzieć. Możesz już pozwolić temu osiłkowi, który stoi obok ciebie...

Conrad podniósł maczugę. Duncan potrząsnął głową.

— Nie ma potrzeby. Niczego przez to nie osiągniemy.

— Poza satysfakcją.

— To nie sprawi żadnej satysfakcji.

Andrew podniósł się i stanął obok nich.

— Trzeba wypowiedzieć kilka pożegnalnych słów — powiedział cicho do Duncana. — Ostatnie namaszczenie konającego. Nie mam sprzętu ani uprawnień, aby się tym zająć. Ale parę słów niechybnie...

Harold otworzył oczy, ale nie pozostały otwarte. Powieki tylko zatrzepotały, następnie się zamknęły.

— Zabierz stąd tego świętoszka — mruknął tak cicho, że ledwo było go słyszeć.

— Nie jesteś mile widziany — powiedział Conrad do pustelnika.

— Ostatnie życzenie — szepnął Rozbójnik.

— Tak, o co chodzi, Haroldzie?

— Rozwał mój przeklęty łeb.

— Nie sędzę, bym mógł to uczynić — odrzekł Conrad.

— Leżę wśród poległych braci. Pozwól mi umrzeć.

— Niebawem skonasz — powiedział Conrad.

Andrew rzucił kij na bok i wyrwał Conradowi maczugę. Podniósł ją nad głowę, po czym spuścił na dół. Conrad popatrzył ze zdumieniem na swą pustą dłoń.

— Namaściłeś go? — spytał Duncan. — Tak wygląda twoje ostatnie namaszczenie?

— Spełniłem ostatnią prośbę konającego — odparł Andrew i zwrócił maczugę właścicielowi.

## 18

Rozłożyli obóz w górze, nad brzegiem bagna, skąd nie było widać zwałów trupów. Zapadła noc i od strony wody dawało się słyszeć odległe zawodzenie. Światło ogniska migotało na wietrze, dosięgając swym blaskiem masywu strzelistych skał i skraju rozległego płaskiego trzęsawiska.

Bagno to przerażające miejsce, myślał siedząc przy ognisku Duncan. Przerażające w swej sięgającej po horyzont płaskości, w swej pustce i odosobnieniu, połać wodna sięgająca do granicy wzroku — nie jezioro, a nawet nie moczary, lecz kraina tysięcy małych sadzawek i leniwych strumieni, porozdzielanych rzędami bagiennych traw i krzewinek, upstrzona tu i ówdzie przez nieduże kępy wierzb lub inne wodnolubne zarośla i drzewa. Wrzucony w toń człowiek miałby wielkie trudności, aby się z niej wydostać.

Siedzący po drugiej stronie ogniska Conrad powiedział:

— Wyszliśmy z tego cało, milordzie. Nie tylko uratowaliśmy głowy, ale i odzyskaliśmy wszystkie nasze rzeczy — twój miecz, amulet — oraz wzięliśmy piękny łup.

— Żal mi starego Cedrica — powiedział Duncan.

— Mogliśmy zostać i pochować go — odezwał się Andrew. — Jeśli nie wszystkich, to przynajmniej Cedrica. Chociaż tyle jesteśmy mu winni.

— Nie wyświadczylibyśmy mu wielkiej przysługi — odparł Conrad. — Bez względu na głębokość grobu, który musielibyśmy wykopać, za dzień lub dwa wyciągnęłyby go wilki.

— Robiło się późno — rzekł Duncan. — Mieliśmy tylko dwie

godziny do zmroku. Chciałem znaleźć się nad wysokim brzegu przed zachodem słońca.

Z mroku wyłonił się Duch. Wisiał w powietrzu między nimi a bagnem.

— No, nareszcie — rzucił z głęboką odrazą Andrew. — Gdzie się podziewałeś tyle czasu? Mieliśmy kłopoty...

— Wiem, w jakich kłopotach byliście — odparł Duch. — Wróciłem wczoraj w nocy i rzuciłem okiem na wasze kłopoty. Nie ukazałem się, bo wiedziałem, że jako istota niematerialna sam nie zdołałbym wam pomóc. Więc od razu wybrałem się na poszukiwanie Nochala bądź jakichś jego ziomków. Miałem nadzieję, że ich zwołam, aby udzielili wam wszelkiej pomocy, jakiej mogą. Ale nie udało mi się ich odnaleźć...

— Ach, ten Nochal! — zawołał pustelnik. — On jest równie bezwartościowy i nieodpowiedzialny jak ty. Powiadam wam, że nie wolno mu ufać. Nie ma z niego żadnego pożytku.

— Pomógł nam tamtej nocy — powiedział Duncan. — U Jezusa z Gór. Ostrzegł nas i kazał nam uciekać. Pokazał drogę.

— Z radością zawiadamiam, że nie ma już niebezpieczeństwa — rzekł Duch. — Jeśli są gdzieś jacyś bezwłosi, to grasują daleko za górami, po drugiej stronie.

— Bezwłosi byli tu dziś rano — oznajmił Conrad. — Zgładzili Rozbójnika.

— Wiem o tym — odparł Duch. — Ale nie zabawili długo. Są już bardzo daleko.

— Rozbójnik i jego banda ukrywali się w rozpadlinie — zauważył Duncan. — Może dlatego nikt ich nie widział. Jesteś pewny, że bezwłosi się w niej nie schowali?

— Absolutnie — stwierdził Duch. — Właśnie stamtąd wracam. Identyczna myśl przyszła mi do głowy. Byłem tam przed chwilą. Przebyłem całą długość rozpadliny. — Wzdrygnął się. — Straszne miejsce — dodał.

— Podobno stoi za nią jakiś zamek. Wspominał o nim Nochal.



— Najwyżej o jego resztkach. To same ruiny, nic poza tym. Mury się zapadły. Po zamku został kurhan; wyrosły na nim drzewa i pokrył się mchem.

Meg siedziała skulona przy ognisku z dala od wszystkich, na uboczu, i mamrotała coś do siebie. Podniosła z trawy kilka kamieni i wydawało się, że bawi się jakąś grą.

— Rzucasz runy — powiedział ze wstrętem Andrew. — Co ci one mówią? Co widzisz dla nas?

— Kłopoty — odparła wiedźma. — Nowe kłopoty. Wielkie kłopoty.

— My już mamy kłopoty, babciu — powiedział Duncan. — Mamy udział w tych kłopotach.

— Nikt nie ma swego udziału — stwierdziła Meg. — Kłopoty nie są równo podzielone. Niektórzy ludzie znają tylko mózół i kłopoty, a inni w ogóle niczego.

— Jesteś w stanie nam powiedzieć, jaką postać mogą przyjąć? — spytał Conrad. — Chcemy się na nie przygotować.

— Runy nie mówią mi aż tyle. Tylko to, że na drodze czekają kłopoty.

— Oszustka z ciebie — zawołał Andrew. — To wszystko bujdy. Nie masz żadnych runów. To garść zwyczajnych kamieni. Runy mają na wierzchu specjalne znaki magiczne.

— To nieuprzejme, że tak mówisz — powiedział do niego Duncan. — Musimy wierzyć, że wiedźma zna swoje rzemiosło.

— Słuszna uwaga — stwierdziła Meg. — Dziękuję ci, mój panie. Kto zna rzemiosło, może wziąć do ręki pierwszy lepszy kamień, a spełni on swoje zadanie. Sekret tkwi nie w kamieniu, lecz w wiedzy rzucającego.

— Może mi wyjaśnisz jedną sprawę — rzekł Duncan. — Sądzę, że chyba to wiesz. Co to za zawrodoenie dochodzi do nas z bagna? Jest w nim tyle żalu.

— Bo to jest żal — odparła. — Żal nad światem. Nad całym życiem na Ziemi. Nad ludźmi i wszystkim, co istnieje lub istniało, zanim pojawili się ludzie.

— To świętokradztwo — odezwał się pustelnik. — Już to gdzieś słyszałem, niezbyt dawno, ale wówczas nie mówiłem o tym. Teraz powiem. Biblia mówi nam, że przed ludźmi nie było życia, że całe życie zostało stworzone jednego dnia. W Księdze Rodzaju czytamy, że...

— Spokojnie, przyjacielu — przerwał mu Duncan. — Jest grupa znamienitych doktorów, badaczy kamieni, którzy uważają inaczej. Znaleźli na kamieniach odciski...

— O tym też słyszałem — rozgniewał się pustelnik. — Nie daję temu wiary. To czysta sofistyka.

— Niech każdy wierzy, w co chce — stwierdził Duncan. — Nie będziemy się o to spierać. — Zwrócił się do Meg: — Żal, powiadasz. Od kogo i skąd dochodzi?

— Nie mam pojęcia — odparła. — To jest ukryte przede mną. Ale wiem, że w różnych miejscach świata słyszeć owe dźwięki żalu. W miejscach wyludnionych, samotnych i porzuconych. Płacz nad światem.

Duncan siedział i słuchał płaczu nad światem. Zdawał się dochodzić z jakiegoś odległego punktu, niekoniecznie z bagna, choć wydawało się, że jego źródło znajduje się po drugiej stronie moczarów, kto wie, myślał, czy nie z jakiegoś tajemniczego miejsca, gdzie skupiają się nieszczęścia i rozpacz świata. Żal za każdym wydarzeniem, które mogło mieć miejsce, ale nie nastąpiło — nad krucjatą, która w końcu nie wyruszyła, pozostawiając Jerozolimę w rękach pogan; nad iberyjskimi statkami, które nigdy nie pruły fal oceanu ku czekającym na nie portom i nieznanym lądom; za Europę, która trwała wciąż w zastoju, uprawiając swoją glebę pługami używanymi od stuleci, z jej chłopstwem, którego większość gnieździ się nadal w ciemnych norach; z zalewem pogaństwa, które pleni się często w cieniu wspaniałych, strzelistych kościołów, z jej chrześcijańską pokorą i modlitwą na chwałę Bożą.

Zła moc, mówił Jego Dostojność, która utuczyła się i spała na ludzkim nieszczęściu, przemieszczając się wzdłuż strategicznych

punktów zwrotnych historii, aby zapewnić kontynuację nieszczęścia. W przeszłości Zło uderzało w wielu miejscach, a teraz uderzyło w Brytanię. Jakie czynniki sprawiły, że Brytania stała się miejscem strategicznym? Brytania od początku dziejów stanowiła oazę ciszy, spokojny zakątek, który co prawda przeżywał lokalne zatargi i drobne konflikty zbrojne, ale nigdy nie przyciągał uwagi świata.

— Sprawiedliwy panie — rzekł Duch, przybliżając się do Duncana.  
— Chyba nie zachowuję się zbyt źle. Z oddaniem pełnię służbę zwiadowcy. Zawsze mówię ci prawdę.

— Jesteś lojalny — przyznał. — Aczkolwiek nie rozumiem dlaczego. Nie ma właściwie powodu dla twojej lojalności wobec mnie.

— Jednak powiedziałeś mi kiedyś, że nie zaprosisz mnie do swojej kompanii, choć nie widzisz sposobu, aby mnie powstrzymać. Wiem, że to nie był przytyk, że nie chciałeś mnie urazić, ale cały czas mnie to gnębi.

— A co twoim zdaniem miałem powiedzieć? — spytał Duncan. — Że gdybym miał drugą okazję, to bym cię zaprosił? Nie wiem, czy mogę to przyznać, chciałbym natomiast powiedzieć coś innego. Jestem zadowolony, że postanowiłeś się ukazać.

— Naprawdę tak myślisz, panie?

— Możesz wierzyć w moją szczerłość, Duchu.

— A zatem będę działał dalej z lżejszym sercem. Kiedy według twych obliczeń, panie, przybędziemy do Oxenfordu? Zależy mi na tym, aby znaleźć wielebno go doktora i przedyskutować z nim moje sprawy.

— Idąc w takim tempie, możemy tam nigdy nie dotrzeć.

— Nie mówisz poważnie, panie.

— Nie, chyba nie. Któregoś dnia znajdziemy się w Oxenfordzie.

Powiedziawszy to zastanawiał się, czy faktycznie tam dotrą. Pokonali dotychczas niewiele mil i w razie dalszej zwłoki biskup Wise może umrzeć, zanim uda się złożyć manuskrypt w jego ręce. Jeśli zaś biskupa zabraknie, ich wyprawa w najlepszym razie wypadku jest stratą czasu.

Przydałoby się, myślał, poznać rozmieszczenie Hordy Oprawców.

Muszą być gdzieś w północnej Brytanii, być może zgromadzeni dla tego dziwnego procesu, który ma spowodować ich odnowę. Widocznie nadchodzi pora na rozpoczęcie tego procesu, myślał, bo zajęli już z pewnością cały obszar, spustoszony dla ochrony przed ingerencją z zewnątrz. Kto wie, czy Oprawcy nie rzucają mu kłód pod nogi z tego prostego powodu, że mimowolnie zmierza wprost na ich zgromadzenie, a przez to stwarza niebezpieczeństwo ingerencji, przed którym muszą mieć się na baczności. Gdyby udało się poznać lokalizację Hordy, on i jego drużyna mogliby obejść ich dookoła, a wówczas Oprawcy dadzą im spokój.

Jeszcze raz cofnął się myślami na przebyty szlak. Miał nadzieję, że w ten sposób znajdzie jakąś wskazówkę co do planu dalszej drogi. Ale pamięć podsuwała mu wciąż myśl o Dianie i jej gryfie. Aczkolwiek starał się ją uznać po prostu za incydent w podróży, jego umysł ociągał się i wracał do wspomnień o niej. Chciał odtworzyć ją w myślach, wydobyć z pamięci jej obraz, stwierdził jednak, że nie może tego uczynić. Pozostało jedynie wspomnienie jej topora i gryfa, na którym jeździła. Jakiego koloru miała włosy? Zdziwił się, że nie pamięta. Kolor oczu? Tego również nie wiedział. A rysy i kształt twarzy — te zupełnie wyleciały mu z pamięci. Uprzytomnił sobie, że myśli o niej, a nawet wypatruje jej codziennie, odkąd się poznali, to znaczy dopiero od kilku dni, choć z jakiegoś powodu wydawało mu się, że minęły całe wieki.

Czemu go tak opętała, zastanawiał się — nie zdając sobie sprawy ze swego opętania; po prostu myślał o niej w wolnych chwilach codziennie, odkąd ją poznał.

— Milordzie — odezwał się Conrad. — Zaczyna napływać mgła. Musimy pilnie uważać dzisiejszej nocy.

Conrad miał rację. W ciągu kilku ostatnich minut nad bagnem stanęły opary i obecnie kłębiły się w ich stronę. Z trzęsawiska dawał się słyszeć zawodzący głos, stłumiony podnoszącą się, gęstniejącą mgłą — płacz nad światem.

# 19

Kiedy dotarli na koniec brzegu i weszli do rozpadliny, słońce chyliło się już ku zachodowi. Była to wąska szczelina pomiędzy dwiema wyniosłymi ścianami skalnymi, jak gdyby w dawnych czasach jakiś wielkolud rozciął górę jednym uderzeniem miecza. Wiatr naniósł tutaj trochę piasku, układał się on w zmarszczki i drobne wydmy naznaczone śladami ludzi i koni, zapewne pozostawionymi przez bandę Harolda Rozbójnika. Lecz po kilkunastu krokach piasek się kończył i dno rozpadliny stanowiła lita skała. Przez jakiś okres zachowa gładkość posadzki, następnie pokryje się bruzdami, z czasem popęka i zatarasują ją kamienne płyty, które złuszczą się kiedyś od skalistych ścian i runą na dno rozpadliny. Roślinności nie było — ani jednego źdźbła trawy, żadnych drobnych zarośli czy drzew zakorzenionych rozpaczliwie w ścianach z nagiej skały. Hulał w niej nieustanny, bezlitosny prąd powietrza, który brał swój początek na bagnach. Wyżej wyła i jęczała gwałtowna wichura, cichnąc chwilami do szeptu, a kiedy indziej rozbrzmiewając gromkim piskiem i żalonym lamentem.

Przyjęli machinalnie ten sam szyk, w jakim szli od chwili opuszczenia wioski — na czele Malutki, ale trzymający się dużo bliżej niż na otwartym terenie, dalej Conrad, Piękna, a za nią pustelnik; obecnie nie było miejsca na maszerowanie obok siebie. Za tą dwójką kroczył Duncan i depczący mu niemal po piętach Daniel. Skulona na jego grzbiecie Meg ścisnęła kurczowo siodło, aby nie spaść w razie potknięcia się konia na nierównym terenie.

Rozpadlinę zalegał głęboki mrok. Tylko przez kilka chwil w ciągu

dnia, kiedy słońce znajdowało się bezpośrednio nad nimi, trochę światła docierało do kamiennego podłoża. Wyższe partie wschodniej ściany były oświetlone przez słońce, lecz z każdą godziną cień na ścianie pełził coraz wyżej, rożek słońca kurczył się coraz bardziej i na dole pogłębiał się mrok.

Duncan miał uczucie, że idą po dnie studni, odizolowani od zewnętrznego świata, odcięci od wszystkiego, co mogło się tam dziać — odcięci, być może, ale nie chronieni, gdyż rozpadlina mogła być pułapką.

Rutynowo wrócili do zwykłego szyku, który mógł być przydatny na otwartym terenie, ale tu był niewłaściwy, uznał Duncan. Dysponując polem manewru Daniel, który zamykał pochód, mógł w każdej chwili odwrócić się i stawić czoło nadciągającemu z tyłu niebezpieczeństwu. Rozpadlina była bardzo wąska — w niektórych miejscach nie mógłby się odwrócić. Duncan przystanął i przywarł plecami do prawej ściany. Kiedy na ten widok Daniel również się zatrzymał, jego pan przynaglił go, mówiąc: — W porządku, koniku. Ja pójdę z tyłu. — Gdyby niebezpieczeństwo pojawiło się z przodu, myślał Duncan, Malutki i Conrad zdołają je powstrzymać do czasu, kiedy do nich dołączy.

Daniel przeszedł obok niego ostrożnym, niemal dostojnym krokiem. Jego włochate ciało tarło mocno o skałę.

— Miej oczy szeroko otwarte — powiedział Duncan do Meg. — Jeśli zauważysz coś podejrzanego, natychmiast daj mi znać.

W górze wyl i jęczał wicher; jedynym wszakże poza tym dźwiękiem był szcęk żelaznych podków Daniela na skale i tupot małych kopyt Pięknej.

Idąc ciężkim krokiem za Danielem, Duncan położył dłoń na torbie, którą odzyskał i przyszył na powrót do pasa. Czuł i słyszał pod palcami szelest miękkich stronic manuskryptu. Przesunął rękę niżej, gdzie leżała mała bryłka talizmanu Wulferta, wyjęta z kieszeni Harolda. Jej dotyk sprawił mu ulgę. Jest coś, co prowadzi ich bezpiecznie przez wszystkie niebezpieczeństwa, jakim muszą stawiać czoło. Miał

pewność, że to nie tylko zbieg okoliczności. Czyżby to dzieło talizmanu? Kto wie, czy przez lata spoczywania w grobie Wulferta nie wzmocnił swej siły magicznej, tak jak dobra brandy nabiera z wiekiem lepszego smaku i bukietu? Dobrze go znowu mieć przy sobie, magicznego czy nie, potężnego czy słabego.

Czas płynął i cień pełzł powoli do góry na lewej ścianie. Nic nie wskazywało na to, że zbliżają się do końca rozpadliny — najmniejszy promień światła nie przebijał mroku, który się rozciągał przed nimi. Z konieczności zwolnili tempo marszu, ale do tej pory powinni już być blisko wyjścia. Jak to powiedział skrzat — najwyżej pięć mil? No, ale przecież Andrew się upierał, że nie można mieć zaufania do słów Nochala. Jeśli w słowach skrzata było choć trochę prawdy, to nawet przy tak wolnym tempie powinni już dawno pokonać rozpadlinę. Na chwilę Duncan wyobraził sobie, że rozpadlina nigdy się nie skończy, że rozciąga się nad nią czar, który każe jej trwać na zawsze, że nigdy z niej nie wyjdą.

Przez dłuższy czas miał wrażenie, że odgłos wiatru w górnych partiach otchłani uległ zmianie i przestał już być wyłącznie odgłosem wichury, stając się także echem głosów, jakby skrzeków i wrzasków na zlocie dusz potępionych, nawołujących się niezrozumiałymi słowy.

Raptem podmuch wiatru przyniósł ciszę, głosy urwały się i przez dłuższą chwilę panowało grobowe milczenie. Duncanowi cisza wydawała się jeszcze bardziej przerażająca niż wycie i krzyk. Kopyta Daniela i Pięknej dźwięczały ostro i wyraźnie, niczym bicie w bębny, przy którym zwierzęta maszerowały ku nieznanemu, ale pewnej zgubie.

Wiatr zerwał się na powrót i znowu rozległy się głosy, jeśli to były głosy, a nie jego wyobrażenia. Teraz prócz krzyku strachu i wycia z bólu zagrzmiął inny głos, zagłuszając wszystkie pozostałe. Powtarzał raz po raz jedno słowo: Hosanna! Hosanna! Hosanna! W każdej repetycji ucieleśniała się ekstatyczna i przerażająca żarliwość. Momentami Duncanowi wydawało się, że słyszy zupełnie wyraźnie, kiedy indziej tracił pewność, lecz po chwili nabierał przekonania, że odróżnia to słowo. Ale obojętnie, wyraźne czy niepewne, niosło z sobą

kłopotliwą, prawie męczącą żarliwość euforycznego upojenia — jakie mogłaby wyrazić dusza potępiona, kiedy nagle i niespodzianie zostanie wyniesiona z mąk Czyścica do samych bram Raju.

Duncan zatkał uszy dłońmi, by odgrodzić się od tego radosnego hymnu. Gdy po kilku chwilach odsłonił uszy, Conrad krzyczał z przodu:

— Światło! — wołał. — Widzę światło. Zbliżamy się do wylotu.

Duncan wyteńczył wzrok. Nie widział żadnego światła, ale nic dziwnego, gdyż szlak w tym miejscu był szczególnie wąski i ogromny tułów Daniela wypełniał go niemal całkowicie, blokując widok. Jednak po krótkiej chwili Duncanowi udało się zauważyć lekkie migotanie, które trochę rozjaśniło kamienne ściany. Ekstacyjny głos nadał wołał „Hosanna! Hosanna! Hosanna!”, lecz gdy światła przybyło, dźwięk stracił swą moc oraz częściowo ekstazę, aby w końcu zaniknąć zupełnie. Wycie wiatru zelżało do cichego pomruku, dusze potępione ucichły i w tym momencie Duncan ujrzał w przelocie uroczą zieloną krainę, o której mówił Nochal.

Była to naprawdę uroczą zieloną krainą. Szeroka, rozległa przestrzeń osłonięta wzgórzami, które właśnie przebyli. Mieli przed sobą ruiny zamku, o którym uprzedzał ich skrzat.

Zamek przypominał kurhan, który opisał Duch. Dwie rozpadające się wieże trzymały straż na obu krańcach, ale między wieżami leżała sterta kamieni. Chropowate krawędzie zwałonego muru zaokrągliły się i wygładziły od wiatrów i burz. Ale uwagę Duncana zwróciły dość daleko rozmieszczone wysokie płyty kamienne, nie pionowe, lecz ukośne, stojące pod rozmaitymi kątami. Swego czasu był to najwyraźniej kompletny zamek, otoczony i ogrodzony kręgiem ciężkich głazów tego samego rodzaju, jakie podobno można zobaczyć w Stonehenge i na mniejszą skalę w wielu innych miejscach. Lecz tutejszy krąg był większy niż w Stonehenge, jeśli można wierzyć opowieściom wędrowców. Kto wie, czy nie znacznie większy, albowiem krąg wokół tego zamku musiał zajmować niegdyś wiele akrów. W dawnych czasach przedstawiał zapewne imponujący widok,



myślał Duncan, teraz wszakże, podobnie jak zamek, uległ niemal całkowitej ruinie. Większość kamiennych nadproży runęła na ziemię wskutek stopniowego pochylania się kolumn i leżała na wpół zagrzebana w piasku. Pozostałe wspierały się jednym końcem na ukośnej płycie.

Słońce wisiało o kilka minut od zachodniego horyzontu, cienie w dolinie robiły się coraz dłuższe i ciemniejsze. Tuż za zamkiem widać było cichą rzekę, która leniwym nurtem toczyła swoje wody. Latały nad nią stada kaczek, inne pływały na powierzchni. Duncan słyszał za plecami stłumione pomruki wiejącego z rozpadliny wichru.

Zrobił kilka kroków i dołączył do Conrada. Malutki biegł przed siebie, uganiając się po zboczu i węsząc tropy.

— Powinniśmy chyba zejść do rzeki i rozbić obóz na noc — rzekł Duncan. — Skoro świt musimy ruszać dalej.

Conrad skinął głową.

— Miło znaleźć się na otwartej przestrzeni. Możemy przyspieszyć kroku.

— To konieczne — stwierdził Duncan. — Straciliśmy mnóstwo czasu.

— Szkoda, że nie udało nam się schwytać kilku koni Harolda.

— Próbowaliśmy. To raczej one nie złapały nikogo z nas.

— I tak możemy iść szybciej. Mamy zdrowe nogi.

— Pustelnik będzie nas wstrzymywać.

— Posadźmy go wraz z Meg na Danielu. Może nieść oboje i nawet nie zwróci uwagi.

— To się dopiero okaże — odparł Duncan. — Pustelnik zrobi piekło. Chce, aby go traktować na równi z tobą i mną.

— Przystanę na to, jeżeli dotrzyma nam kroku.

Ruszyli w dół, pozostali poszli za nimi. Dotarli do podnóża zbocza i skręcili w kierunku drugiego końca doliny, kiedy Meg podniosła wrzask.

Obrócili się natychmiast.

Z zalesionego wzgórza na wschód od rozpadliny wychodził długi

szereg bezwłosych, a za nimi toczył się wał mgły, albo czegoś podobnego, kipiący i wzburzony, jakby w środku coś się kotłowało. Przed skłębioną lawiną wystrzeliwały mgliste smugi i ociążali bezwłosi zdawali się brnąć po kolana w gęstej chmurze. W szczelinach mglistego wiru migwały straszne widoki — obrazy zębów, rogów, dziobów, błyszczących ślepiów.

Conrad wstrzymał oddech.

— Magia — szepnął.

U podnóża stoku zebrała się reszta kompanii. Podeszli do Duncana i Conrada, ustawiając się w jednej linii, aby stawić czoło nadciągającym bezwłosym, których wspierała tocząca się chmura mgły.

— Tutaj zajmiemy pozycję? — zapytał Conrad.

— Dobra jak każda inna — odparł Duncan. — Nie ma miejsca na odwrót. Jeśli rzucimy się do ucieczki, wytną nas w pień.

— Ruiny zamku — zaproponował Conrad. — Kurhan osłoni nas od tyłu. Tutaj nas oskrzydła. Skoczą na nas jak wilki.

— Nie ma czasu na ucieczkę do zamku. Poza tym Nochal ostrzegał nas przed nim.

Po prawej ręce Duncana stał Daniel, po lewej Andrew, dalej Piękna i Meg, a na końcu lewego skrzydła — Conrad i Malutki.

— Co ty tu robisz, Meg? — spytał Duncan. — Uciekaj prędko. Ratuj życie.

Zachichotała do niego.

— Umiem gryźć i drapać — wyskrzeczwała. — Umiem kopać. Mogę puścić w ruch trochę magii.

— Pal diabli twoją magię — zachnął się Andrew. — Oni idą na nas z prawdziwą magią.

Bezwłosi szli ociążale i powoli w dół zbocza, trzymając w dłoniach gotowe do użycia maczugi wielkości wołowego udźca. Za nimi toczył się gęsty obłok. Tym razem wydawało się, że przesywają go zygzaki błyskawic, rozświetlając kipieli. W środku majaczyły straszliwe kształty, pojawiały się na chwilę w blasku pioruna i znikwały

w kolejnym kłębie mgły.

Ostatnie promienie słońca omiatały nadal szczyty wzgórz na północy, ale nad dolinę kładł się cień.

Duncan trzymał miecz w gotowości i z zadowoleniem stwierdził, że nie odczuwa lęku. Na nic się nie zda próba obrony przed taką siłą, pomyślał. Bezwłosi uderzą na nich i rozgorzeje bitwa, po czym bezwłosi i ciągnące za nimi monstra przewalą się przez ich cienką linię i to będzie koniec. Ale co człowiek może zrobić? Uciekać, aby go dopadnięto i zawleczono jak zwierzynę na rzeź? Paść na kolana i błagać o litość ze świadomością, że nie będzie żadnej litości? Stać beczynnie i czekać na śmierć? Nie, na Boga, mówił do siebie, trzeba walczyć, a kiedy będzie po wszystkim i rozejdą się wieści, Dom Standishów nie okryje się hańbą.

Przez chwilę miał przed oczyma tak czysto i wyraźnie, jakby przed nim stał, pewnego starca z Domu Standishów, wyprężonego, z pooraną twarzą i krótko podstrzyżonymi wąsami, z siwymi włosami i jasną, uczciwą szarością oczu. Duncan wiedział, że takiemu człowiekowi syn nie może przynieść hańby.

Podniósł miecz, gdy najbardziej wysunięty do przodu bezwłosy zbliżył się do niego. Jeszcze jeden krok, pomyślał. Bezwłosy zrobił ten krok i wziął zamach maczugą. Duncan ciął mieczem. Poczul raczej niż zobaczył uderzenie w ciało, po czym bezwłosy runął na ziemię, a jego miejsce zajął drugi. Miecz ciął ponownie. Chybił celu, sparowany maczugą, ale odjął napastnikowi rękę tuż nad łokciem. Obok ryczał Daniel w bitewnym szale, jak tylko koń wojenny potrafi ryczeć, stojąc na zadnich nogach, młócąc przednimi kopytami, miażdżąc czaszki, grzmocąc bezwłosych, którzy rzucali się na niego. Po lewej stronie Andrew szarpał za kij, starając się go wyciągnąć z brzucha leżącego. Inny bezwłosy zamierzył się nań maczugą, ale nim zdążył zadać cios, Duncan ugodził go mieczem, otwierając szyję.

Stracił poczucie czasu. Nie istniała przeszłość ani przyszłość, lecz tylko zaplamiona krwią, stężona terażniejszość, w której nieustannie ciął i siekł. Miał wrażenie, że bierze udział w jakiejś głupiej zabawie,

że ktoś z tyłu ustawia mu szereg bezwłosych do przebicia i tego, co pada, zastępuje nowym, który na niego szarżuje, aby dostarczyć kolejny cel dla jego miecza. Nie mógł uwierzyć, że trwa na swoim stanowisku, ale faktycznie trwał.

Raptem ujrzał przed sobą nie bezwłosego, lecz najeżoną kolcami, szalejącą bestię, wirującą masę kłów i pazurów, czarną niby najciemniejsza otchłań nocy, ociekającą jakimś paskudztwem. W impulsie ślepej nienawiści, której nie czuł do bezwłosych, ciął mieczem, przerabując stwora na pół.

Poczuł cios w bok, stracił równowagę i upadł. Podnosząc się z trudem z ziemi, zobaczył sprawcę uderzenia — rozszalałego gryfa. Bił skrzydłami nad wirującą chmurą mgły, którą nadal przecinały zygzaki błyskawic. Sięgał w dół mocnymi pazurami i ostrym dziobem, bił, drapał, kłuł, rozszarpywał stwory, które chowały się w chmurze. Dosiadała go kobieta w skórzanym kubraku, z rozwianą na bitewnym wietrze aureolą rudozłotych włosów i wojennym toporem w dłoni. Brzeczot był poplamiony czerwienią krwi i czarną posoką, identyczną jak ta, która chlusnęła z ciała bestii, co padła z ręki Duncana.

Zerwawszy się na nogi Duncan usłyszał nad sobą grzmot kopyt, jakby ktoś galopował po niebie, nagłe zadęcie w róg myśliwski i tubalne ujadanie psów gończych.

Zrobił krok do przodu i znowu się potknął, uderzając kolanem w leżącego pustelnika. Zobaczył, że jeden z bezwłosych kołysząc się na łukowatych nogach człapie w stronę brytana, który powoli drze na strzepy piszczącą i skrzeczącą ohydę. Duncan zerwał się na nogi i skoczył na bezwłosego. Czubkiem miecza trafił go w szyję, a maczuga spadła na ziemię z głuchym hukiem, ocierając się o Malutkiego.

Wówczas grzmot kopyt i chrapliwe, tubalne ujadanie psów wypełniło całą dolinę, a z nieba wyjechały... czarne sylwetki konia, jeźdźca i psów... okryte mgłą cienie, nie pozbawione jednak pewnej cielesności, a wyjący wiatr, który im towarzyszył, omal nie zwałił

Duncana z nóg. Dziki Myśliwy i jego sfora runęli na dół, wdzierając się do mgielnej kipieli, która skrywała straszliwe postacie z ohydnyimi zębami, dziobami i pazurami, po czym wynurzyli się z niej i wzniesli na niebo.

W tym momencie Duncan usłyszał głos Diany:

— Zamek! — Stała na gryfie z toporem nad głową, ociekającym krwią i posoką i krzyczała. — Uciekajcie! Do zamku!

Duncan odwrócił się, aby pomóc wstać pustelnikowi, lecz Andrew podnosił się już z ziemi za pomocą swego kija. Jedna strona jego twarzy była poraniona, po rzadkiej bródce na rozdarty habit ściekała krew.

— Do zamku! — krzyknął do niego Duncan. — Uciekaj! Najszybciej jak umiesz!

Diana wołała dalej:

— Wszyscy do zamku! To wasza jedyna szansa!

Duncan wyciągnął rękę do konia i chwycił go za grzywę.

— Idziemy, Danielu! — krzyknął.

Bezwłosi zniknęli. Wał mgły snuł się postrzępionymi welonami, błyskawice pogasły, na zboczu góry skakało i biegało, czołgało się i pełzło kłębowisko czarnych postaci.

Duncan odwrócił się, aby odszukać wzrokiem Conrada. Zobaczył, że wlecze się z trudem w kierunku ruin. Jedną ręką trzymał obrożę rozwścieczonego brytana i ciągnął go za sobą. Meg i Piękna biegły na wyścigi do zamku, Meg człapała, kołysząc się na nogach i z zapamiętaniem starała się dotrzymać kroku małej oślicy. Andrew szedł za nimi na sztywnych nogach, stukając kijem o ziemię.

— Idziemy, Danielu — powtórzył Duncan i puścił się biegiem przed siebie, a wielki koń za nim.

Rzutem oka przez ramię Duncan zobaczył, że Myśliwy i jego sfora wznoszą się ostro ku niebu. Usłyszał trzepot skórzastych skrzydeł i zauważył Dianę na gryfie, również kierującą się do zamku.

Na wprost niego znajdowały się ukośne kolumny. Biegając ku nim zastanawiał się, jakiego rodzaju bezpieczeństwo może im zapewnić

zamek. Jeśli siły Zła i reszta bezwłosych zaatakują jeszcze raz, a prawdopodobnie zaatakują, gdy tylko zbiorą się ponownie, on i jego kompania będą musieli znowu walczyć. Podejmą walkę, mając tym razem za plecami osłonę w postaci kurhanu, ale jak długo zdołają stawiać opór takiej potędze? To czysty przypadek, że wytrzymali pierwsze starcie. Gdyby nie interwencja Diany oraz Dzikiego Myśliwego, wszyscy leżeliby trupem. Oraz Myśliwego, powtórzył w myślach. Dlaczego ten błędny jeździec z niebios włączył się do bitwy? Jakie sprawy mogły sprowadzić go na ziemię?

Zerknął przez ramię i zobaczył bezładne sterty martwych bezwłosych, leżących w nierównym rzędzie. Bezwłosych, a także inne stworzenia — kolczastą bestię, którą przeciął na dwoje, piszczącego stwora, którego rozszarpał Malutki, i być może jakieś dalsze.

Przebiegł między dwoma pionowymi kamieniami, Daniel kłusował obok niego. Zaniedbana łąka przemieniła się po drugiej stronie w dobrze utrzymany, wypieszczony, aksamitny trawnik.

Zaskoczony spojrzał do góry. Widok, jaki się przed nim roztaczał, zaparł mu dech w piersiach. Zwały ruin zniknęły. Na ich miejscu wznosił się wspaniały zamek, budowla z krainy baśni, nowiutki i lśniący. Do wielkiego frontowego wejścia, które iskrzyło się blaskiem świec i światłem widocznym również w niektórych z licznych okien, prowadziły w górę kamienne schody.

Na trawniku stał przed nim przygarbiony gryf. Diana szła ku niemu po trawniku; miała na sobie skórzane bryczesy i skórzany kubrak. Jej włosy mieniły się złocistą aureolą w blednym świetle zachodzącego słońca. Nie wypuszczała z ręki swego okrwawionego topora wojennego.

Zatrzymała się kilka stóp przed Duncanem i złożyła lekki ukłon.

— Witajcie w Zamku Czarodziejów — powiedziała.

Pozostali też już stali na rozległej przestrzeni nieskazitelnego trawnika. Zadzierali głowy do góry i gapili się na zamek. Najwyraźniej wszyscy byli równie zaskoczeni jak on.

Duncan nadal trzymał w dłoni obnażony miecz. Podniósł

go machinalnie, aby schować do pochwy, lecz Diana powstrzymała go gestem ręki.

— Nie — oznajmiła. — Najpierw wytrzyj go do czysta. Weź, proszę. — Sięgnęła do szyi i ściągnęła z niej biały kołnierz, który stale nosiła. — Skorzystaj z tego — dodała i podała mu go.

— Ależ nie chciałbym...

— Nie krępuj się — powiedziała. — Mam ich wiele. Poza tym ten już jest stary.

— Wystarczy mi garść trawy...

Potrząsnęła głową i Duncan wziął od niej tkaninę. Miała delikatny splot i jedwabistą miękkość.

— Za pozwoleniem, pani — powiedział.

Dokładnie wycierał i czyścił klingę, dopóki nie usunął z niej ostatniej plamy.

— Oddaj mi szmatę — rzekła. Z wahaniem wręczył jej brudny kawałek materiału. Teraz z kolei ona wykorzystała go do oczyszczenia wojennego topora.

— To była świetna zabawa — oznajmiła. — Piękne polowanie z nagonką.

Z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

— Owszem, skończyło się w ten sposób. Przez pewien czas byliśmy w okropnym położeniu, dopóki nie zjawiłaś się ty i Myśliwy. Powiedz, co on ma z tym wspólnego? A ty, jeśli chodzi o ścisłość? I ten zamek...

— Już ci mówiłam. To Zamek Czarodziejów. Kiedy przekroczysz magiczny krąg, stajesz na zaklętej ziemi.

Przykuśtykał do nich Conrad, a za nim Malutki.

— Co ci się stało? — spytał Duncan.

Conrad obrócił się powoli do tyłu, by pokazać krwawą szramę biegnącą od uda do kolana.

— Coś mnie zahaczyło. Sądzę, że stwór, czymkolwiek był, którego rozszarpał Malutki. Ale tobie nic się nie stało, milordzie?

— Dostałem w głowę skrzydłem gryfa, to wszystko.

Przyłożył rękę do czoła i odwrócił dłoń lepką od zakrzepłej krwi.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Diana. — Hubert jest czasem trochę niezdarny. Ale to naprawdę nie jego wina; Hubert jest po prostu bardzo stary. — Zwróciła się do Conrada. — Lepiej wejść do środka. To draśnięcie...

— Zagoi się — odparł. — Miewałem gorsze.

— Może zawierać truciznę. Są maści, które się tym zajmą. Znam się na balsamach i odwarach.

— Wielkie dzięki — rzekł Conrad. Chciał się zachować wytwornie, ale mu nie wyszło.

Duncan spojrział do tyłu na kamienną kolumnadę. Zauważył, że obecnie wszystkie głązy znajdowały się na swoim miejscu i były prawidłowo osadzone. Ani jedna kolumna nie stała krzywo. Kamienne nadproża leżały na nich pod kątem prostym. Wszystkie kamienie, nadproża i pionowe kolumny były nowe i białe. Połyskiwały trochę w blaknącym świetle, jakby dopiero wczoraj zostały wyrzeźbione.

— Nie rozumiem — powiedział Duncan do Diany. — Kamienie równo ustawione, zamek nowy i lśniący, ten trawnik, kamienne ławki na trawie, krzewy i drzewa, sadzawki, ścieżki, wszystko starannie rozplanowane krajobrazowo.

— To zaklęte miejsce — powiedziała. — Obszar szczególny. Po drugiej stronie magicznego kręgu zamek wydaje się ruiną, zresztą słusznie, bo wzniesiono go przed wiekami. Ale w środku jest taki sam, jak zawsze. Tutaj upływ czasu i jego skutki zostały opanowane. Niegdyś mieszkało tutaj wielu potężnych czarodziejów, którzy posiadli wielkie tajemnice. Potrafili trzymać świat i czas na dystans. Potrafili...

— Niegdyś, powiadasz. A teraz?

— Pozostał tylko jeden czarodziej. Ostatni z ich groma.

Miał już zadać kolejne pytanie, ale nie wypowiedziane słowa zamknął w ustach. Zaśmiała się z niego wesoło.

— Chciałeś spytać o mnie.

— Nie mam prawa, milady.

— Mogę ci powiedzieć. W moich żyłach płynie krew czarodziejów.



— Ty czarodziejką?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Staralam się, jak mogłam. Chciałam nią zostać. Okazało się, że nie mogę. Wulfert. Pamiętasz, że pytałam o Wulferta.

— Tak, pamiętam.

— Wulfert był moim dziadkiem — ciągnęła. — Ale my tutaj stoimy i rozmawiamy, podczas kiedy powinniśmy wejść do środka. Twój wielki kompan potrzebuje balsamu na swoje rany. I mogą być inne skaleczenia: widzę zadraśnięcie na twojej głowie. Wszyscy, jak mniemam, umieracie z głodu.

Conrad rozpromienił się wyraźnie.

— Nie odmówiłbym poczęstunku — powiedział. — I napiłbym się, jeśli masz coś do picia. Walka wzmacnia pragnienie.

— Musisz mu wybaczyć — rzekł Duncan. — Brak mu ogłady.

Nie posiadamy służby — oznajmiła. — Ani jednego lokaja. Był czas, gdy zamek miał służbę do wszystkiego wtedy mieszkali w nim ludzie, którzy mogli potrzebować służących. Ale teraz doprawdy nie są tak bardzo potrzebni, a poza tym trudno znaleźć wierne sługi, jakich by się chciało. Nie ma tu wiele do roboty. Przyrządzanie posiłków, ślanie łóżek i inne podobne drobiazgi. Całą resztą zajmuje się czar.

— Choć niezbyt wyszukanie, milady — odezwał się Conrad — ale milord i ja umiemy gotować, a myślę, że stara Meg również. Nie wiem, jeśli chodzi o pustelnika. To poczciwa dusza, w najlepszym razie.

— No dobrze, radźcie sobie — odrzekła. — Spizarnia jest dobrze zaopatrzona. Ona jest zawsze dobrze zaopatrzona. Nie będziemy głodować.

Z Duncanem po lewej stronie i Conradem po prawej poprowadziła ich w kierunku długiej kondygnacji rozległych, szerokich schodów, które wiodły do zamkowego wejścia. Meg ustawiła się w drugim rzędzie.

— Znajdziemy mięso dla psa — powiedziała Diana. — Trawnik dostarczy dobrej paszy dla konia i oślicy.

— Dziękujemy ci, milady — odparł Duncan. — Twoja gościnność

przekracza granice zwykłej uprzejmości. To co uczyniłaś dzisiaj, aby nam pomóc...

— Pomoc była wzajemna. Uczyniliście dla nas tyle, ile ja i Hubert dla was. Zwabiliście Zło i wymierzylście mu dotkliwy cios. Zadaliście im ból. Cuthbert będzie szczęśliwy. Sam by tego dokonał, gdyby nie był taki stary, słaby i taki samotny. Zrozumcie, on ma tylko mnie. Wszyscy jego druhowie odeszli.

— Cuthbert?

— Czarodziej, o którym wam mówiłam. Ostatni z potężnej grupy czarodziejów. Ale pozostałych już nie ma i utracił dużo ze swej dawnej mocy z powodu braku tamtych, aczkolwiek zaprzeczy, jeśli go zapytać. Staram się nie wspominać o tym.

— Twierdzisz, że jest stary i słaby. Nie wiedziałem...

— Czarodzieje to nie istoty nadprzyrodzone — przerwała mu Diana. — Zapewne o tym wiesz. To zwykli ludzie, którzy zgłębili niektóre arkana sztuki tajemnej i dlatego umieją dokonywać wielu cudownych rzeczy, ale nie są odporni na powszechne choroby i cierpienia ludzkości. Miałam zamiar wrócić do kościoła i wioski, gdzie się spotkaliśmy po raz pierwszy, lecz gdy przybyłam do zamku, znalazłam Cuthberta w złym stanie zdrowia i zostałam tutaj, aby się nim opiekować.

— I jak się teraz czuje?

— Już dużo lepiej, dziękuję. Być może sam jest sobie winien. Ilekroć wyjadę, zapomina o jedzeniu. Robi się taki aktywny, że zapomina o jedzeniu. Człowiek w jego wieku musi się dobrze odżywiać.

Zbliżyli się do pierwszego stopnia długich schodów i zaczęli po nich wchodzić. W połowie drogi Duncan spojrzął za siebie i zobaczył, że po drugiej stronie kamiennej kolumnady rośnie gęsty zagajnik.

— Wcześniej nie było tutaj tych drzew — powiedział.

— Których? — spytała Diana.

— Tych za kręgiem.

— Dalej nie rozumiesz — oznajmiła. — Stąd roztacza się taki sam widok, jak w dniach, kiedy powstał zamek. W owym czasie dookoła zamku rozciągała się puszcza i tylko kilka dzikich plemion lub przypadkowi myśliwi deptali po ścieżkach, które ją przecinały.

Szli dalej schodami pod górę i w końcu dotarli do ogromnego wejścia, które prowadziło do przestronnego westybulu, jakby sali audiencyjnej, pomyślał Duncan. Posadzkę stanowiły dobre, kolorowe płyty z kamienia. Od posadzki biegło kilka innych krótkich kondygnacji murowanych schodów prowadzących do pozostałych części zamku. Na ścianach kandelabry błyszczały migotliwym płomieniem grubych świec woskowych, przydając sali łagodnego światła.

Pośrodku wznosiła się kamienna kolumna wysokości sześciu stóp, mająca trzy stopy średnicy. Duncan i pozostali stanęli jak wryci na widok tego, co się na niej kuliło.

— Chodźmy dalej — powiedziała niecierpliwie Diana. — To tylko Mefisto. Nie musicie się go bać. Zapewniam was, że jest całkowicie oswojony i niegroźny.

Powoli ruszyli naprzód, lecz stworzenie na kolumnie odezwało się do nich:

— Tylko Mefisto, powiada, i jak zwykle mówi słusznie, bo to niezwykle prawdomówna, a nawet przyzwoita niewiasta. Widzicie przed sobą, na waszą litość lub pogardę, demona z samych czeluści piekieł.

— Jak zwykle tragizuje — rzekła Diana. — Zatrzymuje każdego gościa, aby go zanudzać swoją historią. Nikt, rzecz jasna, nie może osądzić, czy jest prawdziwa, ale on ma dużo do powiedzenia. Dajcie mu okazję, to wywierci wam dziurę w brzuchu.

— Ale co to za jeden? — spytał Duncan.

— Tak jak powiedział, demon z piekła. Służy tutaj jako odźwierny niemal od początku istnienia zamku.

— Wyznaczono mi ową funkcję — wtrącił Mefisto. — Ale nie stróżuję przy drzwiach. Zostałem przykuty do tej kolumny

na pośmiewisko ludzi, którzy przeważnie szydzą ze mnie. Powiniennem raczej budzić głęboką litość, pewnie najbardziej pożałowania godne ze stworzeń, banita, bynajmniej nie prawdziwy mieszkaniec tego przybytku bogactwa i chwały. Spójrzcie na mnie, proszę, i przekonajcie się, czy nie mam racji. Zwróćcie uwagę na mój róg wygięty, obejrzyjcie garb na grzbiecie, szpotawą nogę, kalekie ręce, powykrzywiane i zaciśnięte niczym w imadle artretyzmu, wskutek wstrętnego, wilgotnego i chłodnego klimatu tej najbliższej ze wszystkich krain.

— Mefisto, przestań gadać — rzuciła ostro Diana.

— I spójrzcie, proszę, na mój ogon, który wraz z rogami stanowi chlubę każdego demona. Przyjrzyjcie mu się i powiedzcie, czy waszym zdaniem stanowi chlubę? Pęknięty w trzech miejscach i nigdy porządnie nie złożony, choć złożenie go stanowiłoby dla fachowego chirurga dziecinną igraszkę.

— Mefisto, nakazuję ci zamilknąć — powiedziała Diana. — Przerwij tę nieustanną paplaninę. Nasi goście nie interesują się tobą.

Duncan widział, że wszystko, co Mefisto opowiedział im o sobie, jest prawdą. Ostatnia z trzech części ogona miała kształt niezwyklego zygzaka, jakby pękła i nie podjęto próby nastawienia kości, lub jakby ją podjęto, ale źle wykonano. Lewą łapę miał koślawą, co najmniej trzy razy dłuższą, niż potrzeba, z niekształtnym kopytem wieńczącym deformację. Nad łapą tkwił długi łańcuch zwieszający się pętlą do posadzki. Drugi koniec był przytwierdzony do ciężkiego, zatopionego w kamieniu metalowego skobla. Na grzbiecie demona tkwił szkaradny garb, wypychając mu dziwacznie górną połowę ciała do przodu. Lewy róg na głowie był uformowany doskonale, krótki, lecz mocny, drugi róg natomiast wykoślawiony i rozrośnięty ponad miarę, zorany okropnymi bruzdami podobnymi do rysunku na skorupie mięczaka, wygięty w stronę czoła. Jego rozpostarte ramiona były wykręcone i zwichrowane, palce zaciśnięte kurczowo.

Conrad podszedł do kolumny i sięgnął w górę, aby pogłodzić chromą łapę.

— Ty biedny sukinsynu — westchnął.

— Nie zatrzymujmy się — powiedziała lodowato Diana. — Szkoda waszej litości dla niego.

## 20

Najpierw Diana podała lekarstwo na rany. Posmarowała balsamem skaleczenie na udzie Conrada, oczyściła podrapaną twarz pustelnika, nacierając ją maścią kojącą, i obmyła drobne zadraśnięcie na czole Duncana. Meg, która nie doznała szwanku, usadowiła się w za wysokim dla niej fotelu i dyndając nogami nad podłogą wspominała chętnie swój udział w bitwie.

— Zaprawdę, staruszka wiedziała, co czynić — mówiła. — Przypadłam do ziemi w bezpiecznym miejscu. Nie ukatrupiłam ani jednego, bo nie miałam siły tego zrobić, ale przeszkadzałam im, jak mogłam. Znalazłam krzepką gałąź, która odpadła z ciernistego drzewa i tłukłam ich na leżąco po łydkach. Nie mieli pojęcia, skąd się biorą ciosy, a ja wkładałam w nie całą siłę, jaką miałam w mojej chudej ręce. Musieli skakać i cofać się, a kiedy tak skakali i cofali się, milord siekł ich swoim mieczem, a pustelnik dźgał kijem.

— Zawsze w kiszki — oznajmił z dumą Andrew. — Kiszki to delikatne miejsce i łatwo je przebić zdecydowanym ciosem.

— Nie wiem, jak daliście sobie radę — powiedziała Diana. — Przybyłam najszybciej, jak mogłam, ale...

— Mieliliśmy mocarne ramiona, bo nasza sprawa była słuszna — rzekł z miną świętoszka Conrad.

Po opatrzeniu ran zajrzeli do spiżarni i znaleźli udziec wołowy, dobrze upieczony, oraz duży bochen pszennego chleba, krążek sera, półmisek pieczonego drobiu, który został z poprzedniego dnia, trochę pasztetu z gołębia, pół beczki marynowanych śledzi i kosz soczystych gruszek.

— Cuthbert, kiedy nie zapomina o jedzeniu — powiedziała Diana — to istny obżartuch. Lubi dobrze zjeść i nader często zjada o wiele za dużo. Podagra nie jest mu obca.

Obecnie siedzieli wokół stołu w kuchni, gdzie wcześniej Diana bawiła się w medyka. Lekki zepchnięto na jeden koniec stołu, na drugim rozłożono jedzenie.

— Muszę prosić o wybaczenie, że podejmuję was w takim skromnym miejscu — oznajmiła Diana. — Niestety, komnata stołowa jest zbyt okazała. Czuję się tam za bardzo onieśmielona. Zbyt okazała jak na mój gust i sądzę, że również na wasz. Co więcej, po jedzeniu jest mnóstwo porcelany i srebra do zmywania, wytarcia i odstawienia. Za dużo roboty.

— Cuthbert? — podjął Duncan. — Często o nim mówisz. Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać? Czy to w ogóle możliwe?

— Z całą pewnością — odparła. — Ale nie dzisiejszego wieczora. Bywało niegdyś, że siedział przez pół nocy pracując za swoim pulpitem, ale ostatnimi laty udaje się do łóżka, kiedy tylko zaczyna zmierzchać. To stary człowiek i potrzebuje odpoczynku. Czy moglibyście mi teraz opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło od naszego pierwszego spotkania w ogrodzie? Krążą plotki o waszych wyczynach, ale wiecie, jak to jest z plotkami. Nie można im ufać.

— Nic wielkiego — odparł Duncan. — Błądziliśmy, jak się zdaje, od jednej katastrofy do drugiej, ale za każdym razem udawało nam się w ostatniej chwili uniknąć nieszczęścia.

Opowiedzieli jej, włączając się kolejno do gawędy, ona zaś siedziała i słuchała z przejęciem, pochyliwszy głowę do przodu. W blasku świec jej lśniąca czupryna zamieniła się w jeszcze jeden migotliwy płomień. O jednej sprawie Duncan nie jej powiedział, a inni o tym nie pomyśleli albo celowo przemilczeli, zwróciwszy uwagę, że Duncan to pominął: o znalezieniu amuletu w grobie Wulferta.

Obserwując Dianę, przysłuchującą się ich wywodom, Duncan zastanawiał się, czy powinien cofnąć się do początku relacji i powiedzieć jej o talizmanie, ale w końcu powstrzymał się od tego.

Wiedział oczywiście, że bardzo by ją to interesowało, i być może miała prawo wiedzieć — niewątpliwie miała prawo wiedzieć, jeśli Wulfert naprawdę był jej krewnym, jak twierdziła. Wreszcie kiedy opowieść dobiegła końca, zapytała o Wulferta.

— Pamiętacie, że go szukałam albo raczej jakichś wiadomości o nim, bo już od dawna musi nie żyć — powiedziała. — Ty, mości pustelniku, zanim przeszkodzili nam bezwłosi, zdawałeś się wskazywać, że wiesz o nim. Z jakiegoś powodu nie wyjaśniłeś tego, sprawiałeś wrażenie wielce strapionego.

Andrew podniósł głowę, spoglądając na drugi koniec stołu na surowe oblicze Diany.

— Tylko to, milady — odrzekł gładko — że słyszałem o nim, wiedziałem, że został pochowany na wiejskim cmentarzu. Moje strapienie pochodzi stąd, że wioska uznawała go za świętego człowieka. To było szokujące odkrycie — świadomość, że był czarodziejem.

— Zdjął cię gniew na wieść, że był czarodziejem, a nie świętym człowiekiem?

— Milady, ja i mieszkańcy mojej wioski byliśmy prostymi ludźmi. Być może nawet ciemnymi. Nie znaliśmy się na czarodziejach. Myśleliśmy...

— Domyślam się, coście myśleli — przerwała mu. — I chyba przypominam sobie, jak mówiłeś, że pochowano go w grobowcu, gdyż wioska poczytywała go za świętego.

— To prawda — odparł. — Ale dąb upadł i roztrzaskał grobowiec. Na pewno podczas silnej burzy.

— Krąży opowieść, być może najwyżej legenda, że Wulfert nosił przy sobie atrybut cudownej magii. Słyszałeś o nim?

— Nie, łaskawa pani. Nie przypominam sobie.

— Wierzę ci. Dziadek na pewno trzymał to w sekrecie. Sądzę, że atrybut już przepadł. Ach, jaka szkoda!

— Dlaczego szkoda, łaskawa pani? — zapytał Conrad.

— Legenda głosi, że sporządzono go jako talizman przeciw



Hordzie Zła, zwanej w tych stronach Oprawcami.

— I miałaś nadzieję go odzyskać? — spytał Duncan.

— Tak. Liczyłam na to. Przydałby się teraz.

Duncan czuł na sobie spojrzenia pozostałych.

— Nawet gdybyś go znalazła, mógłby mieć niewielką wartość. Trzeba wiedzieć, jak zrobić z niego najlepszy użytek.

— Nie, chyba nie. Myślę, że samo posiadanie go byłoby wystarczająco skuteczne. Magia spoczywa w talizmanie, a nie w jego użytkowniku.

— Może powinnaś przeszukać grobowiec — powiedział Conrad, wchodząc na kruchy lód.

— Może — odparła. — Myślałam o tym. Zamierzałam tam wrócić jeszcze raz. Ale po przygodzie w warzywniku z bezwłosymi doznałam szalonego uczucia, że Cuthbert mnie potrzebuje, więc poleciałam prosto do zamku. Okazało się, że faktycznie mnie potrzebował. Od tej pory stale go pielęgnuję.

Machnęła rękę.

— Jednakże wątpię, czy poszukiwania w grobowcu coś dadzą — mówiła dalej. — Nawet jeśli talizman pogrzebano razem z dziadkiem, co nie jest pewne, to po upadku dębu zawartość grobu odsłoniła się dla wszystkich, którym przyszłoby ochota tam zajrzeć. Na pewno w wiosce mieszkało kilku spryciarzy o skłonnościach do płądrowania grobów. Jeśli talizman znajdował się w trumnie, bez wątplenia już dawno ktoś go ukradł.

— Kto wie, czy nie masz racji — rzekł Andrew. — Ale nie słyszałem o talizmanie, o którym mówisz.

— Złodzieje grobów nie ujawniają się sami — powiedziała Diana.

— Chyba nie — przyznał pustelnik.

Nikt już na mnie nie patrzy, zorientował się Duncan. Stało się. Słusznie czy nie, kłamstwo zostało wypowiedziane. Wszyscy go wspierali w jego tajemnicy. Co do jednego, poza Meg. Tylko ona nie odezwała się ani słowem, ale Meg nie wystąpiłaby przeciw nim. Palce go swędziały, aby dotknąć torby przy pasie, wymacać lekkie

wybrzuszenie amuletu i upewnić się, że spoczywa na swoim miejscu. Nie uległ jednak pokusie.

Malutki, który połknął jednym haustem wielką porcję pieczeni, po czym leżał w kącie kuchni śpiąc lub drzemiąc, zniknął gdzieś, zauważył Duncan. Najpewniej poszedł węszyć tropy. Zamek miał pełno zakamarków i kryjówek, gdzie brytan mógł wetknąć swój nos.

— Jedna rzecz mnie intryguje — powiedział Duncan do Diany. — Pytałem cię o to wcześniej, ale nie miałaś okazji mi odpowiedzieć. Chodzi o Myśliwego. Dlaczego interesuje się nami?

— Nienawidzi Zła — odparła. — Tak samo jak wielu z nas. Na przykład Ludek — znajdziesz wśród nich niewielu takich, którzy odczuwają jakakolwiek sympatię do Zła. W zasadzie oni sami nie są źli, tylko inni. Istnieją, rzecz jasna, stworzenia złe z natury, jak wilkołaki, zjawy, wampiry i inne, które stanęłyby ochoczo w jednym szeregu z Oprawcami, odnosząc się do nich z szacunkiem i wierząc, że stanowią z nimi jedność. Ale Ludek to porządny naród, i Myśliwy też.

— Ciekawe, czy przyglądał nam się przez cały czas? — rzekł Duncan. — Widzieliśmy go kilka nocy temu, ale mógłbym przysiąc, że słyszałem go już wcześniej.

— Możliwe.

— Ale po cóż miałby zaprzętać sobie głowę nami?

— To wolny duch, Myśliwy. Wiem o nim bardzo mało, choć spotkałam go przelotnie kilka lat temu. Zdaje się, że pochodzi z Germanii, ale nie jestem pewna. Widocznie w przeszłości był świadkiem zniszczeń dokonywanych przez Oprawców i obserwuje ich od tego czasu.

— Krzyżowiec w służbie prawa?

— Nie, chyba nie nazwałabym go w ten sposób.

— Tak czy inaczej — powiedział Andrew — jesteśmy wdzięczni za to, co dzisiaj zrobiłaś.

— Zło — rzekł Duncan. — Ciekawe, na czym ono właściwie polega.

— Cuthbert mógłby ci powiedzieć dużo więcej, gdybyś go zapytał

— odparła Diana.

— Arcybiskup z naszego Opactwa sugerował, że potwory mogą karmić się nieszczęściem świata i że posuną się do wszystkiego, by utrwać to nieszczęście.

— Słyszałam o tej teorii, ale Cuthbert to znawca Zła. Spędził długie lata na jego studiowaniu. Dysponuje bogatą dokumentacją. Jego trzeba zapytać.

— A czy będzie chciał z nami rozmawiać? Wielu znawców strzeże z zazdrością wiedzy, którą posiadli.

— Owszem, myślę, że się zgodzi.

Z oddali dało się słyszeć zajadłe szczekanie. Conrad zerwał się na nogi.

— To Malutki — rzucił. — Sprawdź, co się stało. Czasami traci umiar.

Odwrócił się i wybiegł za drzwi, pozostali rzucili się w ślad za nim.

— Bierz ich, piesku! — zawołała wiedźma.

— Nie, nie mów tak — warknął Conrad. — Nie zachęcaj brytana.

Ruszyli biegiem w głąb korytarza, przemierzili wspaniałą salę jadalną i wpadli do kolistego przedsionka, stojącego frontem do ogromnego westybulu.

Tutaj zobaczyli Malutkiego. Czaił się przed kolumną z demonem. Wypiął w górę zad, przednie łapy wyrzucił do przodu na podłozie i położył na nich pysk. Dla żartu machał szaleńczo ogonem, a od czasu do czasu unosił łeb i po trosze figlarnie, po trosze zajadłe, obszczekiwał skulonego Mefista.

Conrad zszedł po schodach z łoskotem do westybulu.

— Malutki, przestań! — krzyknął. — Malutki, przeklęty głupcze. Zostaw Mefistofela w spokoju.

Demon powitał ich protestem.

— Tylko nie Mefistofela. To zupełnie inny demon. Tamten to dojrzały diabeł. Imię Mefisto wzięło się zamiłowania do gry słów. Gdy mnie w końcu osaczyli i zapędzili w pułapkę, ryczeli i tarzali się ze śmiechu na podłozie, nazywając mnie Mefistem. Z przyczyn, które

nie całkiem pojmuję, uznali to za świetny dowcip. Tylko że nazwali mnie Młodym Mefistofelesem dla odróżnienia, rozumiecie, od tego drugiego. Ostatecznie pozostało tylko Mefisto i od tej pory tak się nazywam. Co nie znaczy, że to miano mi się podoba, skoro jednak zdążyło do mnie przylgnąć przez te wszystkie lata, muszę się z tym pogodzić.

Conrad przeszedł wyciągniętym krokiem do Malutkiego, chwycił go za obrożę i podniósł na nogi.

— To wstyd — powiedział. — Przykuli biedaka do kamienia, a ty sobie biegasz na swobodzie. Wstydzilibyś się.

Malutki zaczął się łąsić do Conrada, ale nie wyglądał na zawstydzonego.

— Chyba nic ci się nie stało. Zrobił ci krzywdę? — spytał Duncan, podchodząc do Mefista.

— Nic a nic — odparł demon. — Wdał się tylko w jakieś psie figle. Nie mam nic przeciwko temu. Nie chciał mi zrobić krzywdy ani nawet mnie przestraszyć, jak sądzę. W jego psim mózdzku po prostu bawił się ze mną.

— To szlachetnie z twojej strony — powiedział Duncan.

— No cóż, bardzo dziękuję, panie. Zacny z ciebie człek, że to mówisz.

— A przy okazji, czy to prawda, jak powiadasz, że jesteś demonem z samych czeluści piekła? — spytał Duncan. — Jak się tu dostałeś, wobec tego?

— To długa i bardzo smutna historia — odparł Mefisto. — Pewnego dnia, kiedy będziecie mieli czas, opowiem wam wszystko po kolei. Musicie zrozumieć, że byłem nowicjuszem wśród demonów, przydzielonym do przedsionków Otchłani Infernalnej, by nauczyć się swego rzemiosła. Boję się jednak, że sprawiałem się bardzo źle. Mówiąc krótko, okazałem się niedołągą. Wszystko robiłem nie tak. Przypuszczam, że nie mam w ogóle usposobienia do naszej profesji. Ciągle popadałem w niełaskę. Karcono mnie nieustannie za brak szczerzej gorliwości.

- Może nie jesteś stworzony na demona?
- Może. Ale jako demon nie miałem większego wyboru. Mało które zajęcie nadaje się dla mnie. Uwierzcie mi, proszę, że za każdym razem dzielnie stawiałem czoło trudnościom.
- A więc co się stało?
- No jakże, uciekłem. Nie mogłem już tego znieść. Pewnego razu zwyczajnie się wyniosłem. A wiesz, panie, co jest najgorsze z tego wszystkiego? Otóż nie chciało im się gonić za mną i ściągnąć z mnie powrotem.
- Prócz łańcucha, dobrze cię tu traktują?
- Właśnie, prócz łańcucha. Wiem, że mam tu trochę lepiej w porównaniu z losem śmiertelnika, który trafi do piekła.

## 21

Cuthbert leżał w łóżku, podparty wysoko dwiema poduszkami umieszczonymi jedna na drugiej u wezgłowia. Nosił szlafmycę we wstrząsającym odcieniu purpury oraz nocną koszulę z falbanką przy szyi i dłoniach. Był to człowiek zapadnięty: pod białymi krzaczastymi brwiami miał głęboko zapadnięte oczy; czapka zsunęła mu się na czoło i zdawała się opierać na brwiach, a twarz miał tak bardzo zapadniętą, że widać było obciągniętą skórą kości policzkowe. Nos mu sterczał niczym dziób, a między sterczącym nosem i wystającym podbródkiem biegła głęboka bruzda ust. Nad zapadniętą klatkę piersiową unosiły się kościste ramiona w całej okazałości guzów. Kołdra okrywała tak płaski i zapadnięty brzuch, że kości miednicy odznaczały się wyraźnie, tworzące pod kołdrą podwójny garb.

Zachichotał do Duncana, a potem odezwał się chrapliwie:

— No, no. Diana mówiła, że potłukłeś ich okrutnie od biodr aż do goleni. Właśnie tak należy ich traktować. To jedyny język, jaki rozumieją.

— Ja oraz moja gromadka — odparł Duncan. — Nie zrobiłem tego sam.

— Później ich obejrzysz — powiedziała Diana do czarodzieja. — To istna zbieranina. — Zwróciła się do Duncana: — Nie masz nic przeciwko temu, abym nazywała ich zbieraniną?

— Sądzę, że możesz ich tak nazywać — odrzekł, niezbyt zadowolony.

— Opowiadałaś mi o nich — powiedział Cuthbert do Diany. —

Pies i koń oraz mała oślica. Zwierzęta też będą chciał obejrzeć.

— Psa, być może — odparła. — Ale na pewno nie konia.

— Chcę zobaczyć całą gromadkę — upierał się czarodziej. — Chcę obejrzeć małą grupkę, która potłukła ich okrutnie od biodr aż do goleni. Jak Bożię kocham, lepiej mi się robi na wieść, że chodzą jeszcze tacy po świecie. Nie uciekają z piskiem, lecz z nimi walczą.

— Koń i oślica miałyby trudności z dostaniem się tutaj — zaprotestowała. — Te wszystkie schody...

— No to sam pójde je zobaczyć.

— Przecież wiesz, ekscelencjo, że nie wolno ci się przemęczać.

Cuthbert zaczął mrużyć coś pod nosem i utyskiwać na Dianę.

— Oto dola człowieka, kiedy się zestarzeje — powiedział do Duncana. — Nie możesz się przemęczać. Nie możesz iść samemu do wychodka. Musisz kucnąć na nocniku, żeby się wysikać. Musisz poruszać się wolno i leżeć w łóżku. Musisz jeść lekkie posiłki, bo twoje kiszki nie poradzą sobie z porządnym mięsem. Musisz uważać na wino. Nie wolno ci robić niczego, co lubisz, ale możesz robić wszystko, czego nienawidzisz.

— Mam nadzieję i będę się o to modlić, abys niebawem robił znowu wszystko, co lubisz najbardziej — powiedział Duncan. — Lecz musisz zachować ostrożność...

— Jesteś po jej stronie. Diana potrafi owinać silnego mężczyznę wokół małego palca. Popatrz tylko na nią, bałamutkę, na jej złociste włosy i trzepoczące powieki.

— Dobrze wiesz, ekscelencjo — rzuciła ostro — że nigdy nie trzepoczę powiekami. I jeśli nie poprawisz swego zachowania, to ugotuję papkę warzywną i podam ci ją na kolację. A potem będę się przyglądała, jak jesz.

— Teraz rozumiesz — powiedział czarodziej do Duncana. — Człowiek jest bezradny. Zwłaszcza kiedy się zestarzeje. Postaraj się zanadto nie przekroczyć trzydziestki. A może opowiesz mi teraz o swojej małej kompanii i o tej wielkiej bitwie?

— Nie przeżylibyśmy jej, gdyby nie Diana i jej gryf oraz Dzik

Myśliwy...

— Ach, Myśliwy — dzielny chłop z tego łowcy. Dobrze pamiętam czasy, kiedy... — Urwał i wbił wzrok w Duncana. — Tylko mi nie wmawiaj, żeś jest Myśliwym. Bliskim krewnym, możliwe, ale na pewno nie Myśliwym. Nie nabierzesz mnie swoimi bajkami. Znam go. Nie uda ci się wkręcić...

— Ekscelencjo — zawołała Diana. — Opowiadałam ci o tym kawalerze. On nie jest Myśliwym, i wcale nie twierdzi, że nim jest. Znowu masz urojenia. Duncan Standish jest potomkiem wielkiego rodu z północy.

— Ach, tak. Już sobie przypominam — odparł Cuthbert. — Standishowie, powiadasz. Standishowie, tak, tak, słyszałem o nich. Skoro pochodzisz z tego rodu, to co porabiasz tutaj? Dlaczego nie bawisz na bezpiecznej północy, za murami zamku?

— Podążam z wiadomościami do Oxenfordu.

— Do Oxenfordu? Oxenford. Tak, znam Oxenford. Wspaniałe towarzystwo znakomitych scholastyków. Mam w Oxenfordzie przyjaciół.

Opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy. Duncan spojrzał pytająco na Dianę; milady dała znak, aby zachować cierpliwość.

Po pewnym czasie czarodziej poruszył się na poduszkach, otworzył oczy i dźwignął się do bardziej pionowej pozycji. Skierował wzrok na Duncana.

— Jeszcze tu jesteś — powiedział — myślałem, że sobie poszedłeś. Przeczekałeś moją drzemkę. Musisz mi wybaczyć: z nie wyjaśnionych powodów zapadam czasem w takie krótkie drzemki.

— Czy czujesz się już lepiej, ekscelencjo?

— Tak, dużo lepiej. Diana wspominała, że masz do mnie pytanie.

— Dotyczy Hordy Oprawców. Mój arcybiskup mówił...

— A cóż to za arcybiskup, jeśli wolno spytać?

— Jego Dostojność z Opactwa Standish.

— Stary ramol — powiedział Cuthbert. — Stary gaduła. Nie uważasz?



— Czasami też tak myślę.

— I co on mówi o Hordzie Zła?

— Bardzo niewiele, ekscelencjo. Nie wie, czym ona jest. Sądzi, że Horda karmi się ludzkim nieszczęściem, a zniszczenia, które powtarzają się w regularnych odstępach czasu, mogą być okresami, kiedy Horda się odmładza.

— Chciałbyś się dowiedzieć ode mnie, czym jest Zło?

— Jeśli wiesz, ekscelencjo.

— Ma się rozumieć, że wiem. A jak sądzisz, czym ja i gromadka moich nieżyjących już pobratymców zajmowaliśmy się przez te wszystkie lata? Odpowiedzią jest to, naturalnie, że dokonywaliśmy wielu przedsięwzięć i wgrzaliśmy się głęboko w prawdę. W trakcie naszej pracy kierowaliśmy uwagę na Zło. Co chciałbyś o nim wiedzieć?

— Czym jest, ekscelencjo. Skąd przybyło. Gdzie wzięło swój początek.

— Przybyło z gwiazd — odparł czarodziej. — To wiemy. Nie jesteśmy pewni w jakim celu. Możliwe, że przygnała je z gwiazd silniejsza potęga, której nie potrafiło stawić oporu. Może w swojej zachłanności rozprzestrzeniło się wśród gwiazd tak gwałtownie, że nie pozostało już nic, czym mogło się żywić. Aby więc uniknąć głodu, poczęło szukać innego świata i zupełnie przypadkowo, a może nie tak zupełnie, spadło na nasz biedny padół, gdzie znalazło rozkwitające życie, które mogło dostarczyć mu nieszczęścia, jakiego potrzebowało do odżywiania się i wzrostu. Najwyraźniej dobrze mu się tutaj wiedzie. Z każdym wiekiem coraz bardziej powiększa swą siłę i masę razem z ciężarem nieszczęścia tego świata. Jeśli wkrótce czegoś nie zrobimy, pochłonie całe życie na Ziemi, a później będzie chyba musiało znowu udać się wśród gwiazdy na poszukiwania kolejnego świata.

Przybyło do nas niebywale dawno. Brakuje nam miary, aby obliczyć, od ilu lat tu grasuje. Kiedy pojawił się człowiek ze swymi większymi rozmiarami nieszczęścia — większymi niż u naszych przyjaciół zwierząt, chociaż one również potrafią cierpieć — poczęło

zbierać bogatsze żniwo, a w konsekwencji obrośło tłuszczem i obecnie istnieją niewielkie szanse, by je powstrzymać albo zwyciężyć. Dlatego wielce sobie cenię opór, jaki mu stawiałeś — świadectwo, że wciąż istnieją ludzie, którzy będą zwalczać Zło, nie czując strachu w sercu.

— Mylisz się — odparł Duncan. — Czułem prawdziwy strach.

— Ale się nie cofnąłeś.

— Ekscelencjo, nie mieliśmy innego wyboru. Nie było gdzie uciekać.

— Jesteś człowiekiem prawdomównym — stwierdził czarodziej. — Tylko człowiek prawdomówny i dzielny potrafi przyznać się do strachu, który go przepełnia. Zaliczasz się przecież do męźnych wojowników.

— Nie jestem wojownikiem. Człowiekiem wyćwiczonym we władaniu bronią, zgoda, ale przed tą wyprawą nigdy nie miałem okazji dobyć miecza w gniewie. Jestem raczej rolnikiem. Dużo bardziej interesuje mnie hodowla bydła i owiec, uprawa lepszych odmian zbóż...

— To dobrze — powiedział Cuthbert. — Brytania i cały świat potrzebuje rolników takich jak ty. Bardziej aniżeli ludzi, którzy potrafią władać potężnym mieczem. A jednak mieczem także umiesz się posługiwać. — Zwrócił się do Diany. — Warzywa, powiadasz. Nie będę jadł twoich warzyw. Zielenina, miska soczewicy, a czasami kleik, tylko tym mnie żywisz. — Obrócił głowę do Duncana. — Jak można wymagać od człowieka, aby nie tracił sił i podawać mu same popłuczyny?

— Może twój żołądek... — napomknął Duncan.

— Co taka dziewczucha może wiedzieć o żołądku dorosłego mężczyzny? Mięsa, oto czego mi trzeba. Dobrego, czerwonego mięsa, a nie przerobionego na miazgę, tylko na wskroś różowego, z krwią na talerzu.

— Podalam ci mięso — przypomniała czarodziejowi Diana — a ty je wyrzuciłeś.

— Bo źle je wysmażyłaś — odparł. — Bardzo źle. Daj mi porcję

dobrze wysmażonego udźca wołowego, albo baraniego zadu i... — urwał nagle. Sprawiał wrażenie, jakby jego umysł przeskakiwał z tematu na temat. Zwrócił się do Duncana. — Zadałeś mi jeszcze jedno pytanie. Czy możesz je powtórzyć?

— Miałem jeszcze jedno pytanie. Miałem kilka pytań. Ale nie zadałem ich dotąd. Mój arcybiskup...

— Wracamy zatem do tego zniewieściałego klechy.

— Powiedział, że zniszczenie, które powoduje Zło, może im być potrzebne do odmładzania. Ustalają obszar, gdzie nic im nie będzie przeszkadzało w procesie odmładzania. Że właśnie tam rosną w siłę, a może i w liczbę, aby przygotować się na kolejne stulecia czynienia zła.

— Słyszałem o tej hipotezie — odparł czarodziej. — I pod pewnym względem może być w niej trochę prawdy, aczkolwiek sądzę raczej, że destrukcja służy innemu celowi, zmierza chyba do powstrzymania rozwoju, który mógłby w przyszłości poprawić dolę ludzkości.

W naszym przypadku, jeśli chodzi o obecne zniszczenia, jestem przekonany, że ich celem nie jest odmłodzenie, jeśli kiedykolwiek nim było. Tym razem Zło ucieka w popłochu. Jest przerażone czymś, co ma się wydarzyć. Zbiera siły, aby przeciwdziałać temu wydarzeniu. A mimo to, z jakiegoś powodu, Zło wydaje się bardzo dezorientowane, niepewne siebie, jak gdyby działało stało się nieprzewidzianego, co udaremnia wszelkie jego poczynania.

Cieszyłem się, prawdę mówiąc, kiedy zaczęło się pustoszenie tego obszaru, bo teraz, mówiłem do siebie, będzie łatwiej studiować je naocznie. Dotychczas musiałem korzystać ze starych zapisków i obserwacji innych, którzy mogli nie być tak precyzyjni w tym, co zapisywali, jak by się chciało. Tutaj człowiek mego pokroju miał życiową szansę, ale byłem skrępowany brakiem godnych zaufania kompanów. Powtarzałem sobie jednak, że mogę wykonać robotę sam, bo mam doświadczenie wielu lat podobnej działalności. Tak więc pracowałem nad tym...

— Pracowałeś zbyt ciężko — powiedziała Diana. — Właśnie

na tym polega twój problem.

Umysł czarodzieja przeskoczył na inny temat.

— Rozmawialiśmy o Myśliwym — powiedział. — Czy wiesz, że kiedyś był u nas przez tydzień? Mieszkało nas wtedy kilku i czasami przyjmowaliśmy gości na leniwy weekend. Lecz Myśliwy nie był zaproszony; po prostu wpadł w odwiedziny. Przyjechał któregoś wieczora na koniu ze wszystkimi swymi psami. Wylądowali w wielkiej sali jadalnej, którą już poznałeś, gdzie akurat kończyliśmy dobrze przyrządzony posiłek. Psy wskoczyły na kredens i porwały półmisek kuropatwy, szynkę i garniec pieczonej sarniny. Klębiły się i walczyły po całej sali, wyrywając sobie najlepsze kąski, a myśmy siedzieli za stołem sparaliżowani brakiem ogłady intruza. Tymczasem Myśliwy chwycił małą baryłkę piwa, wyciągnął szpunt i podniósł nad głowę. Lał je wprost do gardła i przysięgam ci, że słyszałem bulgotanie piwa, które mu się wlewało do żołądka. Jednakże zdołaliśmy załagodzić nieporozumienie i spędziliśmy wesoły tydzień. Psy objadły nas doszczętnie, a Myśliwy doszczętnie nas opił. Lecz nie sprzeciwialiśmy się temu, bo Dziki uraczył nas rozmaitymi opowieściami, które później, po upływie całego roku, powtarzaliśmy sobie wzajemnie, smakując je na nowo.

— Widzę, że dobrze się bawiliście w dawnych czasach — zauważył Duncan, wypowiadając pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy.

— O, tak — przyznał czarodziej. — Zapytaj mnie o tę noc, kiedy zgraja pijanych hultajów przyprowadziła do nas demona. Zmęczony się nim i pragnąc się go pozbyć uznali za świetny dowcip dać go nam w prezencie. A przy okazji, poznaliście już demona, nieprawdaż?

— Tak, poznaliśmy...

— Ten nie jest jeszcze najgorszy, jak na demony — ciągnął Cuthbert. — Twierdzi, że nie ma w nim ani odrobiny złośliwości, i chociaż nie posunąłbym się aż do tego...

— Ekscelencjo — powiedziała łagodnie Diana. — Rozmawialiście o Hordzie Zła.

Cuthbert wydawał się cokolwiek zdziwiony.

— Co takiego? — spytał. — Rozmawialiśmy o Hordzie Zła?

— Myślę, że tak — odparł Duncan.

— Jak już mówiłem... — kontynuował czarodziej. — Tylko czy na pewno to mówiłem? Już zapomniałem. Jednym słowem sędzę, że większość ludzi nie ma pojęcia o życiu społeczności czarodziejów. Widocznie przyrównują zamek czarodzieja do klasztoru, gdzie w ciszy labiryntów doktrynalnej teologii snują się niepozorni zakonnicy i ściskają kurczowo w piersiach swe nędzne duszyczki, bojąc się odetchnąć ze strachu, że wciągną w płuca powiew herezji. Albo wyobrażają sobie taki zamek jako dom tysiąca ukrytych zapadni, pełen złowieszczych postaci w czarnych płaszczach i kapturach, które znikają za węglem albo czają się za fałdami okiennych kotar, gdzie na korytarzach gwizdzą złowieszcze wiatry, a z magicznych pracowni buchają wstrętne aromaty. Zamek czarodziejów rzecz jasna nie przypomina w niczym ani jednego, ani drugiego. Choć teraz panuje tu cisza z braku mieszkańców, niegdyś było to radosne miejsce, skore do żartów i rozkochane w śmiechu. Po pracy tworzyliśmy wesołą kompanię. Pracowaliśmy ciężko, to prawda, gdyż zadania, jakie sobie postawiliśmy, nie były łatwe, ale umieliśmy również spędzić razem wolne chwile. Złożony chorobą, mogę wymienić imiona starych druhów. Caewlin i Arthur, Aethelbert i Raedwald. Eadwine i Wulfert — wspominam ich wszystkich nadzwyczaj życzliwie, ale za Wulferta dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo choć spełniliśmy tylko swój obowiązek, mimo wszystko była to trudna i smutna decyzja. Wypędziliśmy go za bramę...

— Ekscelencjo, czyżbyś nie pamiętał, że Wulfert był moim krewniakiem? — wtrąciła Diana.

— Tak, tak — odparł. — Znowu zapomniałem i dalej miałem ozorem. Mam wrażenie, że ostatnio dużo zapominam. — Wskazał kciukiem na Dianę i rzekł do Duncana:

— To absolutna prawda. W jej żyłach płynie krew czarodzieja, a może już to wiesz. Niechybnie ci powiedziała.

— Owszem, powiedziała.

Czarodziej leżał cicho na poduszkach i wydawało się, że rozmowa dobiegła końca, ale znowu się poruszył i odezwał.

— Tak, Wulfert — powiedział. — Był dla mnie niczym brat. Lecz kiedy należało powziąć decyzję, stanąłem po stronie tamtych.

Zamilkł, po czym przemówił znowu.

— Arogancja. Tak, to była arogancja. Przeciwstawił się nam. Przeciwstawił swoją wiedzę i swoje rzemiosło naszej wiedzy i naszemu rzemiosłu. Powtarzaliśmy mu tyle razy, że traci czas, że jego talizman nie posiada mocy, a on zlekceważył nasze zdanie i naszą przyjaźń. Uparł się, że jego świecidełko posiada wielką moc. Mówił, że przemawia przez nas zazdrość. Traktowaliśmy go jak bracia, obdarzając wielką miłością. Ale nie chciał słuchać i uparcie sprzeciwiał się nam. Zgoda, talizman był pięknym cackiem, i to pod wieloma względami, gdyż Wulfert świetnie znał się na rzemiosle i arkanach sztuki, ale trzeba czegoś więcej niż piękna...

— Jesteś tego pewny? — spytała Diana.

— Moja droga, oczywiście, że jestem pewny. Jakaś pomniejsza moc, kto wie. Twierdził, że za pomocą tego głupiego talizmanu można sprzeciwić się Złu.

— Jak to się stało — spytała Diana — że nigdy wcześniej nie puściłeś o tym pary z ust? Wiedziałeś, że szukam wiadomości o Wulfercie, że miałam nadzieję na odnalezienie talizmanu?

— Po cóż miałem sprawiać ci ból? — spytał czarodziej — Nie powiedziałbym tego i teraz, ale skutek mej głupoty i słabości wyrwało mi się. Nie mówiłbym o tym z własnej woli, wiedziałem bowiem, jak bardzo byłaś oddana Wulfertowi. Albo jego pamięci. Ponieważ sądzę, że już nie żyje. Chyba wspominałaś mi o tym?

— Tak, od stu lat lub więcej. Znalazłam miejsce, w którym go pochowano. W wiosce po drugiej stronie gór. Ostatnie lata swego życia udawał człowieka świątobliwego, wieś byłaby go wypędziła, wiedząc, że jest czarodziejem.

Oczy starca zaszły mgłą. Po zniszczonym policzku spłynęła łza. Zamachał do nich ręką.

— Odejdźcie już — powiedział. — Idźcie sobie. Zostawcie mnie z moją zgryzotą.

Mam problem, powiedział do siebie Duncan, a fakt, że miał problem, bardzo go niepokoił. Nie powinien mieć tego rodzaju problemu — w jego naturze nie leżało postępowanie, które może rodzić takie problemy. Przez całe życie był szczerym i otwartym człowiekiem, wypowiadającym dokładnie to, co myśli, powstrzymującym się od kłamstwa, zawsze mówiącym prawdę. A to było gorsze niż zwykłe kłamstwo, to była nieuczciwość.

Amulet — a może talizman, gdyż tak nazywał go Cuthbert — nie należał do niego. Stanowił własność Diany, i każdym nerwem swego ciała Duncan słyszał krzyk sumienia, aby go jej oddać. Było to dzieło pradziada Diany i powinno do niej wrócić. On jednak nie wspomniał ani słowem, że ma go przy sobie, a ponadto skłonił resztę swojej kompanii do milczenia.

Cuthbert zaznaczył, że talizman nie posiadał mocy, a stworzenie go było błędem. A jednak Wulfert, pradziad Diany, wolał zgodzić się na wygnanie ze społeczności czarodziejów niż przyznać, że jego talizman nie ma bezwartości.

Jedynie z powodu dojmującego uczucia, graniczącego z pewnością, że w talizmanie tkwi naprawdę bardzo potężna moc, Duncan uznał, iż postąpił słusznie. Jeśli talizman posiada w ogóle jakąś moc i może zapewnić posiadaczowi choćby niewielką ochronę, to znaczy, że jemu jest bardziej potrzebny niż komukolwiek na świecie, powiedział do siebie. Nie jemu samemu, rzecz jasna, lecz manuskryptowi — bo manuskrypt stanowi sedno sprawy. Musi trafić do Oxenfordu i nie wolno pominąć niczego, absolutnie niczego, co może pomóc



w dostarczeniu go na miejsce.

Nie tylko w swoim interesie postępuje nieuczciwie on, który nigdy w życiu nie skłamał. W bibliotece Domu Standishów Jego Dostojność powiedział, że w manuskrypcie leży cała nadzieja ludzkości — bardzo możliwe, że już ostatnia. Jeśli to prawda, a Duncan nie miał wątpliwości, że to prawda, nieuczciwość stanowi znikomą cenę za dostarczenie manuskryptu tajemniczego kronikarza Jezusa do rąk biskupa Wise'a.

A jednak kłamstwo pozostawiało niesmak. Czuł się nim zbrukany. Godzien wzgardy i politowania, splugawiony oszustwem i przebiegłością, fałszem i podstępem.

Czym jest dobro? Kiedy zastanawiał się nad tym, granica między dobrem a złem rozmywała się i zacierała, a nigdy wcześniej nie doświadczył podobnego uczucia. Zawsze wiedział w jakiś sposób, instynktownie, nikt go tego nie uczył, czym jest dobro, a czym zło. Przedtem nic się nie rozmywało, nic się nie zacierało. Uświadomił sobie wszakże, że jego wcześniejsze decyzje dotyczyły zawsze prostych spraw, pozbawionych czynnika komplikującego. Tu jednak był czynnik komplikujący, którego w żaden sposób nie mógł wstawić w całość.

Duncan usiadł na najniższym stopniu wysokich kamiennych schodów, które prowadziły do wejścia do zamku. Rozciągała się przed nim zielona murawa, biegnąca od miejsca, gdzie siedział do długiego kręgu stojących kamieni, otaczających zamkowy park. Widać było kręte ścieżki i brukowane promenady. Gładkość zieleni przerywały kamienne ławki, sadzawki, tryskające wodą fontanny, porośnięte różami altanki, kwietniki, a także kępy krzewów i drzew rozmieszczonych gustownie na rozległej zielonej przestrzeni.

To piękne miejsce, myślał; odznaczające się nie tyle pięknem naturalnym, ile sztucznym. Zapewne nie jest dziełem ludzkich rąk jak inne zamkowe parki i ogrody, lecz wiedzy tajemnej istot zdolnych do wywoływania zjawisk nadprzyrodzonych.

Panowała tu cisza i spokój, jakich nie uznaliby za możliwe

w królestwie magii. A jednak popełniłbym błąd, gdybym tak myślał, rzekł do siebie, ponieważ czarodzieje nie muszą być ludźmi złymi, choć niektórzy poświęcili się złu, jeśli historia głosi prawdę. Zło przyciąga na ogół ludzi dysponujących ogromną mocą, co nie znaczy, że było im ono przyrodzone. Możliwe, że tylko drobny ułamek czarodziejów poświęcił się złu. Ich moc była ogromna dzięki posiadanej wiedzy i pewnie dlatego czarodzieje cieszą się taką złą sławą. Ogół gminu, masa prostych ludzi, patrzy podejrzliwie na ogromną moc i rozległą wiedzę, na wszystko, czego sama nie ogarnia rozumem, a wiedza czarodziejów przechodzi pojęcie reszty ludzkości.

W pobliżu kamiennych kolumn bawili się Conrad i Malutki. Conrad rzucał patyk, Malutki gonił za nim i przynosił w pysku Conradowi. Pies skakał i merdał ogonem, nie posiadając się z radości, bo rzadko miał okazję do zabawy, która nie pasowała jakoś do psa bojowego. Daniel i Piękna stali na uboczu i obserwowali psie igraszki. Duncan odnosił wrażenie, że koń spogląda na to z pogardą, jakby według niego tego rodzaju zachowanie było poniżej godności Malutkiego. Jednakże Pięknej wyraźnie to nie przeszkadzało. Od czasu do czasu skubała trawę, ale na ogół przyglądała się z wyraźnym zainteresowaniem. Gdyby Conrad rzucił patyk również do niej, myślał Duncan, na pewno pobiegłaby i przyniosła go z powrotem.

W pobliżu Daniela i Pięknej leżał na trawie Hubert, gryf Diany. Unosił wysoko orli łeb, długi bicz z ogona zawijał do połowy swego ciała, tak jak kot zwija ogon, układając się na ziemi. Odstające, zaokrąglone lwie biodra tworzyły brunatną plamę na tle zielonej murawy.

Duncan usłyszał za plecami delikatny dźwięk i odwrócił głowę. Po stopniach schodziła Diana, ale odmieniona Diana. Miała na sobie zwiewną suknię, spływającą od szyi do stóp i przepasaną w talii. Była wiosenno-zielonego koloru, jasnej zieleni pierwszych liści wierzby. Płomienne włosy dziewczyny zdawały się krzyczeć na tle bladej

delikatności tkaniny.

Duncan zerwał się na nogi.

— Milady, jesteś piękna — powiedział. — Piękna i czarująca.

Zaśmiała się lekko.

— Dziękuję, panie. Ciekawam, kto może pięknie wyglądać w spodniach z kozłej skóry?

— Nawet wtedy nie byłaś pozbawiona wdzięku. Ale teraz — po prostu brak mi słów.

— Nieczęsto mogę tak się ubrać i nieczęsto mam po temu okazję. Ale cóż innego mogłam zrobić, przyjmując w domu gości?

Usiadła na stopniu, Duncan usadowił się obok niej.

— Przyglądałem się zabawie Conrada i Malutkiego — powiedział.

— Stanowią zgraną parę — odparła. — Długo ich znasz?

— Conrada, odkąd byliśmy chłopcami. Jesteśmy nierozłączni. Malutkiego — od szczeniaka.

— Meg jest w kuchni — oświadczyła Diana. — Przyrządza świńskie nóżki z kiszoną kapustą. Mówi, że od lat nie najadła się nimi do syta. Jestem ciekawa, czy ją lubisz?

— Niezmiernie. A co z pustelnikiem? Nie widziałem go dzisiaj.

— Włóczy się po całym terenie. Staje, opiera się na kiju i patrzy nieruchomo przed siebie. Twój pustelnik to strapiony człowiek.

— Oszołomiony. Niepewny siebie. Targany mnóstwem wątpliwości. Nie potrafi zupełnie określić stanu swojej duszy. Starą się długo, najróżniejszymi sposobami, zostać świętym człowiekiem, a teraz jest rycerzem Pana, w tej zaś profesji nie czuje się najlepiej.

— Biedny — stwierdziła Diana. — Ma w sobie tyle dobra i nie potrafi tego okazać. A Cuthbert? Jak ci się podoba?

— Imponujący. Choć czasami ciężko go pojąć. Trudno za nim nadążyć.

— To zgrzybiały starzec.

Duncan przeszył ją badawczym spojrzeniem.

— Jesteś tego pewna?

— A ty nie? — odpowiedziała mu pytaniem. — Błyskotliwy umysł,

bystry i mądry, lecz już przytępiony czasem i chorobą. Nie nadąża za tokiem własnych myśli. Czasami zachowuje się irracjonalnie. Czuwam nad nim, aby nie zrobił sobie krzywdy.

— Faktycznie sprawia wrażenie, jakby coś go trapiło.

— Ostatni z długiego rodu, który ciągnął się przez stulecia. Wszyscy już odeszli prócz Cuthberta. Starali się podtrzymać wspólnotę, przyjmując nowicjuszy, ale nic z tego nie wychodziło. Pozostało niewielu wybitnych czarodziejów. Nie każdy może być czarodziejem. Trzeba wykazać zdolność do wchłonięcia ogromnych zasobów wiedzy tajemnej i do pracy z nią. A może coś więcej. Zmysł do magii. Szczególne usposobienie. Dziś mało kto na świecie posiada takie usposobienie.

— A ty?

Potrząsnęła głową.

— Kobietom rzadko udaje się opanować magię. Problem w usposobieniu, jak mi się zdaje. Kobieta ma innego rodzaju umysł, a do magii potrzebny jest raczej umysł mężczyzny. Umysł samca daje się uformować i zwrócić w innym kierunku. Próbowалам, oczywiście, a oni pozwalali mi próbować, bo choć musieli usunąć Wulferta, nie przestali go szanować, nawet będącego na wygnaniu. Wulfert był najznakomitszym czarodziejem z nich wszystkich. I aczkolwiek rozumiałam pewne pojęcia, potrafiłam wykonać niektóre drobne sztuki magiczne, ułożyć kilka prostszych manipulacji, nie miałam zacięcia do czarodziejstwa. Ukrywali to przede mną. W przyszłości na pewno by mi powiedzieli, ale nie zmusiłam ich do tego. Sama doszłam do wniosku, że mogę być najwyżej marną praktykantką czarodziejską. Na tym świecie nie ma miejsca dla nieudolnych praktykantów.

— Jesteś wszakże mieszkanką zamku czarodziejów.

— Przez uprzejmość — odparła. — Szczerą, płynącą z głębi serca uprzejmość. Ponieważ płynie we mnie krew Wulferta. Kiedy moi rodzice zmarli na zarazę, która szerzyła się w okolicy, Cuthbert opuścił zamek po raz pierwszy w życiu, i chyba jedyny, bo odtąd już

go nie opuszczał, i zaopiekował się mną jako potomkinią jego wielkiego, dobrego przyjaciela, który w owym czasie, teraz o tym wiem, od dawna nie żył. Ostatni z gromy czarodziejów wychował mnie tutaj, a ponieważ bardzo ich pokochałam, chciałam nauczyć się ich sztuki, ale nie udało mi się. O tym, że Cuthbert przyszedł po mnie i zabrał mnie do siebie, dowiedziałam się później, bo byłam za młoda, aby to pamiętać. Nie tylko mnie wychował, ale dał mi również starego Huberta, gryfa należącego kiedyś do Wulferta. Dziadek pozostawił go tutaj, gdyż nie mógł go zabrać ze sobą na wygnanie.

— Przyjdzie dzień, kiedy Cuthbert umrze — powiedział delikatnie Duncan. — Co będzie wtedy z tobą? Pozostaniesz tutaj?

— Sama nie wiem — odparła. — Rzadko o tym myślę. Staram się nie myśleć. Po śmierci Cuthberta będę tu osamotniona. Nie wiem, jak postąpię. Nie będę miała gdzie się podziać w świecie za murami zamku. Nie umiem się tam obracać, nie wiedziałabym, co robić, nie miałam okazji się tego nauczyć. I nie mogłabym długo ukrywać, że płynie we mnie krew czarodziejów. Boję się, że świat zewnętrzny zniechęci mnie, jeśli to wyjdzie na jaw.

— Świat potrafi być okrutny — rzekł Duncan. — Chciałbym móc ci powiedzieć, że nie jest, ale jest.

Pochyliła się ku niemu i pocałowała go szybko w policzek.

— Świat potrafi być miły — powiedziała. — Ty jesteś dla mnie miły. Poruszasz moje sprawy z życzliwą subtelnością.

— Dziękuję, milady — odrzekł poważnym tonem. — Dziękuję za twe słowa. A co do pocałunku — był uroczy.

— Kpisz ze mnie.

— Bynajmniej, Diano. To szczerza wdzięczność, tym większa, że nie zasłużyłem na niego.

Raptownie zmieniła temat.

— Cuthbert wyraził życzenie zobaczenia się z tobą — oznajmiła.

— Dobrze, byle prędko. Bawimy tu zbyt długo. Musimy ruszać dalej.

Zaprotestowała nieco wzburzona.

— Dlaczego tak nagle? Powinieneś wypocząć kilka dni. Wszyscy potrzebujecie wypoczynku. Przeżyliście trudne chwile.

— Zatrzymało nas wiele niepomyślnych okoliczności. Już od dawna powinniśmy być w Oxenfordzie.

— Oxenford może poczekać.

— Przykro mi, milady, ale obawiam się, że nie.

Zerwała się na nogi.

— Muszę iść do zamku i sprawdzić, co z Cuthbertem. Nie mogę zostawiać go tak długo.

— Pójdę z tobą — odrzekł. — Podobno chciał się ze mną zobaczyć.

— Nie teraz. Wezwę cię, kiedy będzie gotów.

## 23

Kiedy Duncan przeciął westybul, demon Mefisto zawołał do niego ze swego piedestału:

— Spieszysz się gdzieś, panie? — spytał. — Nie znalazłbyś może trochę czasu? Jeśli tak, okaż miłosierdzie i zatrzymaj się na chwilę, aby pogawędzić. Mimo wspaniałości kamienia i pełnego fantazji spiralnego ornamentu, mimo uniesionego i wywyższonego tronu, który dla mnie przewidziano, często godziny mi się dłużą.

Duncan zmienił kierunek i ruszył do słupa Mefista.

— Nie mam nic do roboty — powiedział. — Milady Diana poszła sprawdzić, jak się czuje czarodziej, a moi towarzysze podróży są najwyraźniej zajęci własnymi sprawami. Z przyjemnością poświęcę ci trochę czasu.

— No, to świetnie — ucieszył się demon. — Dwie osoby połączone wspólną myślą, w jaki sposób miło spędzić czas. Ale nie musisz tu stać i wyłamywać sobie karku od zadzierania głowy. Gdybyś pomógł mi zejść, moglibyśmy posiedzieć na tej kamiennej ławce parę kroków dalej. Mój łańcuch jest dość długi, bez kłopotu tam dosięgnie i zostanie jeszcze trochę luzu.

Duncan podszedł bliżej do kolumny i wyciągnął do góry rękę. Demon pochylił się do przodu, po czym Duncan chwycił go w pól i opuścił na dół.

— Gdyby nie ta moja szpotawa noga, dodatkowo obciążona łańcuchem, mógłbym z łatwością zejść samemu — powiedział Mefisto. — Prawdę mówiąc, często to robię, ale przychodzi mi to z trudem — Wyciągnął poskręcane ręce. — A to mi też nie pomaga.

Podeszli do ławki i usiedli obok siebie. Mefisto podniósł kaleką nogę, krzyżując kolana. Zarzucił kopytem z góry na dół i rozległ się brzęk łańcucha.

— Tłumaczyłem ci onegdaj, że nazywam się Mefisto — powiedział. — Zrazu Młody Mefistofeles, teraz po prostu Mefisto, ale zgoła nie Mefistofel, bo to jest zwulgaryzowane miano Jego Ekscelencji, który czuwa nad działaniem Instytucji Piekielnej. Skoro nadano mi to imię, to chyba muszę je nosić, ale nigdy go nie polubiłem. Nadaje się dla psa. No proszę, nawet gryf milady ma porządne imię, Hubert, dużo lepsze od Mefista. Tyle lat już tkwię na tym słupie, rozmyślając między innymi o imieniu, które mógłbym z przyjemnością nosić. Stosowniejszym, bardziej dostojnym, o miłszym brzmieniu. Przedfilowały przed moim umysłem setki imion. Nie spieszyłem się, bo mam czasu, ile dusza zapragnie. Przyglądałem się każdemu po kolei, obracałem w myślach na wszystkie strony, sprawdzałem pod każdym kątem, międlilem w ustach, aby uchwycić jego brzmienie i nastrój. Po tylu latach rozmyślań i oględzin wydaje mi się, że znalazłem wreszcie imię, które by mi odpowiadało. Idę o zakład, że nie zgadniesz.

— Nie mam pojęcia — powiedział Duncan. — Skąd mogę wiedzieć?

— Walter — oznajmił z tryumfem Mefisto. — Wspaniałe. Prawda? Brzmi tak mocno i potoczyście. Skończone w sobie i nie skurtyzowane. Chociaż wiem, że można je skrócić na Walt. Gdybym nosił takie imię, krzywiłbym się na jego skracanie. Nie jest to imię fikuśne. Nie ma w sobie krzykliwości. To solidne imię, uczciwe, w sam raz dla kogoś solidnego i uczciwego.

— A więc tak spędzasz czas — powiedział Duncan. — Na wymyślaniu sobie nowego imienia. Niezły sposób na zabijanie nudy.

— To nie wszystko, robię także inne rzeczy — rzekł Mefisto. — Często pogrążam się w marzeniach. Wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby wypadki potoczyły się inaczej. Gdybym odbył termin jako demon, zdołał spełnić oczekiwania, byłbym już starszym demonem



albo może nawet młodszym diabłem. Byłbym o wiele większy niż teraz, choć możliwe, że nie doszłoby do tak dużej zmiany wymiarów. Jak widzisz, pokurcz ze mnie. Zawsze byłem niepokąźny i kto wie, czy nie stąd wzięły się moje kłopoty. Może pokurcze są z góry skazane na porażkę, może nie wychodzi z nich nigdy nic dobrego? Ale wiedza o tym nie przeszkadza mi fantazjować. Oczyma wyobraźni widzę siebie jako starszego demona lub młodszego diabła z wydatnym brzuchem i kosmatym torsem, zanoszącego się wyjątkowo paskudnym śmiechem. Tego jednego nigdy nie umiałem się wyuczyć, tego straszego śmiechu, od którego ścina się krew w człowieku i cierpię jego dusza.

— Masz dość filozoficzne podejście do swego losu — rzekł Duncan. — Nie zgorzkniałeś. Wielu niższych od ciebie by zgorzkniało. A ty nie skamlesz o litość.

— Cóż by z tego przyszło, gdybym perorował, pieklił się albo skamlał? — spytał Mefisto. — Nikt mnie bardziej nie pokocha; zaiste, trudno mnie kochać mniej. Nikt nie kocha mazgaja. Ale po co ja mówię o miłości, skoro nikt mnie nie kocha? Kto mógłby pokochać demona? W niektórych mógłbym wzbudzić pewną litość, ale litość to nie miłość. Na ogół wszyscy śmieją się ze mnie — z mego krzywego ogona, ze szpotawej nogi, z wygiętego rogu. Śmiech zaś, mój panie, trudno znieść. Gdyby jedynie wzdragali się ze zgrozą na mój widok, a nawet ze wstrętem, byłbym bardziej zadowolony. Mógłbym z tym żyć.

— Ja nie śmiałem się z ciebie ani nie wzbudziłeś we mnie przesadnej litości — napomknął Duncan. — Ale nie powiem, abym cię pokochał.

— Wcale tego nie oczekuję — odparł Mefisto. — Nie ufałbym człowiekowi, który zwierzyłby się ze swej miłości do mnie. Szukałbym wówczas motywów.

— I słusznie byś zrobił. Skoro jednak nie obwieściłem miłości do ciebie i nie usiłuję przeto obarczyć cię długiem wobec mnie, czy mogę ci zadać szczere pytanie?

— Z przyjemnością go wysłucham.

— A zatem, co mi możesz powiedzieć o Hordzie Zła? Przypuszczam, że jako mieszkaniec tego zamku mogłeś dowiedzieć się czegoś o niej z rozmów czarodziejów.

— Trochę się dowiedziałem. Co cię interesuje? Przychodzi mi wszakże na myśl, że ty sam pewnie wiesz coś o niej osobiście. Ponoć ty i twoja kompania wymknęliście się im niedawno.

— Tylko niewielkiej grupie, głównie bezwłosym, choć byli też inni. Nie mam pojęcia, jak wielu ich było i ile rodzajów.

— Bezwłosi, jeśli dobrze rozumiem znaczenie tego słowa, to piechota z maczugami, straż przednia, harcownicy od wstępnej, brudnej roboty. W jakimś sensie nie są to ściśle istoty Zła. Składają się z samych kości i mięśni. Niewiele w nich magii, być może wcale.

— A reszta? Rozmawiałem z kimś, kto widział pozostałych. Przynajmniej tak twierdził. Wspominał o chochlikach i demonach — wątpię, czy miał rację. Używał takich nazw, jakie zna: powszechnych nazw dla zła. Podczas naszego starcia za murem uśmierciłem któregoś z pozostałych i Malutki zagryzł jednego. To nie były chochliki i demony. Nie wiem, kogośmy zabili.

— Masz całkowitą słuszność — powiedział Mefisto. — One nie są ani chochlikami, ani demonami. Chochliki i demony pochodzą z tego świata, a tamci nie. Wiesz przecież, że Horda przybyła z gwiazd.

— Tak się mówi.

— To nasienie innych padołów, innych światów, które, podejrzewam, nie przypominają naszego. Nie trzeba więc chyba dodawać, że rozsiewane przez nich Zło nie przypomina ziemskiego. Pojawiają się w niepojętych kształtach i postaciach. Sama ich obcość wystarcza, aby zmrozić ludziom krew w sercu. Ich zwyczaje, motywy i formy działania także nie przystają, jak sądzę, do zwyczajów, motywów i metod zła na Ziemi. Występując przeciw nim, walczysz z istotami, o których nie masz pojęcia, których w żaden sposób nie mógłbyś sobie wyobrazić.

— Ktoś mi powiedział, że to w ogóle nie jest horda — rzekł

Duncan. — Że w rzeczywistości stanowią rój. Co to może znaczyć?

— Naprawdę nie wiem. Musisz zrozumieć, że w gruncie rzeczy nie znam się na nich. Powtarzam to, co mi wpadło w uszy.

— Zdaję sobie sprawę. Ale wracajmy do roju. Zanim usłyszałem, że są bardziej rojem niż hordą, rozmawiałem z pewnym zacnym bartnikiem, który w pewnej chwili wspomniał o rojeniu się pszczół. Czy może to być coś podobnego?

— Jest jedna sprawa — rzekł Mefisto. — Choć muszę przyznać, że usłyszałem o tym niechcący w czasie cudzej krótkiej rozmowy. To się może ewentualnie łączyć z rojeniem, o którym mówisz.

— Mów dalej, proszę. Co usłyszałeś?

— W okresach, kiedy Horda zajmuje się pustoszeniem ziemi, tak jak spustoszyła północną Brytanię, członkowie Hordy mają niekiedy skłonność do gromadzenia się w jednym miejscu, do tworzenia czegoś w rodzaju żywej masy. Kto wie, czy nie na podobieństwo roju pszczół. Rozmówców, którzy wywnioskowali to na podstawie kilku pojedynczych i bardzo odosobnionych obserwacji, niezwykle to intrygowało. Wygląda na to, że w przerwach między pustoszeniami indywidualni członkowie Hordy działają sami albo w małych grupkach, a tylko nieliczni zespołowo. Dopiero kiedy mają przystąpić do pustoszenia, gromadzą się — tak przynajmniej twierdzą obserwatorzy — w ogromny rój...

— Zaraz, chwileczkę — przerwał mu Duncan. — Chyba mógłbym to wyjaśnić. Pewien uczony człowiek powiedział mi niedawno, że Horda pustoszy ziemię dla oczyszczenia przedpola, by móc spokojnie zaangażować się w proces odnowy, czegoś w rodzaju rekolekcji, jakie przeprowadzają czasami ojcowie Kościoła. Czy sądzisz...

— Wiesz, być może trafiłeś w sedno — rzekł z przejęciem Mefisto. — Nigdy nie słyszałem o ich rytuałach odmłodzeniowych. Ale to może być to. Gromadzenie się całej wspólnoty Zła, bliska styczność, osobisty kontakt, jeden do jednego. Z tego kontaktu mogą czerpać nieznaną siłę i odnawiać się. Jak uważasz? Moim zdaniem, to brzmi rozsądnie.

— Taki był mój wniosek. Cieszę się, że go podzielasz.

— To może wyjaśniać rojenie.

— Chyba tak. Chociaż jest tyle czynników, tyle spraw, których nie pojmujemy i chyba nigdy nie pojmiemy — rzekł Duncan.

— Masz rację — stwierdził Mefisto. — Ale to tylko hipoteza, punkt wyjściowy do dalszych badań. Rozmawiałeś z Cuthbertem. Co miał do powiedzenia w tej sprawie?

— Nie mówiliśmy o rojeniu. Wówczas nie wiedziałem o tym, a on jeśli wiedział, to się z tym nie zdradził. Poruszyłem teorię odmładzania, ale chyba mało o tym myślał. Stwierdził, że Horda czegoś się boi, że być może gromadzi się po to, by ruszyć przeciw temu, ale coś miesza jej szyki. Powiedz, Mefisto, gdybyś musiał zająć stanowisko w tej sprawie, gdybyś nie mógł tego uniknąć, kogo byś wybrał?

Demon zakołysał kopytem brzęcząc ogniwami łańcucha.

— Może cię to zdziwi — odparł — ale zmuszony do zajęcia stanowiska sprzymierzyłbym się z wami, ludźmi. Moje dziedzictwo może być złe, ale to ludzkie zło, lub przynajmniej ziemskiego pochodzenia. Nie zniósłbym przystania do obcego zła. Nie znam ich, a oni nie znają mnie, i czułbym się wśród nich nieswojo. Zło to zło, ale są różne rodzaje zła i nie wszystkie do siebie pasują.

Na stopniach rozległy się kroki. Ktoś schodził z balkonu do westybulu i Duncan rozejrzał się dookoła. Odziana w zieloną suknię Diana zdawała się płynąć nad schodami. Jedyne stuk sandałów świadczył o tym, stawiała kroki.

Duncan wstał, Mefisto także wygramolił się z ławki i stanął sztywno obok niego.

— Mefisto? — spytała. — Co robisz poza słupem?

— Milady, to ja go poprosiłem, aby zszedł i posiedział ze mną — rzekł Duncan. — Tak było mi wygodniej. Nie musiałem stać i zadzierać głowy, aby na niego patrzeć.

— Dokuczał ci?

— Ależ skąd. Odbyliśmy sympatyczną pogawędkę.

— Chyba lepiej będzie, jak wrócę na słup — powiedział Mefisto.

— Chwileczkę — rzekł Duncan. — Pomogę ci.

Sięgnął w dół i podparł demona. Mefisto zdołał się uchwycić kolumny kalekimi rękami i wdrapał się na górę.

— Miło mi było porozmawiać z tobą — powiedział Duncan. — Dziękuję za poświęcenie mi czasu.

— To nader łaskawe z twojej strony, panie. Porozmawiamy jeszcze?

— Z całą pewnością — odparł Duncan.

Demon skulił się na słupie, a Duncan odwrócił się do Diany. Stała w wejściu i czekała na niego.

— Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy przejść się po parku. Oprowadzę cię.

— Będę zachwycony — odrzekł. — To bardzo miło z twojej strony.

Podał jej ramię i zeszli po schodach obok siebie.

— Jak się czuje Cuthbert? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Gorzej niż wczoraj. Martwię się o niego. Wydaje się taki nierozsądny. Teraz śpi. Czekałam z zejściem na dół, dopóki nie zaśnie.

— Czy moja wizyta u niego mogła...

— Nic a nic. Trawi go choroba i z każdym dniem się pogłębia. Od czasu do czasu przychodzi dobry dzień, ale już coraz rzadziej. Najwyraźniej nie jest sobą, odkąd wyjechałam na poszukiwania Wulferta. Chyba nie powinnam była go opuszczać; zapewniał mnie jednak, że nic mu nie będzie, że poradzi sobie beze mnie.

— Musisz go bardzo kochać.

— Pamiętaj, że jest dla mnie jak ojciec. Od czasu, kiedy byłam małą dziewczynką. Stanowimy rodzinę.

Dotarli do podnóża schodów i skręcili w lewo na ścieżkę, która prowadziła na tyły zamkowego parku. Trawnik biegł w dół prawie do samej rzeki, ogrodzony kamienną kolumnadą.

— Myślisz pewnie — powiedziała — że jestem niedobra dla Mefista.

— Czasami odnoszę takie wrażenie. Ma chyba prawo zejść ze swego słupa i posiedzieć na ławce.

— Tylko że on jest okropnie dokuczliwy. Obecnie rzadko przyjmujemy gości, dawniej jednak zamek odwiedzało wielu, a on zawsze wszystkim dokuczał dla zabicia czasu. Wiercił im dziurę w brzuchu, byle ich tylko zająć swoim głupim trajkotaniem. Cuthbert uważał, inni chyba też, że Mefisto jest kłopotliwy.

— Mogę to sobie wyobrazić — odrzekł Duncan — ale on naprawdę jest nieszkodliwy. Nie znam się na demonach, rzecz jasna, więc nie mogę...

— Duncanie...

— Tak?

— Przerwijmy tę niemądrą rozmowę. Muszę ci coś wyznać, i jeśli teraz tego nie powiem, już nigdy nie będę miała dość siły, aby to zrobić.

Przystanęła na zakręcie ścieżki przed dużą kępą brzoź i sosen. Duncan przeszedł na drugą stronę Diany, aby stanąć naprzeciw niej, i spostrzegł, że ma twarz białą i ściągniętą.

— Niemożliwe, aby było aż tak źle — powiedział zaskoczony jej wyglądem.

— Niestety, możliwe — odparła zwięźle. — Pamiętasz, jak mniej więcej godzinę temu oświadczyłeś, że musisz wkrótce iść, a ja powiedziałam, że nie ma pośpiechu, że powinieneś zostać chwilę i wypocząć?

— Tak, pamiętam.

— Powinnam ci była wtedy powiedzieć. Ale nie mogłam. Po prostu nie byłam w stanie tego wymówić. Musiałam wyjść dla nabrania odwagi.

Otworzył usta, aby się odezwać, lecz Diana uniosła dłoń i powstrzymała go.

— Nie mogę zwlekać — powiedziała. — Nie wiadomo, czy jeszcze będziemy mieli okazję do rozmowy. Muszę ci powiedzieć teraz. Duncanie, chodzi o to, że nie możecie opuścić zamku.

Stał jak otępiały na ścieżce, słowa Diany nie docierały do niego, nie chciały dotrzeć.

— Ależ to niemożliwe — powiedział. — Ja nie...

— Nie potrafię wyrazić tego jaśniej. W żaden sposób nie możecie opuścić zamku. Nikt nie może wam pomóc. To część czaru. Nie można go przełamać...

— Przecież mówiłaś, że mieliście gości. A ty sama...

— Do tego potrzebna jest magia — odpowiedziała. — Własna, osobista magia, a nie cudza. Znajomość wiedzy tajemnej, którą posiadało się osobiście. Goście dysponowali tego rodzaju wiedzą, tego rodzaju magią. Dzięki temu mogli udawać się tam, gdzie inni nie mogli. Ja sama mam trochę takiej wiedzy, a również specjalną dyspensę...

— To znaczy, że skoro nikt z nas nie posiada owej wiedzy...

Skinęła głową, jej oczy były pełne łez.

— Nie możesz nam pomóc? Czarodziej nie może nam pomóc?

— Nikt. To musi być twój własny dar.

Nagle rozgorzał w nim gniew, pozbawiając go zdrowego rozsądku.

— A niech to wszyscy diabli! — krzyknął. — Dlaczego kazałaś nam uciekać do zamku? Wiedziałaś, co się stanie. Wiedziałaś, że wpadniemy w potrzask. Wiedziałaś...

Urwał w pół zdania, gdyż zwątpił, czy go słucha. Łkała żałośnie ze spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Po prostu stała całkiem osamotniona i zanosila się płaczem.

Uniosła zrozpaczoną twarz i patrząc Duncanowi prosto w oczy kuliła się przed nim ze strachu.

— Byłbyś zginął — odparła. — Zrobiliśmy wyrwę w szeregach Oprawców, ale w każdej chwili mogli wrócić. To była tylko chwilowa przerwa w bitwie. Wróciliby i wytlukli was, jak dzikie bestie.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Rozumiesz? — spytała. — No, zrozum wreszcie!

Zrobiła krok w jego stronę. Duncan objął ją i mocno przytulił do siebie. Oparła głowę na jego piersi, łkając spazmatycznie. Ciało jej trzęsło się od szlochów.

Powiedziała stłumionym głosem:

— Nie mogłam spać w nocy. Leżałam i rozmyślałam. Zastanawiałam się, w jaki sposób mam to zrobić, jak mam ci powiedzieć. Chciałam prosić Cuthberta, aby ci powiedział. Ale to nie byłoby w porządku. To moja wina, więc to ja powinnam ci powiedzieć. I już powiedziałam... już powiedziałam...



## 24

Kiedy Duncan skończył mówić, siedzieli przez jakiś czas w milczeniu — nie tyle wstrząśnięci wiadomością, ile obezwładnieni.

Pierwsza odezwała się Meg, próbując rzucić na to weselsze światło.

— No, sama nie wiem — powiedziała. — Nie jest tak źle. Istnieją dużo gorsze miejsca dla takiej starej baby jak ja na dokonanie żywota.

Pominęli to milczeniem. Wreszcie Conrad poruszył się na miejscu i rzekł:

— Mówisz, że musi się znać jakieś arkana sztuki tajemnej. Czy są szanse, abyśmy posiadli tę wiedzę?

— Raczej małe — odparł Duncan. — Obawiam się, że musiałyby być ona szczegółowa i specyficzna, oparta zapewne na jeszcze na innej wiedzy. Nie wszyscy mogliśmy osiąść odpowiednie umiejętności, być może nikt. Kto miałby nas nauczyć? Cuthbert jest stary i leży na łożu śmierci. Wiedza Diany nie wystarczy. Sądzę, że to wcale nie wiedza tajemna pozwala jej wchodzić i wychodzić z zamku, tylko specjalna dyspensa.

— Chyba masz rację — powiedział Conrad. — Tak czy owak, to trwałoby zbyt długo. Nie mamy tyle czasu.

— Nie, nie mamy — przyznał Duncan. — Dwóch umierających — jeden tutaj, a drugi w Oxenfordzie.

— A co z Malutkim? Co z Danielem i Piękną? Ich nie da się nauczyć sztuki tajemnej. Choćbyśmy zdołali wyjść, nie możemy ich zostawić. Należą do naszej grupy.

— Prawdopodobnie moglibyśmy je zabrać — rzekł Duncan. — Nie wiem. Jest gryf Diany; może wchodzić i wychodzić. Na pewno nie zna

sztuki.

— Skoro nikt z nas nie może się tego nauczyć, pozostają księgi — odezwał się Andrew. — Dziś rano znalazłem bibliotekę. Wielki pokój i krocie ksiąg.

— Nie ma czasu — sprzeciwił się Duncan. — Trzeba by przesiał sterty zwojów i moglibyśmy nie rozpoznać poszukiwanych wersetów, nawet je znalazłszy. I nie mamy nikogo, kto mógłby pełnić rolę przewodnika w naszych badaniach. Pojawiłby się także problem języka. Obawiam się, że wiele ksiąg zostało napisanych starożytnymi językami, mało dzisiaj znanymi.

— Dla mnie, dla mnie osobiście — oznajmił pustelnik — taki obrót spraw nie stanowi wielkiej tragedii. Gdyby nie inne względy, chętnie bym tu osiadł na stałe. To przyjemne miejsce i mogę kontynuować swoje powołanie równie dobrze tutaj jak gdzie indziej. Ale dla was najważniejszą sprawą jest dotarcie do Oxenfordu.

Conrad uderzył maczugą o ziemię.

— Musimy dostać się do Oxenfordu. Musi być jakiś sposób. Co do mnie, nie zrezygnuję i nie zgadzam się, że nie ma sposobu.

— Ani ja — rzekł Duncan.

— Miałem przeczucie katastrofy — powiedział Andrew. — Jeżeli nie tego, to jakiegoś innego nieszczęścia. Kiedy ujrzałem ptaki i motyla...

— Co u licha mają z tym wspólnego ptaki i motyle? — spytał Duncan.

— W lesie. W puszczy tuż za stojącymi kamieniami. Na gałęziach siedziały zeszywniałe ptaki, nieruchome, zupełnie jak martwe, ale widać było, że tli się w nich życie. A na strąku mlecza przycupnął motyl, mały żółty motylek. Znieruchomiały, zastygły. Wiecie, jak siedzą motyle, bardzo wolno unoszą i opuszczają skrzydła, tylko troszkę, wprawiają je w niewielki ruch. Ten nie poruszał się w ogóle. Patrzyłem przez dłuższą chwilę i nie poruszył się. Zdawało mi się, że widzę na nim, choć nie mogłem być tego pewny, cienką warstwę pyłu. Jak gdyby siedział tak przez dłuższy czas i pokrył się kurzem.

Uważam, że las też należy do czaru, że czas się tam zatrzymał, pomijając ludzi — i Huberta. Wszystko inne wyglądało identycznie jak w dniu, kiedy wskutek magii powstał zamek.

— Zatrzymanie czasu — rzekł Duncan. — Tak, to może być to. Zamek jest zupełnie nowy, tak samo jak kamienny krąg. Noszą świeże ślady dłuta, jakby je dopiero wczoraj wyrzeźbiono.

— Ale od zewnątrz, w świecie, który opuściliśmy, aby wejść do tego świata, zamek leży w gruzach, mury się zawaliły. Powiedz, milordzie, co się dzieje, twoim zdaniem?

— To czar — powiedziała Meg. — Bardzo potężny czar.

— Już kiedyś zwalczyliśmy czar — podjął Conrad. — Przewyciężyliśmy czar, który nas zaatakował, gdy stanęliśmy nad skrajem bagna.

— To był jakiś słaby urok — stwierdziła Meg. — Rzucony tylko po to, aby zepchnąć nas z właściwego szlaku. Nie tak dobrze skonstruowany czar, z jakim mamy niewątpliwie do czynienia teraz.

Duncan wiedział, że ma rację. Mimo przemknięcia przez cmentarz, mimo brawury Conrada, mimo wielkiej pewności siebie, którą każdy z nich okazywał na użytek drugiego, mieli do czynienia z czarem, którego nie będą w stanie przełamać.

Siedzieli skuleni w jednym rzędzie u podnóża stopni, które wiodły w dół z zamkowego wejścia. Przed nimi rozciągał się miarowy aksamit trawnika. Daniel i Piękna były na nogach w parku, obok kręgu kamieni, napełniając brzuchy soczystą trawą. Gryf Hubert leżał w tym samym miejscu, co rano. Zesztywniały z wiekiem, rzadko spacerował.

— Gdzie Malutki? — spytał Duncan.

— Widziałem go ostatnio, jak wygrzebywał mysz z nory — odrzekł Conrad. — Musi być gdzieś w pobliżu.

A więc wpadliśmy w piękną pułapkę na myszy, powiedział Duncan do siebie. W ten sposób manuskrypt nie tylko nie dotrze nigdy do Oxenfordu, ale również będzie stracony dla ludzkości. Zostaną dwie kopie sporządzone w skrytorioium Opactwa.

Mój ojciec w Domu Standishów oraz Jego Dostojność będą czekać

na wiadomość o mnie i Conradzie, a wiadomość nie nadejdzie; wiadomość nie nadejdzie nigdy. Udali się do Spustoszonej Krainy i ślad po nich zaginął. Choć jest niewielka szansa, że uda się wiadomość przekazać. Diana mogłaby wydostać się i powrócić. Przynajmniej ona może, jeśli zechce, dostarczyć wiadomość do Domu Standishów, a także manuskrypt. Może jeszcze nie jest za późno, aby ktoś inny dotarł z nim do Oxenfordu. Nie przez Spustoszoną Krainę, bo ta droga okazała się zbyt niebezpieczna i szanse na jej przebycie są nikłe. Mimo piratów można go jednak zawieźć statkiem. Może jest jeszcze czas, by zebrać flotyllę okrętów wojennych obsadzonych zbrojnymi i przebić się przez pirackie bandy.

— Milordzie? — odezwał się Conrad.

— Tak, o co chodzi?

— To delikatna sprawa.

— Między tobą a mną nie ma delikatnych spraw. No, słucham. Mów, co cię trapi.

— Horda stara się zapobiec naszemu dotarciu do Oxenfordu — rzekł Conrad. — No, niekoniecznie do Oxenfordu — może po prostu nie chce, abyśmy dotarli gdziekolwiek. Stara się nas zatrzymać na każdym kroku. A teraz chyba jesteśmy zablokowani na dobre. Nie będziemy już im sprawiać kłopotu.

— Święte słowa. Ale o co chodzi?

— O milady Dianę.

— Co z nią?

— Kto wie, czy nie jest po ich stronie. Może to tylko sprytna sztuczka?

Duncan poczerwieniał ze złości. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

— Chyba nie — odparł szybko Andrew. — Moim zdaniem, to wykluczone. Dwa razy pomogła nam w walce. Nie zrobiłaby tego, będąc z nimi sprzymierzona.

— Przypuszczalnie masz rację — stwierdził Conrad. — Rzecz w tym, iż musimy rozważyć wszelkie ewentualności.

W ciszy, jaka zapadła, Duncan jeszcze raz wrócił pamięcią do swego na poły sformułowanego pomysłu, by dało się dostarczyć manuskrypt inną trasą. Wiedział, że to się nie uda. Diana niewątpliwie mogłaby go zanieść do Domu Standishów i zawiadomić ojca o ich losie, ale mało prawdopodobne, by można dostarczyć manuskrypt do Oxenfordu morzem. Ojciec i arcybiskup rozważyli dokładnie taką możliwość i najwidoczniej uznali ją za nierealną. Ojciec zapewne zdecyduje się podjąć nową próbę drogą lądową i wyśle niewielką grupę zbrojnych, ale takie przedsięwzięcie miałoby znikome szanse, myślał Duncan. Co najmniej trzydziestoosobowa banda Harolda została z łatwością rozbita w pył. Był przekonany, że jego mała grupka zdołała dotrzeć tak daleko tylko dzięki opiece talizmanu.

Zaraz, zaraz, rzekł do siebie. Skoro Diana może zanieść manuskrypt do Domu Standishów, to równie łatwo może go zanieść do Oxenfordu. Dotarłszy na miejsce mogłaby go osobiście wręczyć biskupowi, a także poczekać na odpowiedź.

Uzmysłowił sobie jednak, że żadna z tych możliwości nie wchodzi w rachubę. Wiedział, że puścił wodze fantazji w rozpaczliwej próbie znalezienia wyjścia z tragicznego położenia.

Nie mógłby oddać manuskryptu Dianie... ani chyba nikomu innemu. Nie mógłby go oddać osobie, do której nie ma zaufania, a komu tutaj może ufać poza Conradem? Diana zwabiła go i jego kompanię do tego zaczarowanego kręgu. Teraz mówi, że jej przykro, a przy okazji nawet płacze. Lecz o wyrazy żalu nietrudno, tak samo jak o łzy.

Nie koniec na tym. Manuskrypt oddano pod opiekę jemu i nie wolno tego zmieniać. Na nim spoczywa wyłączna odpowiedzialność za tych kilka zwojów pergaminu, to był święty obowiązek, którego nie mógł z nikim dzielić. W szale poszukiwań wyjścia z matni zapomniał na chwilę o świętej przysiędze, którą złożył bez zastrzeżeń, przyjmując manuskrypt z rąk Jego Dostojności.

— Jeszcze jedno — rzekł Conrad. — Czy nie mógłby nam pomóc demon? Może ma w zanadrzu jedną albo dwie sztuczki. Gdybyśmy się

do niego zwrócili, gdybyśmy w zamian zaproponowali mu uwolnienie, gdybyśmy zdołali...

— Nie będę się układał z demonami — rzucił oschle pustelnik. — Mefisto to ohydny potwór.

— Moim zdaniem to zacny gość — powiedział Duncan.

— Nie wolno mu ufać — odparł Andrew. — Wykiwa nas.

— Mówiłeś, że Nochalowi też nie wolno ufać — przypomniał mu Conrad. — A gdybyśmy go posłuchali, nie byłoby nas tutaj. Ostrzegał nas przed zamkiem. Zabronił nam zbliżyć się do niego.

— Róbcie, co chcecie, ale mnie z tego wyłączcie — jęknął pustelnik. — Nie będę frymarczył z demonem z piekła.

— Może zna sposób, aby nam pomóc.

— Nie za darmo. Zapamiętaj moje słowa, będzie cena do zapłacenia.

— Mogę ją zapłacić.

— Nie taką, której zażąda — powiedział Andrew.

Nic z tego, pomyślał Duncan. Jeśli nawet Mefisto jest zacnym gościem — czego nie mogli być pewni — nie zdoła im pomóc. Ani nikt inny. Gdyby mogła, Diana otworzyłaby im ścieżkę. A skoro ona nie może, nikomu innemu też się to nie uda. Jeśli tego rodzaju czar ma mieć jakąkolwiek wartość, musi być niezawodny i odporny na manipulacje przez osoby postronne.

Mimo całego fantazjowania, pogrążania się w pobożnych życzeniach, sprawa była już zamknięta, wyprawa zakończona. Nie zdołają opuścić zamku, manuskrypt nie dotrze do Oxenfordu. Ostatnia nadzieja ludzkości, jak go określił Jego Dostojność, już zagasła. Podniósł się gwałtownie i ruszył w górę po schodach.

— Dokąd idziesz, milordzie? — spytał Conrad.

Duncan nic nie odpowiedział, bo odpowiedzi nie było. Nie miał pojęcia, dokąd mógłby iść ani w jakim celu. Nie kierowała nim żadna intencja. Było to tak, jakby jego z umysłu ulotniły się wszelkie myśli. Wiedział tylko jedno: musi się jakoś stąd wydostać, lecz nie pamiętał skąd. A jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie zdoła się wydostać

znikąd.

Wlókł się dalej schodami do góry.

Dotarł niemal do sieni, kiedy rozległ się krzyk — żałosny lament śmiertelnej trwogi, po trosze pisk, po trosze wycie, jakie mogłaby wydawać dusza potępiona, przeplatane jękiem panicznego przerażenia. Stał przygwożdżony w miejscu, sparaliżowany i osłupiały, zdjęty grozą, którą budziły wrzaski.

Krzyk dochodził z wnętrza zamku. Duncan w pierwszej chwili pomyślał o Dianie. Ale to nie Diana, uświadomił sobie; głos był zbyt gardłowy, zbyt niski jak na kobietę. Cuthbert, rzekł do siebie — to na pewno czarodziej.

Z nadludzkim wysiłkiem zerwał okowy grozy, które go przykuły do schodów. Zmusił swe nogi do marszu i ruszył skokami na górę. Gdy przekroczył próg i wpadł do zamkowego westybulu, przekonał się, że to Cuthbert. Starzec biegł po balkonie ponad westybulem. Miał na sobie długą, białą koszulę nocną z falbankami wokół szyi i nadgarstków oraz jaskrawoczerwoną szlafmycę na bakier. Trzymał ręce wysoko nad głową, jakby je podniósł w odruchu przerażenia. Twarz miał tak wykrzywioną, że ledwo przypominała ludzką. Z usianych białymi plamami, pienistych ust czarodzieja wypływał potok wrzasków i pisków. Nagle, w połowie kolejnego krzyku, podbiegł do okalającej balkon balustrady i zawirował w powietrzu. Kręcił młynki między sufitem a podłogą, a jego wrzaski zamieniły się w przeciągły skowyt, który ustał dopiero wtedy, jak czarodziej uderzył o podłogę. Leżał nieruchomo — skulona, pomarszczona sylwetka w bieli podkreślonej purpurą czepka.

Duncan ruszył naprzód, ujrzawszy kątem oka Dianę. Miała na sobie tę samą zwiewną, zieloną suknię i zbiegała po schodach z balkonu.

Przypadł do Cuthberta i klęknął na oba kolana obok niego. Wyciągnął ręce, chcąc podnieść ciało, ale zatrzymał się na widok strumienia krwi, który płynął spod roztrzaskanej głowy po gładkich, kamiennych płytach. Jeszcze raz sięgnął rękami i wolnym ruchem

lekko obrócił ciało. Przyjrzał się głowie i twarzy, po czym puścił je, by wróciło do poprzedniej pozycji.

Diana podbiegła do czarodzieja. Duncan zerwał się na nogi, odgradzając ją od ciała. Pochwycił dziewczynę w ramiona i trzymał, a ona biła go pięściami po ramionach.

— Nie patrz! — rzucił ostro. — Nie masz po co patrzeć.

— Ale Cuthbert...

— Nie żyje.

Usłyszał w górze jakieś skrzypienie. Podniósł wzrok i zobaczył, że część balkonowej balustrady chwieje się, po czym zaczyna się walić. Na podłodze rozprysnęły się zwały kamiennego gruzu, a z wnętrzości zamku dał się słyszeć daleki pomruk. Następnie jeden z filarów, które stały wzdłuż ściany westybulu wiążąc go z balkonem, z gracją oderwał się od ściany i przewrócił, bez pośpiechu, powoli, zakreślając wytworny łuk, jak gdyby poczuł zmęczenie i kładł się na spoczynek. Zwalił się na podłogę z furją, mimo swej gracji, i rozpadł na kawałki tryskając naokoło odłamkami muru.

— Chodźmy stąd! — ryknął Conrad. — Ten przeklęty zamek zaczyna się walić.

Z czeluści zamku dobiegał jęk naprężanych i przesuwających się murów, akcentowany hukiem niewidocznych upadków. Od ścian westybulu oddzielały się kamienne bloki, a cały westybul się zaczął się skręcać i dygotać.

— Milordzie! — zawołał Conrad. — Milordzie, prędeż, na miłość boską!

Duncan ruszył z miejsca niczym we śnie, kierując się w stronę wyjścia i ciągnąc ze sobą Dianę. Za jego plecami rozlegał się ogłuszający grzmot walących się murów. Meg śmignęła na schody, tuż za nią biegł Andrew. Conrad pędził w kierunku Duncana z zamiarem chwycenia go i przynaglenia do ucieczki w bezpieczne miejsce.

Raptem w westybulu rozszedł się wrzaskliwy głos.

— Ratunku! — wrzeszczał. — Nie zostawiajcie mnie tutaj.

Nie wypuszczając Diany z rąk, Duncan obrócił się błyskawicznie,



aby sprawdzić, skąd dochodzi wrzask.

Demon Mefisto skoczył z postumentu i stał na podłodze, zwracając ku nim plecy. Trzymał ręce na łańcuchu i odchylając się do tyłu, wbijając pięty w posadzkę, szarpał ze wszystkich sił żelaznymi okowami i próbował je wyrwać z muru.

Duncan lekko popchnął Dianę w stronę wyjścia.

— Uciekaj! — krzyknął. — Nie oglądaj się do tyłu, po prostu biegnij.

Rzucił się do demona i łańcucha, lecz Conrad zjawił się tam pierwszy. Odsunął demona na bok, owinął dłonie łańcuchem i cofnął się na piętach, rzucając ciężar swego masywnego ciała przeciwko uchwytowi wbitemu w słup. Ogniwa zadźwięczały i jęknęły od siły, którą włożył w ich naprężenie. Lecz uchwyt nie puścił. Duncan również chwycił za łańcuch.

— Teraz! — zawołał. We dwóch rzucali całą swoją siłę przeciw skoblom, ale wszystko na próżno.

— Nic z tego — wysapał Conrad. — Nie damy rady go wyrwać.

— Ciągnij mocno. Nie popuszczaj — rzekł Duncan. Przeszedł na około Conrada i ustawił między nim a okuciem. Wyciągnął miecz, uniósł wysoko nad głowę, po czym z całej siły ciął w łańcuch. Uderzając w żelazo ostrze wysłało snop iskier, ale ześlizgnęło się po łańcuchu i ogniwa wytrzymały. Duncan uderzył ponownie, znowu poleciały iskry, ale łańcuch wciąż pozostawał nie naruszony.

Jedna ściana holu leżała w gruzach, z sufitu odpadały kawałki muru koziołkując na płytach posadzki. W powietrzu unosił się pył, a podłoga pokrywała się rumowiskiem kamieni. W każdej chwili cała budowla mogła im się zwalić na głowę.

— Zostaw ten przeklęty łańcuch — jęknął demon. — Tnij kopyto, inaczej mnie stąd nie uwolnisz.

Conrad chrząknął na Duncana:

— Ma rację — powiedział. — To jedyny sposób. Utnij to przeklęte kopyto.

Duncan obrócił się do tyłu i przykucnął za Conradem.

— Kładź się! — krzyknął na Mefista. — Podnieś kopyto i nadstaw je, abym mógł odciąć.

Demon wyciągnął się na podłodze i uniósł szpotawą nogę. Duncan zamierzył się mieczem. W tym momencie ktoś go potrząsnął za ramię. Spostrzegł pustelnika.

— Odejdź! — krzyknął na Andrew. — Zrób miejsce.

Lecz Andrew nie odsunął się. Uniesioną nad głową laską wziął straszliwy zamach i spuścił ją na dół. Trafił w naprężony łańcuch, a żelazne ogniwa rozpadły się od uderzenia, opluwając podłogę drobnymi wiórami metalu.

Nie wypuszczając kija z prawej ręki Andrew sięgnął w dół lewą, chwycił Mefista za ramię, po czym rzucił się w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą wolnego demona.

— Nogi za pas! — zawołał Conrad. Duncan puścił się biegiem, Conrad ruszył w ślad za nim. Przed nimi ze zdumiewającą chyżością pędził długimi susami Andrew, holując poniżonego demona. Mefisto krzyczał, aby go puścić, że sam sobie poradzi. Kiedy wypadli z wejścia i ruszyli w dół po schodach, westybul zawalił się z ogłuszającym grzmotem. Okruchy rozbitego kamienia zagwizdały im koło ucha, a z wyjścia buchnęła chmura pyłu.

Andrew puścił już Mefista i mimo szpotawej nogi demon zbiegał jak szalony na dół po stopniach. Na murawie u podnóża schodów klęczała Meg, obejmując za nogi Dianę, nie pozwalając jej się wyswobodzić. Za Duncanem i Conradem zamek nie przestawał się zapadać. Runęła już środkowa wieża i mury zaczynały się przekrzywiać.

Po zbiegnięciu ze schodów Duncan zatrzymał się przy Dianie. Chwycił ją za ramię.

— Nie możesz wracać do środka — oznajmił.

— Cuthbert... — powiedziała. — Cuthbert.

— Próbowала się wyrwać i wrócić — zaskrzeczała Meg. — Musiałam ją trzymać. Musiałam użyć przemocy. Omal mi nie uciekła.

— Już wszystko dobrze — rzekł Duncan. — Wszyscy jesteśmy

na zewnątrz.

Złapał Dianę za oba ramiona i potrząsnął.

— To koniec — powiedział. — Nie możemy mu pomóc. To było niemożliwe od początku. Zginął w momencie, gdy uderzył o podłogę.

Daniel i Piękna były na trawie. Stały obok siebie, patrzyły na ludzi i obserwowały, jak zamek obraca się w perzynę. Przez park sadił ku nim długimi susami Malutki, miał obwisłe do tyłu uszy i wysoko sterczący ogon. Nigdzie nie było widać gryfa Huberta.

Mefisto przykuśtykał za pustelnika, odwracając się do tyłu. Zadarł głowę i spojrzał Andrew w oczy.

— Dziękuję ci, wielebny ojcze, za to, że mnie uwolniłeś — powiedział. — Posiadasz zaiste cudowną laskę.

Andrew wydał zdławione chrząknięcie, jakby połknął żabę. Twarz mu się wykrzywiła z obrzydzenia i zrobił minę człowieka, który w każdej chwili może paść trupem.

— Nie śmierci się bałem — rzekł Mefisto. — Wątpię, czy straciłbym życie. To było coś gorszego od śmierci. Śmierć nie budzi we mnie strachu, bo nie wierzę, że kiedykolwiek umrę. W jakiś straszliwy sposób jestem chyba nieśmiertelny. Ale gdyby zamek runął na mnie, byłbym w nim uwięziony, dopóki ostatni kamień nie skruszeje od upływu czasu i...

Pustelnik zachnął się i machnął zamaszycie ręką, jak gdyby chciał na zawsze odpędzić demona sprzed swoich oczu.

— Precz! — wyjącał. — Odczep się ode mnie, sromotny demonie. Zejdź mi z oczu.

— Nie chcesz nawet mojego podziękowania?

— Tego właśnie nie chcę najbardziej. Nie chcę od ciebie nic. Żądam jedynie zapomnienia.

— Ależ Andrew — odezwał się podchodząc do niego Conrad. — To nieszczęsne stworzenie próbuje ci tylko podziękować. Zachowujesz się nietaktownie. Może i jest demonem, ale musisz przyznać, że odczuwanie wdzięczności należy zapisać na jego korzyść. I nie myli się w tym, co mówi — masz cudowny kij. Dlaczego nie

powiedziałeś nam wcześniej, że władasz tak przemożną mocą?

— Precz! — zawył pustelnik. — Wszyscy precz. Nie życzę sobie, abyscie się na mnie gapili. Nie chcę mieć was za świadków mojej hańby.

Odwrócił się i pomaszerował do parku. Conrad sprawiał wrażenie, że chce ruszyć za nim, lecz Duncan dał mu znak, aby tego nie robił.

— Przecież coś mu się stało — zaprotestował Conrad.

— Nadejdzie czas, to nam powie — odrzekł Duncan. — Teraz pragnie jedynie, aby go zostawić w spokoju. Daj biedakowi trochę czasu.

Diana odstąpiła od Duncana i spojrzała nań spokojnymi oczyma.

— Już mi przeszło — powiedziała. — Zbliża się koniec. Wiem, co się stało. Czar się kończy wraz ze śmiercią ostatniego czarodzieja.

Słońce świeciło jaskrawo, znajdowało się dopiero w połowie drogi do horyzontu na zachodnim niebie, lecz nagle poczęła zapadać ciemność i nie było go już więcej widać.

Łoskot walącego się zamku był coraz rzadszy. W gęstniejącym mroku to już nie był zamek, lecz sterta gruzu wokół dwóch całych nadal wież. Nad rumowiskiem snuła się mgielka białego pyłu.

Conrad szarpnął Duncana za rękaw.

— Patrz, kamienny krąg — powiedział.

Duncan spojrzał w stronę podnóża parku i zobaczył, że kamienie stoją zupełnie inaczej niż przedtem. Wiele się przekrzywiło i spadły z nich nadproża.

Odwrócił się do tyłu, aby spojrzeć na zamek i w księżycowym świetle — księżycowym! — ujrzał go jako kurhan, taki sam, jaki zobaczył po raz pierwszy po wyjściu z rozpadliny, kiedy wietrzny głos śpiewał w górnych partiach ścian: Hosanna! Hosanna! Hosanna!

— A więc to koniec — powiedziała Diana cichym i łagodnym tonem. — Ostatni czarodziej nie żyje i czar zniknął. Zamek zamienił się w kurhan, czym był od stuleci.

— Widzę ognie — rzekł Conrad. Faktycznie, na stoku pomiędzy hałdą zamku a wzgórzami błyskały w mroku płomienie ognisk.

— Horda? — zapytał demon. — Już czeka na nas?

— To chyba niemożliwe — odparł Duncan. — Horda nie potrzebuje ognia.

— To raczej Nochal i jego Ludek — stwierdził Conrad.

Duncan zwrócił się do Mefista:

— Nie ma potrzeby, abys zwlekał. Nie wyznaczaliśmy ceny za twe uwolnienie. Nie rościmy sobie żadnych praw do ciebie. Możesz iść, dokąd cię oczy poniosą...

— To znaczy, że mnie nie chcecie?

— Nie o to chodzi — odparł Duncan. — Jeśli wolisz z nami zostać, to chętnie cię przyjemy.

— Obawiałem się, że może pustelnik... On chyba mnie nie lubi. Chociaż nie rozumiem...

— Andrew tragizuje — odezwał się Conrad. — Lubi się popisywać. Przejdzie mu.

— Nie mam gdzie się podziąć — ciągnął Mefisto. — Nikogo nie znam. Może przydałbym się na coś? Potrafię służyć.

— Zostań zatem — powiedział Duncan. — W miarę czasu nasza kompania robi się coraz bardziej urozmaiconą. Znajdzie się miejsce i dla demona.

Raptem uświadomił sobie, że ziemia straciła aksamitną gładkość trawnika. Była nierówna i wyboista, porośnięta niską, łąkową roślinnością, trzeszczącą pod butami, kiedy po niej stąpał. Gdzieś w oddali pohukiwała sowa, a wśród wzgórz nad zamkowym kopcem wył żałobnie wilk.

Światło księżycy było jaskrawe, do pełni brakowało jednego lub dwóch dni. Na południu mignęła mu lśniąca jak zwierciadło rzeka.

Znowu ocaleni, pomyślał, znowu wyrwani z otchłani nieszczęścia, czar zamku przełamany dzięki śmierci ostatniego z tych, którzy go spajali. Cuthbert odebrał sobie życie, umyślnie, czy w napadzie szaleństwa, tego się już nie dowiedzą. Ale to było samobójstwo. Rzucił się z balkonu na podłogę.

Diana podeszła bliżej i Duncan otoczył ją ręką, przyciskając mocno

do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu.

— Tak mi przykro — powiedział. — Szkoda, że to się skończyło w taki sposób.

— To moja wina — oznajmiła. — Powinnam była zdawać sobie sprawę, że pewnego dnia Cuthbert odejdzie z tego świata i zabierze zamek ze sobą. Musiałam o tym wiedzieć w głębi duszy, ale nie dopuszczałam tej myśli do siebie.

Stał tak, tuląc Dianę i usiłując choć trochę ukoić jej smutek. Wpatrywał się przez ukośne kolumny w płonące na stoku ogniska.

— Musi ich być mnóstwo — powiedział. — Nochal mówił, że skrzyknie całą armię.

— Duncanie, nie widziałeś gdzieś Huberta? — spytała.

— Nie, nie widziałem. Na pewno kręci się w pobliżu. Niedawno był tam, w ogrodzie, razem z Danielem i Piękną.

Potrząsnęła głową na jego ramieniu.

— Nie sądzę. Boję się, że jego także straciłam. Stanowił jedność z zamkiem. Żył tutaj tak długo.

— Będziemy go szukać, kiedy się rozwidni. Możliwe, że wróci przed świtem.

— Ktoś idzie — powiedział Conrad.

— Nikogo nie widać.

— Tuż za kamiennym kręgiem. To najwyraźniej Nochal. Chyba powinniśmy wyjść i przywitać się z nimi. Nie będą chcieli przejść na tę stronę kolumnady. Domyślają się, że coś się stało, ale nie wiedzą co.

— Niebezpieczeństwo minęło — powiedziała Diana.

— Nie mają o tym pojęcia — stwierdził Conrad.

Z tymi słowy pomaszerował w dół stoku, a tamci ruszyli za nim. Przeszli pomiędzy stojącymi kamieniami. Dopiero tutaj można było dostrzec, że czekała na nich mała grupka drobnych postaci. Jedna z nich wyszła do przodu i usłyszeli głos Nochala, który przemówił do nich karcącym tonem:

— Ostrzegałem was. Czyżbyście byli ślepi? Ile razy wam mówiłem,

že musicie omijać z daleka kurhan zamku?

## 25

Nochal ukląkł przy ognisku i zmiotł ręką ściółkę z ziemi.

— Uważajcie — oznajmił. — Wykreślę mapę i pokażę wam całą sytuację.

Stojący z boku Duncan schylił się, aby popatrzeć na wygładzone miejsce na ziemi. Pamiętał, jak skrzat rysował im mapę tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkali się w kościelnej kaplicy.

Nochal podniósł patyk i zrobił nim dziurkę w ziemi.

— My jesteśmy tutaj — oznajmił, po czym narysował koślawą linię wzdłuż północnej krawędzi mapy. — Tam są góry — dodał, a potem zrobił wężykowatą kreskę na południu. — To jest rzeka. — Od zachodu wykreślił szerokie pasmo, które biegło na południe, skręcało na zachód, po czym robiło pętlę od północy.

— Bagna — powiedział Conrad.

Nochal skinął głową.

— Bagna.

Przeciągnął patykiem po linii, która oznaczała góry, zakręcił na wschód, zrobił ciasną pętlę i ciągnął dalej na południe wzdłuż wężykowatego szlaczka, który symbolizował rzekę.

— Horda ciągnie się wzdłuż tej linii — oznajmił. — Otoczyli nas od północy, wschodu i południa. Na ogół bezwłosi, z niewielką domieszką innych członków Hordy. Przyparli nas do bagien.

— Czy mamy szanse się przedostać? — spytał Conrad.

Nochal wzruszył ramionami.

— Nie próbowaliśmy. Ilekroć my chcemy to zrobić, zawsze się nam udaje. Umiemy przeniknąć, kilku tędy, kilku tamtędy. Nawet nie



starają się nas zatrzymać. Nie nas chcą dopaść — chodzi im o was. Zgubili was tutaj; wiedzą, że nie mogliście opuścić doliny. Myślą pewnie, że ukrywacie się w kurhanie. Jeśli tak, mówią do siebie, prędzej czy później musicie go opuścić. Wiedzą, że przez jakiś czas będziecie widoczni, a wtedy was dopadną. Nie umiecie przenikać tak jak my.

— To znaczy, że oni siedzą beczynn timer tam, a wy siedzicie beczynn timer tutaj? — spytał Conrad.

— Niezupełnie — odparł Nochal. — Nie ograniczamy się do siedzenia. Zastawiliśmy na nich tuziny magicznych pułapek, małych głupich pułapek. Nie po to, by ich zatrzymać, lecz aby im przeszkodzić, zbić ich z tropu, zmniejszyć tempo marszu. Niektóre z tych pułapek są nikczemne jak grzech. Horda wie o nich i nie chce ich pokonywać, chyba że będzie musiała. Jeśli ruszą na nas w jakimś miejscu, będziemy o tym wiedzieli.

— Nadstawiacie dla nas kark — powiedział Duncan. — Nie żądaliśmy tego. Prosimy o waszą pomoc, oczywiście. Cieszyliśmy się z tej, którą nam okazaliście. Ale wcale nie oczekiwaliśmy takiej.

— Jak mówiłem, w każdej chwili możemy się wycofać — odparł Nochal. — Nie zagraża nam śmiertelne niebezpieczeństwo. To wy się znajdujecie w niebezpieczeństwie.

— Ilu twoich braci przybyło tutaj?

— Kilkuset. Może tysiąc.

— Do głowy by mi nie przyszło, że możesz ściągnąć aż tylu. Wspominałeś, że Ludek nie odczuwa wielkiej miłości do ludzi.

— Mówiłem też, jeśli pamiętasz, że jeszcze mniejszą do Hordy. Gdy tylko dotarło do nas, że nieduża grupka ludzi zmierza tędy prosto w łapy Oprawców, wiadomość rozeszła się na wszystkie strony lotem błyskawicy. Dzień w dzień przybywali gromadnie nasi bracia, pojedynczo i małymi grupkami. Nie chcę cię oszukiwać. Nasi ludkowie nie będą walczyli za was na śmierć i życie. Szczerze mówiąc, odczuwają małą chęć do walki. Nigdy nie byli wojowniczym narodem. Ale zrobią wszystko co w ich mocy.

— Za co mają naszą wdzięczność — rzekł Duncan.

— Gdybyście zwracali uwagę na to, co do was mówimy — powiedział ze złością Nochal — bylibyście w lepszej sytuacji. Mówiłem wam, i to wyraźnie, żebyście z daleka omijali zamkowy kurhan. Powtarzałem: nie zbliżajcie się do niego. Wnoszę z waszych słów, że tylko dzięki niezwykłemu ludzkiemu szczęściu udało wam się wyjść cało. — Pokiwał głową. — Nie pojmuję, skąd wy, ludzie, macie tyle szczęścia. Moi bracia nigdy go nie dostąpili.

— To było jedyne wyjście — zaznaczył Conrad. — Gdybyśmy nie poszukali schronienia w zamku, zostalibyśmy zmasakrowani.

— Gdybyście zdołali się dostać na drugi brzeg rzeki...

— Nie mieliśmy takiej możliwości — rzekł Duncan. — Doścignąłby nas oddział Hordy. Uformowali nowy szyk, akurat kiedy zaczęliśmy biec.

— Ślady na polu bitwy wskazują, że zadaliście im wielkie straty — powiedział Nochal.

Chwilowo — odparł Conrad. — Nie zdołalibyśmy się utrzymać. Diana i Dziki Myśliwy uratowali nas w chwili, gdy Horda wyszła na pozycje. Niespodziana gwałtowność ich szarzy...

Nochal pokiwał energicznie głową.

— Tak, tak, wiem.

— Tym razem — przyrzekł Duncan — zwrócimy baczną uwagę na twe słowa. Pójdziemy za twoją radą. Co proponujesz?

Skrzat zakolysał się do tyłu i usiadł na piętach.

— Nic a nic — powiedział. — Nie mam propozycji.

— Ani jednej? Żadnego planu?

— Wszystko dobrze przemyślałem — odparł Nochal. — Tak samo jak pozostali bracia. Odbyliśmy naradę w tej sprawie. Rozmawialiśmy długo, myśleliśmy nadzwyczaj intensywnie. Nie mamy nic do zaproponowania. Boimy się, że już po was.

Duncan odwrócił głowę i popatrzył na Conrada.

— Znajdziemy wyjście, milordzie — rzekł Conrad.

— Tak, oczywiście — westchnął Duncan, zastanawiając się, czy

Ludek nie płata im jakiegoś okrutnego figla. Figiel, czy po prostu brutalna prawda?

— Tymczasem zrobimy dla was co można — dodał skrzat. — Znaleźliśmy już koc dla milady Diany, aby miała osłonę przed zimnem, gdyż ta wątła sukienka, którą ma na sobie, w ogóle nie grzeje. Biedaczka zamarzlaby do rana.

Duncan wyprostował się z pozycji, jaką przyjął do studiowania mapy skrzata. Ogień płonął wysoko. Daniel i Piękna stały przyjaźnie obok siebie ze zwieszonymi głowami po drugiej stronie ogniska. Malutki zwinął się w kłębek w pobliżu Conrada i uciał sobie drzemkę. Dookoła ogniska siedziała i kuciała duża grupa ludków — skrzatów, gnomów, elfów, krasnali i chochlików — ale udało mu się rozpoznać tylko wróżkę Nan. Kuliła się przy ogniu owinięta starannie skrzydełkami. Spod kudłatej, czarnej jak węgiel czupryny wyzierała para tak ciemnych oczu, że w blasku płomieni wydawały się lśnącymi, szlifowanymi diamentami.

Próbował czytać z ich twarzy, ale nie odgadł niczego. Jeśli była w nich życzliwość, to on jej nie dostrzegał. Nie widział także nienawiści. Po prostu siedziały, patrzyły przed siebie i czekały. Raczej przyglądały się temu, co zamierzają zrobić ludzie, myślał Duncan.

— Te szeregi, które nas osaczają — powiedział Conrad do Nochala — nie mogą chyba stanowić całej Hordy.

— Nie — odparł skrzat. — Główna Horda przebywa po drugiej stronie bagien, na zachód od trzęsawiska i przesuwa się na północ wzdłuż brzegu.

— Zamykają nas od zachodu.

— Niekoniecznie. Duch nie spuszcza ich z oka.

— Duch z wami współpracuje? Gdzie on jest teraz?

Nochal zamachał ręką.

— Gdzieś tam. Śledzi ich ruchy. On i Nan stanowią nasze oczy. Dzięki nim jesteśmy dobrze poinformowani. Miałem nadzieję, że pojawi się więcej wróżek. Przydałyby się. Ale zgłosiła się tylko Nan. Nie można na nie liczyć. Dobre z nich ziółka.

— Mówiłeś, że główna Horda nie musi nas blokować na zachodzie. Jak to możliwe?

— Duch sądzi, że jutro lub pojutrze wyruszą dalej na północ z zachodniego brzegu, tego na wprost nas, pozostawiając go wolnym. Ale dlaczego cię to tak interesuje? Nawet nie myśl o sforsowaniu bagien. Nikt o zdrowych zmysłach nie odważy się ich pokonać. To muł, błoto, woda i ruchome piaski. Miejscami nie ma dna. Pozna się je nie wcześniej, aż się na nie wejdzie. Jedna kępa może być solidnym oparciem dla nóg, a druga trzęsawiskiem, które chwyta człowieka i wsysa w otchłań. Gdy raz postawisz stopę na bagnach, już nie opuścisz ich żywy.

— Przekonamy się — odezwał się Conrad. — Spróbujemy, skoro to nasza ostatnia nadzieja.

— Szkoda, że nie ma Huberta — rzekł Duncan. — Diana mogłaby wybrać się na zwiady z Duchem i Nan. Mielibyśmy jedną parę oczu więcej.

— Hubert?

— Gryf Diany. Nigdzie go nie ma po zawaleniu się zamku.

— Jutro go poszukamy — powiedział skrzat.

— Boję się, że już nie znajdziemy Huberta — oznajmiła Diana.

— Niemniej, rozejrzemy się — obiecał skrzat. — Postaramy się też powetować wasze straty.

— Straciliśmy wszystko — rzekł Conrad. — Koce, naczynia kuchenne, jedzenie.

— Z tym nie będzie kłopotu — stwierdził skrzat. — Pewna liczba moich ziomków właśnie szyje okrycie z kozłej skóry dla milady. Jej suknia jest bezużyteczna na taką wyprawę.

— To miło z twojej strony — powiedziała Diana. — Poproszę jeszcze o coś. O broń.

— Broń?

— Gdzieś mi przepadł topór wojenny.

— Nie wiem nic toporze — odparł Nochal. — Ale może coś innego, na przykład klinga? Miecz?

— Tak, miecz. Mam jeden na oku.

— Z góry dziękuję.

Nochal zaczął gderać.

— Nie rozumiem, po co to wszystko. Wpadliście w potrzask. Na mój rozum, nie ma z niego wyjścia. Kiedy Horda postanowi ruszyć do ataku, zgniecie was jak kiść winogron.

Duncan rozejrzał się wokół kręgu światła z ogniska. Cały Ludek siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i kiwał głową z aprobatą dla słów Nochala.

— W całym życiu nie widziałem takiej zgrai mazgajów — rzekł z pogardą Conrad. — Do diabła, chcecie się wycofać, nawet nie podejmując próby? Możecie się wynosić. Obejdziemy się bez was.

Odwrócił się i odszedł w mrok.

— Musicie wybaczyć mojemu przyjacielowi — powiedział Duncan do skulonych przy ognisku. — Nie należy do ludzi, którzy z wdziękiem przystają na porażkę.

Za ogniskiem jakaś postać wychynęła ukradkiem spośród drzew, stała przez chwilę, po czym rozplynęła się wśród konarów. Duncan pobiegł w tym kierunku i zatrzymał się na skraju zagajnika, gdzie zniknęła. Zawołał szeptem:

— Andrew, gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?

— Czego chcesz? — spytał obrażonym tonem pustelnik.

— Porozmawiać z tobą. Zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak. Nie możemy tego tak zostawić.

Duncan zrobił kilka kroków w stronę lasu. Andrew wyszedł spoza drzew. Duncan zbliżył się do niego i spojrzał mu w oczy.

— Gadaj! Co cię gryzie?

— Przecież wiesz.

— Tak, być może. Porozmawiajmy o tym.

Blask ogniska nie docierał tak daleko i Duncan widział tylko białą plamę twarzy pustelnika, ale w bladym świetle nie mógł dostrzec jej wyrazu.

— Pamiętasz tę noc, kiedy rozmawialiśmy w mojej celi — zaczął

Andrew. — Powiedziałem ci, jak starałem się zostać pustelnikiem. Jak starałem się czytać dawnych Ojców Kościoła. Jak siedziałem całymi godzinami wpatrzony w płomień świecy i jak moje starania nie odnosiły żadnego skutku. Chyba ci mówiłem, że jestem nieudanym pustelnikiem, a moje marzenia, aby zostać choć trochę świętym człowiekiem spełzły na niczym. Zapewne wspominałem, że kiepski ze mnie materiał na pustelnika, bo nie jestem stworzony na świętego męża. Głowę daję, że mówiłem ci to wszystko, a może i więcej. Bo od dawna kroiło mi się serce. Niełatwo spędzić człowiekowi większą część życia w tym powołaniu i dowiedzieć się na koniec, że zawiódł, że cały jego czas i wysiłek poszedł na marne, a wszystkie nadzieje i marzenia ulotniły się z wiatrem.

— Tak, pamiętam co nieco — odparł Duncan. — Mam wrażenie, że tym razem trochę upiększyłeś fakty. Uważając się za nieudanego pustelnika, skorzystałeś skwapliwie z okazji, aby zostać rycerzem Pana. I jeśli jesteś nim naprawdę — choć brakuje mi pewności co do właściwej definicji tego słowa — to muszę przyznać, że idzie ci bardzo dobrze. Nie musisz uciekać przed nami i dąsać się wśród jeżyn.

— Nic nie rozumiesz.

— Więc oświeć mnie, proszę — rzekł lodowato Duncan.

— Nie pojmujesz, że gapienie się na świeczki w końcu się opłaciło? Parę innych rzeczy chyba też. Na przykład to, że z ochotą ruszyłem w drogę jako rycerz Pana. Nie wiem, czy jestem świętym człowiekiem — nie ośmielę się twierdzić, że tak. Już sama myśl o tym może stanowić świętokradztwo. A jednak dysponuję mocami, których nigdy u siebie nie podejrzewałem. Mój kostur...

— A więc o to chodzi. — Duncan wpadł mu w słowo. — Twój kostur zerwał łańcuch demona. I to po moim uderzeniu mieczem, w które nie żałowałem siły, a które nie dało niczego prócz powodzi iskier.

— Przecież wiesz, zechciej to przyznać, że kawałek drewna nie mógłby uszkodzić łańcucha. Wiesz dobrze, że albo sam kij nabrał raptem magicznej mocy, albo też człowiek, który nim władał...

— Tak, przyznaję — odparł Duncan. — Zaiste musisz mieć jakąś świętą władzę nad kijem, by mógł tego dokonać. Lecz na miłość boską, człowieku, powinieneś się cieszyć!

— Czy nic do ciebie nie dociera? — jęknął pustelnik. — Czy ty naprawdę nie rozumiesz, w jak kłopotliwym położeniu się znalazłem?

— Niestety, nie wiem, o co ci chodzi.

— Pierwszy przejaw mojej mocy zakończył się uwolnieniem demona. Nie rozumiesz, jak rozdartą mam duszę? Że ja, człowiek święty, jeśli jestem świętym człowiekiem, objawiając po raz pierwszy, uważasz, swoją moc, wykorzystałem ją do uwolnienia śmiertelnego wroga Świętej Matki Kościoła?

— Pierwsze słyszę — rzekł Duncan. — Mefisto wygląda na porządnego gościa. Zgoda, jest demonem, ale nadzwyczaj niefortunnym, niezdolnym do spełnienia najprostszych zadań, jakie stoją przed terminującymi diabłętami. Wskutek tego uciekł z piekła. I chcąc pokazać, jak niewiele znaczył i jaką ofermą się okazał, Szatan i jego pacholki nie zadali sobie nawet trudu, aby zawlec go z powrotem do jego obowiązków w Piekło.

— Próbujesz to przedstawić w korzystniejszym świetle, łaskawy panie — odparł Andrew. — Dzięki za twoje próby. Jesteś niezwykle życzliwym człowiekiem. Ale pozostaje faktem, że naznaczono mnie już czarnym znamieniem.

— Nie ma czarnych znamion — powiedział Duncan lekko podirytowany. — Co za głupi pomysł. Myślisz, że gdzieś tam siedzi sobie jakiś mędrzec i piętnuje ludzi czarnymi znamionami?

— Moja dusza nosi takie piętno. Nikt inny chyba o tym nie wie, ale ja wiem. Nie da się go zetrzeć. Nie istnieje taki ścierak, aby je usunąć. Będę je nosił, dopóki nie umrę, a może i po śmierci.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — rzekł Duncan. — Łamię sobie nad tym głowę. Dlaczego użyłeś kija wiedząc, że zawiódł miecz? Miałeś przecucie, czy doznałeś olśnienia...

— Nie, nic z tych rzeczy — odparł Andrew. — Poniosło mnie,

to wszystko. Właściwie, nie mam pojęcia dlaczego, może chciałem włączyć się do akcji? Ty i Conrad staracie się jak możecie, i widocznie poczułem, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, że i ja powinienem zrobić wszystko, co mogę.

— To znaczy, że zadając potężne uderzenie swoim kijem starałeś się pomóc demonowi?

— Sam już nie wiem — odparł. — Nie myślałem o tym w ten sposób. Ale chyba starałem się mu pomóc. Kiedy to sobie uświadomiłem, jeszcze bardziej ścisnęła mi się dusza. Ja miałbym pomagać demonowi? Ja miałbym ruszyć palcem dla niego?

Duncan wyciągnął rękę, chwycił kościste ramię pustelnika i mocno je uściskał.

— Dobry z ciebie człowiek, Andrew. Lepszy, niż ci się zdaje.

— Jak to? — zdziwił się pustelnik. — Czy pomaganie demonowi może czynić ze mnie dobrego człowieka? Można pomyśleć, że raczej złego. Na tym polega mój problem. Udzieliłem pomocy pachotkowi Piekiel, który do tej pory cuchnie siarką.

— Który porzucił piekło — zauważył Duncan. — Mefisto odwrócił się od piekła, wyrzekł się służby dla Szatana. Możliwe, że kierowały nim niesłuszne pobudki, ale najważniejsze jest to, że się go wyrzekł. Tak jak ty czy ja. Mefisto jest po naszej stronie. Nie rozumiesz? Przystał do nas. Naznaczony piętnem zła, to prawda, ale stoi po naszej stronie.

— Czy ja wiem? — bąknął Andrew. — Muszę się nad tym zastanowić. Muszę znaleźć jakieś wyjście.

— Wracaj ze mną do obozu — rzekł Duncan. — Posiedź sobie wygodnie przy ognisku, kiedy będziesz o tym myślał. Nie żałuj ciepła swoim drżącym kościom ani jedzenia brzuchowi.

— Po namyśle dochodzę do wniosku, że jestem głodny — odparł Andrew. — Meg gotowała golonkę z kiszoną kapustą. Mógłbym jej skosztować, zapomniałem już, jak smakuje. Od lat nie miałem w ustach golonki.

— Ludkowie nie mogą ci zaoferować golonki i kapusty, ale jest



wyborny gulasz z dziczyzny. Zostało go dość dużo, jestem tego pewny, więcej, niż pomieści twój żołądek.

— Skoro nie widzisz w tym nic złego... Jeśli zrobią mi miejsce...

— Powitają cię z radością — uspokajał go Duncan. — Dopytywali się o ciebie. — Nie była to ścisła prawda, lecz tylko drobne kłamstewko i nie mogło zaszkodzić. — No, chodźmy. — Objął pustelnika i razem ruszyli z powrotem w kierunku ognisk.

— Wciąż czuję zamęt w głowie — ostrzegł go Andrew, uparty aż do końca. — Mam tyle problemów do rozwiązania.

— Nie spiesz się. Powoli wszystko wyjaśnisz. Będziesz miał czas, aby to przemyśleć.

Duncan odprowadził go na drugą stronę przerzedzonego terenu wokół ogniska, gdzie wcześniej rozmawiał z Nochalem. Diana i Nan siedziały obok siebie. Dodał im do towarzystwa pustelnika.

— Przeprowadziłem głodnego — powiedział do Nan. — Czy została może jakaś miska gulaszu?

— I to niejedna — odparła wróżka. — Więcej, niż nawet on mógłby zjeść, choć taki głodny. — Zwróciła się do Andrew. — Przysiądź koło żaru. Zaraz cię obsłużę.

— Dziękuję, łaskawa pani — odpowiedział.

Duncan odwrócił się, aby poszukać Conrada, ale nigdzie go nie widział. Nochal również zniknął gdzieś wśród swoich ludków.

Księżyc stał wysoko na niebie. Musi dobiegać północ, myślał Duncan. Niebawem wszyscy powinni udać się na spoczynek i zaznać trochę snu, bo przed świtem powinni być znowu na nogach. Nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobią, będą musieli jak najszybciej ułożyć plan działania. Conrad mógłby dostarczyć nowych informacji i należało wkrótce się z nim spotkać.

Możliwe, że Conrad powędrował do innego ogniska. Duncan udał się do jednego z najbliższych. Nie zdążył jednak przejść stu kroków, kiedy usłyszał, że ktoś syczy na niego z mroku kępy krzaków. Obrócił się na pięcie, chwytając za rękojeść miecza.

— Kto to? — zawołał. — Pokaż się.

Z zarośli wynurzył się głęboki cień. Na wygiętym rogu zamigotało księżycowe światło.

— Mefisto, co ty tu robisz? — spytał.

— Czekam na ciebie — odparł demon. — Mam ci coś do powiedzenia. Cicho. Nie za głośno. Przysiądź, to pogadamy.

Duncan usiadł w kucki i spojrzał na drobną przysadzistą postać. Demon z trudem pochylił się ku przodowi, wyciągając daleko głowę wskutek garbu na plecach.

— Wszystko słyszałem — oznajmił. — Jesteście w tarapatach.

— To nic nowego. Cały czas jesteśmy w tarapatach.

— Ale tym razem stawiacie czoło potężnym siłom, które otaczają was ze wszystkich stron.

— To prawda.

— Żadnej drogi ucieczki?

— Tak twierdzą ludkowie. Nie polegamy do końca na ich słowie.

— Istnieje przejście przez bagna — oznajmił Mefisto.

Co się tu dzieje? Co ten Mefisto knuje? Przykuty od wieków do słupa, skąd może znać bagna?

— Nie wierzysz mi — dodał.

— Trudno uwierzyć. Skąd wiesz?

— Obiecałem kiedyś, że pewnego dnia opowiem ci o moich przygodach. Nie było dotąd okazji.

— Faktycznie, obiecałeś. Z przyjemnością posłucham twej opowieści, ale nie teraz. Szukam Conrada.

— Nie musisz słuchać całej od razu — rzekł Mefisto. — Tylko część. Wiedz, że kiedy uciekłem z piekła, w sferach ludzkich rozeszła się wieść o uwolnieniu się demona, zbiega, któremu cofnięto ochronę Mefistofelesa, świetna gratka dla każdego, komu uda się go schwytać. Polowano na mnie bezlitośnie. Stąd znam bagna. W tym samym miejscu, na południowym krańcu bagien, ukrywałem się przez kilka lat. Dopóki nie nabrałem przekonania, że jestem bezpieczny, że wszyscy o mnie zapomnieli, że mróz ściał szlak i zaprzestano pogoni. Więc opuściłem bagna, i jak się domyślasz, prawie od razu mnie

złapali.

— Przecież bagna to śmierć — zdziwił się Duncan. — Tak nam przynajmniej powiedziano.

— Jeśli ktoś zna drogę...

— A ty znasz?

— Krasnal wodny mi pokazał. Mały, gderliwy krasnoludek, ale ulitował się nad mną. Trzeba uważać, ale można je sforsować. Są pewne punkty orientacyjne...

— Uplłynęło dużo czasu, odkąd byłeś na bagnach. Punkty mogą się zmienić.

— Nie te. To są pewne wyspy.

— Wyspy się zmieniają. Dryfują albo toną.

— Kilka wzgórz runęło w trzęsawisko i zniknęło. Ale część z nich, bardzo stare fragmenty, ciągle sterczą ponad tonią, dużo bardziej zwietrzałe i niższe od wzgórz. To są te wyspy, o których mówię. Stoją solidnie od niepamiętnych czasów. Lita skała, nie mogą zatonać. Pod wodą między nimi biegają skalne rafy, które łączą je ze sobą. Żeby pokonać bagna, musisz stawiać kroki na tych rafach. Kryją się w toni i wzrok ich nie sięga. Trzeba wiedzieć.

— Głęboko?

— Miejscami sięgało mi po szyję. Nie głębiej.

— Ciągnie się aż na drugą stronę? Na zachodni brzeg?

— Tak jest, milordzie. Podwodna rafa skalna, fragment starych wzgórz, ale są i zdradliwe miejsca.

— Pamiętasz je?

— Chyba tak. Zawsze miałem dobrą pamięć.

— Nie chciałbyś być naszym przewodnikiem, pokazać nam drogi?

— Czcigodny panie, mam wobec was dług wdzięczności. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek zdołam go spłacić. Przeprowadzenie was przez bagna byłoby tylko częściową zapłatą. Ale jeśli zaakceptujecie...

— Ależ akceptujemy — oznajmił Duncan. — Jeśli wydarzenia pozwolą...

— Wydarzenia?

— Ogromna Horda Oprawców może nam zablokować przejście. Suną wzdłuż zachodniego brzegu bagien. Jeśli nie przerwą marszu na północ, który zauważyli ludkowie, przy twojej pomocy możemy pokonać bagna i wymknąć się nim.

— Jest coś jeszcze.

— Mianowicie?

— Na zachodnim krańcu bagien wznosi się ogromna wyspa, dużo większa niż pozostałe. Strzegą jej smoki.

— Dlaczego smoki?

— Ta wyspa to żalosne miejsce. Miejsce Płaczu Nad Światem.

## 26

Kiedy Duncan wrócił do kompanii, prowadząc za sobą kuśtykającego Mefista, Diana, Meg i Nan siedziały razem przy ognisku z dala od innych. Andrew leżał wyciągnięty na ziemi okryty baranicą i potężnie chrapał. Na kolanach Diany spoczywał długi, wąski zwój czarnego aksamitu.

— Powinieneś zobaczyć, co ma Diana — szczebiotała Meg. — Powinieneś zobaczyć, co dostała od Nochala.

Pokazała na zwój aksamitu.

Odwrócił się w stronę Diany. Powitała go uśmiechem, a jej oczy rzucały ogniki w blasku płomieni. Ostrożnie odwinęła aksamit i ujawniła tajemnicę jego zawartości.

Tysiące blasków zatańczyło na obnażonym mieczu, a na rękojeści zamigotała plejada drogich klejnotów.

— Mówiłam Nochalowi, że jest dla mnie zbyt okazały oznajmiła Diana. — Ale upierał się, abym go wzięła.

— Wspaniały — rzekł Duncan.

— Skrzaty strzegą go od lat jak świętego skarbu — oznajmiła Nan. — Nigdy, w najbardziej fantastycznych marzeniach nie przyszło im do głowy, że znajdą człowieka, któremu zechcą go oddać. — Wzruszyła ramionami. — Naturalnie, jest o wiele za ciężki dla skrzatów i innych naszych braci, aby mogły nim władać.

Duncan uklęknął przed Dianą, sięgając ręką do miecza.

— Mogę? — spytał.

Skinęła głową na zgodę.

W dotyku stal była zimna i gładka. Przebiegł palcami wzdłuż

klingi, jak gdyby chciał ją obdarzyć tkliwą pieszczotą.

— Duncanie — powiedziała szeptem. — Duncanie, ja się boję.

Boisz się?

— Boję się, że wiem, co to za miecz. Nochal nie chciał mi powiedzieć.

A więc nie powinnaś pytać — odparł.

Podniósł jeden koniec aksamitu i zawinął go z powrotem, aby osłonić klingę.

— Przykryj go. To cenna rzecz. Nie można go narażać na wilgotne, nocne powietrze. Otul go mocno i dokładnie. — Zwrócił się do Meg. — Chcę cię o coś zapytać. Kilka dni temu wspominałaś o płaczu nad światem. Powiedziałaś nam bardzo mało. Możemy dowiedzieć się czegoś więcej?

— Niczego ponad to, o czym mówiłam wówczas, milordzie. Rozmawialiśmy o tym, gdy na bagnach dał się słyszeć lament.

— Wspomniałaś, że istnieje kilka takich miejsc płaczu, przypuszczalnie szeroko rozrzuconych. Myślałaś, że jedno z nich może znajdować się na bagnach.

— Tak mówią.

— Kto znosi się tym płaczem?

— Kobiety, milordzie. Któż inny mógłby ronić łzy na tym padole? Któż inny ma powód do płaczu?

— Wiesz może, jak się zwą płaczące kobiety?

Meg zmarszczyła twarz, starając się sobie przypomnieć.

— Zdaje się, że noszą jakąś miano, milordzie, lecz chyba go nie znam.

— Wy też, wróżki... — powiedział do Nan. — Wy, wróżki, również jesteście płaczkami.

— Płaczkami, tak — odparła — ale nie nad całym światem. Mamy aż nadto zachodu z lamentem nad tymi, którzy potrzebują go najbardziej.

— Kto wie, czy cały świat go nie potrzebuje, pomstowania na jego niedolę.

— Być może masz rację — przyznała Nan. — My jednak płaczemy w domu, na ziemi, którą znamy, nad samotną wdową, nad głodującymi dziećmi, nad wynędzniałą staruszką, nad wszystkimi, których unieszczęśliwiła śmierć. Jest tyle do opłakania, że możemy się troszczyć jedynie o ludzi, których znamy. Przysiadamy na progu będącej w potrzebie, ogarniętej żalem samotnej chatki i pomstujemy na winnych jej nieszczęścia, po czym...

— Tak, rozumiem — rzekł Duncan. — Nic nie wiesz o płaczu nad światem?

— Tylko to, co powiedziała wam wiedźma.

Za Duncanem dały się słyszeć ciche kroki; ktoś się zbliżał.

— O co chodzi z tym płaczem? — spytał skrzat.

Duncan odwrócił głowę i zobaczył Nochala.

— Demon twierdzi, że na bagnie rozlega się płacz.

— Ma rację — powiedział skrzat. — Nieraz o tym słyszałem. Ale co to ma wspólnego z nami?

— Mefisto powiedział, że można przebyć bagna. Ponoć zna drogę. Nochal ściągnął usta.

— Wątpię. Słyszałem zawsze, że są nie do przebycia.

— Ale nie wiesz tego na pewno?

— Nie wiem na pewno. Nikt nie był aż tak głupi, aby to sprawdzać. Żaden człowiek nie wyruszył dotąd łodzią na jego wody, gdzie czają się straszliwe potwory. Wyrastają z głębin, aby pochwycić śmiałka i wciągnąć w toń.

— A więc przyjrzyj się głupcowi — rzekł Duncan. — Zamierzam spróbować.

— Znikniecie bez śladu — odparł Nochal.

— Tak czy owak znikniemy bez śladu. Mówiłeś, że Horda osacza nas z trzech stron. Pozostaje tylko droga przez bagna.

— Prosto ku głównym siłom Hordy na zachodnim brzegu?

— Sam mówiłeś, że Duch ich widział, jak ciągnęły na północ. Jeśli nie zmienią kierunku marszu, jeśli odejdą dalej, droga będzie wolna.

— Ci co nas otaczają, ruszają na nas — odparł skrzat. — Zaciskają

pętłę. Zauważono ruch na wschodzie. Potknęli się o część naszych magicznych pułapek.

— Tym bardziej należy spróbować drogi przez bagna stwierdził Duncan. — I to jak najszybciej.

— Jeśli otaczające nas oddziały wiedzą, że tu jesteście, a z pewnością wiedzą, bo inaczej nie byłoby ruchu, to główne siły na zachodnim brzegu również muszą wiedzieć.

— Przecież to niemożliwe, by Horda na zachodnim brzegu domyślała się, że chcemy sforsować bagna.

Nochal podniósł ręce z obrzydzeniem.

— Proszę bardzo — wymruczał. — Róbcie, co chcecie. W każdym razie postąpicie, jak będziecie uważali. Nie słuchacie mnie. Nigdy mnie nie słuchaliście.

— Bardzo mi przykro — powiedział Duncan. — Nie proponujesz innej możliwości. Bagna natomiast stanowią taką możliwość. Postanowiłem iść. Zabiorę ze sobą demona, aby pokazał mi drogę. Conrad, jestem tego pewny, również pójdzie.

— Ja też — odezwała się szeptem Diana, po czym zwróciła się do Nochala. — Mówiłeś coś o skórze koziej dla mnie. Kiedy będzie gotowa? Nie sforsuję bagien w tej sukience.

— Przed pierwszym blaskiem poranka — odrzekł. — Mali bracia pracują nad nią od zmierzchu.

— Nie możemy wyruszyć o świcie, choć byśmy tego chcieli — powiedział Duncan. — Musimy przedtem odnaleźć gryfa.

— Poszukiwania trwają całą noc — powiedział Nochal. — Nigdzie nie ma Huberta. Z pierwszym brzaskiem przeczeszemy okolicę jeszcze raz. Lecz nie mamy wielkiej nadziei go odnaleźć. Zbyt długo i mocno był związany z czarodziejami i zamkiem. Stary, wyczerpany długą służbą, mógł nie chcieć przeżyć zamku. Niepodobna, aby utrzymał się przy życiu po śmierci Cuthberta. Sądzę, że milady podziela nasze obawy.

— Tak, podzielam — odparła Diana. — Lecz pójdę nawet bez Huberta.



— Możesz jechać na Danielu — zaproponował Duncan.

— Nie. Daniel należy do ciebie. To zbyt doskonały koń wojenny, aby go dosiadano, chyba że jeździec i on będą stanowić jedność w boju. Nie jechałeś na nim podczas żadnej z dotychczasowych potyczek. Za każdym razem walczyliście obok siebie. Niech już tak zostanie.

— Idę z wami — oznajmiła Nan. — Bagno nie budzi we mnie przerażenia, ponieważ mogę nad nim lecieć, choć z częstymi przerwami i niezgrabnie, bo trzepoczę jak wrona. Moglibyście mnie wysyłać na przespiegi.

— A ponieważ ja zacząłem z wami tę przygodę, nie możesz mnie zostawić — powiedział skrzat.

— Nie ma potrzeby, byś szedł — odparł Duncan. — Pokładasz niewielką wiarę w nasze zamierzeniu, u poza tym musisz zostać tutaj, aby dyrygować swoim Ludkiem.

— Nie ma potrzeby mojego dyrygowania. Prawdę powiedziawszy, wcale nimi nie dyryguję. Ja tylko rozesłałem wici, aby się zgromadzili. I zjawili się, jak na piknik, po przygodę, którą mogliby tu znaleźć. Ale to nie oni będą stawiać czoło wielkiemu niebezpieczeństwu. Raczej uciekną przed nim, jako rozsądny naród. Mówiąc całkiem szczerze, już powoli zaczynają się rozchodzić. Kiedy ruszycie w drogę, ich już tu nie będzie.

— A zatem, na zdrowy rozum, powinieneś chyba odejść razem z nimi? Jesteśmy wdzięczni za pomysł, aby nam towarzyszyć, ale to wykracza...

Nochal mu przerwał, dając piękny popis złości:

— Chcecie mi uniemożliwić dokonanie wyczynu, o którym mógłbym opowiadać przez lata, mając ich wszystkich wokół siebie, siedzących z wytężonym słuchem, aby nie uronić ani jednego słowa, które może paść z moich ust? Życie Ludku, jak macie zwyczaj z lekceważeniem nas nazywać, jest bardzo nudne. Rzadko kiedy mamy okazję wykazać się brawurą. Niewielu z nas otrzymało szansę zostać choć podrzędnym bohaterem. Inaczej było w czasach przed

pojawieniem się was, ludzi, zanim wygnaliście nas z naszej ziemi. Cała ziemia należała do nas, na niej odgrywaliśmy nasze małe dramaty i nasze głupie komedie. Teraz zaś nie możemy tego robić, bo nie mamy gdzie się podziać i w połowie zabawy zawsze potrącamy jakiegoś tępego, gburowatego człowieka, który przypomina nam o naszym dzisiejszym strasznym losie, okradając nas z tej resztki radości, jaka nam jeszcze pozostała.

— No dobrze, skoro tak się sprawy mają — rzekł Duncan. — Twoje towarzystwo będzie cenne. Muszę cię jednak ostrzec, że po drodze możemy spotkać smoki.

— Tyle sobie robię ze smoków — powiedział Nochal, strzelając palcami.

Z ciemności doleciał trzask gałązek i w krąg światła z ogniska wszedł Conrad. Wyciągnął kciuk, pokazując w powietrze nad sobą.

— Patrzcie, kogo znalazłem — powiedział.

Wszyscy spojrzeli do góry i zobaczyli Ducha, który spłynął na ziemię i zmieszał się z nimi.

— Porzuciłem już nadzieję, że cię odnajdę, panie — rzekł do Duncana. — Szukałem cię i szukałem, ale przepadłeś bez wieści. W czasie swoich poszukiwań nie porzuciłem jednak zadania, które mi powierzyłeś. Obserwowałem Horde, różne jej części, i nie mając komu przekazać informacji, bo nigdzie was nie było, dzieliłem się swą wiedzą z Nochalem. Tak samo jak mnie intrygowało go pytanie, co się z wami stało, sądził jednak, że wasze zniknięcie ma coś wspólnego z ruinami zamku. Potwierdził to Conrad, na którego przed chwilą z radością się natknąłem i...

— Hola, hola — przerwał mu Duncan. — Zaczekaj. Potrzebuję od ciebie pewnej wiadomości.

— Ja zaś, panie, mam ci coś do zakomunikowania. Ale najpierw muszę spytać dla spokoju sumienia, czy mimo wielu przerw zamierzacie kontynuować wyprawę do Oxenfordu. Wciąż liczę na odwiedzenie tego miasta, bo jak wiesz, mam wiele trudnych pytań do zadania tamtejszym mędrcom. Trudnych dla mnie, być może, ale

mam nadzieję, że nie dla nich. Pragnę gorąco, aby potrafili udzielić mi odpowiedzi, które rozwieją moje wątpliwości.

— Owszem — powiedział Duncan. — Zamierzamy kontynuować podróż do Oxenfordu. Przejdźmy wszakże do mojego pytania. Co słyhać u tej części Hordy, która przesuwała się wzdłuż zachodniego brzegu bagna?

— Podążają dalej na północ — rzekł Duch. — Nabierają prędkości. Teraz suną dużo szybciej.

— Żadnych oznak postoju?

— Nic nie wskazuje, by mieli zwolnić tempo. Cały czas pędzą naprzód.

— W takim razie sprawa załatwiona — oświadczył Duncan z pewnym zadowoleniem. — Ruszamy jutro, kiedy tylko będziemy w stanie.

O pierwszym brzasku na wschodnim niebie wybrali się na poszukiwania Huberta. Przeczesał okolicę wokół gruzowiska i łąki nadrzeczne pomiędzy brzegiem a starym murem. Nie było śladu gryfa. Ludku ubywało po trochu; pozostali z ochotą włączali się do poszukiwań. W końcu i oni zniknęli, ulotnili się, nie zwracając na siebie uwagi. Jedyny ślad ich bytności stanowiło kilkanaście tłących się jeszcze i przygasających ognisk rozrzuconych na skarpie powyżej ruin.

Duncan i Conrad zgromadzili swoją skromną siłę i ruszyli w drogę, kierując się na bagna. Na północy majaczył wielki masyw wzgórz, które pokonał Duncan ze swoją gromadką. Zachodnia krawędź opadała stromo aż do bagna. Na południu wśród podmokłych łąk wiła się leniwie rzeka.

Tym razem nie szli gęsiego, lecz ramię w ramię, jedno obok drugiego, przez pusty teren przerywany tu i ówdzie małymi zagajnikami i rzadkim lasem, między obszarem porośniętym niską trawą a kępami leszczyny. Ranek wstał jasny i przejrzysty, ale dzień zrobił się posępny, kiedy od zachodu wtargnęły ciężkie chmury. Nie zakryły słońca, lecz przyciemniły go trochę i zamieniły w blady krążek światła.

W niecałą godzinę po wymarszu usłyszeli pierwsze słabe echo płaczu. Choć przytłumione odległością, było czystym, dalekim lamentem samotności pobrzmiwającym beznadziejnością, jak gdyby przyczyna płaczu miała nigdy się nie skończyć, tylko trwać wiecznie.

Idąca obok Duncana Diana zadrżała na ten dźwięk.

— Przenika człowieka — szepnęła. — Kraje mnie jak nożem.

— Nie słyszałaś go wcześniej? — zapytał.

— Tak, oczywiście, czasami. Ale z daleka i nie zwracałam na niego uwagi. Bagna zawsze wydawały różne dziwne dźwięki. Nie miałam pojęcia, co to jest, i...

— Ale czarodzieje mogli ci powiedzieć.

— Jeśli nawet znali prawdę, nie musieli mi jej zdradzić. Rzadko opuszczałam zamek, najwyżej na poszukiwania Wulferta. Wprawdzie nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale pod wieloma względami miałam lekkie życie.

— Lekkie życie? Ty, pokojówka czarodzieja...

— Nie zrozum mnie źle — odparła. — Nie jestem bezpańskim dzieckiem, zropaczoną sierotką. Jeździłam na wypadach i uczyłam się władania bronią. Aha, przypomniałam sobie, że muszę ci za coś podziękować. Uwierzyłeś w miecz razem ze mną.

Niosła go w ręku obnażonego, ponieważ nie miał futerału. Wycięła nim w powietrzu małą figurę, zaśnił mimo bladego słońca.

— Dobry kawałek stali — zauważył.

— I to wszystko?

— Nochal ci tego nie wyjawiał. Nie powinnaś zatem pytać.

— Ale przed laty zaginął pewien miecz i...

— Istniało dużo mieczy i niejeden zaginął.

— No, dobrze — powiedziała. — Mamy to tak zostawić?

— Myślę, że to najlepsze wyjście.

Przez dłuższy czas wspinali się na długie i łagodne wypiętrzenie wypełnione bajorem. W końcu weszli na górę i skupieni w jedną grupkę spoglądali na zachód, gdzie widniał cienki, niewyraźny błękit bagien. U podnóża skarpy ciągnął się długi i wąski pas lasu oddzielającego ich od wody, biegnącego od stromej krawędzi północnego masywu daleko na południe, gdzie ginął z oczu.

Mefisto przysunął się do Duncana i szarpnął go za rękaw kurtki.

— Co chcesz, Mefisto?

— Las.

— Coś nie tak?

— Przedtem go tu nie było. Pamiętam z czasów, kiedy się tutaj kręciłem. Nie było żadnego lasu. Aż do samego bagna ciągnęła się gładka ziemia.

— Ale to było dawno temu — powiedział Conrad. — Dawno, dawno temu.

— Kilkaset lat — stwierdziła Diana. — Tyle czasu tkwił skuty łańcuchem w zamku.

— Las mógł wyrosnąć przez kilkaset lat — rzekł Duncan.

— Albo coś mu się pokręciło — dodał Conrad.

— Nie zwracajcie uwagi na ten pomiot szatana — burknął Andrew, bijąc swoim kijem o ziemię. — To nędzny intrygant.

— Meg, wiesz coś o tym lesie? — zagadnął ją Duncan.

— Niby skąd? — spytała. — Jestem tu pierwszy raz.

— Na mnie robi dobre wrażenie — rzekł Conrad. — A zawsze pierwszy wyczuwam kłopoty. Zwyczajny las.

— Nie widzę w nim niczego podejrzanego — oznajmił Nochal.

— Powiadam wam — zapiszczał Mefisto — że przedtem go tutaj nie było!

— Będziemy iść ostrożnie — powiedział Conrad. — Zachowamy czujność. To jasne, że musimy przebyć las, aby dostać się na bagna.

Duncan zerknął w dół na Mefista. Demon wciąż stał blisko niego, nie puszczając rękawa, jakby zamierzał ponownie szarpnąć. W drugiej ręce trzymał trójzab o długim trzonku. Każdy grot był kolczasty i ostry.

— Skąd go masz? — spytał Duncan.

— Ode mnie — powiedział Nochal. — Należał do znajomego skrzata, ale jest za ciężki i nieporęczny dla takich jak my.

— Dając mi go zazaczył, że jest dla mnie odpowiedni — rzekł Mefisto.

— Odpowiedni?

— No jakże, oczywiście — przyznał Nochal. — Nie jesteś mocny w teologii, mój panie.

— Co to ma wspólnego z teologią? — zdziwił się Duncan.

— Może się mylę — odpowiedział mu Nochal — ale sądziłem, że to stara tradycja. Natknąłem się onegdaj na pewien zwój; jego wygląd sugerował, że zawiera biblijne opowieści. Szkoda mi było czasu na odcyfrowanie waszego barbarzyńskiego pisma, ale obejrzałem sobie rysunki. Natknąłem się wśród nich na obrazek, dość prymitywny, ukazujący demony identyczne jak twój przyjaciel podczas rzucania w płomień piekielne grupki przerażonych ludzi. Do widłowania posługiwały się instrumentami bardzo podobnymi do trójzębu, który trzyma w ręku obecny tutaj demon. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że taka broń byłaby dla niego odpowiednia.

— Chodźmy już — mruknął Duncan.

Ledwo widoczna ścieżka, najwyraźniej rzadko uczęszczana, skręcała w dół po łagodnym stoku w kierunku lasu. Z bliska las wydawał się zupełnie normalny. Nie różnił się niczym od innych skrawków puszczy. Drzewa były bardzo stare, jakby przyprószone siwizną, o grubych pniach, które szybko rozwidlały się w gęstą płataninę gałęzi. Niewyraźna ścieżka prowadziła w głąb zwartego lasu, dając piechurovi dość miejsca na to, aby mógł nią iść bez trudu.

— Jesteś przekonany, że nie rósł tu żaden las, kiedy widziałeś to miejsce po raz ostatni? — spytał Duncan demona. — Jesteś absolutnie pewny, że to jest to samo miejsce?

Mefisto uniósł szpotawą nogę i podrapał się kopytem w zdrową łydkę.

— Jestem absolutnie pewny — odparł. — Wątpię, czy mogę się mylić.

— Tak czy owak — zauważył Conrad — musimy przejść tędy, jeśli mamy dotrzeć na bagna.

— To prawda — rzekł Duncan. — Conradzie, ty i Malutki powinniście iść na czele, jak zwykle zresztą. Wąska ścieżka zmusza nas do maszerowania gęsiego. Diana i ja będziemy stanowić tylną straż. Nie pozwalaj Malutkiemu na zbyt dalekie wycieczki do przodu.

Meg zsunęła się z grzbietu Daniela.

— Lepiej wsiadaj z powrotem — rzekł Conrad. — Zaraz ruszamy.

— Tym bardziej nie powinnam krępować ruchów bojowemu koniowi. Mogę sama przekuśtykać przez ten skrawek lasu.

— Będę szedł obok Meg — odezwał się Andrew. — Pomogę jej w lesie.

— No, no, wielkie dzięki, łaskawy panie — ucieszyła się wiedźma. — Takim starym babom jak ja nie często trafia się eskorta.

— Meg? — spytał Duncan. — Co się stało? Nie zawadzałaś Danielowi, kogo próbujesz nabrać? Czy to dla tego, że...

Wiedźma potrząsnęła głową.

— Nic się nie stało, panie. Ale to taki gęsty las.

Duncan skinął na Conrada. Ten wszedł na ścieżkę, Malutki biegł tuż przed nim i węszył tropy. Pozostali ustawili się jedno za drugim. Diana i Duncan zamykali pochód poprzedzani przez kalekiego demona. Mefisto powłóczył nogami z mozołem, wspierając się na odwróconym trójzębie jak na lasce, aby nadażyć za pustelnikiem i wiedźmą.

Las robił przygnębiające wrażenie, jakiego można się spodziewać od puszczy jesienią, kiedy wiatr unosi zwiędłe liście, kiedy przymrozek ścina mchy podszycia. Ale z drugiej strony niczego specjalnego nie było, co samo w sobie nie dawało powodu do niepokoju, myślał Duncan, bo przecież tak powinien ten las wyglądać. Większość drzew stanowiły dęby, choć w wielu miejscach rosły także inne gatunki. Ścieżka mogła być szlakiem wydeptanym przez jelenie, mówił do siebie, wędrujące rzędem, stąpające wzajemnie po swoich śladach. Wszędzie zalegała cisza. O dziwo, nie mącił jej nawet szelest liści. Rzadko kiedy liście nie szeleszczą chociaż trochę, myślał Duncan. W najspokojniejszy dzień, przy całkowicie bezwietrznej pogodzie, kiedy nie czuje się najłżejszego powiewu wiatru, wśród drzew zaszeleści bez widocznej przyczyny jakiś liść. Szli w milczeniu, a ściółka tłumiała ich kroki. Cisza lasu narzuciła ciszę ludziom, którzy się w nim znaleźli.

Jak większość duktów leśnych ścieżka była kręta. Wiła się między



drzewami, omijała pień zwałonego, gnijącego leśnego giganta, unikała omszałych otoczków, wchodziła na wyższy teren i ciągnęła się skrajem niewielkich rozlewisk — i czyniąc to wszystko, przybierała kształt serpentyny.

Duncan szedł na końcu tuż za Dianą. Przed milady kuśtykał Mefisto. Duncan przystanął i obrócił się, aby spojrzeć na ścieżkę za sobą. Czuł dziwne swędzenie między łopatkami, uczucie, jakie miewają wrażliwi ludzie, kiedy ktoś ich śledzi. Z tego, co widział, a widział niewiele, ścieżka była pusta i nic nie świadczyło o czyjejkolwiek obecności.

Uczucie to brało się z omal niezachwianego przekonania, że w niedługim czasie cała okolica zajmowana dotąd przez ludków zaroi się bezwłosymi i innymi członkami Hordy, nadciągającej po swe krwawe żniwo. Ludek na pewno zdążył opuścić ten teren. Zaczęli się rozchodzić przed świtem i nim wyruszył ze swą kompanią, nie było już ani jednego ludka — prócz Nochała. Skrzat maszerował na przedzie z Conradem i Nan. Wróżka na pewno podlatywała na zwiady i wypatrywała niebezpieczeństw. Czarodziejskie pułapki Ludku mogły powstrzymać Hordę na krótko, najwyżej na kilka godzin. Złośliwe i podłe pułapki, o jakich wspominał Nochał, nie wytrzymają długo naporu potężniejszej i bardziej wyszukanej magii. W ostatecznym rachunku narobią tyle szkód, co ukąszenie komara.

Przyłożył dłoń do torby przy pasie. Czuł małą, okrągłą twardość talizmanu Wulferta, miękką ustępliwość manuskryptu. Uciskał go palcami i słuchał, jak szeleści.

Oby Mefisto miał rację, mówił do siebie. Jeśli zdołają sforsować bagna, jeśli główny oddział Hordy będzie kontynuował marsz na północ aż do zachodniej granicy trzęsawiska, to znaczy, że nie stracili jeszcze wszystkich szans. Kiedy południe się otworzy na ucieczkę do Oxenfordu, będzie szansa wypełnienia misji. To już ostatnia, upomniał siebie. Nie było alternatywy. Nie mieli innego wyboru i nie mogli podjąć innej decyzji.

Ostatni raz spojrzął na pustą ścieżkę, odwrócił się i przyspieszył

za Dianą. Biegając złowił uchem pierwsze w tym lesie, słabe echo płaczu. Wydawało się, że dochodzi z większej odległości niż uprzednio, było bardziej stłumione i rozproszone przez zwartą ścianę drzew.

Raptem gęsty porost na wprost niego rozstał się i Duncan wkroczył na małą polanę. Miała kształt koła, jakby przed laty drwal ściał i wywiózł drzewa, tworząc w lesie okrągłe karczowisko.

Pozostali zatrzymali się i stali skupieni w jednej grupie na środku polany. Duncan ruszył ku nim szybkim krokiem, rozglądając się wokoło. Miał wrażenie, iż polanę otaczały drzewa dużo większe i grubsze od tych, które dotychczas mijali. Pnie były potężne i rosły niemal jeden przy drugim. Ich masywne, splątane konary, rozgałęziające się już kilka stóp nad ziemią, formowały nieprzebyty żywoplot i więziły ich wewnątrz kręgu.

Podbiegł do Conrada.

— Po co stanęliście? — spytał. — Dlaczego nie idziecie dalej? Musimy dotrzeć na bagna.

— Nie ma ścieżki — odrzekł Conrad. — Wchodzi na polanę, ale już z niej nie wychodzi.

— A teraz również nie wchodzi — powiedział Andrew, grzmocąc laską o ziemię ze złością, która wykpiła w nim dla zamaskowania strachu.

Duncan obrócił się na pięcie, spoglądając na drogę, którą przyszedł. Pustelnik miał rację. Drzewa w jakiś sposób się zsunęły i zwały, odgradzając ich od ścieżki.

— Przy dużym nakładzie pracy moglibyśmy się przedrzeć — stwierdził Conrad. — Ale Danielowi byłoby trudno. Nie może się i czołgać po ziemi tak jak my. Przyjdzie nam ściać trochę drzew, aby utworować sobie drogę. Nawet bez karczowania zwolnimy tempu marszu.

Przykuśtykała do nich Meg.

— Czary — powiedziała. — I to najbardziej przekonujące. Wyczułabym to z daleka, gdybyśmy mieli do czynienia z jakąś chytrą

sztuczką.

Nochal skakał ze złością i wymachiwał rękami.

— To ich robota, tych zakazanych krasnali, niech je ziemia pochłonie — zawył. — Tyle razy im powtarzałem, że nie muszą zastawiać pułapek po tej stronie bagna, bo Horda tu się nie zapuszcza. Skoncentrujcie się, mówiłem, na skrawku ziemi na północ od nadrzecznej łąki. Ale nie posłuchali. Krasnale to arogancka nacja i nie lubią słuchać, co się do nich mówi. Zastawili tę skomplikowaną pułapkę na Hordę, a zamiast nich sami w nią wpadliśmy. Krasnali już nie ma, rozpierzchły się razem ze wszystkimi. Nie można ich przywołać, aby otworzyły potrzask.

— Jesteś o tym przekonany? — spytał Duncan.

— Jak najbardziej.

— Skąd ta pewność?

— Bo znam krasnale. Gderliwy z nich lud. I biegły w nader skomplikowanej magii. Nikt inny w naszym bractwie nie potrafi wykonać pracy koniecznej do stworzenia pasma lasu i do...

Trzepot skrzydeł przerwał Nochalowi w pół słowa i wszyscy spojrzeli do góry. To była Nan. Lądowała niezgrabnie, wymachując rozpaczliwie skrzydłami dla opanowania prędkości i utrzymania równowagi. W końcu runęła jak długa twarzą do ziemi. Wstała i chwiejąc się trochę podeszła do nich.

— Nadciąga Horda! — zapiszczała. — Horda jest w drodze! Przelewają się przez wzgórza i suną w kierunku lasu.

— Co teraz? — zaskowyczał Andrew.

— Skończcie z tymi jękami — odburknął Conrad. — I pamiętajcie, że jesteśmy rycerzami Pana.

— Ja nie jestem rycerzem Pana — zawołał Mefisto — ale skoro dochodzi do bitwy, będę walczył u boku tych, którzy do niej staną. Jeśli mam okazję, potrafię być bardzo nikczemnym zabijaką.

— Nie wątpię — mruknęła Meg.

— Miejmy nadzieję — odezwał się Duncan — że czary krasnali działają równie skutecznie przeciw Hordzie...

Urwał w pół zdania wytrzeszczając oczy na drzewa.

— Mój Boże! — wyszeptał — Spójrzcie na to!

Odżyło w jego pamięci wspomnienie pewnego wędrownego artysty, który przed wielu laty zatrzymał się w Domu Standishów, prosząc o odrobinę stawy i nocleg. Skończyło się na tym, że został u nich przez kilka miesięcy, a później trafił do Opactwa, gdzie z pewnością nadal mieszkał i pracował w skryptorium, kreśląc szkice, rysując miniaturowe obrazki i inne zwariowane ilustracje, jakimi zakonnicy lubili ozdabiać swoje rękopisy i zwoje. Duncan przypomniał sobie, że będąc chłopcem spędzał dużo czasu z artystą, którego imię po tych wszystkich latach uleciało mu z pamięci. Uwieszony na pulpicie wpatrywał się jak urzeczony w magiczne kreski ołówka szkicującego widoki i ludzi nie podobnych do niczego i nikogo w jego młodym życiu. Na rysunku, który intrygował go najbardziej i który otrzymał w prezencie od artysty, kilkanaście drzew zamieniało się dziwnie w grupę przerażonych ludzi — drzewa o twarzach tylko trochę, acz przerażająco, przypominających ludzkie. Konary stawały się ramionami, gałęzie wielopalczystymi, chwytliwymi dłońmi. Drzewa zamieniały się w potwory.

A teraz tu, w tym zaczarowanym lesie krasnali, drzewa przyjmowały wygląd potworów, identycznie jak drzewa na rysunku wędrownego artysty. Pnie podtrzymujące zwiotczałe twarze: obwisłe wargi, żarłoczne usta, przeważnie pozbawione zębów, choć niektóre miały kły; perkate, ohydne nosy, rozrastające się na połowie twarzy; upiorne, zimne oczy. Obecnie słychać było szelest liści, w miarę jak konary i gałęzie drzew zamieniały się w ramiona i dłonie potworów, niektóre zakończone palcami, pazurami, jeszcze inne mackami. Machały nimi w szale raptownego przypływu energii i wyciągały się, aby pochwycić ofiarę i rozszarpać ją na śmierć.

Osaczały ich potwory, które były drzewami, albo drzewa, które starały się być potworami.

— Śmierzące krasnale — wściekał się Nochal. — Nie ma w nich śladu przyzwoitości. Ich magia nie odróżnia przyjaciela od wroga.

Z dala, najwyraźniej ze skraju lasu naprzeciw zbrocza, po którym zeszedli, dał się słyszeć stłumiony krzyk.

— To bezwłosi — powiedział Conrad. — Osiągnęli skraj lasu i napotkali drzewa.

— Czyżby? — zdziwił się Andrew. — Bezwłosi nie wyglądają mi na istoty o skłonnościach do krzyku.

— Meg, możesz coś zrobić? — krzyknął do wiedźmy Duncan. — Możesz rzucić urok i przełamać czar?

Andrew podbiegł do drzew rosnących naprzeciw wylotu nieistniejącej ścieżki. Wymachując kijem w ich stronę, intonował łacińskie wersety. Nie słyszałem jeszcze tak okropnej łaciny, pomyślał Duncan.

— Zamknij się! — krzyknął do niego i zwrócił się do Meg: — Mogłabyś jakoś pomóc?

— Niczego nie obiecuję — odparła wiedźma. — Wyjaśniałam już, że moje moce są nader słabe. Odebrano mi wszystkie czarodziejskie przybory.

— Tak, wiem — rzekł Duncan. — Mówiłaś nam o tym. O krwi nietoperza, o łajnie tchórza, o całej reszcie. Ale masz chyba w sobie jakąś moc, która nie potrzebuje tych przyborów.

Następnie ryknął na pustelnika.

— Skończ z tą głupią gadaniną! Tutaj kościelne deklamacje nie przydadzą się na nic.

— A może we dwoje razem? — szepnęła Meg.

Rzadka smuga mgły wypłynęła spośród drzew w miejscu, z którego weszli na polanę.

Conrad stanął obok Duncana i Diany.

— Ta mgła — powiedział — to mgła Hordy. Pamiętacie, kiedy walczyliśmy przed kurhanem. Ma taką samą woń. Zaatakowali nas toczącym się wałem mgły, a później...

— Nie pamiętam zapachu — odparł Duncan.

— No cóż, ja pamiętam — rzekł Conrad. — Mam ostrzejsze powonienie od ciebie.

— Horda próbuje przedostać się przez las — odezwała się Diana.  
— Nochal mówił, że żadna z czarodziejskich pułapek nie może naprawdę zatrzymać Hordy. Niedługo tu będą.

— Ta wytrzyma trochę dłużej niż inne — oświadczył Nochal. — Szaleni krasnale zaiste włożyli w nią serce. Wszystkie ich wysiłki skupiły się na zastawieniu jednej pułapki, która była zbędna. Gdyby nie oni, już dawno bylibyśmy na bagnach.

— Może Meg zdoła wyczarować dla nas ścieżkę — powiedział Conrad.

— Najpierw Andrew musi przestać się wydzierać tą okropną łaciną — odparł Duncan. — Trzeba go uciszyć.

Coś bardzo gwałtownego działo się w sektorze lasu, który przebyli. Drzewa trzepotały z furją, gałęzie smagały powietrze. Usta na pniach otworzyły się jak do krzyku, ale nie wydobywał się z nich żaden głos, choć rozlegały się inne dźwięki — chrzęst i świst zacinających gałęzi, nagłe wrzaski i pomruki.

— Bezwłosi — powiedział Conrad. — Przebijają się.

Podniósł maczugę i ruszył żywo przed siebie.

Na wierzchołkach drzew kładł się strzępiasty czarny dywan, trzepocząc szaleńczo i spływając na dół w ich kierunku. Wyciągnęła się po nich para łap, w otwartej paszczy połyskiwały dwa rzędy igielkowatych zębów, skrzydła zwieńczone haczykowatymi szponami chłostały powietrze.

— Uważajcie! — ryknął Conrad.

Diana odskoczyła w bok, widząc tuż nad sobą strzęp czerni. Jej miecz zajaśniał wysoko i opadł niczym błysk światła. Ugodził w wibrujące skrzydło i przeciął je na pół. Stwór wygiął się, wchodząc w lot ślizgowy, ale czekał już na niego miecz Duncana. Odpadła jedna z główek i reszta skrzydła. Bestia runęła na ziemię. Conrad spuścił maczugę na drugi łeb i stwór śmignął wokół polany, wijąc się, kręcąc kółka, skacząc w powietrzu i koziołkując niczym kura z uciętą głową.

Duncan spostrzegł na swym mieczu kleistą czarną posokę, taką samą jaką chlusnęła z ran trzepoczącej i piszczącej bestii, którą zabił

przy kurhanie.

Zerknął na niebo i zobaczył, że od drzew oderwał się następny latający dywan. Zawisł przez chwilę nad polaną, ale nim Duncan zdążył oderwać od niego wzrok, dywan wykręcił i zniknął za drzewami.

Spojrzał przez ramię na Meg i Andrew. Stali obok siebie zwrócenii twarzami ku drugiej stronie polany. Pustelnik z furią potrząsał kijem i wykrzykiwał łacińskie sentencje. Wiedźma wykonywała ramionami serie kabalistycznych gestów i wznosiła piskliwie monotonną pieśń. Tak zasupłane i splątane ze sobą słowa przekraczają możliwości ludzkiego języka, pomyślał Duncan.

Coraz więcej mgły wtaczało się na polanę. Spoza drzew, nisko przy ziemi, ukazała się spiczasta głowa z okrutnym dziobem, kręta i ruchliwa jak wąż, sunąc przed siebie na małych jaszczurczych nogach. Unosiła się do góry i kołysała z boku na bok, jak gdyby czegoś szukała i gotowała się do zadania ciosu. Diana skoczyła naprzód, biorąc długi, spokojny zamach lśniącym mieczem. Głowa z dziobem wystrzeliła w powietrze, następnie wylądowała na ziemi w powodzi gęstej, szerniałej posoki, jaka wylała się z przeciętej szyi. Ale długie, kręte, węzowate ciało, napędzane wielką liczbą nówek, sunęło dalej. Kiedy przednia część upadła na ziemię, reszta wychodzącego zza drzew stwora zwała się bezwładnie.

Drzewa trzepotały gwałtownie, jak gdyby uderzane wściekłym wichrem. Otwarte usta na pniach kontynuowały niemy krzyk, gałęzie dygotały z furią, ramiona wyciągały się po ofiary. Wrzaski, często raptownie zamierające, brzmiały niekiedy z czeluści puszczy. Potężny konar obarczony dziesiątkami ramion dźwignął się w powietrze. W uścisku rąk wiło się rozerwane ciało bezwłosego. Inny bezwłosy zataczał się między drzewami, padał na kolana, wstawał prędko i włókł się ku nim z maczugą w dłoni.

Duncan skoczył mu naprzeciw, ale Conrad zjawił się tam wcześniej. Zanim bezwłosy zdołał unieść maczugę, otrzymał cios od Conrada. Rozległ się głośny chrzęst miażdżonej czaszki, bezwłosy

zatonął się i upadł, ale za nim ukazał drugi, potem następny i jeszcze jeden. Bezwłosi sforsowali las i wpadali na polanę.

Duncan zobaczył uniesioną rękę, z maczugą w zaciśniętej pięści, i w odruchu samoobrony zatonął łuk mieczem. Ramię odpadło i spadająca maczuga uderzyła go silnie w lewy bark. Kątem oka zobaczył Dianę; stała u jego boku, trochę z tyłu. W dłoni milady błyskał miecz, którym siekła na lewo i prawo. Zaatakował go kolejny bezwłosy, Duncan odskoczył przed wirującą maczugą i trafił napastnika w szyję czubkiem miecza. Lecz za tym bezwłosym nacierał drugi i Duncan zrozumiał, że tym razem maczuga pozostawi swój ślad, zanim zdoła unieść miecz. Kiedy o tym myślał, śmignęły mu nad barkami dwa wierzgające, grzmocące kopyta. Jedno z nich kopnęło bezwłosego prosto w twarz. Tułów Daniela wpadł na Duncana; ten upadł na ręce i kolana. Majaczył nad nim wielki brzuch konia. Daniel parszając z wściekłością rozdzielał razy kopytami i zębami.

Duncan spostrzegł, że Conrad również znajduje się na ziemi; czołga się powłócząc prawym ramieniem. Miał nad sobą rozkraczonę bezwłosego, który zamierzał się na niego uniesioną maczugą. Duncan zerwał się na nogi, robiąc wypad wiedział jednak, że nie zdąży. Zanim uda mu się przeszkodzić, maczuga opadnie trzaskiem na głowę Conrada. Nagle między Conradem i bezwłosym wyrosła jak spod ziemi ciemna, zdecydowana postać, wysunął się trójząb podtrzymywany rękami i całą siłą muskularnego ciała Mefista. Ostrza ugodziły bezwłosego w szyję tuż pod brodą, zatapiając się do połowy.

Rozległ się ryk wydany głosem pustelnika:

— Ścieżka! Jest ścieżka!

Duncan był już na nogach, uwagę miał podzieloną między niespodziewany krzyk pustelnika a wziętego na harpun bezwłosego. Ten powoli przechylił się do tyłu i wypuścił maczugę z ręki, bo Mefisto szarpał gwałtownie za trzonek trójzębu, aby go wyciągnąć. Za Conradem Malutki odskoczył od ciała powalonego przez siebie bezwłosego i czał się do nowego ataku. Wydawało się po chwili, że nie



ma celu do ataku. Bezwłosi zniknęli. Wał mgły nadal wytaczał się na nich z lasu i drzewa wciąż młóciły jak szalone gałęziami, ale mała grupka bezwłosych, która się przedarła, leżała na ziemi umierając albo już bez życia. Andrew nie przestawał krzyczeć:

— Jest ścieżka! Mamy ścieżkę!

— Biegnijcie na ścieżkę! — zawołał Duncan. — Wszyscy! Uciekajcie stąd!

Podszedł szybko do Conrada, objął w pół jego masywne ciało i postawił na nogi. Olbrzym grzebał w ziemi po omacku, szukając swojej maczugi. Złapał ją w lewą dłoń i zataczając się ruszył naprzód. Prawa ręka dyndała mu bezwładnie przy boku. Duncan musiał użyć całej swojej siły, aby zwrócić go twarzą w kierunku wyjścia.

— Andrew znalazł ścieżkę — powiedział. — Uciekaj stąd i wejdź na nią.

Przybiegł Malutki z pyskiem wykrzywionym psią zgryzotą. Zajął miejsce obok kuśtykającego Conrada i starał się go podtrzymać.

Pojawił się również Mefisto. Ciągnąc jedną ręką trójzęb po ziemi, wcisnął się między Malutkiego i Conrada.

— Proszę — powiedział do Conrada. — Oprzyj się na moim ramieniu.

Duncan wyciągnął dłoń i wziął maczugę od Conrada.

— Ja ją poniosę — oznajmił. — Oprzyj się o demona. Jest mocny i silny. Pomoże ci iść.

— Nie potrzebuję pomocy — odburknął.

— Głupstwa pleciesz, u diabła.

Conrad położył rękę na ramieniu Mefista i kulejąc ruszył przed siebie.

Duncan odwrócił się do tyłu. Diana trzymała Daniela za grzywę i prowadziła go na drugi koniec polany w kierunku ścieżki pustelnika. Z przeciwnej strony biegł Nochal, poganiając przed sobą Meg.

Duncan obrócił się wokoło, obrzucając las pożegnalnym spojrzeniem. Drzewa były nadal w stanie wzburzenia i wciąż sączyły się z nich mgła. Ale nie wychodzili już bezwłosi ani węzowate stwory

o okrutnych dziobach.

Wiedział, że muszą szybko stąd uciekać. Magia wbudowana w las przez krasnale może nie trwać długo, a kiedy jej zabraknie, przed Hordą otworzy się droga do ataku. Daj nam czas, modlił się. Czas na przebycie lasu i dotarcie do bagien.

Ponieważ na bagnach będą chyba bezpieczni. Nawet jeśli bezwłosi lub inni członkowie Hordy spróbują ich gonić przez moczary, obrona będzie względnie łatwa.

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

— Chodźmy, Duncanie — powiedziała Diana. — Wszyscy są już na ścieżce.

Odwrócił się bez słowa i poszedł za nią.

Dukt leśny był wąski, miejsca starczało ledwo dla jednej osoby. Daniel może mieć trochę kłopotu, pomyślał Duncan.

Słyszał, jak torują sobie drogę przed nim. Nochal powiedział w złości, że głupie krasnale zastawiły pułapkę, która nie odróżnia przyjaciela od wroga... ale w tej sprawie skrzat się mylił. Nie ustąpiła przed magią Hordy, ale zareagowała na gusła Meg i łacińskie okrzyki Andrew.

Powoli cofał się na ścieżkę, spoglądając wstecz. Po każdym kroku ścieżka zamykała się za nim. Drzewa pojawiały się znikąd lub przesuwały, blokując drogę, i rozgrzewała się gęsta roślinność.

Odwrócił się i powiedział do Diany:

— Uciekajmy.

Zobaczył na przedzie otwarte niebo i chwilę później wypadli z lasu. Pozostali zbiegali po stoku. Conrad sadił długimi krokami na końcu, przytrzymując lewą ręką bezużyteczne prawe ramię.

Na samym przedzie biegł Mefisto, zmierzając w stronę bagna. Stał na chwilę przed wodą i rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukając znaku orientacyjnego. Niebawem przebiegł kilka kroków wzdłuż brzegu i zanurzył się w wodzie. Pozostali poszli jego śladem.

Dotarłszy do bagien, Diana i Duncan od razu weszli do wody. Z początku sięgała im tylko do kostek. Potem miejscami była głębsza,

ale nigdy nie sięgała wyżej kolan. Rozciągała się przed nimi niewielka skalista wysepka. Tamci dotarli już do niej, wdrapali się na górę i zniknęli. Kilka minut później Diana i Duncan wspięli się na brzeg po zwałach kamieni. Znaleźli ich po drugiej wyspy przycupniętych poza obrębem widoczności z brzegu — Daniel stał w wodzie skutecznie osłonięty skalnym rumowiskiem.

Mefisto podniósł rękę i machnął do nich, aby zeszli na brzeg.

— Tu się schowamy — oznajmił. — Jeśli Horda nas nie zobaczy, chyba nie odważy się tu zapuszczać. Nie mają pojęcia, że można sforsować bagna.

Leżeli za skałami i obserwowali. Las stał w dalszym ciągu, choć z tej odległości nie było widać żadnego ruchu poza drobnymi kłębam mgły, która wciąż się z niego snuła.

Znowu słyszeli płacz. Czasami rozlegał się głośno i wyraźnie, czasami zanikał.

Nochal przyczołgał się pod urwisko i legł obok Duncana.

— Ci szaleni krasnale — westchnął — lepiej się sprawili, niż można było oczekiwać. Nawet wiedźma nie wykryła czaru w lesie. Wciąż stoi, tam gdzie stał.

W tym samym momencie drzewa zniknęły, przepadły wszystkie naraz. Pozostało nagie wzgórze, na które weszli wcześniej. Tylko tu i ówdzie można było zauważyć pojedyncze sylwetki bezwłosych, a za nimi inne, tonące we mgle stworzenia.

Bezwłosi ruszyli w dół po skarpie, człapiąc nogami. Przy skraju moczarów zatrzymali się, spoglądając na wodę, a następnie jęli biegać tam i z powrotem po brzegu niczym psy gończe szukające tropów. Po chwili wrócili na wzgórze przez wał mgły, który sunął w ślad za nimi. Wkrótce mgła i bezwłosi zniknęli po drugiej stronie wzgórza i więcej się nie pojawili.

— Poczekamy tutaj do wieczora — powiedział Mefisto. — To nie potrwa długo. Słońce zaraz zajdzie. Wtedy wyruszymy. Tu nigdy nie jest naprawdę ciemno. Zawsze jest trochę światła odbitego od wody.

Conrad siedział zgięty wpół na kamieniu przy skraju wyspy

i przyciskał zranione ramię do ciała. Duncan zszedł na dół do niego.

— Pozwól mi obejrzeć rękę — powiedział.

— Boli jak diabli — oświadczył Conrad — ale raczej nie jest złamana. Mogę nią poruszać, jeśli muszę, chociaż czuję ból. Oberwałem maczugą tuż pod łokciem.

Górne ramię było tak obrzmiałe, że skóra aż błyszczała. Od barku do łokcia ciągnęła się czerwona pręga, która zaczynała już purpurowieć. Duncan delikatnie ścisnął rękę i Conrad drgnął.

— Ostrożnie, uważaj — powiedział.

Duncan wziął łokieć w dłonie i poruszył nim bez pośpiechu w górę i w dół.

— Nie jest złamana — oświadczył. — Miałeś szczęście.

— Powinieneś ją nosić na temblaku — odezwała się Diana. — Tak jest dużo łatwiej.

Sięgnęła do kieszeni swojej nowej kurtki z kozłej skóry i wyciągnęła cienką, zieloną suknię, którą nosiła w zamku.

— Możemy ją wykorzystać — oświadczyła.

Conrad spojrział na tkaninę.

— Nie mogę... — stęknął. — Jeśli plotka dotrze do majątku...

— To bzdura — przerwała mu. — Oczywiście, że możesz.

Duncan położył maczugę obok Conrada.

— Weź ją.

— Dziękuję — odparł Conrad. — Nie chciałbym jej utracić. Najlepsze drzewo, dobrze sezonowane. Poświęciłem wiele godzin, aby nadać jej właściwy kształt.

Diana sprawnie zamieniła suknię w temblak, owinęła nim rękę i związała przy barku. Potem roześmiała się wesoło.

— Trochę za dużo tkaniny — powiedziała. — Będzie wisiała na tobie jak peleryna. Ale będziesz się musiał z tym pogodzić; nie podrę jej na kawałki. Może mi się jeszcze przydać.

Conrad uśmiechnął się do niej, szczerząc zęby.

— Pewnie wszyscy są głodni — rzekł. — Tam stoją Piękna i Daniel. Niech ktoś zdejmie tobołki; jest w nich trochę jedzenia.

— Ale bez żadnego gotowania — powiedział Duncan. — Nie możemy rozpałcić ognia.

— I tak nie ma drzewa na podpałkę — mruknął Conrad. — W pakunkach musi jakieś jedzenie, które zdołamy przełknąć na zimno.

Kiedy nadszedł wieczór, Duncan i Diana siedzieli razem na otoczaku obok wody. Milczeli od jakiegoś czasu. Wreszcie Diana powiedziała:

— Duncanie, chodzi o miecz. Ten, który dostałam od Nochala.

— Tak. Czy coś się z nim stało?

— Nic. Absolutnie nic. Ale jest dziwny.

— Nie jesteś do niego przyzwyczajona.

— To nie to. Mam... jakby to powiedzieć? Mam wrażenie, że ktoś mi pomaga. Jakby cudze ramię, a nie moje, nim władało. Jakby ktoś wstępował we mnie i pomagał mi się nim posługiwać. Nie to, żebym traciła nad nim kontrolę, bo jej nie tracę. Ale mam wrażenie, że mi ktoś pomaga.

— To tylko twoja wyobraźnia.

Potrząsnęła głową.

— Myślę, że nie. Był kiedyś miecz, który wrzucono do wody...

— Przestań — rzekł stanowczo. — Wystarczy tych fantazji.

Wystarczy.

— Ale ja się boję, Duncanie.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął mocno do siebie.

— Już dobrze — powiedział. — Wszystko w porządku.

To było jak chodzenie po malowidle, myślał Duncan. Po jednym z tych niebieskich, pastelowych krajobrazów z krainy baśni, które wisały w salonie Domu Standishów, wspaniałych małych płócien namalowanych tak dawno temu i przechowywanych tak długo, że nikt już nie pamiętał imienia artysty. Niewielki dobór kolorów, wszystko pociągnięte różnymi odcieniami błękitu z wyjątkiem bladego księżyca rozświetlającego ckliwą żółcią lazur chmur i nieba. Żadnych kontrastów, jedynie subtelna gradacja barw, tak że z daleka płótno sprawiało wrażenie niebieskiej plamy. Szczegóły dawały się zauważyć z bliska i dopiero wtedy można było się zorientować, o co chodziło malarzowi. Duncan pamiętał dobrze jeden z pejzaży, niezwykle podobny do tego, płaski, wodnisty krajobraz ukazujący bezmiar wody, o ciemniejszych tonach, napomykających o dalekiej linii brzegowej, a na niebie, tak jak teraz, cklivy żółty księżyc.

Od wielu godzin brodzili w wodzie, depcząc sobie niemal po piętach. Szli dokładnie jedno za drugim, skręcając, kiedy skręcił idący o krok wcześniej, aby nie spaść z wąskiej skalnej rafy, na której Mefisto szukał po omacku drogi na czele kolumny.

Poza księżycem było trochę gwiazd na niebie, lecz od czasu do czasu wiatr przynosił cienkie obłoki, które ukrywały je przed ludzkim wzrokiem. Płaska, gładka powierzchnia bagna, działając jak zwierciadło, chwytala i odbijała każdy promyk światła, który na nią padał. Kiedy oczy dobrze przystosowały się już do ciemności, mieli wrażenie, że nie idą wcale podczas nocy, tylko że zapada zmierzch, ta szczególna chwila w ciągu dnia, kiedy ostatni, pogłębiający się

półmrok ustępuje ostatecznie przed nocą.

Diana maszerowała na czele kolumny, tuż za Mefistem, Duncan natomiast szedł na końcu, mając przed sobą eremitę. Odnosił wrażenie, że pustelnika ogarnia zmęczenie: od czasu do czasu potykał się, a potem chlapał swoim kijem bardziej, niż to konieczne. Duncan zdawał sobie sprawę, że niedługo będą musieli zatrzymać się na odpoczynek. Ufał, że wkrótce spotkają kolejną skalistą wysepkę. Odkąd opuścili pierwszą wyspę, napotkali i minęli dwie inne. Duncan nie miał pojęcia, czy dalej są jeszcze jakieś wyspy. Liczył na to, ponieważ Andrew najwyraźniej gonił resztkami sił i być może nie tylko on. Pomimo swych niespożytych sił Conrad musiał przeżywać katusze z powodu obolałej ręki.

Woda nie była głęboka, rzadko sięgała mu wyżej kolan, ale brodzenie w niej szło powoli i mozolnie. Przed każdym krokiem należało wyciągnąć nogę i szukać po omacku solidnego podłoża, zanim można było przenieść na nią ciężar ciała.

Nic nie zakłócało marszruty. Dwa razy z trzęsawiska wystrzeliły ogromne cielska, ale wskutek płytkości wody nie zdołały osiągnąć idących na podwodnej rafie. Pierwszego potwora Duncan nie zobaczył, gdyż ten wynurzył się daleko z przodu. Usłyszał tylko gwałtowny plusk, kiedy stworzenie próbowało zapędzić się na podwodną rafę. Drugiego widział przelotnie, w nikłym świetle zdołał ujrzeć wyłącznie jego zarys. Miał potężne cielsko i trochę ropuszy łeb. Największe wrażenie sprawiało pojedyncze oko wielkości pięści, które mignęło przez chwilę w poświacie księżyca, płonąc czerwonym blaskiem niczym rozogniony klejnot.

Przez całą noc słyszeli daleki płacz nad światem, a teraz Duncan nabierał wrażenia, że muszą się do niego zbliżyć. Był głośniejszy i nie zanikał tak jak przedtem. Rozlegał się nieustannie — wprawdzie lament zmieniał tonację, ale nigdy nie ucichał. Gdyby się na nim skoncentrować, myślał Duncan, płacz nie tylko zadręczyłby człowieka, lecz także odebrał mu nadzieję. Mniej więcej od godziny Duncan miał wrażenie, iż się do niego przyzwyczajają. Człowiek może przywyknąć

do wszystkiego. Ale może to były tylko jego pobożne życzenia.

Andrew potknął się i upadł na kolana. Duncan szybkim ruchem chwycił go i podniósł na nogi.

— Padasz ze zmęczenia — zauważył.

— Jestem skonany — jęknął pustelnik. — Na ciele i duszy.

— Mogę zrozumieć, że na ciele — odparł Duncan. — Ale dlaczego na duszy?

— Dobry Bóg w swojej łaskawości zechciał mi pokazać, że dzięki latom niestrudzonych i sumiennych starań osiągnąłem pewien stopień świętości. A jak ją wykorzystałem? Jaki użytek zrobiłem ze swej skromnej mocy? Zaraz ci powiem. Spuściłem demona z łańcucha. Pokonałem, lub brałem udział w pokonaniu złośliwej i przebiegłej magii pogańskiej, ale dopiero przy pomocy osoby zajmującej się guślarstwem. Współpraca z wiedźmą, czy z inną siłą nieczystą, bądź osobą parającą się magią, to zła sprawka, mój panie. A jeszcze gorsza przypisać sobie zasługę za coś, co równie dobrze można było dokonać samym guślarstwem, bo nie wiem do jakiego stopnia, jeśli w ogóle, ponoszę odpowiedzialność za otwarcie ścieżki, którą uciekliśmy z lasu.

— Któregoś dnia ta nieprzeparta litość nad sobą doprowadzi cię do śmierci i wiecznego potępienia — odrzekł szorstko Duncan. — Pamiętaj, człowieku, że jesteś rycerzem Pana — być może samozwańcem, lecz jednak, we własnym sercu, rycerzem Najwyższego.

— Owszem, rycerzem Pana, ale jakże nędznym — odparł pustelnik. — Małym oferumą, niezdarnym partaczem, który w duszy trzęsie się ze strachu, który nie znajduje w bitwie żadnej radości, który zmusza się do zostania kimś, kim nie może zostać.

— Poczujesz się lepiej — pocieszył go Duncan — gdy tylko będziesz miał okazję do odpoczynku. To był ciężki dzień dla wszystkich, a nie zaliczasz się już do młodzieniaszków. Znosząc dzielnie niewygody, ujawniłeś prawdziwie rycerskiego ducha.

— Trzeba mi było pozostać w mojej skromnej celi, a nie wybierać



się na poszukiwanie przygód — westchnął Andrew. — Wyprawa ujawniła zbyt wiele prawdy o mojej rzeczywistej naturze, aby mieć dobre samopoczucie. Niczego nie dokonałem, a ponadto...

— Zaraz, chwileczkę — przerwał mu Duncan. — Mam wrażenie, że dokonałeś całkiem dużo. Gdybyś nie uwolnił demona, nie mógłby nas przeprowadzić przez bagna.

Andrew poweselał.

— Nie pomyślałem o tym — stwierdził. — Jednakże by tego dokazać, dałem pomoc i ulgę pomiotowi Szatana.

— Mefisto nie należy już do Szatana. Nie zapominaj o tym. Uciekł z piekła.

— Ale to nadal stwór nikczemny. Nie obdarzony łaską ani zdolnością...

— Jeśli zmierzasz do tego, że nie nawrócił się na wiarę chrześcijańską, to masz rację, nie nawrócił się. Ale zważywszy, co dla nas zrobił, musimy go zaliczyć do przyjaciół i sojuszników.

— Czasami wydaje mi się, panie, że masz osobliwą hierarchię wartości.

— Każdy z nas musi podejmować decyzje na podstawie swojej własnej hierarchii — odparł Duncan. — No, chodźmy już. Nie bój się; jeśli się znowu potkniesz, będę przy tobie i wyciągnę cię z wody.

Pustelnik ruszył naprzód na niepewnych nogach, Duncan zaś szedł za nim i przypatrywał się bagnetom. Był to płaski teren, wielki obszar kryształowo czystej wody, rozciągający się na wszystkie strony, przerywany tu i ówdzie ciemniejszymi plamami. Były to zapewne kępy szuwarów porastających rozlewisko płytkiej wody albo małe kępy wierzb zakorzenionych w błotnistej mieliźnie.

Płacz trwał dalej, wzbierając, opadając: samotny głos mogący ściąć krew w sercu człowiekowi, który ośmieliłby się go słuchać, zamknąwszy uszy na cokolwiek innego. Choć Duncan słuchał go mimochodem, po jakimś czasie wydało mu się, że dźwięk zyskuje na ciężarze, jak gdyby stanowił substancję fizyczną, która przygniata człowieka. Zadawał sobie pytanie, czy to właśnie nie ciężar płaczu

kładzie się na bagnach i sprawia, że są takie płaskie i pozbawione rzeźby. Nic, nawet tego rodzaju wodna głusza nie może pozostać niewzruszona pod ciężarem płaczu nad światem.

Zamajaczyły przed nim zwały skał, kolejna wyspa. Tamci wspinali się już na nią. Przyspieszył kroku, złapał Andrew za ramię i pomógł mu przejść po wielkich bryłach rozłupanego kamienia. Zobaczył płaski głaz, który świetnie nadawał się na krzesło, a potem obrócił pustelnika dookoła i usadowił go na nim.

— Zostań tutaj i odpocznij — polecił eremicie. — Nie ruszaj się, dopóki po ciebie nie przyjdę. Jesteś wykończony.

Andrew nic nie odpowiedział. Podciągnął kolana, położył na nich ręce i podparł głowę łokciami.

Duncan wdrapał się na skały i znalazł resztę kompanii po drugiej stronie wyspy. Siedzieli i wypoczywali.

— Myślę, że powinniśmy zatrzymać się na chwilę — powiedział do Nochala. — Wszyscy są zmęczeni. Andrew pada z nóg.

— Jak każdy — odparł skrzat. — Conrad ledwo żyje, choć jest taki duży i mocny. Obolała ręka daje mu się we znaki. Będziesz musiał porozmawiać z Mefistem. Przemów mu trochę do rozsądku. Zawział się, aby iść dalej. Ten demon to istny worek mięśni, nie wie, co to zmęczenie. Mógłby brodzić w tym bagnie bez końca. Pozwolił nam odpocząć tylko przez chwilę i zaraz mamy ruszać dalej.

— Skąd ten pośpiech?

— Nie wiem. Musieliśmy już zrobić więcej niż połowę drogi przez bagna. Trudno ocenić. Wszystko wygląda tak samo, nie ma żadnych znaków orientacyjnych.

— Pogadam z nim. Może mieć swoje powody. Nie widziałeś gdzieś Nan?

Nochal zrobił skrzywioną minę.

— Myślę, że odeszła.

— To znaczy, opuściła nas?

— Nie wiem tego na pewno, ale chyba tak. Ona bardzo słabo lata. To raczej podfruwanie.

— Tak, wiem.

— Nie dziw się jej. Na ziemi może lądować zawsze i wszędzie, a tutaj nie ma gdzie postawić nogi, wszędzie woda. Wróżki nienawidzą wody. Poza tym tu jest niebezpiecznie.

— Myślisz o potworach, które goniły za nami?

— Tak, właśnie o nich. Nic nam nie grozi z ich strony, dopóki chodzimy po rafie. Tutaj nie mogą nas dopaść. Woda jest zbyt płytka, a one zbyt duże. W przeciwnym razie już by nas pożarły.

— Są inne niebezpieczeństwa?

Nochal szarpnął ramieniem.

— Nie wiem. Słyszy się to i owo. Różne opowieści krążą o bagnach. Dlatego, że nikt ich dobrze nie zna. Nikt się nie wypuszcza na moczary.

— Sądysz więc, że Nan odleciała?

— Chyba tak. Sam nie wiem. Tak czy owak, nie raczyła się pożegnać.

— Może doszła do wniosku, że już dość dla nas uczyniła.

— Kto wie.

Duncan utorował sobie drogę na skraj wyspy. Zastał tutaj Mefista usadowionego na otoczaku. Przykucnął obok niego.

— Ludzie są wykończeni — powiedział. — Dlaczego nie możemy zostać tu do świtu, aby trochę odpocząć?

— Musimy jak najszybciej sforsować bagna — odparł demon. — Popatrz tam. — Skinął głową i Duncan spojrział we wskazanym kierunku. — Widzisz te szczyty? Trzy nagie szczyty. Trudno je dostrzec.

Duncan pokręcił przecząco głową.

— Czy ja wiem. W jednej chwili wydaje mi się, że coś widzę, a w drugiej obraz znika.

— To Wyspa Płaczu Nad światem.

— Tam gdzie mieszkają smoki.

— No właśnie — odrzekł Mefisto. — Mogą nas nie zobaczyć w ciemnościach, choć wydaje się, że smoki potrafią widzieć nocą. Nie

jestem pewien. Jeżeli potrafią, to niezbyt dobrze. Jeśli dotrzemy na wyspę przed świtem, może zdołamy uniknąć ciężkiej przeprawy z nimi. Nie możemy dać się im zobaczyć na wodzie, a mamy jeszcze szmat drogi do pokonania. Wybiorą nas wszystkich jednego po drugim.

— Więcej szans będziemy mieli na wyspie, której strzegą?

— Tak. Nie będą mogły rzucić się na nas. Mają za dużą rozpiętość skrzydeł i nie precysną się wśród skalistych turni. Zaatakują nas, rzecz jasna, na ziemi, ale wtedy będzie łatwiej poradzić sobie z nimi. Zabij kilka sztuk, a reszta sama rzuci się do ucieczki. Smoki to z gruntu tchórzliwa banda.

— Uważasz więc, że powinniśmy się spieszyć?

— A co nas powstrzymuje?

— Andrew ledwo stoi na nogach. Conrad cierpi na ból ręki i podupada na siłach.

— Posadź któregoś na konia.

— Meg już dosiada Daniela. Waży tyle co piórko, ma się rozumieć, ale wolałbym nie obciążać go bardziej. Nie chcę go zmęczyć. To najlepszy wojownik, jakiego mamy. Gdy przyjdzie czas zmierzyć się ze smokami, chcę, żeby był na miejscu w pełni sił do walki.

— Ważne, abyśmy spróbowali dostać się na wyspę najpóźniej o świcie, łaskawy panie.

— Kiedy już będziemy na tej wyspie płaczu, ile bagna pozostanie do przebycia?

— Niedużo. Mniej więcej milę. Blisko zachodniego brzegu.

— Zdołamy przebiec z wyspy na brzeg mimo smoków?

— Jeśli zobaczą nas w czasie opuszczania wyspy, to może nie będą nas gonić tak zawzięcie. Ich zadaniem jest pilnowanie wyspy. Opuszczając ją przestaniemy stanowić zagrożenie. Sądzę, że to powinno się udać. W każdym razie mam taką nadzieję.

W górze dał się słyszeć cichy szmer. Duncan podniósł wzrok i zobaczył szybującego Ducha.

— Przynoszę smutne wieści — oznajmił. — Zdarzyło się coś

nieoczekiwanego — powiedział i umilkł dramatycznie.

— Dobrze, w porządku — powiedział Duncan. — Porzuć głupią pozę, złap oddech i zwał na nas całe nieszczęście.

— Jak dobrze wiesz, nie muszę łapać oddechu — odparł Duch. — I nie zamierzam na nikogo zwałć nieszczęścia. Po prostu mówię prawdę.

— No to gadaj! — Duncan zaczął się niecierpliwić. — Podziel się z nami tą straszną prawdą.

— Horda wstrzymała marsz na północ i zawróciła. Rozłożyła się na zachodnim brzegu naprzeciw Wyspy Płacz, a jej elementy zaczęły tworzyć masywną sferę.

— Mój Boże — westchnął Duncan. — Rój. Zaczynają formować rój.

— Rój?

— Tak, rój. — Duncan zwrócił się do Mefista. — Wspominałeś, że zwykle formują rój.

— Powtórzyłem tylko to, co słyszałem — odparł demon.

— Mówiłeś, że to rój obronny. Zyskujący na sile dzięki osobistemu kontaktowi wszystkich członków Hordy. Gromadzenie się. Wspólnota w obliczu zagrożenia.

— Takie objaśnienie wpadło mi w ucho.

— Przeciw nam, na miłość boską! — wykrzyknął Duncan.

— Jeśli w moich słowach było trochę prawdy — rzekł demon — mógłbym przypuszczać, że to obrona przeciw nam. Stanowimy jedyne niebezpieczeństwo.

— Cuthbert mówił, że Horda ucieka w popłochu — powiedział Duncan. — Nie miał pojęcia, czego się przełęka. Dlaczego jednak mieliby się nas obawiać? Walczyli z nami i nas pokonali. Nieraz uciekaliśmy przed nimi. Co im może grozić z naszej strony?

— Nie brak dowodów na to, że się was boją — oznajmił Duch. — Nigdy naprawdę nie walczyli z wami, nie członkowie Hordy. Może kilku, góra kilkunastu. Wysyłali na was bezwłosych, a bezwłosi nie muszą wcale należeć do Hordy. Mogą to być wytwory ich magii —

słudzy, wykonawcy rozkazów, którzy mogą nie odczuwać strachu.

— Duch ma rację — stwierdził demon. — Gdyby Horda nie bała się was, już byście nie żyli.

— Co teraz zrobicie? — spytał Duch. — Czatują na was.

— Nie możemy się wycofać — odparł Duncan. — Dotarliśmy już za daleko, aby myśleć o odwrocie. Im prędzej sforsujemy bagna, tym szybciej wyjdziemy im naprzeciw. Może uda nam się prześlizgnąć. Sam nie wiem.

— W każdym razie nie wolno dopuścić do tego, aby zyskali na czasie. Rojenie może trochę potrwać.

— Co zrobicie, stanąwszy wobec Hordy? — zapytał Duch. — Moja skurczona dusza, jeśli w ogóle mam nadal jakąś duszę, kurczy się jeszcze bardziej na samą myśl.

— Zrobimy, co w naszej mocy — odparł Duncan. — Może stawiając im czoło dowiemy się, co trzeba zrobić.

Zerwał się na nogi.

— Przygotuj się, zaraz pokażesz nam drogę — powiedział do Mefista. — Idziemy dalej, natychmiast.

## 29

Płacz nabierał siły i ciężaru — ciężaru w tym sensie, że zdawał się wywierać coraz większy nacisk na ziemię i wodę oraz wszelkie istoty, jakie żyją lub poruszają się na ziemi i wodzie. To było tak, jakby niewidzialna ręka z szeroko rozpostartą dłonią cisnęła w dół, miażdżąc wszystko, co się pod nią znajdowało.

Conrad zaczepił o coś nogą i potknął się, ściągnając rękę z pleców Duncana, na których się wspierała. Duncan rzucił się przed siebie, aby zablokować upadek Conrada i otoczył przyjaciela ramieniem. Ręka ześlizgnęła mu się jednak i siłą rozpędu olbrzymi wpadli razem do wody.

Już trzeci raz Conrad się przewrócił, odkąd rozpoczęli męczący wyścig z czasem, aby dotrzeć na wyspę przed świtem. Poprzednio Duncanowi udało się go złapać wcześniej i zapobiec upadkowi. Wygramolił się z wody i kilkoma silnymi szarpnięciami udało mu się postawić Conrada na kolanach. Olbrzym kaszłał i kichał, wypluwając wodę, której się opił.

— Milordzie — wysapał. — Może idźcie dalej beze mnie?

— Razem to zaczęliśmy i na Boga, razem skończymy.

Conrad z trudem dźwignął się z kolan, wstał kołysząc się na nogach.

— To przez rękę — powiedział. — Ból wyczerpał moje siły. Trzęsie mną gorączka. Idźcie dalej. Później do was dołączę. Na czworakach, jeśli trzeba, ale was dogonię.

— Mogę cię nieść, jeśli trzeba.

— Nie dasz rady, milordzie. Ważę tyle co koń.

— Albo ciągnąć za pięty — dodał Duncan.

— Gdzie moja maczuga? — spytał Conrad.

— Dźwiga ją Nochal.

— Jest za ciężka dla niego. Może mu wypaść z ręki i odpłynąć daleko.

— Posłuchaj — rzekł Duncan. — Na wprost nas znajduje się Wyspa Płacz. O pół mili stąd. Tylko tyle zostało do przebycia. I dotrzemy tam na czas. Nie widać na razie oznak świtu.

— Gdzie smoki? — zainteresował się Conrad. — Powinny być smoki. Tak powiedział Mefisto. Sam słyszałem.

— Idziemy — rozkazał Duncan. — Poruszaj nogami. No, zmusz się. Zaciśnij zęby i chodź. Oprzyj się na mnie.

— To nie w porządku, milordzie, abym się na tobie opierał.

— Do diabła, masz się oprzeć! — wykrzyknął Duncan.

Conrad ruszył chwiejnym krokiem przed siebie, opierając się ciężko na Duncanie, z trudem łapiąc oddech, drżący i osłabiony. Powoli, cal po calu, przemieszczali się do przodu.

Zostawiali nieco z tyłu, ale niedaleko. Tempo marszu było wolne. Wszyscy odczuwają zmęczenie tą straszną wyprawą przez bagna, myślał Duncan. Gdzieś na przedzie Diana poganiała pustelnika, nie dając mu zasnąć, powstrzymując od upadku, nie pozwalając się zatrzymać.

Jak dotąd nie było śladu smoków. Może nie będzie tych gadów, myślał Duncan. Ale myśl była zbyt piękna, aby na nią liczyć.

Gdyby tak ustał ten płacz, mówił do siebie, bodaj na moment, aby dać człowiekowi chwilę wytchnienia. Płacz oraz ciśnienie, wrażenie ciężaru płaczu, który przygniata człowieka, oraz presja, która nie pozwalała bagnu falować i utrzymywała je w bezruchu, płaskie i spokojne — wielka dłoń, która kładła się na wodę.

Raptem z powodu, którego nie znał, dzięki intuicji, która naszała go jako prawda, czy też mądrości, która rozkwitła nagle w jego mózgu, zrozumiał, że to nie sam płacz go gniecie, lecz cierpienia świata — cała rozpacz i nienawiść, cała trwoga, boleść i wina — nagromadzone



w jakiś sposób, wyciśnięte wszystkim mieszkańcom Ziemi i skoncentrowane właśnie tutaj, przelewające się na tę wyspę przed nimi, aby się wyrazić, ukazać swój ogrom. Jak gdyby konfesjonał dla ludzi z całego świata, myślał Duncan, szukających ukojenia i pociechy, które można osiągnąć dzięki rytuałowi spowiedzi. Osiągali je być może, przynajmniej w pewnym stopniu, poprzez lament, które emanował z wyspy. Czyżby rozpacz i wina, boleść i trwoga przemieniały się tu w płacz i oddawały wiatrom, aby je porwały?

To porażająca wiedza; Duncan walczył z nią, bo była straszna, bezsensowna i nierealna. Nie przystoi, aby coś podobnego mogło istnieć — hańba, obrzydliwość, barbarzyństwo. To cud, myślał, że wyspa nie wiła się z bólu, że bagna nie buchały parą i nie kipiały od uderzenia takiego strumienia nieszczęścia.

A jednak, odpychając od siebie tę spontaniczną wiedzę, miał świadomość, że to prawda. Uświadomiwszy to sobie poczuł, że ciśnienie stało się jeszcze większe, jeszcze bardziej przygniatające i bezlitosne niż poprzednio.

Tuż przed nimi zamajaczyła mała wysepka, niewielka sterta kamieni wystających z wody zaledwie trzysta stóp od Wyspy Płacz. Spojrzał w górę, kierując ponownie wzrok na trzy ostre szczyty większej wyspy, które rysowały się niczym granatowe iglice na tle jaśniejszego błękitu nieba. Księżyc już prawie zaszedł, unosił się tylko o dłoń nad mrokiem zachodniego horyzontu. Spoglądając na wschód, Duncan pomyślał, że wkrótce świt może rozproszyc ciemności. Nie był tego pewien, ale miał wrażenie, że wschodnie niebo zaczyna jaśnieć pierwszymi przebłyskami słońca.

Ciemna, krępa sylwetka Mefista wdrapała się na skalistą wysepkę i zniknęła po drugiej stronie kamieni. Za demonem wszedł Daniel z Meg, uczepioną jak pluskwa jego grzbietu. Potem delikatnie przebijając nogami Piękna, która stawiała kroki z precyzją i wdziękiem. Biel przymocowanych do jej grzbietu tobołów połyskiwała w ciemności. Dalej Diana, podtrzymująca kuśtykającego pustelnika. Andrew nie wypuszczał z ręki kija; trzymał go w

śmiertelnym uścisku mimo swej słabości. Za tą parą ciągnęła pająkowata sylwetka Nochala, brodzącego z mozołem od skały do skały. Skrzat dźwigał niepewnie na ramieniu maczugę Conrada, przez którą kilka razy omal nie wpadł w trzęsawisko.

Malutki wrócił z pluskiem przez wodę, aby sprawdzić, jak sobie radzą Duncan i Conrad. Czoło marszczyło mu się niespokojnie. Delikatnie przycisnął nos do Conrada.

— W porządku — powiedział Conrad do brytana, zaciskając z bólu zęby. — Biegnij naprzód. Dogoń ich.

Uspokojony Malutki odwrócił się i pobiegł kłusem, wzbijając fontannę wody.

Podeszli do małego zwaliska kamieni.

— Nie martw się — powiedział Duncan do Conrada. — Trzymaj mnie mocno. Udźwignę twój ciężar.

— Tak, milordzie — odparł Conrad.

— Przed każdym krokiem upewnij się, czy dobrze stoisz. Nie wolno ci się potknąć i znowu urazić w rękę.

Wspięli się wolno i uważnie po kamieniach, zeszli ostrożnie na drugą stronę i znaleźli się znowu w wodzie. Reszta kompanii znajdowała się już w pobliżu wyspy płaczu.

Smoków nie było. Dzięki Bogu, powiedział Duncan do siebie, smoków nie ma.

— Już niedaleko — pocieszał Conrada. — Potem odpoczniemy. Utniemy sobie drzemkę.

Nie przypuszczał, że tak to będzie. Sądził, że potrzeba co najmniej dwóch dni na przebycie bagien. Lecz sforsowali je, albo prawie sforsowali, w ciągu jednej nocy.

Uzmysłowił sobie, że od dłuższego czasu obserwuje swoje stopy, jakby z ich widoku mógł zaczerpnąć wiedzę, gdzie stawiać je najlepiej. Teraz podniósł wzrok i zobaczył, że idący na przedzie zatrzymali się. Stali z głowami zadartymi do góry i wpatrywali się w niebo. Diana przestała podtrzymywać pustelnika, który upadł i brodził w wodzie. Daniel stanął dęba i biedna Meg zsuwała się jak w zwolnionym tempie

z jego grzbietu, po czym runęła w toń bagna. Na tle nieba ponad głową Daniela przemieszczała się czarna sylwetka, przypominająca kształtem nietoperza. Wysuwała zięjący nienawiścią łeb, miała szeroko rozłożone skrzydła i zakrzywiony ogon, którym wywijiała z tyłu.

— Zostań tu! — krzyknął Duncan do Conrada. — Smok! Poczekaj.

Gwałtownie oderwał od siebie zaciśniętą rękę Conrada i skoczył naprzód, wyciągając ze zgrzytem miecz z pochwy. Jedna stopa obsunęła mu się na śliskiej podwodnej skale, i kiedy próbował się wyprostować, druga stopa też się obsunęła. Upadł na plecy i zaczęła się nad nim zamykać woda.

Usiłował wstać, czując że ogarnia go śmiertelna trwoga, ale znowu się poślizgnął. Nagle powietrze rozdarł straszliwy pisk i w tym momencie Duncan zobaczył, że smok bije z furją skrzydłami i unosi się w powietrze, trzymając Piękną w dwóch szponiastych łapach. Tymczasem Daniel wgrzyzł się zębami w szyję potwora i zawisł na niej. Smok dźwignął Daniela do góry, po czym opadł na wodę. Błysnął miecz Diany. Kiedy wykonała zamach, drugi smok poślizgnął się robiąc unik przed jej mieczem i omal nie runął do wody. Jedno z jego skrzydeł zatoczyło szeroki łuk i powaliło milady.

Conrad biegł w kierunku Daniela. Duncan zobaczył, że olbrzym skacze wysoko, wyciągając zdrową rękę. Chwycił szyję smoka i ten wpadł do wody, nie mogąc unieść się w powietrze z dodatkowym ciężarem Conrada.

Oślica przestała piszczeć. Smok wypuścił ją ze szponów i wiotkie ciało Pięknej unosiło się na wodzie, spienionej od zmagania smoka, starającego się wydostać i uciec. Malutki rzucił się z obnażonymi kłami do gardła potwora. Smok wyprężył się, próbując ze wszystkich sił wyskoczyć na powierzchnię, po czym zwałił się do wody i znieruchomiał. Smok, który zaatakował Dianę, bił z furją skrzydłami, unosząc się powoli w powietrze. Diana stała już na nogach.

W górze dał się słyszeć nowy trzepot skrzydeł. Duncan podniósł głowę i zobaczył, że zewsząd nadlatują smoki i zataczają nad nimi szybkie kółka, gotując się do zabijania. Duncan zrozumiał, że już

po wszystkim, tutaj kończy się wyprawa. Jego kompania, wycieńczona długim nocnym marszem, dopadnięta na otwartej przestrzeni niecałe sto stóp od bezpiecznej wyspy płaczu, nie może stawić skutecznego oporu tego rodzaju atakowi. Zapłonęła w nim tak straszna gorycz, że poczuł w ustach smak żółci. Rzucając rykiem wyzwanie, które nie miało słów, z szaleńczym krzykiem nienawiści podniósł miecz nad głowę i ruszył biegiem naprzód, aby zająć miejsce u boku przyjaciół.

Z dużej wysokości, sponad krążących wokoło smoków, z ciemnego błękitu nieba, dał się słyszeć gwałtowny tętent galopujących kopyt, obłędny dźwięk rogu i ujadanie setki psów myśliwskich.

Smoki przerwały krąg, kotłując się z furją w poszukiwaniu dróg ucieczki. W tym momencie wpadł pomiędzy nie i rozproszył je na cztery strony świata Dziki Myśliwy na rżącym rumaku, którego dudniące kopyta wzbijały w powietrze snopy iskier. Koń i jeździec pikowali tak nisko, że Duncanowi udało się zobaczyć przelotnie jego twarz, dziko gorejące oczy pod krzaczastymi brwiami i brodę powiewającą mu nad plecami od gwałtownego pędu własnej szarży. Po chwili koń rozszalałymi kopytami wzbił się z powrotem na błękit nieba unosząc ze sobą Myśliwego, który wywijał trzymanym w dłoni rogiem. Smoki uciekały w popłochu przed psami, ujadającymi za nimi na niebie.

Reszta gromadki biegła coś sił w nogach w stronę wyspy, gdzie czekało ocalenie. Diana ciągnęła za sobą kuśtykającego pustelnika, Conrad brnął z uporem przed siebie bez niczyjej pomocy.

Duncan wydostał się na powierzchnię bagna i zderzył się z oślicą. Kiedy jej dotknął, zrozumiał, że Piękna nie żyje; ciało zwierzęcia unosiło się bezwładnie na wodzie. Przyciągnął je do brzegu, a później usiadł i położył łeb zwierzęcia na swoich kolanach. Wyciągnął niepewnie rękę i pogłaskał ją, ciągnąc delikatnie za długie, jedwabiste uszy. Już nigdy, pomyślał, nie usłyszy dreptania małych kopyt tańczących przed nim na szlaku. Najmniejsza i najpokorniejsza z nich wszystkich, a spotkał ją taki los.

Miękki nos pacnął go w plecy i Duncan odwrócił głowę. Daniel

parsknął z cicha, jakby chciał mu coś powiedzieć. Podniósł dłoń i pogłaskał konia.

— Straciliśmy ją, koniku — powiedział. — Straciliśmy naszą Piękną.

## 30

Duncan spacerował leśną ścieżką, kiedy wpadł na wielkoluda. Była wczesna wiosna i drzewa wyglądały niczym spowite delikatną, zielonożółtą koronką, jak wtedy, gdy z pąków zaczynają się rozwijać liście. Nie brakowało też kwiatów — ziemię pokrywał kobierzec wszelkich barw i odcieni — drobnych kwiatków, które pochylały się przed Duncanem, kiedy je mijał. Miał wrażenie, że widzą go i chcą się przywitać. Las był przyjaznym miejscem, dość odsłoniętym, z mnóstwem przestrzeni dla światła i powietrza, odmiennie niż owa gęsta, mroczna, a nawet przerażająca puszcza, która stale się zamyka za wędrowcem, jakby drzewa usiłowały złapać go w potrzask.

Duncan nie wiedział, gdzie się ów las znajduje, nie wiedział, skąd wyruszył ani dokąd zmierza; wystarczało, że tutaj przebywa. W tej chwili po prostu szedł, to zaś, myślał, jest przyjemne. Nie miał przeszłości, której trzeba żałować, nie miał przyszłości, której trzeba się bać.

Właśnie wtedy pojawił się wielkolud i każdy z nich szedł dalej przed siebie, dopóki nie spotkali się twarzą w twarz. Na wąskiej ścieżce nie było miejsca dla obu naraz. Aby się wyminąć, jeden i drugi albo choć jeden musiał się cofnąć. Lecz żaden się nie cofnął. Stali i obrzucali się wzajemnie spojrzeniami. Duncan wytrzeszczał oczy w górę na wielkoluda, wielkolud wytrzeszczał oczy w dół na Duncana.

Następnie wielkolud się pochylił, wyciągnął olbrzymią dłoń, podniósł Duncana i potrząsnął nim. Nie żałował siły. Głowa Duncana kiwała się w przód i w tył, a nogi tańczyły na wszystkie strony. Ramiona się nie poruszały, ponieważ wielka pięść giganta trzymała

je w mocnym uścisku.

I wielkolud przemówił:

— Obudź się, milordzie. Obudź się. Masz gości.

Duncan usiłował na powrót wpełznąć w sen.

— Zostaw mnie — wymruczał. Ale wielkolud nalegał:

— Obudź się. Obudź się. Obudź się.

Śmieszne, to nie głos wielkoluda wypowiadał te słowa, lecz czyjś inny zgrzytliwy głos, znajomy. Musi to chyba być głos Mefista. Potrząsanie trwało dalej, ktoś bardzo gwałtownie szarpał go za rękę.

Otworzył jedno oko i zobaczył pochylonego nad sobą demona. Otworzył drugie i spostrzegł, że leży płasko na wznak, nad jego głową zaś sterczy występ skalny.

— Już nie śpisz — rzekł Mefisto. — Nie zapadaj znowu w sen. Staraj się obudzić.

Demon z powrotem przykucnął na piętach, ale nie wykonał najmniejszego ruchu, aby się oddalić. Został na miejscu i obserwował go.

Duncan podciągnął się do pozycji siedzącej i poniósł dłoń, aby przetrzeć oczy. Znajdował się na małej ławce skalnej, a nad jego głową rozciągała się kamienna płyta. Za płytą jaskrawo świeciło słońce, a obok stóp ujrzał toń bagna. Niedaleko leżał skulony na boku Conrad w towarzystwie Malutkiego. Brytan spał mocno przytulony do swego pana. Andrew spoczywał na plecach z otwartymi ustami i chrapał.

Duncan zaczął się podnosić, lecz po chwili usiadł z powrotem osłabiony trwogą, która w nim falowała. Uzmysłował sobie, że zasnął, że wszyscy musieli zapaść w sen z wyczerpania, nie zachowując środków ostrożności. Nie postawili nikogo na straży, nikt nie wybrał się na rekonesans. Po prostu legli na kamieniach i zasnęli. Wiedział, że to niewybaczalny błąd z jego strony, uchybienie przywódcy.

Zapytał słabym głosem:

— Czy wszystko w porządku?

— Tak — odparł Mefisto. — Trzymałem straż, kiedy moi przyjaciele spali.

— Przecież także byłeś zmęczony.

Mefisto pokręcił przecząco głową.

— Demony nie znają zmęczenia. Ale ludzie czekają, ekscelencjo.  
W przeciwnym razie bym cię nie budził.

— Kto czeka?

— Kilka starych kobiet. Dość sympatycznych staruszek.

Duncan jęknął i podniósł się na nogi.

— Dziękuję ci, Mefisto — powiedział.

W miejscu gdzie kończyło się jego kamienne łóżko, zaczynała się ścieżka. Wszedł na nią i ledwie opuścił schronienie, jakie dawał mu nawis skalny, uderzyła go presja i ciężar płaczu, aczkolwiek nie było go teraz słychać. A skoro nie ma płaczu, pytał samego siebie z dreszczem niepokoju, to skąd się biorą presja i ciężar? Odpowiedź otrzymał niemal natychmiast — to nie presja i ciężar płaczu, lecz napór nieszczęść tego świata, które ściągają tutaj zewsząd do zniesienia i usunięcia poprzez płacz. Napór wydawał się tak wielki, że chwilami zataczał się pod nim, uświadamiając sobie równocześnie jego smutek, wszechogarniający smutek, który tłumił wszelkie inne uczucia, który obracał wniwecz radość życia, który paraliżował człowieka ogromem nienawiści i przerażenia.

Kobiety, o których wspominał Mefisto — było ich trzy — stały na ścieżce prowadzącej ze skraju bagna do najwyższego punktu wyspy. Miały na sobie długie falujące suknie, sięgające im do kostek, bardzo proste, pozbawione koronek i zdobień. Dawniej miały one kolor biały, teraz jednak były dosyć brudne.

Kobiety trzymały na rękach kosze, stały nieruchomo i czekały na niego. Zgiął kark pod ciężarem nieszczęścia i ruszył ścieżką pod górę, aby się z nimi spotkać.

Kiedy znaleźli się oko w oko, stali przez chwilę w milczeniu, Duncan oraz trzy kobiety, i przyglądali się sobie. Zwrócił uwagę, że nie są już młode. Musiał upłynąć szmat czasu, odkąd skończyła się ich młodość, jeśli ogóle ją przeżywały. Wyglądały, jakby przez całe życie były stare. Jednak mimo zmarszczek na twarzy nie były to stare



wiedźmy. Przeciwnie, zmarszczki przydawały im powagi, a z ich twarzy emanował pewien spokój, który dziwił w miejscu, gdzie koncentruje się nieszczęście.

Nagle jedna z kobiet przemówiła; ta, która stała o pół kroku przed pozostałą dwójką.

— Młodzińcze — zapytała — czy to możliwe, abys to ty zadał gwałt naszym smokom?

Pytanie było tak niespodziewane, a jego konsekwencja tak absurda, że Duncan mimowolnie się roześmiał. Śmiech był krótki i chrapliwy, trochę grzeczniejszy od warknięcia.

— Nie powinienes był tego robić — podjęła kobieta. — Okrutnie je przeraziłeś. Nie wróciły dotąd i bardzo się o nie martwimy. Wygląda na to, że jednego zabiłeś.

— Dopiero po tym, kiedy nie szczędził starań, aby zabić nas — oznajmił Duncan. — Dopiero po tym, jak zabił małą Piękną.

— Piękną? — zapytała.

— Oślicę, pani.

— Tylko oślicę?

— Towarzyszkę podróży — odparł. — Są również koń i pies, one też należą do mojej kompanii. Nie pupilki, nie zwierzęta, lecz prawdziwa część nas samych.

— Oraz demon — powiedziała kobieta. — Ohydny, szpotawy demon. Wpadł na nas i przestraszył nas swoim trójzębem, kiedy szliśmy po ścieżce.

— Demon również — przyznał Duncan. — Mefisto też należy do naszej grupy. Mamy wśród nas, za pozwoleniem, także wiedźmę, skrzata i pustelnika, który prosi, aby go uważać za rycerza Pana.

Kobieta pokręciła głową.

— Pierwsze słyszę — oznajmiła. — A kimże ty jesteś, jeśli mogę spytać?

— Masz przed sobą, pani, Duncana z Domu Standishów.

— Z Domu Standishów? Czemu więc nie przebywasz w Domu Standishów, lecz włóczysz się na tych bagnach i dokuczasz niewinnym

smokom?

— Łaskawa pani — powtórzył monotonnym głosem — trudno mi pojąć, jak możesz tego nie wiedzieć, ale skoro nie wiesz, to ci powiem. Twoje niewinne smoki to najbardziej krwiożercze bestie, jakie spotkałem w swoim życiu. Dalej powiem ci, że choć mieliśmy dobrą i szczerą wolę, aby im solidnie dokuczyć, ktoś inny to za nas załatwił. Byliśmy zbyt wyczerpani forsowaniem bagna, aby sami dokonać tego chwalebnego czynu. To Dzikie Myśliwy dobrał się do nich.

Popatrzyły na siebie z niedowierzaniem w oczach.

— A nie mówiłam? — spytała jedna z tyłu. — Nie mówiłam, że słyszę Myśliwego i ujadanie psów? Ale wyście mnie wyśmiały. Twierdziłyście, że brak mu odwagi, aby zbliżyć się do wyspy, aby wtrącić się do nas i do pracy, którą wykonujemy.

— Muszę przyznać, że odczuwam pewne zainteresowanie waszą pracą — rzekł Duncan. — Jesteście płaczkami nad światem?

— Nie powinno cię to obchodzić, kawalerze — odparła pierwsza kobieta. — Tajemnice, którymi się zajmujemy, to nie temat do rozmów ze śmiertelnikami. Wystarczy, że twe doczesne stopy pogwałciły świętą ziemię, na której stoisz.

— Wszelako jesteśmy w stanie wybaczyć ci twoje świętokradztwo — powiedziała jej siostrzyca. — Udzielamy wam symbolicznej gościny.

Wyszła naprzód i zdjęła z ramion kosz, który niosła na ramieniu po ścieżce. Pozostałe niewiasty ustawiły swoje kosze obok niego.

— Możecie to zjeść bez strachu — oznajmiła ta, która pierwsza postawiła kosz. — Nie ma w tym trucizny. To zdrowe, krzepiące jedzenie. Nie brak na tym świecie naturalnego nieszczęścia. Dlaczego właśnie my mamy przyczynić się do niego?

— Nikt inny nie wie tego lepiej od was — odparł Duncan, nie uświadamiając sobie, dopóki nie wymówił tych słów, jak niewdzięcznie musiały one zabrzmieć.

Nic nie odpowiedziały i wyglądało, że zamierzają się oddalić. Dał

im znak prosząc, aby pozostały.

— Jeszcze jedno — rzekł. — Czy nie widziałyście ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego na wyspie jakiegoś śladu Hordy Oprawców?

Obrzuciły go zdumionymi spojrzeniami, po czym któraś powiedziała:

— To nierozsądne, siostry. Na pewno musiał słyszeć o Hordzie. Zapuściwszy się tak głęboko w Spustoszoną Krainę, z pewnością wie o niej niejedno. Dlaczego mamy mu tego nie powiedzieć?

— Nie zaszkodzi — odparła pierwsza kobieta. — Nikt i nic, on ani nikt inny nie może nam zaszkodzić.

— Horda, szanowny Duncanie, znajduje się po drugiej stronie bagien, na zachodnim brzegu, niedaleko stąd. Muszą wiedzieć, że nadciągacie, bo sformowali rój, aczkolwiek nie mogę zrozumieć, po cóż miałyby się roić wobec takich miernot jak wy?

— Rój obronny? — zdziwił się Duncan.

— Skąd wiesz o rojach obronnych? — spytała ostrym tonem.

Zaśmiał się z niej.

— Zachowaj śmiech na później, młodzieńcze. Jeśli pokonacie ten skrawek bagna i wyjdziecie im naprzeciw, uśmiejesz się do łez.

— A jeśli wrócimy, wasze drogocenne smoki zgotują nam śmierć.

— To wstrętne i grubiańskie z twojej strony — stwierdziła druga kobieta — aby wyrażać się w ten sposób o naszych przyjaciółach.

— Waszych przyjaciółach?

— No jakżeż, to oczywiste — odparła trzecia. — Smoki to nasze pieszczoszki, a bez Hordy byłoby od wieków mniej nieszczęścia na tym świecie...

— Mniej nieszczęścia... — I nagle zrozumiał. Żaden konfesjonał do łagodzenia bólu i dawania pociechy, żadne kojenie lęku i trwogi, lecz delectowanie się ludzkim nieszczęściem, tarzanie się w rozpacz i cierpieniu, jak sępy, które nurzają się w padlinie.

— Hieny — powiedział. — Sępy w sukniach — dodał czując, że ma już ich serdecznie dosyć.

Chryste, czy nie zostało nic przyzwoitego na tym świecie?

Wróżka Nan szlochała nad wdową w jej skromnej chatce, nad matką, która straciła dziecko, nad starymi i zmęczonymi, nad chorymi, nad porzuconymi całego świata i wszystko jedno, czyjej szloch niósł pomoc, czy nie, jego celem było niesienie pomocy. Nan i jej siostry wróżki żałowały każdego, nad którym nie miał się kto uzalić.

Lecz te... płaczki nad światem, które albo same płaczą, albo z pomocą liczego siostrzeństwa, albo też za pośrednictwem jakiejś maszyny piekielnej wytwarzającej modulowany lament — oczyma wyobraźni ujrzał wielką i skomplikowaną maszynę, a obok niej jakiegoś demona, który obracał długą i ciężką korba, wytwarzając żalosne dźwięki — te płaczki wykorzystują nieszczęścia świata; wchłaniają je i przelewają na swoją wyspę, gdzie chcą je zatrzymać, gdzie się nimi rozkoszują, gdzie się w nim tarzają i pławia niczym świnię w obrzydliwym gnoju.

Kobiety odwróciły się i szły ścieżką pod górę. Duncan pogroził im ręką.

— Plugawe suki — powiedział, ale wyrzekł to półszepem, bo nie było sensu na nie krzyczeć; żadnej szkody, ale i żadnego pożytku. Poza tym nie one powinny budzić jego niepokój. Były plugastwem, którego człowiek unika, które obchodzi wokoło i którego stara się nie dostrzegać. Jego niepokój sięgał poza tę wyspę.

Podszedł prędko do koszy, podniósł je kolejno z ziemi i wrzucił w toń bagna.

— Plwamy na waszą gościnę — wycodził przez zęby do oddalających się kobiet. — Nie potrzeba nam skórek od chleba, które nam rzucacie. Bądźcie na zawsze potępione w Piekło!

Z tymi słowy odwrócił się i zszedł na dół. Mefisto i Conrad siedzieli obok siebie na tym samym występie skalnym, na którym wcześniej spali.

— Gdzie inni?

— Pustelnik i wiedźma poszli po toból Pięknej — odparł Mefisto.

— Zauważyli go w bagnie. Unosił się na wodzie przy brzegu. Może coś

nadaje się jeszcze dojedzenia.

— Jak się czujesz? — spytał Conrada.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko.

— Gorączka minęła. Z ręką już lepiej. Obrzęk powoli znika i boli jakby mniej.

— Milady poszła w tamtą stronę — ciągnął Mefisto i pokazał palcem kierunek. — Wspomniała coś o rekonesansie. Zanim cię obudziłem. Nie ma jej już od pewnego czasu.

Duncan spojrział na niebo. Minęło południe i słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Przespali większą część dnia.

— Nie ruszaj się stąd — powiedział. — Kiedy tamci wrócą, każ im też pozostać. Pójdę poszukać Diany. Mówiłeś, że w tamtą stronę?

Demon z uśmiechem pokiwał głową.

— Jeśli będzie coś do jedzenia, to zjedzcie — ciągnął Duncan. — Musimy iść dalej. Szkoda czasu.

— Milordzie — odparł Conrad — zamierzasz wystąpić przeciw Hordzie?

— Nie pozostaje nam nic innego. Nie mamy innego wyboru. Nie możemy wrócić i nie możemy tutaj zostać. Wyspa budzi obrzydzenie.

Conrad wyszczerzył zęby.

— Będę blisko ciebie, kiedy się zaczniesz — oznajmił. — Jedną ręką mi wystarczy do machania maczugą.

— Ja też — rzekł Mefisto. — Nochal miał rację w tym, co mówił o widłach, kiedy mi je dawał. Odpowiednie, powiedział. Święta prawda. Pasują do moich rąk, jakby je dla mnie sporządzono.

— Niebawem się zobaczymy — oznajmił Duncan.

Znalazł Dianę na krótkim cyplu, który wysuwał się na bagna w kierunku, z którego przybyli. Siedziała na małym skalistym pagórku i na odgłos jego kroków odwróciła głowę.

— Czas iść? — spytała.

— Niebawem — odparł. — Za krótką chwilę.

— Czyja wiem — westchnęła. — Starcie z Hordą...

— Muszę ci coś wyznać — przerwał jej. — Muszę ci coś pokazać.

Powiniem był to zrobić dawno temu.

Włożył rękę do torby przy pasie, wyjął talizman i pokazał go Dianie.

Wstrzymała gwałtownie oddech, wyciągnęła po niego rękę, a następnie ją cofnęła.

— Talizman Wulferta? — spytała.

Pokiwał głową.

— Jak go zdobyłeś? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bałem się — odparł. — Bałem się, że zażadasz jego zwrotu. Widzisz, był mi potrzebny.

— Potrzebny?

— Przeciw Hordzie — ciągnął Duncan. — Po to przecież sporządził go Wulfert.

— Ale Cuthbert powiedział..

— Cuthbert się mylił. Talizman chronił nas przed Hordą od dnia, kiedy go znalazłem. Wysyłali przeciw nam swoją czeladź, ale poza kilkoma wyjątkami żaden członek Hordy nas nie zaatakował. Starannie unikali naszego sąsiedztwa.

Wyciągnęła obie dłonie i wzięła od niego talizman. Obracała go powoli, podziwiając blask klejnotów w promieniach słońca.

— Bardzo piękny — powiedziała. — Gdzie go znalazłeś?

— W grobie Wulferta. Conrad mnie tam ukrył, kiedy straciłem przytomność podczas walki w ogrodzie. Gdzie się spotkaliśmy po raz pierwszy, pamiętasz?

— To bardzo dziwne — ukryć cię w grobie.

— Conrad czasami robi dziwne rzeczy. Na ogół z dobrym skutkiem.

— I znalazłeś go tam przez przypadek?

— Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na nim i czułem, że coś mnie uwiera w plecy. Pomyślałem, że to kamień, wrzucony przez kogoś do grobu. Z początku chciałem ci go oddać. Ale później, gdy stało się jasne...

— Rozumiem — odparła. — A teraz sądzisz, że możesz

go wykorzystać przeciw Hordzie. A nawet zniszczyć Oprawców?

— Liczę na niego. To jasne, że coś nas musiało chronić.

— Zapewne talizman. Myślę, że mamy broń, która odstrasza Hordę. Bo inaczej po co mieliby się roić przeciw nam?

— Wobec tego Wulfert od początku miał rację — stwierdziła. — Czarodzieje się mylili. Wypędzili go, a to on miał rację.

— Nawet czarodzieje mogą popełnić błąd.

— Jeszcze jedno — rzekła. — Powiedz, dlaczego właściwie tutaj jesteś? Co cię tu sprowadza? O co tu chodzi? Dlaczego to takie ważne, abys dotarł do Oxenfordu? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Cuthbertowi też nie. Cuthbert byłby zainteresowany. Miał w mieście wielu przyjaciół. Pisał do nich, a oni pisali do niego. Korespondowali przez wiele lat.

— Otóż chodzi o manuskrypt. To długa historia, ale spróbuję ci ją szybko opowiedzieć.

Mówił krótko i zwięźle, używając minimalnej liczby słów.

— Ten uczony z Oxenfordu — podjęła — jedyny człowiek na całym świecie, który może potwierdzić autentyczność manuskryptu. Znasz jego imię?

— Nazywa się Wise. Biskup Wise. To starzec i nie czuje się najlepiej. Dlatego musimy się spieszyć. Biskup jest stary i chory, nie wiadomo, ile mu zostało. Jego Dostojność obawiał się, że Wise już długo nie pociągnie.

— Duncanie — wyszeptała. — Duncanie...

— Tak? Słyszałaś to imię?

Skinęła głową.

— To stary przyjaciel Cuthberta, dobry przyjaciel.

— No to świetnie, w takim razie — odparł.

— Mylisz się, Duncanie, nie świetnie. Biskup Wise nie żyje.

— Nie żyje!

— Kilka tygodni temu Cuthbert dostał wiadomość, że jego stary przyjaciel zmarł. Zapewne przed waszym wymarszem z Domu Standishów.

— O mój Boże! — zawołał, padając na kolana obok Diany.

Zbyteczna wyprawa, myślał. Wszystko na marne. Człowiek, który mógł potwierdzić autentyczność manuskryptu, umarł, zanim w ogóle zdążyli wyruszyć. A więc manuskrypt nie będzie potwierdzony. Już nie. Kto wie, czy kiedykolwiek uda się to zrobić. Może za sto lat znajdzie się drugi człowiek, a może już nigdy nie znajdzie się takiego drugiego człowieka jak biskup Wise. Jego Dostojność będzie musiał poczekać, Święty Kościół będzie musiał poczekać, świat chrześcijański będzie musiał poczekać na tego drugiego człowieka, jeśli w ogóle taki się narodzi.

— Diano — zawołał dławiąc łzy. — Diano!

Wyciągnęła rękę i położyła sobie na kolanach jego głowę. Tuliła go tak, jak matka tuli dziecko.

— Nie krępuj się i płacz — powiedziała. — Nikt cię nie zobaczy poza mną. Łzy przyniosą ulgę.

Nie płakał. Nie umiał ronić łez. Lecz jego serce ścisnęło się z żalu, a duszę wypełniała gorycz. Uświadomił sobie, że do tej pory, aż do ostatniej chwili, nie wiedział albo nie dopuszczał tej wiedzy do siebie, ile manuskrypt dla niego znaczy — nie jako rzecz abstrakcyjna, niosąca potencjalnie dobro całemu światu, ale dla niego osobiście. Dla niego, Duncana Standisha, dobrego chrześcijanina, który wierzył, jakkolwiek ubocznie, że człowiek imieniem Jezus chodził kiedyś po Ziemi, wypowiedział słowa, które Mu się przypisuje, czynił cuda, radował się na ucztach weselnych, pił wino ze swymi braćmi, a w końcu umarł przybity do rzymskiego krzyża.

— Duncanie — szepnęła. — Duncanie, boleję razem z tobą.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— Talizman — wyrzekł.

— Użyjemy talizmanu zgodnie z celem, na jaki przeznaczył go Wulfert.

— Tylko on nam pozostał — odparł. — Przynajmniej coś dobrego może wyniknąć z tej wyprawy.

— Nie masz najmniejszej wątpliwości co do talizmanu?



— Owszem, mam — przyznał. — Ale co innego możemy zrobić?  
— Już nic.  
— Możemy zginąć. Nie wiadomo, czy talizman okaże się wystarczający.  
— Będę na miejscu — powiedziała. — Będę przy tobie.  
— Aby ze mną zginąć?  
— Jeśli do tego dojdzie. Myślę, że nie. Wulfert...  
— Wierzysz w niego?  
— Tak bardzo, jak ty w swój manuskrypt.  
— A co potem?  
— Do czego zmierzasz? Kiedy już będzie po wszystkim? — spytała.  
— Ja wrócę do Domu Standishów. A ty?  
— Znajdę sobie jakieś miejsce. Są inne czarodziejskie zamki. Przyjmą mnie z radością.  
— Jedź do domu razem mną.  
— Jako twoja piastunka? Jako twoja metresa?  
— Jako moja żona.  
— Duncanie, mój najdroższy, płynie we mnie krew czarodziejów.  
— A w moich żyłach płynie krew nikczemnych awanturników, walecznych potworów, łotrów, piratów, grabieżców miast. Cofnij się dalej, a Bóg jeden wie, kogo znajdziesz.  
— Poza twoim ojcem. Twój ojciec jest lordem.  
Przez chwilę Duncan widział oczyma wyobraźni swojego ojca, wyprężonego, rosłego niczym drzewo, straszącego wąsy, o oczach szarych jak granit, a jednak nie pozbawionych blasku i ciepła.  
— Lordem — przyznał. — A mimo to człowiekiem honoru. Pokocha cię jak córkę, której nigdy nie miał. Matka umarła przed wielu laty. Dom Standishów długo czekał na kobiecą rękę.  
— Muszę pomyśleć — oznajmiła. — Jedno mogę ci powiedzieć. Kocham cię bardzo.

# 31

Rój spoczywał na szczycie niewielkiej grani, odsuniętej od brzegu bagien. Przedstawiał okropny widok — czarny, a jednocześnie niezupełnie czarny, bo rozświetlały go niesamowite blaski, przypominające odległe migotanie błyskawic, które podczas letniej i upalnej nocy barwią daleki horyzont. Czasami rój wydawał się masywną, twardą kulą czerni, a kiedy indziej był osobliwie delikatny, jak kłębek luźnej przędzy, jak bańka mydlana na chwilę przed pęknięciem. Nawet w chwilach największej twardości roju zdawało się, że panuje w nim ciągły ruch, jakby stworzenia czy przedmioty będące jego tworzywem próbowały nieustannie się przemieszczać w poszukiwaniu lepszych miejsc dla siebie, przegrupowywać, mieszać ze sobą, aby osiągnąć najkorzystniejszy układ. Skupiwszy na nim wzrok, można było od czasu do czasu zauważyć, tak się przynajmniej Duncanowi wydawało, jakąś sylwetkę, a może pojedynczego członka roju, lecz zawsze trwało to zbyt krótko, aby mieć całkowitą pewność co do ich natury. Obrazy straszliwych kształtów i struktur, które migwały przed jego oczyma, tak bardzo przekraczały granice najdzikszej wyobraźni, że mroziły człowiekowi krew w sercu.

Przemówił do gromadki, która się skupiła wokół niego:

— Wiecie, co mamy robić. Talizman zostanie przy mnie, będę go trzymał nad głową, aby był dobrze widoczny. Pójdę przodem, bez pośpiechu. O, tak. — Wyciągnął do góry rękę, aby się wszyscy przyjrżeli. Klejnoty talizmanu roziskrzyły się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, płonąc niczym mistyczny ogień wszystkimi barwami tęczy, tyle że dużo jaskrawiej od tęczy.

— A jeśli nie podziała? — spytał Conrad.

— *Musi podziałać* — odparła lodowato Diana.

— Musi — przyznał spokojnie Duncan. — Gdyby jednak spełniła się ta niewielka możliwość, że nie podziała, uciekajcie jak wszyscy diabli. Z powrotem na bagna, z powrotem w kierunku wyspy.

— Ja się nie cofnę — rzekł Conrad. — Do diabła z uciekaniem...

Czyjeś ramię sięgnęło do góry i wyrwało talizman z dłoni Duncana.

— Andrew! — zawołał, ale pustelnik biegł już w stronę roju. W wysoko uniesionej ręce trzymał gorejący talizman, drugą ręką bił o ziemię kosturem, miał otwarte usta i wykrzykiwał słowa, które wcale słowami nie były.

Conrad oszalał z wściekłości.

— Głupi, samochwalczy sukinsyn! — zawył.

Duncan skoczył w pogoń za pustelnikiem.

Na wprost niego zamigotał zygzak błyskawicy. W poświacie pioruna ujrzał pustelnika; Andrew stał przez chwilę, płonąc jaskrawym ogniem. Następnie płomienie zgasły i pustelnik stał się dymiącą pochodnią, którą zdmuchnął poryw wiatru. Z uniesionych do góry rąk eremity powiewały tłuste wąsiska dymu, talizman zniknął. Pustelnik powoli skurczył się i zapadł w siebie, zamieniając w kopczyk zwęglonego i dymiącego ciała.

Duncan rzucił się jak długi na ziemię i w tym momencie przeszła go okropna, szalona myśl. Nie talizmanu Wulferta bała się Horda, to nie talizman chronił ich przed Oprawcami w czasie długiej podróży przez Spustoszoną Krainę. Mogłem się domyślić, rzekł do siebie. Na brzegu bagien Horda — na pewno ona — posłużyła się Haroldem Rozbójnikiem do przechwycenia przedmiotu, którego się bała, jedyne przedmiotu, którego nie ośmieliła się zagarnąć własnoręcznie. I dostała talizman, ale porzuciła go na piasku jako rzecz bez wartości.

Jednej rzeczy nie dostała — manuskryptu.

Manuskrypt, pomyślał. Manuskrypt, na miłość boską! Horda usiłowała zniszczyć manuskrypt, usunąć go, obalić. To był cel

ostatniego spustoszenia — zdewastować północny kraniec Brytanii, a odłączywszy go, ruszyć na Opactwo Standish, gdzie przechowywano manuskrypt. Ale zanim byli gotowi do ataku na Opactwo, manuskrypt zniknął stamtąd, autentyczny manuskrypt skreślony ręką tajemniczej postaci, który przemykała ukradkiem, aby obserwować i słuchać. Horda wydawała się zbита z tropu, wspomniał Cuthbert, niepewna siebie. Właśnie dlatego, rzecz jasna. Dowiedzieli się, albo jakoś wyczuli, że manuskryptu nie ma już tam, gdzie był dotąd, że ktoś go niesie przez pustkowia, które sami spowodowali.

Mały, tajemniczy człowieczku, płochliwy, czatujący konspiratorze... rzekł Duncan do kogoś, kto dawno temu skradał się jak wilk dookoła uczniów Jezusa, kto nigdy nie należał do ich grona ani nie chciał być jednym z nich, kto ograniczał się do patrzenia i słuchania, a potem siadał gdzieś skulony, w jakimś zapadłym kącie, aby zanotować wszystko, co zobaczył i usłyszał... Spisałeś się lepiej, niż myślisz, kreśląc słowa Jezusa dokładnie, jak je wypowiedział, bez jakichkolwiek odchyłeń, jakichkolwiek odstępstw, informując o każdym geście, o każdym ruchu, a nawet o każdym grymasie na Jego twarzy. Albowiem tak powinno się to zrobić, doszedł do wniosku Duncan. Należało ukazać prawdę, to musiał być opis wydarzeń idealnie zgodny z ich przebiegiem, a jednocześnie nie gubiący magii, zachowujący chwałę i potęgę, ukazujący całą moc Człowieka, który przemawiał.

Dlaczego, zapytał tajemniczego człowieczka, dlaczego nigdy nie pozwoliłeś mi ujrzeć twego oblicza? Dlaczego ciągle odwracałeś się ode mnie, dlaczego zawsze chowałeś twarz w cieniu, abym nie mógł cię rozpoznać? Tak też należało postąpić, odpowiedział sam sobie, inaczej być nie mogło. Albowiem ów tajemniczy człeczyzna nie szukał chwały dla siebie; gdyby tak było, wszystko poszłoby na marne. Musi już na zawsze pozostać prawdziwym człowiekiem bez twarzy.

Duncan wepchnął dłoń do torby, jego palce zamknęły się na manuskrypcie. Wyciągnął powoli zmięty, szeleszczący zwitek. Wstał z ziemi, uniósł go wysoko ponad głowę i z okrzykiem tryumfu

rzucił się ku rojowi, który majaczył w oddali.

Wielką ciemną, mieniającą się kulę roju przecięły tysiączne zygzaki błyskawic. Z każdym krokiem Duncana blask piorunów przybierał na jasności, pozostając jednak w środku roju, nigdy nie sięgając na zewnątrz. Te same rozbłyski, które przecinały wał mgły na zboczu ponad kurhanem zamku, które sięgnęły na zewnątrz i zamieniły pustelnika w dymiącą pochodnię, obecnie pozostały w zamknięciu.

Raptem wszystkie błyskawice połączyły się w jedną, a kiedy to nastąpiło, rój rozjarzył się kulą wybuchającego ognia. Rozpadł się i powietrze przeciął grad dymiących odłamków, które spadały wokół Duncana. Uderzywszy o ziemię tliły się jeszcze przez chwilę i skwierczały, zwijając się jak z bólu, po czym cichły i zamierały.

Horda zniknęła. Zapadający zmierzch przyniósł zgniły odór, który snuł się wszędzie niczym mgła.

Duncan opuścił rękę. W jego dłoni nadal tkwił manuskrypt, pomarszczony od zbyt silnego ściskania.

Nagle w mroku podniósł się płaczliwy wrzask, nie płacz nad światem, lecz inne łkanie, bardzo bliskie.

Duncan odwrócił się. Zobaczył Meg, przykucniętą nad zwęglonym ciałem pustelnika. Duncan domyślił się, że to jej płacz usłyszał.

— Cóż to? — spytała Diana, zbliżając się do niego. — Pustelnik i wiedźma?

— Poczęstował ją kawałkiem sera w dniu, kiedy ją spotkaliśmy po raz pierwszy — odparł. — Podał jej ramię i pomagał iść leśnym duktem. Stał u jej boku, aby wspólnie wyczarować dla nas ścieżkę z polany. Czy to nie wystarczy?

A więc autentyczność manuskryptu nie zostanie potwierdzona. Po śmierci biskupa Wise z Oxenfordu nikt już nie zdoła postawić na nim pieczęci prawdy. Wróci do Opactwa Standish i będzie tam leżał przez lata, zapewne w ozdobnym kufrze, ukryty przed światem i nieznany, ponieważ nie będzie można orzec, czy jest autentycznym dokumentem czy fałszerstwem z pobożności.

A jednak, myślał Duncan, jeśli chodzi o mnie, prawdziwość manuskryptu nie ulega wątpliwości. Ponieważ nic innego, jak tylko zawarta w nim prawda, jego autentyzm, faktyczne słowa i czyny Jezusa zniszczyły Hordę. Coś mniej ważnego nie mogłoby Hordy nawet zadrasnąć.

Położył dłoń na torbie przy pasie i usłyszał uspokajający szelest. Tyle razy to już robiłem, pomyślał, tyle razy słuchałem szelestu pergaminu, ale nigdy z wdzięcznością i pewnością, które odczuwam teraz.

Diana poruszyła się u jego boku. Objął ją ramieniem i dziewczyna przysunęła się bliżej do niego.

Płomienie ogniska strzeliły wysoko, Mefisto rozgrzebywał gorące węgielki. Demon zajmował się, przy pomocy Conrada, pieczeniem ryb, które wyłowili razem w małym strumyku, wyludziwszy przedtem koszulę od Duncana na zaimprovizowaną sieć.

— Gdzie jest Duch? — spytał Duncan. — Był tu przez chwilę, ale teraz go nie widzę.

— Już go nie zobaczysz — odparła Diana. — Zniknął, aby straszyć w zamku.

— W zamku. Gdzie znalazł zamek?

— W kurhanie. Przyszedł do mnie i poprosił o zgodę.

— A ty mu ją dałaś?

— Odpowiedziałam, że zamek nie należy do mnie, abym mogła dawać zgodę, ale niech robi, co chce. Stwierdziłam, że w żaden sposób nie mogę go powstrzymać.

— Powiedziałem mu dokładnie to samo, kiedy chciał iść razem z nami do Oxenfordu — oznajmił Duncan. — Dziwne, że osiadł w zamku. Bardzo mu zależało na odwiedzeniu miasta.

— Mówił, że chce mieć dom. Miejsce do straszenia. Powieszono go na lichym drzewie, a nie można nawiedzać drzewa, zwłaszcza karłowatego.

— Mam wrażenie, że gdzieś już tę skargę słyszałem. Co Cuthbert powiedziałby na to?

— Myślę, że Cuthbertowi, gdyby wiedział, byłoby przyjemnie. Duch, biedaczysko, tak bardzo tego pragnął. Żalił się, że nie ma domu...

— Gdy się go słucha, człowiekowi serce pęka. Cieszę się, że się od niego uwolniłem. Zamęczał mnie.

— A co z Mefistem? — spytała. — Co się z nim stanie?

— Pójdzie razem z nami. Conrad go zaprosił.

— Cieszę się. Mefisto i Conrad będą dobrymi kompanami. To świetnie. Niezły gość z tego Mefista, choć to demon.

— Ocalił Conradowi życie na leśnej polanie — rzekł Duncan. — Conrad nie należy do ludzi, którzy zapominają takie uczynki.

— A Conrad był miły dla niego w zamku — przypomniała Diana. — Ty też. Wszyscy, aż do tego czasu, traktowali go okropnie.

Meg przyniosła ryby na tackach z kory brzozonej, po czym usiadła w kucki przed Duncanem i Dianą.

— Nie spieszcie się z jedzeniem — ostrzegła. — Niech rybki trochę wystygną.

— A ty? — spytała Diana. — Co zamierzasz robić po zakończeniu przygody? Mefisto idzie z nami.

— Majątek Standish mógłby skorzystać z usług domowej wiedźmy. Nie mieliśmy żadnej od lat — powiedział Duncan.

Meg potrząsnęła głową.

— Właśnie się nad tym zastanawiałam. Chciałam porozmawiać z wami na ten temat. Rozumiecie, ja nie mam chaty; nie mam się gdzie podziąć. Nie mam w ogóle niczego. Lecz Andrew miał celę. Myślicie, że by się sprzeciwił? Chyba wiem, gdzie ją znaleźć. Jeśli nie, Nochal obiecał, że mi pokaże.

— Skoro tego pragniesz — odparł Duncan. — Andrew, jak sądzę, ucieszyłby się na wiadomość, że chcesz u niego zamieszkać.

Mam wrażenie, że trochę mnie polubił — ciągnęła wiedźma. — Tamtego dnia, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, wyjął z kieszeni kawałek sera. Były na nim resztki włóczki i ślady po zębach, bo pojadał od czasu do czasu, i oddał mi go, i...

Głos jej się załamał i nie mogła już mówić. Przycisnęła rękę do oczu, a potem szybko wstała i pokuśtykała w mrok.

— Pokochała go — powiedziała Diana. — Dziwne, że wiedźma i pustelnik...

— Każdy z nas kochał tego starego zrzęde — odparł Duncan.

Stary zrzęda i rycerz Pana. Rycerz Pana do ostatka, upierał się przy tym, a wciąż pozostawał pustelnikiem. Skoczył w ramiona śmierci niczym rycerz Pana. Andrew i Piękna, myślał Duncan — rycerz Pana i mała cierpliwa ośliczka.

Będzie mi ich brakowało, powiedział do siebie.

Z dala dał się słyszeć osłabiony zabłąkaną wichurą płacz nad światem. Teraz z biegiem lat, myślał Duncan, lament będzie się rozlegał coraz rzadziej. Pozostanie trochę nieszczęścia na świecie, ale po zniknięciu Oprawców z Ziemi będzie go coraz mniej. Hieny z wyspy będą miały mniej okazji, aby tarzać się w nieszczęściu, mniej okazji, aby się w nim pławić.

Diana odstawiła rybę na trawę i pociągnęła Duncana za rękaw.

— Chodź ze mną — powiedziała. — Sama sobie nie poradzę. Musisz stanąć obok mnie.



Poszedł za Dianą naokoło ogniska do miejsca, gdzie nad rybą siedział Nochal. Diana zatrzymała się przed skrzatem. Wyciągnęła obnażony miecz i zakołysała nim w rękach.

— To zbyt cenna broń, aby miała należeć do człowieka. Nie wzięłbyś go z powrotem pod opiekę ludków? Zatrzymajcie go, dopóki znowu nie stanie się potrzebny.

Nochal wytarł dokładnie ręce i sięgnął po miecz. Miał łzy w oczach.

— A zatem domyślasz się, milady, do kogo należał przedtem?

Skinęła twierdząco głową; nie mogła wypowiedzieć jego imienia.

— Skoro tak, z ochotą go przyjmiemy — rzekł Nochal. — Będziemy go czcić i dobrze pilnować. Któregoś dnia sięgnie po niego nowa ręka, godna tego, aby nim władać. Ale żadna nie będzie mogła równać się z twoją, milady.

— Przekaż ludkom, że czuję się bardzo zaszczycona.

— To dlatego, że ci zaufaliśmy — stwierdził Nochal. — Nie byłaś nam obca. Znajdziesz się w Domu Standishów?

— Tak — odparła. — Wyruszamy rano.

— Pewnego dnia złożę wam wizytę.

— Powitamy cię serdecznie. Będą ciasta i piwo. Będą tańce na trawie.

Odwróciła się i wróciła do Duncana. Wzięła go pod ramię.

— A teraz — powiedziała — jestem przygotowana na jutro.

KONIEC